

MAJA LIDIA KOSSAKOWSKA



*Wieży Krwi*

**Maja Lidia Kossakowska**

*Wieża Krwi*

Ilustracje  
Dominik Broniek



*950*



## **Spis treści**

[Strona tytułowa](#)

[Mucha](#)

[Schizma](#)

[Hekatomba](#)

[Diorama](#)

[Zwierciadło](#)

[Smutek](#)

[Więzy krwi](#)

[Spokój Szarej Wody](#)

[Szkarłatna fala](#)

*Na początku była kartka. Pierwsza strona brulionu, naznaczona drobną, dyskretną kratką w kolorze bladego turkus. Dużo gorzej ze słowem. Historia domagała się opowiedzenia, a wyrazy stawały w poprzek, brykały i wcale nie chciały układać się w równe rzędy zdań.*

*Myślę, że tę okropną sytuację zna dobrze każdy pisarz, początkujący lub taki, który ma w pracowni całe regały wypełnione własnymi dziełami. Terror pierwszego zdania, pierwszego akapitu. Niby wszystko wygląda tak gładko. Pojawia się błysk, pomysł i autor popada w euforyczny, lekko paranoidalny stan, który można wyrazić krótką frazą: „Posłuchajcie, opowiem wam historię...”. A potem pojawia się wredna czysta kartka i wszystko komplikuje.*

*Tylko teraz zamiast kartki mam przed nosem migający kursor. No i historię zwykle sporo dłuższą niż wtedy, wiele lat temu, kiedy nocą bazgrałam długopisem w brulionie, wyraźnie oburzonym, że nie znajdują się w nim tematy lekcyjne lub notatki z wykładów.*

*Opowiadanie historii jest stare jak ludzkość. Może starsze niż najstarszy zawód świata. Nietrudno sobie wyobrazić, że w przytulnej jaskini, wieczorem, kiedy całe plemię ziewało z nudów, iskając sobie wzajem wszy, ktoś kręcił się nerwowo przy ognisku, aż wreszcie nie wytrzymał i wypalał: „Hej, a wiecie, co mi się przydarzyło wczoraj nad potokiem?”.*

*Ludzie potrzebują fikcji, potrzebują opowieści. Inaczej dawno już nie byłoby pisarzy, reżyserów, aktorów. Książek jakoś nie pożarło ani kino, ani telewizja, ani video, ani gry komputerowe. I dobrze. Czasem trzeba kontynuować tradycje. Nawet takie, które sięgają dolnego paleolitu.*

*Zbiór, który macie przed sobą, zawiera różne historie. Nie znalazły się w nim opowiadania układające się w jakieś wyraźne cykle. Nie ma też wyraźnego klucza, jedynym kryterium doboru była różnorodność. Opowieści na rano lub wieczór, w zależności od nastroju. Jest tu nawet mój debiut, historyjka pod tytułem „Mucha”. Słowem, różności. Kram opowiadacza. Mam nadzieję, że znajdziecie tu coś dla siebie.*

*Milej zabawy.*

*Autorka*

*„Mucha” to moje debiutanckie opowiadanie. Powstało dobrą dekadę temu, a ja wciąż pamiętam, jak wściekle waliło mi serce, jak trzęsły się palce, którymi przewracałam kartki magazynu „Fenix”. Było. Moje nazwisko. Moje słowa. Hosanna!*

*Debiut to doświadczenie bardziej stresujące od matury. Wierzcie mi. Każdy debiutant powinien oglądać swoje wydrukowane opowiadanie w asyście lekarza i ambulansu.*

*Z „Muchą” wiąże się zabawna historia. Równolegle, wysyłając tekst do „Feniksa”, posłałam też tę opowieść przerobioną na sztukę teatralną na konkurs dramatopisarski. A potem zapomniałam o tym, ponieważ w gwałtowny sposób odmówił mi posłuszeństwa trzonowy ząb. Skończyło się na chirurgii szczękowej. Kiedy spuchnięta i obolała wróciłam wreszcie do domu, zadzwonił telefon. „Wygrała pani konkurs - zaświergotał miły damski głos. - Oczywiście jest pani gotowa wystawić spektakl za tydzień?” Najpierw myślałam, że mam halucynacje od środków przeciwbólowych. A potem przeraziłam się na amen. Bo sprawa wyglądała tak: reżyser i z konieczności aktorka drugoplanowa, czyli ja, wygląda jak księżyc w środkowej kwadrze. Z taką twarzą można najwyżej pozować dla Picassa. Główna aktorka, moja przyjaciółka, wyjechała właśnie do rodziny i znajduje się jakieś 450 km od Warszawy. A główny bohater, i to już czysta groza, właśnie za tydzień bierze ślub.*

*Sytuacja wydawała się beznadziejna. A jednak wystawiliśmy ten spektakl. Rodzice Ireny obrazili się okrutnie, o żonie Roberta nie śmiem nawet wspomnieć. Ale opowieść zwyciężyła przeciwności. Niech żyją wspaniali, trochę zwariowani przyjaciele.*



# Mucha

Popołudniowe słońce rozchłapywało na parkowej alejce plamy jasności. Matki i niańki popychały wózki z niemowlętami lub fachowo holowały stawiające pierwsze kroki maluchy na praktycznych, kolorowych szelkach. Staruszki różnej wielkości i kształtów, posiadawszy na ławkach, plotkowały zawzięcie o rodzinie, przyjaciółkach i przebytych chorobach albo spacerowały wolno, grzejąc się w ciepłe późnej wiosny. Głosy grających w piłkę dzieci zmieszane z poszczekiwaniami zachwyconych psów sprawiały, że obrazek stawał się jeszcze bardziej pogodny i bez troski, niczym ilustracja z książeczki dla niemowlaków.

Luke Carven mocno ścisnął rączkę swojego czteroletniego synka i był bardzo daleki od poddania się błogiemu nastrojowi panującemu w parku. W gardle czuł przykrą suchość, a głęboko w środku kłęb ssącego niepokoju, złożony z niejasnych, ale bardzo złych przeczuć. Zastanawiał się, co zrobi, jeśli to, o czym powiedział mu dzisiaj jego syn Danny, okaże się prawdą. Nie miał, niestety żadnych podstaw, by przypuszczać, że się nią nie okaże. Mały dreptał obok markotny, wyczuwając nastrój ojca. On też jakoś intuicyjnie wiedział, że opowiadania mamusi o nowym domu, do którego przeprowadzą się z Billem, o nowym mieście i nowych, wspaniałych kolegach nie przyniosą raczej niczego dobrego.

Luke zaciskał usta ze złością i determinacją. Ona jest do tego zdolna, myślał. Więcej, robi to z premedytacją. I nie bez przyjemności. Danny podniósł głowę i spojrzał na ojca. Na widok jego twarzy bez słowa spuścił wzrok. Każdy, kto widział ich razem, musiał natychmiast zauważyć, jak bardzo są podobni. Chłopiec miał takie same, niezbyt regularne, ale wyraziste rysy, duże usta i piękne oczy. Jego twarz okolona ciemnymi prostymi włosami urzekła subtelnością. Mały wyglądał jak podrzutek elfów.

Ulica, na której czekał w zaparkowanym samochodzie Bill, nieuchronnie była coraz bliżej. Danny, sam nie wiedząc czemu, starał się iść jak najwolniej. Czuł, jak bardzo Luke nie chce się z nim rozstawać. Szczerze mówiąc, mały też nie cieszył się z powrotu do matki i Billa. Oznaczało to nudę sprzątania zabawek, schludnego ubranka, męki jedzenia odpowiednich posiłków o odpowiedniej porze, która nie miała nic wspólnego z porą, kiedy jest się głodnym, i wczesnego kładzenia się spać. Powrót niósł za sobą także definitywny koniec różnych wspaniałych zabaw w piratów, w bezludną wyspę, w napad na dyliżans ze złotem. Mamusia i Bill nie mieli ochoty ani czasu na podobne szaleństwa. Trudno. Danny westchnął. Szedł wolniutko, coraz wolniej, powłócząc nogami. Właściwie wisiał ojcu u ręki. Wreszcie Luke się zatrzymał.

- Tatusiu... - bąknął chłopiec. Nie wiedział, jak ubrać w słowa to wszystko, co niespokojne i niezrozumiałe kłębiło mu się w głowie. Popatrzył bezradnie w oczy ojca, szukając u niego pomocy.

- Co, synku?

- Czy Bill już przyjechał? - spytał Danny, czując jednak, że nie o to mu chodzi.

- Pewnie tak. Jest zawsze taki cholernie punktualny - ostatnie zdanie Luke wypowiedział półgłosem, bardziej do siebie niż do dziecka.

- O, zobacz! - Mały wyciągnął rączkę w stronę parkingu. - Auto Billa.

- Aha - Luke nie zdobył się na inną odpowiedź.

Lśniące i eleganckie auto Billa rzeczywiście stało przy krawężniku. Równie lśniący i elegancki Bill właśnie wysiadał. Jego doskonale skrojony srebrzystoszary garnitur ładnie współgrał z kolorem karoserii.



Luke za każdym razem, gdy widział Billa, zdumiewał się, jak słabo on sam znał Joan. Nie rozumiał, w jaki sposób mogli zdecydować się na wspólne życie, nie mając ze sobą niczego tak naprawdę wspólnego. Ich spojrzenie na świat było całkowicie rozbieżne. Mimo chęci i starań nie miał szans utrzymania związku z kobietą, która poczuła się szczęśliwa z partnerem pokroju Billa.

Nie oznaczało to wcale, że był zazdrosny. Miał pewność, że rozstaną się z Joan, długo przed pojawieniem się Billa na horyzoncie. Nadzieja na jakiegokolwiek porozumienie nie wchodziła w grę. Nie chcieli tego oboje, ani ona, ani on. Właściwie to od początku była pomyłka, która prędko przerodziła się w koszmar. Zastanawiał się tylko, czemu szarpanina trwała aż trzy lata. Wzajemne pretensje, oskarżenia, ataki, a wreszcie awantury, o jakich wolałby nie pamiętać. Powrót do Joan oznaczałby powrót do piekła.

Ale Billa nie cierpiał. Może nie tyle jego samego, lecz wszystkiego, co ten reprezentował. Jego nienaganych ubrań, twarzy jak z reklamy, fantazyjnej fali nad czołem, wypchanego portfela, z którym dyskretnie się afiszował, sztucznej otwartości maskującej obojętność, dbałości o kondycję i abstynencji.

Bill, produkt masowy w wersji luksusowej, modny Ken dla dorosłych dziewczynek, wraz z zestawem aut, apartamentów, wiejskich domków i kart kredytowych.

- Cześć, Luke - powiedział Bill, ukazując światu dwa rzędy równych, białych zębów, odsłoniętych w uśmiechu, na którego widok, jak głosiła plotka, co słabsze kobiety omdlewały.

Luke kiwnął mu głową, sięgając po papierosa do kieszeni koszuli.

- Jak się bawiłeś, mały łobuziaku?

- Fajnie - powiedział poważnie Danny. - Zatopiliśmy okręt piratów.

- To świetnie. A teraz wskakuj do samochodu. Mama czeka.

Chłopiec się nie poruszył.

- Zaraz go wpakuję - mruknął Luke, zaciągając się głęboko dymem. - Hop, Danny!

Wziął dziecko na ręce i zaniósł do auta. Mały objął go mocno za szyję, a Luke poczuł w sercu ukłucie bólu. Już go nigdy nie zobaczę, pomyślał nagle i natychmiast wyrzucił poza obręb świadomości tę absurdalną myśl. Posadził synka na tylnym siedzeniu obitym drogą, puchatą tapicerką.

- Cześć, tato - powiedział Danny.

- Hej, Danny. Posuń się trochę. Jeszcze twoja torba. - Włożył torbę do środka i zatrzasnął drzwi. Bill szykował się właśnie do wsiadania.

- Bill, poczekaj - zawołał Luke. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Przepraszam cię, Luke, ale cholernie się śpieszę. Już jestem spóźniony na bardzo ważne spotkanie.

Carven nie dał mu skończyć. Podszedł i zmierzył go przenikliwym spojrzeniem. Zawsze był ubawiony tym, jak Bill, rozmawiając z nim, próbuje wyprostować się możliwie jak najbardziej, żeby uzyskać parę milimetrów wzrostu więcej. Nic z tego, nie miał szans mu dorównać. Luke był chudy, kościsty i bardzo wysoki.

- Wyprowadzacie się z miasta?

Bill skurczył się. Wyglądał na przestraszonego. Luke wyobraził sobie z rozkoszą, jak rozkwaszą nos tego dupka. Ale w takiej sytuacji nie mógł sobie pozwolić na tę przyjemność.

- No cóż, hmm... - bąkał Bill, wyraźnie speszony. - Dostałem atrakcyjną propozycję pracy. Myślę... myślę, że się zdecydujemy wyjechać nie tylko z miasta, ale z kraju... Na razie na rok. A potem zobaczymy.

Oczy Luke'a zwęziły się. Bill cofnął się i oparł plecami o samochód jakby w obawie, że Luke rzuci mu się do gardła.

- Co?! - zasyczał Luke. Dupawy kutasina, myślał. Joan, jakie to do ciebie podobne. Nie miał

wątpliwości, że to ona namówiła tego dupka do wyjazdu.

- Nie możecie tego zrobić. Mam prawo widywać syna. Nosi moje nazwisko i jest tak samo mój jak jej. Nie pozwolę na to! Rozumiesz?!

Bill stał z głupią miną. Wyglądał żałośnie. Luke poczuł, jak ogarnia go ślepa wściekłość.

- Postanowiliśmy z Joan... - mamrotał Bill. Pięści Luke'a zacisnęły się i zadrgały.

- Wsiadaj do samochodu - powiedział bardzo spokojnie, zdławionym głosem - i spieprzaj stąd, ale bez jednego słowa, skurwielu, bo będziesz zbierał zęby z betonu. A dzieciaka nie dostaniecie.

Nie wiadomo, co wywarło skutek, może reputacja Luke'a, może ton jego głosu, a może realność groźby, dość, że Bill usłuchał. Milcząc, wsiadł do wozu i odjechał. Przez przyciemnione szyby Luke nie mógł dojrzeć małej postaci swojego synka. Odwrócił się tyłem do krawężnika i zamknął oczy. Wydawało mu się, że ktoś zrobił mu wielką dziurę w piersi i teraz grzebie w niej szponiastym paznokciem.

\*\*\*

- Joan!

Odwróciła się szybko, z miną niechętną i wyzywającą.

- Czego chcesz? Nie życzę sobie cię widywać, a tym bardziej żebyś nachodził mnie w pracy. Nie mam z tobą o czym rozmawiać.

- Ale ja mam. Nie pozwolę ci wywieźć Danny'ego.

Prychnęła pogardliwie.

- Nie masz nic do gadania. Nie radzę zaczynać.

Ruszyła przed siebie. Złapał ją za rękę. Wyszarpnęła się z wściekłością.

- No i co? - zasyczała. - Uderzysz mnie? Proszę bardzo. Złożę skargę o pobicie. Popatrz tylko, ilu świadków wokoło.

Luke poczuł przyływ rezygnacji i rozpacz. Rozmowa z Joan nie miała sensu.

- Chcesz uderzyć bezbronną kobietę, matkę twojego dziecka? Nie sądzę, żeby ci to pomogło w sądzie czy gdziekolwiek pójdziesz. Możesz sobie wnosić sprawę i załatwiać prawnika. Siłą mnie nie zatrzymasz!

W oczach Joan mieszały się triumf i nienawiść. Opanował się, chociaż z trudem.

- Chcę widywać się z dzieckiem. Moim własnym dzieckiem. O nic więcej mi nie chodzi. Nie pozwolę ci go wywieźć, możesz być pewna!

- W niczym mi nie przeszkodzisz, rozumiesz?! Zabiorę dziecko, dokąd zechcę. Jest moje. A ty się ugryź w dupę! Przecież nikt ci nie zabrania kontaktów. Masz pieniądze, możesz odwiedzać syna, kiedy zechcesz, nawet za granicą. Stać cię na to. A jeśli wolisz wywalać forszę na picie i prochy, to nie moja rzecz!

Wzruszyła ramionami, odwracając się od niego, żeby odejść. Szarpnął ją za ramię, zmuszając, żeby na niego spojrzała.

- Joan, kurwa mać, czy ty chociaż przez chwilę pomyślałaś o małym? Czy jesteś tak zaślepiona, że tylko szukasz okazji, żeby mnie zgnoić?

- Ani przez sekundę nie zaprzęłam sobie głowy takim śmieciem jak ty! - wrzasnęła Joan. - Jedyne kiedy drzę ze strachu, że Danny może być kiedykolwiek podobny do ciebie! Byłabym najszczęśliwsza na świecie, gdybyś go już nigdy więcej nie widział. Modlę się o to! I przysięgam, wyrwę Danny'ego z twoich łap. Razem z Billem staramy się stworzyć temu dziecku przyzwoitą, normalną rodzinę. Łączy nas przyjacielski, partnerski związek. Może by się udało, żeby chłopiec wreszcie o tobie

zapomniał. Bodajby cię szlag trafił, Luke! Przyłazisz tu jak jakaś zmora, nie mogę się od ciebie uwolnić! To dziecko niczego nie potrzebuje mniej niż ciebie! I zdejmij te cholerne ciemne okulary, jak do mnie mówisz! Myślisz, że nie wiem, jak wyglądasz, kiedy jesteś nawalony? Sytuacja była beznadziejna. Luke oddychał szybko i płytko. Za wszelką cenę próbował zapanować nad sobą.

- Joan, słuchaj mnie... po prostu, kurwa, posłuchaj... Mam prawo widywać syna...  
- I co? - przerwała cynicznie. - Myślisz, że jak spieprzysz dzieciństwo jemu, to odreagujesz własne? Trafiła. Szpila bezbłędnie weszła w starą, nigdy niezagojoną ranę. Nie na darmo Joan spędziła z nim dobre kilka lat. Luke drgnął i pobladł. Ciemne płatki zawirowały mu przed oczami. Złapał Joan za ramiona i potrząsnął nią.

- Ty cholerna dziwko! Ja kocham tego dzieciaka! A tobie chodzi tylko o to, żeby... żeby... Wyrwała mu się, wściekła i zadyszana. Ludzie w hallu zatrzymywali się i przypatrywali ciekawie. Wymieniali uwagi.

- Chcesz afery? - syknęła. - Proszę bardzo! Masz! Uderzyła go z rozmachem w twarz. Nie poruszył się.

- Jesteś niezdolna do żadnych uczuć, Joan - powiedział.

- Jeśli tak, to przez ciebie. Zabiłeś we mnie nawet resztki litości.

Odwróciła się i odeszła. Słyszał prędkie stukanie jej obcasów. No to koniec, pomyślał.

\*\*\*

Czas przeciekał mu między palcami, lepki jak krew. Dziura w środku pulsowała w rytm ciężkich uderzeń serca. Ten sam rozkołysany rytm odzywał się echem w skroniach, kołatał głęboko w mózgu, za oczami.

Joan już dawno czekała na lotnisku. Zawsze musiała być w poczekalni na długo przed planowanym odlotem, żeby się nie spieszyć i nie denerwować, jak mówiła. Danny'emu pewnie piekielnie się nudzi. Poza tym jest późno, mały na pewno czuje się zmęczony...

Huk wywracanego stołka i głośny wybuch śmiechu dochodzący z kąta w głębi baru wybiły jego myśli z rytmu i zmusiły do uniesienia głowy. Luke niezbyt przytomnie rozejrzał się wokoło.

Pięciu pijanych, hałaśliwych mężczyzn najwyraźniej świetnie się bawiło. Jeden z nich właśnie gramolił się niemrawo z podłogi. Twarze wszystkich poczerwieniały od śmiechu i trunków. Rozmowa już dawno zjechała do poziomu opowiadania wulgarnych dowcipów.

Luke bezskutecznie próbował skoncentrować wzrok na jednym z facetów, który klepał właśnie z rozmachem po plecach swego towarzysza z lewej strony, bełkocząc pośród tłumionych wybuchów śmiechu o jakimś lekarzu, pacjencie i żonie. Obraz rozmazywał się i Luke wiedział, że niedługo wszystko rozleje się w konstelacje kolorów, pożarte następnie przez całkowitą ciemność. Podparł czoło dłońmi. Szumiało mu w uszach.

- Nie myśl - powiedział do siebie. - Po prostu nie myśl.

Wielki, jowialny blondyn z grupy wesołków w kącie, zwijając się w paroksyzmie śmiechu, wyrzwał pięścią w kontuar, aż zabrzęczały szklanki. Po spoconej, purpurowej z wysiłku twarzy ciekły łzy. Jego donośny głos wybijał każdą głoskę w głowie Luke'a wyraźnie jak czcionka w maszynie.

- Kurwa, chłopaki... jak on z żoną... to jej z gęby mucha... ha, ha, ha... a lekarz: „Przykro mi”, mówi, rozumiecie, „przykro, pańska żona od pół roku... nie żyje!”. A on, rozumiecie... pół roku... ha, ha, ha... Pięciu mężczyzn rechotało ochryple, jakby z wysiłkiem, pokładało się na sobie nawzajem, krztusiło i opluwało z radości. Tamten, który upadł, zdołał się dźwignąć na kolana, ale grzmotnięty przez

któregoś z kumpli otwartą łapą w kark znów rozciągnął się na podłodze.

Luke patrzył na nich obojętnie. Mucha, pomyślał, znaczy śmierć. Robaki przyjdą po twoje martwe ciało, mucha po twoją martwą duszę. Owadzia śmierć. Piekło to brzęczenie tłustych, końskich much. Pożrą cię żywcem.

Tak, to jest dobre zdanie. Trzeba je zapisać. Nie wolno pozwolić mu uciec przez dziurawe sito pamięci. Trzeba je zapisać, przyda się.

Luke wygrzebał z kieszeni notes, potem pióro. Bazgrał brzydko, nerwowym pismem.

*Na drżących skrzydłach tłustych much splywa owadzia śmierć,  
A krew jest czarna i krwawe łzy, jak kolia się sypią na pierś.*

Zamarł z piórem w ręku. Nie zauważył nawet, że napisał te dwa wersy w poprzek jakiegoś poprzedniego zapisku. Kolory wokoło nabrały takiej intensywności, że zmrużył powieki.

Gdzieś, jakby od wewnątrz czaszki, jego mózg wyświetlił informację wygrzebaną z zakamarków pamięci. „W Średniowieczu mucha była symbolem cynizmu”. Zdanie miało jakiś gorzki posmak. Luke powoli odpływał coraz dalej od rzeczywistości.

- Przepraszam, pan Carven, prawda?

Luke otworzył oczy i spojrzał nieprzytomnie. Próbował sobie przypomnieć twarz pochylającego się nad nim mężczyzny. Twarz ta wydawała mu się skądś znajoma, ale przez grubą warstwę waty okalającej jego umysł myśli przebijały się opornie.

- Jestem od lat wielbicielem pańskiej... hm, mrocznej twórczości... - kontynuował intruz.

Przy słowie „mrocznej” Luke lekko się skrzywił.

- Mogę prosić o autograf? - spytał nieznajomy, siadając obok przy jego stoliku.

- Tak, oczywiście - westchnął Luke.

Sięgnął do kieszeni po swoje wieczne pióro. W połowie gestu przypomniał sobie, że wciąż trzyma je w dłoni. Facet już podsuwał mu gruby notes, otwarty na czystej stronie. Luke napisał pierwsze lepsze zdanie, jakie przyszło mu do głowy. Krzywe, nerwowe litery sprawiały wrażenie, że pragną stać się czymś zupełnie innym, niż aktualnie są. Luke bazgrał, a ręce mu drżały, odkąd pamiętał.

„Żeby rozproszyć ciemność, wystarczy zapalić lampę. Jedyne problem to skąd ją wziąć”.

Po sekundzie wahania paroma kreskami dorysował na dole strony staroświecką stojącą naftówkę i podpisał się.

- Proszę - powiedział, podając przybyłemu notes. Po raz pierwszy przyjrzał się uważniej jego twarzy. Była zupełnie nijaka, ale Luke'owi wciąż wydawała się skądś znajoma.

- Czy pan często myśli o śmierci, panie Carven? - zapytał nagle mężczyzna, chowając notatnik do kieszeni.

Świr, pomyślał Luke. Tylko tego mi brakowało. Albo, co gorsza - sekciarz.

Już otwierał usta, żeby splawić faceta, kiedy nagle napotkał jego wzrok. Oczy nieznajomego miały nienaturalnie jasne tęczówki, właściwie białe, gdyby nie opalizujący blask, jakim zdawały się świecić od środka. Wydawało mu się, że przewiercają go na wylot, a obcy nie dość, że wie o nim wszystko, to doskonale zna jego słabe punkty.

- Tak, myślę o śmierci - powiedział wreszcie Luke. - Piszę, jak pan zapewne wie. Żyję z tego, co piszę, a tak się składa, że to często dotyczy śmierci. Wychodzi mi ten temat. Ale, niestety, czasem muszę też myśleć o życiu.

- Śmierć wydaje się panu bardziej pociągająca?

- Nie. Może fascynująca. Rozumie pan, jako temat. Tak naprawdę wydaje mi się, że obie strony

muszą się jakoś równoważyć, funkcjonują w człowieku równocześnie. W sumie zaczynamy umierać już w chwili, w której przychodzimy na świat.

Luke starał się mówić do rzeczy. Nie potrafił zrozumieć, jak to się dzieje, że siedzi przed tym obcym facetem i pieprzy mu o tym, co sądzi na temat śmierci, zamiast kazać mu się wynosić i spokojnie odpłynąć w niebyt. Co gorsza, za wszelką cenę próbował wyrażać się sensownie. Było coś niepokojącego w tym człowieku, coś, co sprawiło, że ledwo go zobaczył, odniósł wrażenie, że przez dziurę w środku wsunęła się chłodna dłoń i obejmuje palcami jego kręgosłup, żeby później złamać go jednym szarpnięciem.

Nieznajomy pochylił się ku niemu. Oczy mu świeciły.

- Ma pan zupełną rację! Nawet pan nie wie, jak blisko prawdy się znajduje. Jak pan myśli, jakie uczucia żywi śmierć względem pana na przykład?

Luke wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Kiedyś powiedziałem, że między zdaniem „Śmierć cię kocha” i „Jezus cię kocha” nie ma specjalnej różnicy, ale byłem wtedy skuty i wściekły. Stwierdzenie, że śmierć nas kocha, jest jakieś banalne. Tu chyba chodzi o bardziej skomplikowany układ.

- Oczywiście. I skomplikuje się jeszcze silniej, kiedy uświadomimy sobie pewną rzecz. Dlaczego zakładamy, że istnieje jedna śmierć? Przecież to bezpodstawne.

Luke czuł, jak przepełnia go jakieś ciężkie zimno, jakby ktoś wlewał mu w żyły płynny azot. Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że boi się tego człowieka. Lęk był irracjonalny. Mężczyzna był wątły i niższy od niego o głowę. Ale Luke czuł, że słowa, które tamten wypowiada, uderzają w niego, biją w samo ego, dotykają istoty jego bytu.

- Każdy jest nosicielem swojej własnej śmierci. To takie nasze drugie ja, ten pasażer, którego obecność każdy żywy człowiek kiedyś w sobie odkrywa - ciągnął nieznajomy. - Rozumie pan, to rodzaj symbiozy, a czasami pasożytnictwa. Zastanawiał się pan kiedyś, czemu niektórzy ludzie są szczęśliwi, zdrowi, pogodni, podczas gdy inni ciągle czegoś szukają, gonią za czymś mniej lub bardziej realnym, nie potrafią pogodzić się z rzeczywistością i spalają się wreszcie w tym obłądnym wyścigu?

- Tak - szepnął bezgłośnie Luke. Czuł właśnie, jak jego krew spala się w lodowatym podmuchu nieokreślonego przeczucia, że coś jest tu bardzo nie tak.

- Otóż ci pierwsi żyją w zgodzie z własną śmiercią, która nie chce opuścić ich ciała, wygodnie jej tam. To takie leniwe śmierci o zgodnym charakterze. Są też starcy na siłę czepiający się życia, wciąż zachłanni. Nie potrafią umrzeć, nie mogą znieść myśli o własnym zgonie. To ich śmierci obawiają się, jaki los przypadnie im później, boją się zmiany, więc starają się utrzymać nosiciela jak najdłużej przy życiu.

- A co z tymi, którzy dążą do samodestrukcji? - wyszeptał Luke. - Nie żyją w zgodzie ze swoją śmiercią?

- Różnie. Śmierci też ulegają emocjom. Bywają nawet szalone. Czasem dane ciało im się nudzi, czasem chcą zmienić je na inne z ciekawości, a czasem chcą po prostu uciec, poszaleć na wolności, bez ciała. To bardzo przyjemne uczucie, zapewniam. Ale na dłuższą metę nie do przyjęcia. Śmierć potrzebuje żywiciela. Wracając do pańskiego pytania, w przypadkach, o których wspomniałem, śmierć-lokator może popychać nosiciela do samobójstwa, wpędzać go w choroby, nałogi, wywoływać wypadki. Wie pan, w zbiorowych katastrofach uczestniczą tylko znudzone śmierci.

- Wobec tego śmierć może nienawidzić swojego nosiciela, świadomie go niszczyć, krzywdzić, pastwić się nad nim... - powiedział Luke. - Pan uważa, że to śmierć kieruje naszym losem? Nic więcej?

- Oczywiście! Śmierć rozwija się wraz z żywicielem. Im inteligentniejszy, głębszy psychicznie żywiciel, tym lepiej i szybciej rozwija się śmierć. W pewnych przypadkach może znacznie go przerosnąć, osiągnąć wyższy poziom, bazując, rzecz jasna, na jego osobowości. A wtedy, prędzej czy później, zacznie szukać sposobu ucieczki na wolność. Wie pan, czemu większość artystów, ludzi obdarzonych talentem, jest taka zagubiona, niedostosowana? Skąd brak akceptacji i miłości, ucieczki w alkohol i narkotyki? Ich śmierci są po prostu lepsze od nich. Męczą się jak w więzieniu. Pańska na przykład jest bardzo wysokich lotów. I mocno już zmęczona. O wiele pana przewyższa, panie Carven.

Luke'a przenikało zimno. Był całkiem bezwolny. Nie mógł wstać i wyjść. Musiał tu siedzieć skuty magnetycznym wzrokiem tego przedziwnego wariata i słuchać, co tamten ma do powiedzenia o śmierci. Nawet nie miał pewności, czy nie rozmawia z samym sobą. Zdobył się na heroiczny wysiłek.

- Ta rozmowa staje się coraz bardziej...

- Interesująca? - intruz przerwał mu w pół słowa. - Ma pan rację. Z każdą minutą napięcie rośnie. Wie pan, że charakter człowieka zależy od charakteru zamieszkującej go śmierci?

- Śmierć jako dusza - powiedział Luke. - Agonia przez całe życie. To by się nawet zgadzało.

Spokojnie, myślał, to tylko prochy. Nabrałem się za dużo, wypilem za dużo i teraz wariuję. Zamknął oczy w nadziei, że gdy je otworzy, nieznajomy zniknie. Ale nie zniknął. Uśmiechał się jakoś zjadliwie.

- Już niedługo przekona się pan, że to, co mówię, jest prawdą. Myślał pan kiedyś, czemu umierają niemowlęta i małe dzieci? To proste. Najczęściej noszą niedopasowane śmierci. Albo zwyczajnie wredne, które wykorzystują ich słabość. Ale zdarza się też, że w przypadku dzieci nieprzeciętnych, obdarzonych ogromnie bogatym wnętrzem i wyobraźnią, znacznie wrażliwszych od innych, ich śmierci rozwijają się dużo prędzej od nich samych. Potrafi pan sobie wyobrazić udrękę dorosłej, inteligentnej śmierci zamkniętej w ciele dziecka, które choćby nie wiem jak wspaniałe, jednak pozostaje tylko dzieckiem? Ile lat można czekać? Marzenia o wolności stają się obsesją. Proszę się temu nie dziwić. Aż w końcu znajduje się jakiś sposób.

Luke czuł się coraz gorzej. Głęboko pod mostkiem obudził się promieniujący ból, jakby upiorna ręka w jego wnętrzu zaczęła szarpać go pazurami. Skulił się i przycisnął obie dłonie do piersi. Głos nieznajomego dochodził do niego odległy i brzękliwy. Słyszał słowa, ale ich nie rozumiał.

- Tak się składa, że jestem sąsiadem pańskiego synka. To świetny dzieciak. Nad wiek rozwinięty. Wyrósłby pewnie na wspaniałego człowieka. Znamy się od dawna. Wiem wiele o Danny'm, pańskiej byłej partnerce i o panu. Od niego samego, oczywiście. Danny dużo o panu opowiada. Jest do pana bardzo przywiązany. To zdecydowanie nad wiek rozwinięte dziecko.

Nieznajomy wymownie zerknął na zegarek. Luke patrzył na niego nieprzytomnie. Na pierwszą wzmiankę o synu drgnął, a potem zamarł, próbując łowić poprzez mgłę wizerunek twarzy mówiącego. Mimo wysiłku czuł, że odpływa.

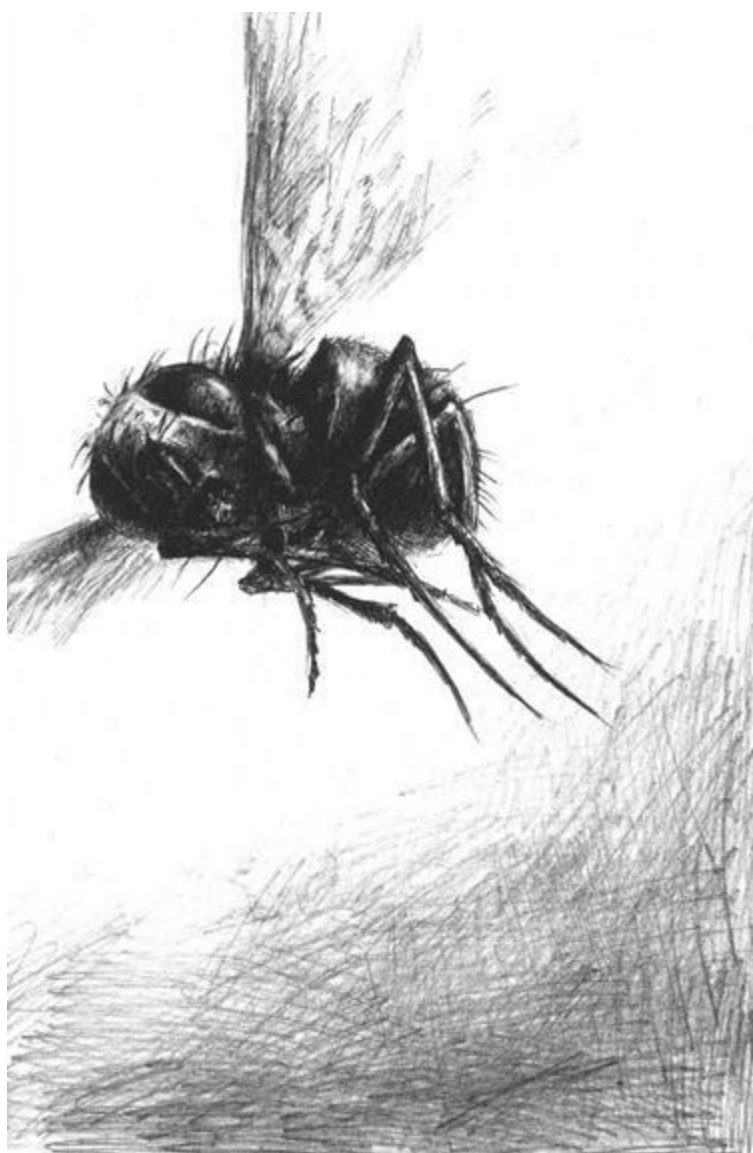
- No cóż, zrobiło się późno. Było mi bardzo miło poznać pana osobiście. Podziwiam pana od dawna. No i Danny tyle o panu mówi. Na mnie już czas. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze spotkali, mimo to powiem do widzenia.

Luke z trudem łapał oddech. Wydawało mu się, że rozpada się na poszczególne atomy, że ktoś łamie mu wszystkie kości i jednocześnie wbija w głowę rozpalone druty.

Drobna, wilgotna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

- I proszę na siebie uważać, panie Carven. Bardzo źle pan wygląda.

Luke powoli osuwał się w ciemność.



\*\*\*

Udało mu się wrócić do domu tylko dlatego, że barman zamówił dla niego taksówkę. Na dworze poczuł się lepiej, ból przestał być taki rwący. Wsiadł przed frontem kamienicy, w której mieszkał; starej, dość zaniedbanej, z mnóstwem zabawnych ozdób na fasadzie, pызatych puttów i koszy z kwiatami. Na schodach znowu poczuł się fatalnie. Miał dreszcze, mdłości i zawroty głowy. Chciał tylko położyć się i odpocząć. Danny leci teraz gdzieś w powietrzu, cholernie daleko i wysoko. Tęsknił za nim. Kiedy powiedział Joan, że nie da zgody na wyjazd synka, parsknęła tylko: „Bill się tym zajmie”. I zajął się. Trzeba przyznać dupkowi, że skutecznie. Musi coś wymyślić, żeby sprowadzić dziecko z powrotem. Zacisnął zęby. A jeśli nie, to będzie latał do niego raz na tydzień tym pieprzonym samolotem!

Wszedł do mieszkania i zapalił światło, które natychmiast wrzasnęło mu prosto w twarz, tak gwałtownie, że aż przymrużył powieki.

Duża biała koperta, której na pewno nie było tam, gdy wychodził, stała na biurku, oparta o puszkę po piwie. Na jej widok zawył w nim przerażenie. Na miękkich nogach podszedł do biurka. Sięgnął po kopertę i chwilę obracał ją w drżących palcach. Nerwowo rozdzierał papier. Coś ciemnego i żywego obilo się o jego rękę i z bzyčeniem pacnęło o blat.

- Chryste, co to jest? - jęknął Luke.

To była mucha. Lśniaca zielonkawo, tłusta mucha, która niemrawo pełzała wśród papierów

zaścielających biurko. Luke patrzył na nią, a tymczasem jego serce pękało i kamieniało. Palcami twardymi jak stal wyciągnął z koperty kartkę. Jego oczy zarejestrowały cztery słowa: „Niech pan włączy telewizor”. I to wszystko. Poza tym papier był czysty.

Maszyna jego ciała zareagowała na polecenie. Dłoń odnalazła na biurku pilota i nacisnęła guzik. Na ekranie poruszali się w pośpiechu jacyś ludzie, jeździły auta, widać było dym i płomień. Głos spikerki mówił: „...katastrofa miała miejsce podczas startu. Nie ma szans, żeby ktokolwiek z 276 pasażerów lub członków załogi zdołał ocaleć... W tej chwili akcja gaszenia wraku trwa...”.

Siedząca na rogu blatu mucha przestała właśnie czyścić sobie przednimi łapkami głowę tak energicznie, jakby pragnęła ją urwać. Nastroszyła skrzydełka i z głośnym bzyczeniem poderwała się do absurdałnego, właściwego wszystkim muchom tańca wokół lampy na suficie.



*To opowiadanie zrodziło się z żartu. Jechałam autobusem z moim przyjacielem Robertem i przez okno zobaczyliśmy wielki, nowy wtedy szyld „Megastor”. Jakoś tak przyszło nam do głowy, że czytane z polskim akcentem słowo brzmi niczym imię średniowiecznego świętego. Potem to skojarzenie doprowadziło do powstania Wielkiej Świątyni Handlowej i całego opowiadania, które, w konkluzji, nie jest jednak humoreską.*



# Schizma

Akolita Silwanus z rozpaczą spojrzął na trzecią kanapkę. Sos wyciekający pomiędzy dwóch grubych plastrów mięsa kapał na serwetkę. Silwanus poczuł podchodzącą do gardła falę obrzydzenia. Jeśli spróbuje ją zjeść, z pewnością wymiotuje. W ten sposób zmarnuje cały wysiłek, jaki włożył w zjedzenie dwóch poprzednich i obfitego śniadania. Westchnął ciężko. Ciekawe, czy świątobliwy Augustus też przeżywał podobne dylematy? Z całą żarliwością swoich dwudziestu jeden lat Silwanus uważał, że Augustus powinien niezwłocznie zostać Uświetniony. Ponieważ akolita pełnił funkcję sekretarza Jego Jasności Herminiusa Revona, wiedział, że wniosek taki już wpłynął do kancelarii. Jednakże Jego Jasność, jak dotąd, niczego w tym względzie nie zrobił. Silwanus nie potrafił tego zrozumieć. Pełne wyrzeczeń życie i złożona z niego ofiara jako ukoronowanie cnotliwych wysiłków nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości co do Świetności Augustusa. Codziennie poświęcał on od kilku do kilkunastu godzin na zakupy, a resztę czasu przeznaczał na medytacje i oglądanie reklam. Znał je wszystkie na pamięć! Silwanus doskonale przypominał sobie jego podniosły, choć z powodu zaawansowanego wieku nieco piskliwy głos, którym recytował nabożne teksty. Co więcej, sam zasłynął jako autor wielu trafnych, wspaniałych sloganów. „Kupujcie, nie żałujcie! Pan nas widzi” lub „Gdy kupujesz nowy produkt, Agon się uśmiecha” należały do najcelniejszych. Śmierć Augustusa urastała w oczach młodego akolity do rangi symbolu. Oto przykład prawdziwego poświęcenia i deklaracja niezachwianej wiary! Pod koniec życia Augustus tak żarliwie nabywał, spożywał i użytkował, że osiągnął wagę ponad stu czterdziestu kilo. W jego wieku już tylko to mogło okazać się zabójcze. Jednakże świątobliwy mąż posunął się jeszcze dalej. Rozpoczął tak radykalną kurację odchudzającą przy pomocy siedmiu naraz najnowszych środków przeciw otyłości, że po kilku miesiącach zmarł w strasznych męczarniach. Odwaga i nieustępliwość, jakie cechowały Augustusa, oraz ofiara, którą złożył na ołtarzu wiary, stały się dla Silwanusa wzorem. W skrytości ducha marzył, żeby dorównać świątobliwemu mężowi i podobnie jak on wywalczyć sobie palmę męczeństwa. Karcił się za takie myśli, bo jakże on, zwykły akolita, mógłby mierzyć się z prawdziwym Świętym, lecz pragnienie nie dawało się łatwo stłamsić.

Spojrzął znów na ostatnią, nędzną kanapkę i zawstydził się, że nie potrafi wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu. Świątobliwy Augustus pożarłby ją bez wahania i samą siłą woli zmusił do pozostania w żołądku, chociaż pieczone mięso z sosem niechybnie zaszkodziłoby starcowi, który od wielu lat cierpiał na wątrobę. Silwanus westchnął ponownie. Wtedy przypomniała mu się krótka rozmowa, którą odbył tego ranka z Jego Jasnością Herminusem Revonem. Wspomnienie to nie należało do przyjemnych i jeszcze bardziej pogłębiło przygnębienie i konsternację akolity.

Niespodziewanie, jak miał to często w zwyczaju, Herminius otworzył drzwi swego gabinetu i szybkim krokiem przeszedł przez kancelarię. Jego bystrym oczom nie uszedł widok Silwanusa siedzącego z nieszczęśliwą miną przy biurku oraz kanapek, wtedy jeszcze trzech, które leżały przed nim w zatłuszczonym papierze.

- Mógłbyś przestać się tak obżerać, Silwanusie - powiedział szorstko. - Jesteś znacznie za gruby jak na swój wiek.

Silwanus, który zawsze odczuwał zmieszanie zmuszony rozmawiać z Jego Jasnością, zaczerwienił się i zerwał z krzesła.

- Ależ, Wasza Jasność, ośmielę się zauważyć, że... jeśli... eee... hmmm... będę tył w odpowiednio szybkim tempie, to... rzecz jasna... przez ten czas zużyję o wiele więcej ubrań, niż... gdybym... eeee,

jadł normalnie. Poprzednie zrobią się za małe, więc... eee, więc będę musiał kupić nowe! - wybąkał nieskładnie.

Wąska, sucha twarz Herminiusa pozostała niewzruszona, ale w jego czarnych oczach zalśnił płomyk gniewu.

- Jakbym słyszał Augustusa! - mruknął z irytacją. Nie patrząc na sekretarza, energicznym krokiem skierował się ku drzwiom. Trzymając już w ręce klamkę, odwrócił się i powiedział surowo:

- W każdym razie pamiętaj, że zabraniam ci robić z siebie podobne monstrum. Jeśli nie przestaniesz tyć, mogę nie mieć dłuższej ochoty oglądać cię siedzącego za tym biurkiem. Wybieraj, co wolisz, Silwanusie: stracić miejsce czy kilka kilogramów wagi?

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Silwanus wyczerpany opadł na krzesło. Do głowy przyszła mu brzydka myśl, której w żaden sposób nie potrafił się pozbyć. Według niego byłoby dobrze, gdyby Jego Jasność, choć niewątpliwie godny największego szacunku, uczony i szalenie inteligentny, okazał się chociaż w połowie tak świątobliwy jak Augustus.

\*\*\*

Herminius Revon krążył w swoim gabinecie zirytowany i przygnębiony. Niewiele rzeczy do tego stopnia potrafiło wyprowadzić go z równowagi co nieuzasadniony fanatyzm. A zdawał sobie sprawę, że podobne nastroje bardzo się ostatnio nasiliły wśród wiernych we Wszystkich Światach. Dochodziły go różne niepokojące sygnały z bliższych i dalszych kolonii. Ktoś miał ponoć jakieś widzenie, inny zdefraudował publiczne mienie, żeby dokonać zakupu w imię Agona, co gorsza zaś, grupa pielgrzymów obita dotkliwie turystę będącego wyznawcą kultu Reganzy Szczodrej, gdy ten próbował obejrzeć sanktuarium Błogosławionego Wyboru. Niewątpliwie przyczyniła się do tego idiotyczna śmierć tego nieszczęsnego durnia Augustusa. Pomyśleć, że niemal wszyscy oczekują, iż go kanonizuje. Nonsens! Najchętniej ostro by potępił podobnie szkodliwe dla zdrowia i rozumu praktyki, jednak w ten sposób zaszkodziłby sam sobie, narażając się na gwałtowne ataki wrogów. Augustus miał bowiem liczne grono zwolenników, tak wśród prostych wiernych, jak i w samym ścisłym otoczeniu Głównego Hierarchy. Nawet jego osobisty sekretarz uległ tej szkodliwej fascynacji. Herminius na swój sposób lubił Silwanusa, chociaż nigdy nie przyznałby się, że jest to sympatia zbliżona do uczucia, jakie mógłby żywić do wiernego, ale głupiego psa. Pomyślał ze smutkiem, że być może będzie zmuszony pozbyć się chłopca i zastąpić go kimś innym, niewykluczone, że bardziej inteligentnym, lecz bez wątpienia mniej pewnym. Silwanus bowiem był wierny i całkowicie mu oddany. Herminius nie miał co do tego żadnych wątpiwości. Zawsze odznaczał się przenikliwością i umiejętnością oceny ludzkich intencji. Te dwie cechy plus wrodzona bystrość i nabyta wiedza pozwoliły mu osiągnąć najwyższe stanowisko w hierarchii Wspólnoty Agona Dawcy Łask i zajmować je nieprzerwanie od czternastu lat.

Podszedł do zastępującego całą ścianę okna i spojrział na dziedziniec, po którym spacerowało sporo pielgrzymów, mimo że Święto Wielkich Dni miało się odbyć dopiero w następnym tygodniu.

Plac był ogromny. Z prawej strony zamykał go potężny masyw Głównej Świątyni Targowej, największego z budynków sakralnych, jakie kiedykolwiek powstały we Wszystkich Światach. Jej wyniosłe, krusze kopuły lśniły oślepiającą bielą.

Revon przymknął oczy i spróbował ogarnąć umysłem liczbę wiernych przygotowujących się właśnie do dorocznej pielgrzymki do którejś z Handlowych Świątyni w obrębie Układu Wszystkich Światów. Tylko nieliczni, istna drobina w porównaniu z całością, przybędą do Głównej Świątyni Targowej,

ale i tak w mieście powstanie nieziemski ścisk. Wyznawcy będą koczować pod gołym niebem, gdyż większość miejsc noclegowych zajęto już wiele miesięcy przedtem. Zazwyczaj takie podsumowania poprawiały mu humor, jednak dzisiaj czuł tylko straszliwy ciężar odpowiedzialności za całą tę ciżbę. Oparł czoło o szybę. Chłód tafli przywołał go do rzeczywistości. Spojrzał na plac poniżej i zobaczył ubranego w charakterystyczne zielone szaty mnicha Zakonu Roznosicieli, który szybkim krokiem kierował się w stronę Głównej Świątyni. Przed sobą dźwigał z wyraźnym trudem ogromne pudło. Wydawał się jednak pogodny, a nawet szczęśliwy. Widocznie nie minął się ze swoim powołaniem. Roznosiciele wędrowali niezmordowanie po domach, oferując różne drobne towary. Byli fachowi, natarczywi, życzliwi. Osiągali całkiem niezłe obroty. W niektórych odległych koloniach stanowili jedyne źródło religijnej pociechy i informacji o świecie. Ich małe ścigacze docierały do najdalszych zakątków Układu. Hierarchowie innych wielkich zakonów nie lubili braciszków, nazywając ich pogardliwie „detalistami”, lecz wśród wiernych cieszyli się oni opinią pobożnych i skromnych. Mało kto odsyłał ich z niczym od swoich drzwi. Przez wieki Zakon Roznosicieli szczycił się tym, że po mistrzowsku szkoli swoich adeptów w oferowaniu i sprzedaży zupełnie zbędnych przedmiotów. Na obrzeżach placu ustawiono już przenośne kramy najważniejszych Zakonów i montowano cztery lśniące matową czernią ekrany, na których będą nieustannie emitowane pobożne reklamy. Herminius skrzywił się na myśl o tym, jak ogarnięty religijnym zapałem tłum podchwyci melodie i teksty, aby śpiewać i recytować do wtóru ekranom. Główny Hierarcha podziękował w duchu własnej przeczności, która kazała mu dawno temu wydać polecenie, aby starannie wytłumiono jego gabinet i prywatne apartamenty. W ten sposób, gdy skończy oficjalne ceremonie, będzie mógł zaciemnić okna i pogрузić się w lekturze, nie widząc i nie słysząc zgiełku na dziedzińcu.

Prawdę powiedziawszy, Revon nie znosił Święta Wielkich Dni, bałaganu, który mu towarzyszył, oraz niekończących się nudnych uroczystości, jakim rokrocznie musiał przewodzić. Do najgorszych obowiązków należał obchód wszystkich stoisk w Głównej Świątyni Targowej oraz rytualny zakup, którego był zobowiązany dokonać. Hałas, ścisk i ciężar paradnych szat czyniły tę konieczność prawdziwą udręką. Zazwyczaj najwięcej czasu spędzał przy gablotach z antykami, jednak czasami, doprowadzony do rozpaczy całą tą paradą, chwycił pierwszy lepszy produkt i nawet na niego nie spojrzawszy, odnosił do kasy tylko po to, aby skrócić mękę ceremonii. Z biegiem lat postępował tak coraz częściej.

Jedyną pociechę w nieszczęściu stanowiła wspaniała architektura Świątyni i niepowtarzalny klimat jej wnętrza. Poza kilkoma dniami świąt Główny Hierarcha nie miał zbyt wielu okazji odwiedzać najwspanialszego przybytku we Wszystkich Światach. Za dużą liczbą wyznawców przychodziła tutaj, aby dokonać Corocznego Zakupu Luksusowego lub Cyklicznego Kupna Sprzętu. Główna Świątynia Targowa uchodziła za miejsce błogosławione i cudowne. Wiele ubogich rodzin oszczędzało przez lata, żeby wreszcie móc wybrać się tam na zakupy, a później szczycić się tym z zupełną słusnością. Niektórzy odbywali nawet w tym celu karkołomne podróże przez cały znany kosmos. Wizytom w Świątyni najbardziej sprzyjał okres Świąt Wielkich Dni z ich rytualną pielgrzymką. Wtedy zjeżdżały tu rzesze łatwowiernych prostaczków z najodleglejszych kolonii, którzy z płaczem wzruszenia padali na kolana na sam widok wyniosłej białej budowli. W powszednim okresie w przybytku również nie brakowało klientów, gdyż prawdziwi bogacze oraz ci, którzy usilnie starali się za nich uchodzić, tradycyjnie załatwiali tutaj codzienne sprawunki. W Głównej Świątyni panował więc nieustanny ruch. Z uwagi na to głowa Wspólnoty Agona, Główny Hierarcha, pojawiał się tam jedynie, gdy wymagał tego ceremoniał. Od czasu kiedy przed czternastu laty poprzednik Revona Sulpinus Nero zginął z ręki skrytobójcy, groźba zamachu wciąż pozostawała realna. Chociaż oficjalne śledztwo wykazało, że zabójca był członkiem nieznanego dotąd, niezależnej sekty o nieprawdopodobnej i

zapomnianej już nazwie, wszyscy wiedzieli, że w morderstwie Sulpinusa maczali palce przywódcy kultu Reganzy, drugiej co do wielkości z trzech głównych religii ekonomicznych w Układzie Wszystkich Światów.

Herminius starał się co prawda utrzymywać dobre stosunki ze starszyzną oligarchicznego, ekspansywnego, opartego na ścisłym systemie kastowym kultu Reganzy Szczodrej oraz mędrkami z politeistycznego produktywnego, w którym pomniejsi bogowie byli jednak tylko emanacjami Jedynego Enteya, lecz mimo to nie mógł być pewny swojej głowy nawet na własnym terenie. Kult Agona Dawcy Łask rozwijał się ostatnio znakomicie, wręcz zbyt dobrze, gdyż wszelkie naruszenie równowagi między trzema religijnymi mocarstwami mogło doprowadzić do niebezpiecznych konsekwencji. Polityczne zjednoczenie dwóch pozostałych kultów przeciw Wspólnocie Agona skończyłoby się dla niej niechybną katastrofą. Herminius rósł w siłę i znajdował się teraz na najsilniejszej pozycji, ale, o ironio, w tym właśnie kryło się prawdziwe zagrożenie. Głupiec lub pyszałek piastujący stanowisko Głównego Hierarchy mógłby go nie dostrzegać, ale Revon nie był ani jednym, ani drugim. Wiedział doskonale, że kult wyznawców Agona jest wciąż jeszcze za słaby, żeby stłamsić pozostałe religie i zapanować nad Wszystkimi Światami. Herminius starał się więc usilnie lawirować tak, aby nie tracąc żadnych pozycji, sprawiać wrażenie, że faktycznie je oddaje. Mimo to mógł żywić uzasadnioną obawę, że gdy będzie prowadził procesję wokół stoisk w Głównej Świątyni Targowej, jego głowa rozpęknie się nagle i otworzy jak dorodny tulipan, a on sam przeniesie się do wieczności. Choćby tylko z tego powodu Herminius miał prawo nie lubić Święta Wielkich Dni.

Samo Święto było starsze niż Wszystkie Światy. Ustanowiono je tysiące lat temu ku czci świętego Megastora. O jego patronie właściwie niewiele wiadomo. Pochodził z nieprawdopodobnie odległej przeszłości. Według legendy był założycielem pierwszej świątyni handlowej. Prawdę mówiąc, Herminius wątpił w istnienie Megastora i jakiś czas temu zastanawiał się nawet, czy nie skreślić go z rejestru świętych, lecz ogromna popularność jego kultu i corocznych Wielkich Dni z nim związanych powstrzymała go przed tym krokiem. Tak zdecydowana degradacja Megastora, a co za tym idzie likwidacja świąt lub zastąpienie ich patrona innym, byłoby nierozważne, a nawet ryzykowne. Mogłoby doprowadzić do niepotrzebnych rozruchów, podejrzeń i oskarżeń albo, co gorsza, do powstania herezji.

Na wąskich wargach Herminiusa pojawił się dziwny uśmiech. Zastukał palcem w szybę i zmrużył oczy. Herezja, pomyślał. To słowo wydaje się warczeć jak wściekły pies. Ciekawe, czy Główny Hierarcha z urzędu, posiadający dostęp do jedynie słusznej prawdy, może także okazać się heretykiem? Krzywy uśmieszek nie zniknął z twarzy stojącego przy oknie mężczyzny. Miał on bowiem mroczną, starannie skrywaną tajemnicę, której ujawnienie oznaczałoby nie tylko wyrok śmierci dla niego, lecz również zachwiałoby podstawami całej Wspólnoty. Otóż Główny Hierarcha, Jego Jasność Herminius Revon, nie wierzył ani w Agona Dawcę Łask, ani w cały system religijny, którego był głową. Mimo to niewątpliwie wierzył w jakiegoś Boga, potężną, szlachetną i wszechdobrą istotę nadprzyrodzoną, w imię której od czternastu lat starał się utrzymać ład we Wszystkich Światach. Miał nadzieję, że ten Bóg zrozumie i wybaczy mu wszystkie te czyny, których on sam wybaczyć sobie nie potrafił i z powodu których budził się czasami z krzykiem w środku nocy. Pomyślał z goryczą, czy to nie śmieszne, że poplamił ręce krwią tylko po to, żeby nie dopuścić do jej rozlewu na wielką skalę. Westchnął, powiódł wzrokiem po kramach na placu, a potem jeszcze dalej - po misternych kopułach Świątyni.

- Cóż, mój bezimienny Boże - powiedział cicho. - Policz mi na plus, że zawsze tak bardzo się starałem.

Z wysokości okna w swoim gabinecie Herminius Revon musiał być dla ludzi na dziedzińcu tylko

małą figurką. Główny Hierarcha spoglądał w dół, rozmyślając o swojej dojmującej samotności. Nie był pewien, czy ktokolwiek z podwładnych rozumie jego wysiłki. Miał nadzieję, że chociaż jeden z nich, Dowódca Straży Przybocznej i Tajnego Wywiadu, Hugo de Bellis, w którego oczach dostrzegał czasami przebłyski wiary w tego samego bezimiennego Boga, któremu służył. Oczywiście nigdy, nawet poddany najstraszliwszym torturom, nie wyparłby się głośno Agona, więc do głowy mu nie przyszło zwierzać się komukolwiek ze swojej niewiary. Hugo, mimo iż był jedynym człowiekiem, jakiego Revon naprawdę ufał i jakiego nie zawahałby się nazwać przyjacielem, nigdy nie dowiędzie się, w co wierzy i czego pragnie Główny Hierarcha. Na niektórych szczeblach władzy nie może być mowy o zażyłości innej niż ograniczona. Jednak w Hugonie znajdował coś, co sprawiało, że nie czuł się tak rozpaczliwie niezrozumiany. Słowa i postępowanie Dowódcy Straży zawsze cechowała szczerłość i sympatia względem Głównego Hierarchy. Hugo, pomyślał Revon, powinien przejąć po mnie pałeczkę. Nikogo odpowiedniejszego nie widzę. Zamyślił się, a potem uśmiechnął nie bez smutku. Lubię go i ufam mu, ponieważ tak bardzo przypomina mnie samego sprzed kilkunastu lat. A więc jednak prześladowuje mnie piętno samotności.

\*\*\*

Hugo de Bellis, wysoki, smukły, z ostrzyżonymi krótko jasnymi włosami, stał właśnie przed pobladyłym z lęku Silwanusem, żądając natychmiastowego widzenia z Jego Jasnością.

- Ależ, błogosławiony Dowódczo Straży - wydukał nerwowo sekretarz - przybyłeś w porze popołudniowych reklam. Jego Jasność ogląda w skupieniu i eee... hmmm, medytuje...

- Muszę się z nim natychmiast zobaczyć! - de Bellis twardo obstawał przy swoim. - To pilne! Odpowiedzialność za zwłokę spadnie na ciebie, sekretarzu.

Twarz Silwanusa poszarzała. Zrobiło mu się słabo. Pomyślał gorzko, że tkwi między młotem i kowadłem. Nie miał śmiałości przeszkadzać Głównemu Hierarsze, a jednocześnie bał się jak ognia stanowczego, zimnego, niebezpiecznego Hugona. Hugo de Bellis liczył lat dwadzieścia osiem, czyli był tylko o siedem starszy niż Silwanus, ale sekretarz Jego Jasności wyglądał przy nim jak wystraszony, mało inteligentny dzieciak, którym w istocie był.

- Wpuść mnie - powiedział Hugo - albo sam wejdę.

Przed tą groźbą sekretarz Jego Jasności musiał się ugiąć. Wiedział, że w przeciwnym wypadku de Bellis zrobi dokładnie to, co zapowiedział. Z duszą na ramieniu zaanonsował Dowódcę Straży i usłyszał w odpowiedzi niecierpliwy głos nakazujący natychmiast go wprowadzić. Hugo zniknął w drzwiach gabinetu Revona. Silwanus otarł pot z czoła. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Jego Jasność toleruje, a nawet hołubi tego strasznego człowieka. Co więcej, słyhać plotki, że mimo iż wcale nie jest stary, wyznaczył już Hugona na swojego następcę. To wydawało się Silwanusowi wręcz niepojęte.

Jego Jasność musiał upaść na głowę albo de Bellis ma na niego porządnego haka, pomyślał. To była już druga w tym dniu brzydka myśl dotycząca Głównego Hierarchy, więc Silwanus bardzo się zawstydził i postanowił zjeść za karę podwójną kolację.

\*\*\*

- Hugo! - zawołał Herminius ze zdziwieniem. - Co cię do mnie sprowadza? Czy coś się stało?

- Śmiem twierdzić, że tak, Wasza Jasność - rzekł spokojnie zapytany. - Wydaje się, że odkryliśmy zaczątki... schizmy.

Przy ostatnim słowie głos Hugona jakby odrobinę stracił na pewności.

- Schizmy? - powtórzył Revon. - Jakiego rodzaju?

- Nie wiem - odrzekł Dowódca Straży szczerze. - Dotarli do mnie tylko pogłoski.

Herminius spojrzał na niego ze zdumieniem. Po raz pierwszy, odkąd przyjął go do służby, de Bellis nie potrafił odpowiedzieć na proste pytanie. Czy to możliwe, że przyszedł nieproszony do jego gabinetu, przynosząc jedynie pogłoski?

- Dlaczego sądzisz, że sprawa jest niepokojąca?

Na nieprzeniknionej dotąd twarzy Szefa Wywiadu pojawił się cień wahania.

To nieprawdopodobne, że Hugo zdradza swoim zachowaniem tyle emocji! - pomyślał zaskoczony Revon.

- To głównie kwestia intuicji. Boję się, że zaniedbany drobiazg może przerodzić się w coś poważnego.

- Jakie zatem są fakty?

- Nie znam faktów. Ale wkrótce poznam, Wasza Jasność.

Hugo rzucił Głównemu Hierarsze twarde, zdecydowane spojrzenie.

- Nie wątpię - uśmiechnął się Revon. - Schizma, powiadasz? - dodał.

Odwrócił się plecami do Hugona, spoglądając w okno. W pokoju panowała cisza. Herminius, rzecz jasna, nie oglądał reklam w czasie rozmowy Dowódcy Straży z Silwanusem. Nigdy tego nie robił, jeśli nie musiał. Zastanawiał się i martwił dobrą i złą jednocześnie sytuacją swojej Wspólnoty.

Wiadomość przyniesiona przez Hugona podsunęła mu pewien pomysł.

De Bellis przyglądał się swemu przełożonemu, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Herminius Revon był szczupłym, surowym mężczyzną po czterdziestce. Nie odznaczał się wysokim wzrostem, lecz mimo to zawsze zdawał się górować nad tłumem. Biła od niego siła i naturalna umiejętność przewodzenia. Twarz miał wąską jak klinga, zazwyczaj nieprzeniknioną, choć czasem w oczach zapalały mu się iskry iście piekielnej inteligencji. Nosił proste, ciemne stroje, na pozór bardzo skromne, lecz zawsze doskonałego gatunku i kroju. Słynął jako miłośnik i koneser sztuki, jego gabinet i apartamenty, mimo iż wydawały się surowe, wypełnione były najkosztowniejszymi, najrzadszymi antykami. Dostarczał ich od lat specjalizujący się w starożytnościach żeński zakon Desytek. Herminius wybierał tylko te przedmioty, na których poznałby się jedynie prawdziwy znawca, gdyż nie lubił robienia czegokolwiek na pokaz.

Hugo zdawał sobie sprawę, jak groźnym byłby wrogiem, i cieszył się, że ma prawo uważać się za jego przyjaciela.

Herminius obrócił się ku niemu. Pionowa zmarszczka, znamionująca zamyślenie, znikła z jego czoła.

- Przyniosłeś mi naprawdę wspaniałą wiadomość, Hugonie - powiedział. - Powiniennem być pomyśleć o tym wcześniej.

- Ależ to prawda! Jestem pewien, że pogłoski te się potwierdzą! - wykrzyknął de Bellis. - Nie należy ich lekceważyć!

- Wiem. - Revon uśmiechnął się i przyjaznym gestem klepnął go po plecach. - Ale mimo to powiniennem być sam na to wpaść.

- Nie rozumiem - wymamrotał Hugo. Nie mógł dociec, co tak ucieszyło Herminiusa. Według niego były raczej pewne powody do niepokoju.

- Oczywiście, że rozumiesz! Pomyśl chwilę.

Oczy Hugona rozszerzyły się z niedowierzania, gdy pojął, o co chodzi, ale twarz mu się rozjaśniła.

- Schizma - powiedział. - Malutka i bardzo słaba, pod ścisłą kontrolą. Lecz plotki o niej rozejdą się szybko. W ten sposób obie pozostałe religie ekonomiczne przestaną czuć się zagrożone przez potęgę



Agona. Uznają, że mamy poważne kłopoty. A tymczasem... to blef!

- Otóż to - roześmiał się Herminius. - Wspaniale, Hugonie! Za to cię lubię!

Spoważniał i spoglądając bacznie w twarz Szefa Wywiadu, dodał:

- Tym niemniej będziesz musiał dogłębnie zająć się tą sprawą. Sytuacja w żadnym wypadku nie może wymknąć nam się spod kontroli! Musisz panować nad wszystkim, Hugonie.

De Bellis pokazał w uśmiechu równe, drapieżne zęby.

- Po to tu jestem - powiedział.

Herminius poczuł przyływ sympatii i wspólnoty z bystrym i nieustraszonym podwładnym. Chciałbym, żebyś był moim synem, Hugonie, pomyślał nagle, a myśl ta nie zdziwiła go wcale tak bardzo, jak powinna.

Włączył monitor i natychmiast pojawiła się na nim wystraszona tłusta twarz Silwanusa.

- Przywołaj mi natychmiast kwatermistrza Corneliusa Vogo - rozkazał Revon.

- Wasza Jasność - szepnął Silwanus - nie ma go!

- Jak to nie ma? - Herminius niemal osłupiał.

- Odprawia właśnie uroczystości pogrzebowe wielbnej Eudoksji Cys - odpowiedział sekretarz całkiem gładko. - Zmarła kilka dni temu.

Revon jak przez mgłę przypomniał sobie tę wścibską, zrzędliwą, obrzydliwie bogatą staruchę.

- Wielbna Eudoksja zapisała cały swój majątek na rzecz fundacji udzielającej najbiedniejszym zapomóg w celu dokonania corocznych rytualnych zakupów - obwieścił Silwanus takim tonem, jakby osobiście skłonił ją do tego świątobliwego czynu. - Cóż za pobożny uczynek! To budujące, prawda?

Herminius zastanowił się złośliwie, czy najbliżsi krewni Eudoksji także podzielają ten pogląd.

- Cornelius celebrytuje pogrzeb osobiście? - zapytał z dezaprobatą. Wolałby, żeby jego kwatermistrz siedział na miejscu i czekał, na wypadek gdyby okazał się potrzebny. Fakt, że nie uzyskał zgody Głównego Hierarchy, zakrawał na uchybienie. Herminius postanowił rozliczyć się należycie z Corneliusiem. Nie lubił go, a poza tym nie pozwalał nigdy na najmniejsze nieposłuszeństwo względem własnych rozporządzeń.

- Osobiście, Wasza Jasność - potwierdził Silwanus. - Był jej... hmm, wiernym przyjacielem. To właśnie on skierował ją na drogę cnoty. Dzięki naukom Świątobliwego Corneliusa wielbna Eudoksja dokonała tego chwalebego zapisu...

- Nie wątpię - mruknął Revon. Dostrzegł, że Hugo z trudem powstrzymuje uśmiech.

Wyjątkowe skąpstwo i talent do wydawania cudzych pieniędzy stanowiły jedyne zalety Corneliusa Vogo, o których było Herminiusowi wiadomo.

- Gdy wróci, przekaż mu, że ma udzielić Hugonowi de Bellisowi wszelkiej pomocy i wszystkich środków, jakich zażąda. Wszystkich, rozumiesz? To mój osobisty rozkaz. Aha, i przypomnij mu jeszcze, że Agon gardzi skąpcami.

Wyłączył monitor.

- W drogę, mój chłopcze! - zwrócił się do Hugona. - I pamiętaj! Wszystko pod ścisłą kontrolą.

- Niech Agon rozświetla twoje ścieżki, Wasza Jasność - Hugo wypowiedział oficjalne pożegnanie, zgiął się w ukłonie i wyszedł.

- Ruszaj do boju, sokole - mruknął za odchodzącym Herminius. - Udanych łowów!

\*\*\*

W przeddzień Święta Wielkich Dni w gabinecie Głównego Hierarchy zabłysnął monitor specjalnej linii. Pojawiła się na nim zniekształcona przez zakłócenia twarz Hugona de Bellisa.

- Schwytaliśmy heretyka, Wasza Jasność - powiedział sucho.

- Przywieźcie go do mnie! Natychmiast! - rozkazał Herminius Revon.

Chłopak był młody. Bardzo młody. Całą twarz, brzydką i jakby nieukształtowaną, pokrywała równa warstwa pryszczy.

- Czy stawiał opór? - spytał Główny Hierarcha, spoglądając na suchy strup w kącie ust i zasiniące oko.

- Tak - odrzekł Hugo de Bellis - ale bardzo krótko. W gabinecie zostało ich tylko trzech, po tym jak Herminius odprawił strażników.

- Jak masz na imię, chłopcze?

Dzieciak milczał ponuro.

- Pytałem, jak ci na imię? - powtórzył cierpliwie Revon.

Chłopak skoczył ku niemu, próbując pluć mu z pogardą w twarz, ale de Bellis był szybszy. Heretyk wydał stłumiony okrzyk i ukląkł na podłodze z nienaturalnie wykręconą ręką, unieruchomioną w żelaznym uścisku Szefa Wywiadu.

- Puść go, Hugo - cichym głosem nakazał Hierarcha.

De Bellis odstąpił krok do tyłu, a chłopak, krzywiąc się z bólu i wściekłości, zaczął obmacywać ramię.

- Nic nie ryzykujesz, podając mi imię - rzekł Revon. - Nie jestem magiem, więc nie wykorzystam go do objęcia nad tobą władzy. I tak ją zresztą mam, sam rozumiesz. Nie musisz się bać, chłopcze.

- Nie boję się! - warknął. - Nazywam się Lutus, a ty nie masz nade mną żadnej władzy!

- Nie byłbym taki pewien - mruknął Hugo. Stał z boku i patrzył.

- Podłe psy! - wrzasnął chłopak. - Zniewalacie nas, uczciwych obywateli! Odbieracie nam wolność! Każecie nam harować i kupować, kupować i zużywać wiecznie nowe i nowe rzeczy! Jesteście brudni! Myślicie tylko o towarach, pieniądzach i dobrach materialnych! Zniewalacie nas! Religia nie może mieć nic wspólnego z handlem! Zmuszacie ludzi, żeby wierzyli w te bzdury!

Lutus niemal płakał, ale były to łzy wściekłości i nienawiści.

- Mylisz się - powiedział Herminius. - Religia jest kwestią wyboru. Oni wierzą w Agona Dawcę Łask i sami do nas przychodzą.

- Mamicie ich! Oszukujecie! Jesteście podli!

Hugo spojrział na Hierarchę.

- Miał to przy sobie - rzekł i wysypał na stół zawartość małej sakiewki.

Były to drobne, niechlujnie wykonane przedmioty codziennego użytku, wyraźnie zrobione przez samego winowajcę. Revon brał w ręce i oglądał nieporadne drewniane łyżki, bezkształtne popielniczki i kubki z gliny. Brzydkie. Krzywe. Toporne.

- Było ich kilku - beznamiętnym tonem relacjonował de Bellis. - Tego złapaliśmy. Pozostali też nie uciekną. Wczesnym rankiem, w porze bardzo małego ruchu, próbowali pokątnie sprzedawać te rzeczy w Małej Świątyni Targowej. Wierni sądzili, że to jakiś zabawny rodzaj promocji. Na nasz widok heretycy rozprysnęli się po sali. Ten chłopak chował dowody zbrodni pod tuniką.

Herminius przyjrzał się zgrzebnej brązowej szacie chłopca. Ktoś to utkał ręcznie, pomyślał i poczuł lekki niepokój. Afera przybierała nieco poważniejszą formę niż zwykły szczeniacki bunt.

- Synu, czy wiesz, że sporządzanie przedmiotów na własny użytek oraz próby sprzedaży takich przedmiotów są karalne?

Lutus patrzył na niego spode łba.

- Wiem - wybuchnął. - Ale dla mnie każde ograniczenie wolnej woli to znacznie większa zbrodnia!

Herminius przybrał zdziwioną minę.

- Uważasz, że wolna wola może przekraczać granice prawa?

- Nie obchodzą nas wasze prawa! - wykrzyknął Lutus z pasją. - Zbliża się dzień, gdy zniszczymy je wszystkie! Nie będziecie już stanowić praw!

Oczy Herminiusa zwięzły się lekko.

- Błóżniesz, Lutusie. Wiesz przecież, że nie my je ustanowiliśmy, tylko Agon Dawca Łask.

- Powiedz raczej: Agon Sprzedawca Tandety! - Twarz chłopaka zrobiła się biała jak papier. Upstrzona cętkami krost nadawała mu wygląd upiorny i groteskowy zarazem.

Hugo de Bellis potarł palcem dolną wargę. Jego wzrok, skierowany na Głównego Hierarchę, był bardzo poważny.

Masz rację, Hugonie. Twoje podejrzania się sprawdzają, pomyślał Revon. Problem może okazać się bardziej kłopotliwy, niż sądziłem. Chłopak sam tego nie wymyślił. To zbyt śmiało i zbyt... trafne.

Lutus stał przed nim z wyzywającym wyrazem twarzy. W całej jego postaci widać było ogromne napięcie. Oddychał szybko, a Herminius niemal słyszał gwałtowne bicie jego serca. Zauważył, jak bardzo dumny z siebie i jak przerażony jest chłopak. Zapewne spodziewał się gwałtownej reakcji na swoje słowa - krzyków, obelg, uderzeń, a może nawet śmierci, lecz nic podobnego nie nastąpiło.

Obaj starsi mężczyźni nie poruszyli się. Hugo de Bellis patrzył w okno. Jego niewidzące spojrzenie prześlizgiwało się po szczytach wież Głównej Świątyni Targowej. Twarz mu się ściągnęła, lekko przymknął powieki.

Heretyk, całą siłą woli starając się dobrze odegrać rolę bohaterskiego obrońcy wolności, z każdą upływającą chwilą zmieniał się w wytrąconego z równowagi, rozdygotanego nastolatka. Przypominał teraz Herminiusowi Silwanusa z jego fanatyczną, niemądrą żarliwością i kompletnym brakiem zrozumienia dla wydarzeń, w których przyszło mu uczestniczyć.

A jednak umrzesz, Lutusie, pomyślał z nagłą goryczą. My obaj, Hugo i ja, nie damy ci przeżyć. Ciekaw jestem, kto cię wysłał do Świątyni Targowej, twojego symbolicznego grobowca. On o wiele bardziej zasługuje na miano twego kata, bo nas się boisz i nienawidzisz, a jego musisz prawdopodobnie kochać.

Przyszło mu do głowy, że on sam, gdyby został zmuszony, posłałby na śmierć dziesiątki tysięcy podobnych do Lutusa chłopców, którzy usłuchaliby go bez wahania. Nie była to przyjemna myśl.

Wzrok Głównego Hierarchy spoczął na dowodach zbrodni, drobnych przedmiotach wysypanych z sakiewki Lutusa.

Herminius poczuł nagle straszliwe znużenie. Czy warto umierać dla kilku krzywych łyżek i glinianych kubków?

Zapragnął wytłumaczyć temu zaślepienemu chłopcu, czym naprawdę jest Wspólnota Agona, sprawić, aby zrozumiał, w jakim celu walczy o jej przetrwanie i niepodważalną potęgę od długich czternastu lat. Wspólnota Agona nie rządzi wszechświatem, lecz opiera swoje istnienie na niezakłóconym funkcjonowaniu tegoż wszechświata. W pewnym sensie stała się gwarantem ładu. Póki istnieje, poty utrzymuje porządek i równowagę.

Zaczął mówić, trochę do chłopca, trochę do Hugona, ale najbardziej do siebie.

- Lutusie, twoje błóżnierstwa nie mogą nas przestraszyć, ani nawet zszokować. Groźby i obelgi nie są w stanie umniejszyć majestatu Agona. Przed tysiącami lat zaprowadził on ład na świecie i stworzył podstawy do wszelkich działań, jakie pozwalają żyć i rozwijać się istotom rozumnym. Zapewnił nam nie tylko warunki do egzystencji, ale także - z własnej woli i szczodroblewości - dobrobyt. Nazwałś go sprzedawcą, a on przecież niczego nie sprzedaje, bo czym mielibyśmy mu płacić? Tym, czym sam nas łaskawie obdarował? My sprzedajemy wytwory naszej pracy, albowiem Agon obdarzył nas umiejętnością wytwarzania. Podzielił się w ten sposób z nami darem kreacji. Wykonywanie

przedmiotów stało się aktem twórczym, odbiciem potęgi Agona Budowniczego. Czy wiesz, co to jest wojna, synu? Zdaję sobie sprawę, że znasz to pojęcie, ale nie możesz sobie nawet wyobrazić, co ono naprawdę oznacza, gdyż w Układzie Wszystkich Światów od lat nie prowadzi się wojen. A ty i tobie podobni, krzycząc o wolności, dążycie do śmierci i destrukcji. Zanim zaczniesz nawoływać do przemocy, Lutusie, zastanów się, jakie będzie z sobą niosła skutki. Zawsze i w każdej sytuacji, synu.

- Wyzwolenie od waszej tyranii! Swoboda i możliwość stanowienia o sobie. To jest warte każdej ofiary. Precz z hierarchiami, precz z Zakonami Handlowymi, precz ze Wspólnotą Agona! Nie będziecie już nigdy więcej wykorzystywać nas jak roboczych zwierząt! Są tacy, którzy na to nie pozwolą!

To beznadziejne, pomyślał Herminius z niechęcią. Cokolwiek powiem, będzie dla niego oszustwem i kłamstwem. Jego zaślepienie nie zna granic. Poczul rosnący gniew. Ten głupi, ograniczony chłopak nie jest w stanie pojąć najprostszyc rzeczy! Jaśniej już nie można tego tłumaczyć. Nie chce chyba, żeby on, Główny Hierarcha, przyznał wprost, że dzięki powstaniu religii ekonomicznych zostały zapewnione zarówno rynki pracy, jak i rynki zbytu? Że konieczność rytualnych zakupów i coroczne pielgrzymki do świątyn handlowych mają na celu zagwarantowanie obrotu towarowego, a co za tym idzie - stworzenie miejsc pracy tysiącom istot. Że hierarchowie Zakonów Handlowych dbają o równowagę rynku i kontrolują przepływ towarów. Że przywódcy trzech głównych kultów muszą wszelkimi dostępnymi środkami doprowadzić do utrzymania sytuacji, w której każda z liczących się w Układzie Wszystkich Światów sił traci, a nie zyskuje w chwili wybuchu zbrojnego konfliktu. I że utrzymanie względnie równego, przyzwoitego standardu życia wszystkich obywateli staje się gwarantem pokoju. Wiadomo, że powszechny dobrobyt nie skłania do rewolucji. Wolność! Co mu ten butny dzieciak opowiada o wolności! Co może wiedzieć o tym, jak bardzo on sam, Herminius Revon, jest niewolnikiem swego stanowiska. Ile wysiłku wkładał przez lata w utrzymanie równowagi, która z każdym dniem staje się coraz bardziej słaba i krucha! Hierarchowie Zakonów żrą się między sobą jak wściekłe psy. Świeccy przywódcy myślą tylko o rozszerzeniu własnych wpływów i zdobyciu dominacji nad innymi. Mędracy Enteya gardzą każdym, kto nie uznaje ich zwierzchności, a synowie Reganzy Szczodrej dążą do zagarnięcia i zniszczenia wszystkich pozostałych wyznań. Głowa Wspólnoty Agona nie może nawet bezpiecznie wejść do Głównej Świątyni Targowej, najświętszego przybytku swego boga, bez lęku o własne życie.

Herminius zdał sobie sprawę z rozpaczliwą pewnością, że walka o odwołanie nieuchronnego końca świata, w którą jest zaangażowany od chwili osiągnięcia dorosłości, może zakończyć się klęską jeszcze za czasów jego urzędowania. Dla Herminiusa zniszczenie Wspólnoty Agona i ładu społecznego, jaki opierał się na istnieniu religii ekonomicznych, równało się bowiem końcowi świata, przynajmniej takiego, który znał. Osobiście wolałby nie żyć wystarczająco długo, żeby przekonać się, jak będzie wyglądać ewentualny następny.

Spojrzał na stojącego bez ruchu Lutusa i powiedział:

- Agon uczy nas szacunku dla pracy rąk i prawa każdej istoty do życia na godziwym poziomie. Gdy twoi przywódcy przypomną sobie stare hasło: „Lepiej być, niż mieć”, bądź łaskaw zwrócić uwagę, że aby kimkolwiek być, trzeba posiadać minimum dóbr, które pozwolą zachować godność i tak przez ciebie wychwalaną swobodę. Odpowiedź na pytanie: „Być czy mieć?” powinna brzmieć: „Jedno i drugie”.

- Zdecydowanie lepiej być bogatym i zdrowym niż biednym i chorym - odezwał się de Bellis sucho, lecz bez śladu szyderstwa.

- Zakony Handlowe monopolizują rynki! - krzyknął heretyk desperacko, ale jakby z cieniem wahania w głosie.

- Tak - rzekł Hugo. - I chwala im za to. Na tym polega ich zadanie. Kontrola produkcji i przepływu towarów danej grupy i rodzaju. W ten sposób ustalają optymalne ceny, które satysfakcjonują wytwórców i kupujących. Ceny relatywne do nakładów sił i środków potrzebnych do ich wyprodukowania.

- Ale tak się nie dzieje! Zakony Handlowe są siedliskiem korupcji i aparatem ucisku! Herminius przygryzł wargę. Oczywiście, że są, przyznał w duchu. Ale wolę nie myśleć, do czego doprowadziłby ich upadek.

- Oszukują nas, a wy na to pozwalacie! - Heretyk oskarżycielskim gestem skierował palec w jego stronę. - Czerpicie z tego zyski, tak samo jak oni! Władza przewróciła wam w głowach. Oślepliście z jej powodu. Wszyscy przywódcy są fałszywi! Oszukują, kradną, niszczą i gnębią!

- Powiedz mi - wtrącił Herminius - skoro wszelka władza jest złem, dlaczego uważasz, że kiedy członkowie twojej sekty dostaną ją w swoje ręce, będą postępować uczciwie?

Lutus zmieszał się.

- Bo my... jesteśmy inni - wybąkał.

W pokoju rozległ się ostry, niewesoły śmiech Hugona de Bellisa.

Jego szare oczy załśniły.

- A my przypominamy stado wilków, czy tak? - syknął gniewnie. - Biedne, małe owieczki, obawiam się, że zostaniecie pożarci.

Herminius Revon zdziwiony odwrócił głowę ku szefowi swego wywiadu. Podobny wybuch zupełnie do niego nie pasował. Herminius nie był pewien, co o tym myśleć. Wydawało mu się, że na twarzy Hugona pojawił się na sekundę wyraz goryczy i bólu. Może on też przeczuwa początek końca? - zastanowił się Główny Hierarcha. A może nie jest w stanie znieść ciężaru nienawiści, która go powszechnie otacza?

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że jego najbliższy współpracownik jest przedmiotem nieustannej agresji, zawiści i lęku, z racji swojej funkcji i swojego sposobu bycia. Herminius był zawsze owacyjnie witany przez wiernych, uniżenie przez podwładnych i uprzejmie traktowany w kręgach dyplomatycznych, lecz w towarzystwie Hugona ludzie milkli bądź zaczynali przesadnie uważać na słowa.

To musi być dla niego niezmiernie trudne. Powinienem wymyślić coś, co przysporzyłoby mu nieco popularności. Jeśli kiedykolwiek zajmie moje miejsce, będzie mu potrzebna.

Revon spojrzał na plac przed świątynią, wypełniony kolorowym tłumem. Pozostaje jeszcze tylko jedna rzecz, której musi się dowiedzieć.

- Chcesz go przesłuchać, Hugonie? - spytał, ignorując całkowicie obecność Lutusa.

- Tak. Niewątpliwie tak.

- Nie boję się was! - krzyknął niespodziewanie chłopak, prawie bez drżenia w głosie. - Możecie mnie zabić, ale nie zmusicie mnie do współpracy!

- Z tego, co powiedziałaś, synu - odezwał się de Bellis - tylko połowa jest prawdą. Możemy cię zabić.

Herminius Revon przyglądał się uważnie Szefowi Wywiadu.

- Wypuść go - rozkazał.

Hugo uniósł głowę, nie odezwał się jednak.

- Uwolnij go. Chcę, żebyś pozwolił mu odejść.

Kątem oka zauważył, jak Lutus rozdziawia usta ze zdumienia, ale jego uwaga koncentrowała się na dowódcy straży.

Z szarych oczu Hugona nie dawało się wyczytać ani dezaprobaty, ani przyzwolenia. Jego twarz

znowu przestała zdradzać uczucia. Herminius wpatrywał się w nią z napięciem. Pragnął, żeby de Bellis zrozumiał motyw tej decyzji. Nie chciał okazywać mu braku zaufania ani lekceważyć wysiłków, ale chciał poznać reakcję wiernych, zbadać ich podatność na herezję. Od tego zależało, czy w ogóle wolno mu podjąć ryzyko utrzymywania kontrolowanej sekty schizmatyków. Od tego zależało również dużo więcej. Jutro odbędzie się Święto Wielkich Dni. Jeżeli uwolni Lutusa, ten na pewno skorzysta z okazji i ruszy w tłum pielgrzymów, próbując sprzedawać swoje żalotne drewniane łyżki. A wtedy... No właśnie. Herminius nie miał pewności, całkowitej pewności, co się wtedy stanie. I musiał to sprawdzić.

Hugonie, zrozum, pomyślał. Ja muszę wiedzieć! Od tej próby zależy przyszłość Wspólnoty Agona. Jeśli podczas Święta Wielkich Dni w Głównej Świątyni Targowej heretyk zostanie przyjęty przychylnie lub tylko obojętnie - przepadliśmy!

- Zawołaj strażników, niech go wyprowadzą na dziedziniec i zostawią w spokoju - rozkazał.

- Tak, Wasza Jasność - rzekł de Bellis. Natychmiast wydał polecenie i dwóch uzbrojonych żołnierzy zabrało oszołomionego Lutusa z gabinetu Revona. Jeden z nich wcisnął chłopakowi w ręce sakiewkę wypełnioną krzywymi przedmiotami.

- Wiesz, dlaczego to zrobiłem? - spytał po chwili milczenia Główny Hierarcha.

Hugo oderwał wzrok od posadzki, ale nie spojrzał Herminiusowi w oczy.

- Postąpiłeś bardzo szlachetnie, Wasza Jasność - odrzekł.

Twarz Herminiusa wykrzywił dziwny grymas.

- W imię Agona - powiedział.

\*\*\*

To był długi, ciężki dzień. Herminius pocił się w ceremonialnych szatach. Uroczystości nigdy nie wydawały mu się nudniejsze i bardziej pompatyczne. Nie pomagała nawet szlachetna prostota Głównej Świątyni Handlowej. Wypowiadając na zakończenie ceremonialną formułę: „Nabywajcie w spokoju!”, poczuł taką ulgę, że uśmiechnął się do nieskończonego morza wiernych i dodał mniej oficjalnie, „Udanych zakupów!”, czym wywołał owację tłumy.

Późnym wieczorem, siedząc w gabinecie z zaciemnionymi oknami i wytłumionymi ścianami, kazał przywołać do siebie Hugona de Bellisa.

- Doszły mnie słuchy o rozruchach w czasie procesji - powiedział. - Czy to prawda?

- Tak, Wasza Jasność - rzekł de Bellis. - Tłum zlincolnął jakiegoś heretyka, czy może szaleńca, który bluźnił przeciw Agonowi i Wspólnocie. Wierni byli tak rozwścieczeni, że stratowali go, nim zdążyliśmy interweniować. Ciało zostało zbyt zmasakrowane, żeby nadawało się do identyfikacji. Sądzę, że to jednostkowy incydent, który więcej się nie powtórzy. Na szczęście nie zakłócił przebiegu uroczystości. Nie zanotowano innych ofiar ani rannych. Podobno jego ostatnie słowa brzmiały: „Precz z monopolem Zakonów! Niech żyje



wolna produkcja!". To niewątpliwie musiał być jakiś wariat.

Revon skinął głową.

- Dziękuję - powiedział. - Możesz odejść. To był pracowity dzień dla nas obu.

De Bellis uklonił się i wyszedł.

Herminius odłożył książkę, którą czytał, gdy przyszedł Hugo. Stracił ochotę na dalszą lekturę. Przez chwilę bawił się kryształową szklanką pełną wina z prywatnych winnic, a potem upił mały łyk. Stuknął paznokciem w krawędź. Zabrzęczała czysto.

Oczy Herminiusa powoli nabrały nieobecnego wyrazu. Zastanawiał się, czy żołnierze Hugona celowo wstrzymali się z interwencją, aż było po wszystkim, czy może wbrew jego woli przesłuchali

chłopaka, zanim oddali go na pożarcie oszalałej tłuszczy fanatyków. Westchnął. Zdawał sobie dobrze sprawę, że nigdy nie pozna prawdy, bo na pewnym szczeblu władzy wszelka zażyłość między ludźmi może mieć tylko ograniczony charakter.



*Pomysł na tę historię przyszedł mi do głowy w Berlinie. To miasto wielkich, mrocznych kamienic i monumentalnych budowli, statecznych niczym duchy Brandenburczyków, przesiąka jednak klimat twórczości niemieckich ekspresjonistów. Pamiętam zupełnie pusty kościół gdzieś obok Tacheles, do którego trafiłam późnym wieczorem, idąc za głosem organów. W nawach nie było nikogo, wysoko na chórze ktoś niewidoczny z dołu grał „Requiem”, a z sufitu spoglądało srogo olbrzymie oko opatrności.*

*Wtedy właśnie pojawił się na świecie anioł o imieniu Rój.*

*Hekatomba - ofiara ze stu zwierząt, najczęściej wołów, składana bogom.*

*»Anioł śmierci - Adriel... nie musi być duchem zła lub aniołem upadłym, zawsze natomiast jest legatem Boga i wykonawcą Jego woli«.*

*Gustaw Davidson, Słownik Aniołów*



# Hekatomba

Boże, co za piekielny dźwięk! Pełno w nim szeptów, zgrzytów, śmiechu i szlochu, chociaż nie potrafię rozróżnić żadnych słów. Wszystko to brzmi jak rój, który usiłuje uwić sobie gniazdo w mojej głowie. Wydaje mi się, że zamiast mózgu mam papierowy lampion skręcony przez osy. Wszystko jedno, czy chodzę od ściany do ściany, kilka kroków w prawo, a potem kilka w lewo, czy siedzę na podłodze pośrodku małego białego pomieszczenia - dźwięk nie cichnie nigdy. Czasami przygasa, aż staje się niemal niesłyszalny, ale towarzyszy mi zawsze. Przez zakratowany otwór w drzwiach spoglądają na mnie nieznajome twarze. Pojawiają się i znikają jak ruchome rzeźby w staroświeckim zegarze. Powinienem odczuwać na ich widok jakieś emocje, ponieważ zadecydują o moim losie. W każdym razie tak im się zdaje. Nie dbam o to. O moim losie zdecydował już ktoś inny.

\*\*\*

Nigdy nie byłem specjalnie religijny, chociaż niewątpliwie wierzę w Boga. Kiedy miałem zaledwie kilka lat, matka zaczęła prowadzić mnie do kościoła. Pamiętam półmrok i chłód bijący od kamiennych ścian, chyboczące płomyki świec i powolny rytm pieśni, który zdawał się rozpląwać w cieniu. Wypowiadane słowa miały dla mnie magiczny wydźwięk: *Gloria, Alleluja, Amen*. Przywołani tymi zaklęciami aniołowie, bestie i potrzęsający okrwawionym łbem wielorogi Baranek defilowali ponad ołtarzem, tuż nad samą głową umierającego Chrystusa, który wisiał tam niby ofiara pogańskiego rytuału.

Na przeciwległej ścianie z ust Pantokratora wydobywał się olbrzymi miecz i gałąź oliwna, a otaczający go męczennicy, wściekli i żądni zemsty, demonstrowali swoje kalectwo.

Wizyty w kościele przyprawiały mnie o dreszcz podniecenia i lęku, znacznie silniejszego niż oglądane po kryjomu horrory, gdyż w przeciwieństwie do nich ceremonia zawsze była prawdziwa. W końcu niedzielne poranki stały się dla mnie wyczekiwaną atrakcją, co moja matka błędnie przypisywała niespotykanej w tym wieku religijności. Wszystko uległo niespodziewanej zmianie za sprawą trwającego kilka tygodni remontu kościoła. Gdy po raz pierwszy wszedłem do odnowionego wnętrza, z zachwytem zabrakło mi tchu. Freski objawiły się w całej okazałości, lśniące od świeżej farby. Nigdy przedtem krew nie była tak czerwona, a ognie piekielne tak jaskrawe. Całe ściany pokrywały fascynujące, okrutne malowidła, aż po pociemniały do tej pory sufit.

Wystarczyło jedno spojrzenie w górę, żeby przyjemne podniecenie znikło. Z sufitu patrzyło na mnie olbrzymie oko, otoczone wieńcem promieni, zamknięte w wielkim, kanciastym trójkącie. Jego wpatrzona wprost we mnie źrenica wydawała się martwa, choć zarazem groźna, jakby należała do trupa, który zamierza za chwilę zerwać się z chichotem i rzucić do gardła. Przeraziłem się. Oko dostrzegło mnie i już nie wypuści. Należę do niego, jestem w jego mocy. Wszystkimi zmysłami czułem hipnotyczne działanie oka. Z rozdziawionymi ustami gapiłem się na plafon tak długo, aż matka pociągnęła mnie za rękaw.

- To Oko Opatrzności - wyjaśniła szeptem. - Patrzy przez nie Bóg i widzi w nim wszystko, co dzieje się na ziemi. Dlatego jest wszechwiedzący.

Zacząłem się trząść, a matka spytała, czy mi zimno. Nie mogłem wydobyć głosu, pokręciłem tylko głową. Wpadłem w panikę. Nie umiałem wyobrazić sobie obrzydliwszej i bardziej bezdusznej rzeczy niż to Oko. Mógłbym je jakoś zaakceptować, gdyby należało do Szatana, ale przyjąć, że ta czarna

dziura jest żrenicą Boga?

Trząsałem się przez cały czas, a po powrocie do domu okazało się, że mam gorączkę. To był początek odry. Czułem się strasznie chory i nie mogłem patrzeć na światło, co pogłębiało moje przerażenie. Widocznie Bóg, który jest światłością, przejrzał mnie na wylot, zobaczył, jaki jestem plugawy, i odrzucił od siebie jak biblijne plewy od ziarna. Tak oto doświadczyłem tego, o czym napisano w Piśmie - zostałem potępiony. Długi czas po tym, jak wyzdrowiałem, byłem przekonany, że Bóg zesłał na mnie krosty i światłowstręt jako karę za grzechy. Oko nie przestawało mnie prześladować. Nocami wisiało ponad łóżkiem w moim pokoju, śledziło mnie, gdy wychodziłem na dwór, niespodziewanie pojawiała się na niebie i zatruwało wszelką radość. Myślę, że popadłem wtedy w coś w rodzaju manii prześladowczej. W najgorszym okresie bałem się nawet wysikać, żeby czuwający nade mną Bóg nie poczuł się obrażony.

Wizyty w kościele przestały być dla mnie rozrywką. Pod świdrującym spojrzeniem Oka czułem się jak robak na haczyku. Z czasem zacząłem wykręcać się od niedzielnego obowiązku, wynajdując sobie coraz to inne wymówki, ku niejakej uldze mojej matki, która zaczęła się już obawiać, że wybiorę w przyszłości mało pociągającą karierę duchownego.

Wydaje mi się, że historia z Okiem ciągnęła się przez kilka lat. Trzy, a może cztery? Nie jestem pewien. Byłem wtedy naprawdę mały. W miarę jak dorastałem, zacząłem wstydzić się lęku przed kościelnym malowidłem, a kiedy doszedłem do wieku, w którym mogłoby mnie bawić, dawno już o nim zapomniałem. Ale Oko nie zapomniało o mnie. W każdym razie jako kilkuletni chłopiec nie rozumiałem większości nauk zawartych w Biblii z wyjątkiem jednej: doskonale wiedziałem, co to znaczy bojaźń boża.

\*\*\*

Sarapsos pojawił się bez żadnej zapowiedzi. Po prostu którejs nocy obudził mnie nagły huk w głowie, jakby tysiące ludzi krzycało, mówiło, syczało i szeptało jednocześnie we wszystkich językach. Ponad to wybijał się świszczący głos, który brzmieniem przypominał mi płomień. Kiedy mówił, zdania wyświetlały się bezpośrednio w moim umyśle, zapisane krwawymi językami ognia. To było wstrętne uczucie, które pewnie w jakiś sposób przypominało gwałt. Coś obcego wsunęło się siłą w głąb mojej osobowości i wypalało mi w mózgu słowa.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem skuloną na poręczy łóżka skrzydlatą postać. Wiedziałem, kim jest, bo na początku przedstawił się jako Sarapsos Anioł Cierpienia. Zwrócił w moją stronę obłą, owadzią głowę o beznamiętnych oczach. Wyglądał ohydnie. Przypominał monstrualnego, na wpół mechanicznego szerszenia, choć tak naprawdę nie miał w sobie nic z owada. Otulił się trzema parami przejrzystych skrzydeł. Mówił do mnie bez przerwy i wyświetlał przed moimi oczami różne obrazy. Zapadały głęboko w pamięć, mimo że ich nie rozumiałem. W każdym razie nie chwytalem ich sensu, bo docierało do mnie za wiele bodźców. Śpiewny syk Sarapsosa rozsadzał mi czaszkę. Krzycałbym ze strachu i bólu, gdyby nie zdławił moich reakcji. Mimo to kiedy wreszcie dotarło do mnie, czego chce, zacząłem krzyżeć. Miotalem się na łóżku, wydając stłumione, gardłowe okrzyki, a anioł śpiewał i wyświetlał w mojej głowie swoje przesłanie, jak przystało na dobrego posłańca. Równocześnie opowiadał o mnie. Przywoływał wszystkie uczynki, jakie kiedykolwiek popełniłem, te złe, te dobre i nijakie. Pokazywał mi ogrom wszechświata, zdradzał najważniejsze tajemnice ziemi. Objawiał naturę Boga i przekazywał wizje innych poziomów rzeczywistości. Informował mnie o szczegółach zadania. Mój mózg nasiąkał tym jak gąbka, podczas gdy ja cały czas próbowałem krzyżeć. Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, kto go przysłał. Jednak to, czego żądał ode mnie

Bóg, było straszne. Nie mogłem tego zrobić. Chyba nikt by nie mógł. Sarapsos wiedział o tym. Widziałem pochyloną nad sobą wstrętną wydłużoną głowę anioła, jego ogromne jednobarwne oczy i maleńkie usta na końcu pozbawionej podbródka twarzy, pełne ostrych jak igły zębów. Zmusił mnie, abym wstał. Miał całkowitą kontrolę nad moim ciałem. Przewracał moimi rękami sterty książek tak długo, aż znalazł stary egzemplarz Biblii. Kazał mi ją czytać. Czytałem więc, aż moje oczy, zmienione w czerwone, opuchnięte szparki, ślepy od łez, a głos przechodził w ochryply szept. Wtedy zaczynał znów wyśpiewywać i wyświetlać swoje przesłanie albo wyłączał na chwilę moją świadomość, upodabniając mnie do czuwającego telewizora. Zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości. Gdy Sarapsos wreszcie odszedł, dowiedziałem się, że minęły trzy dni. W tym czasie przeczytałem Biblię chyba kilkadziesiąt razy. Byłem tak wycieńczony, że z trudem trzymałem się na nogach. Dowlokłem się do kibla i zwymiotowałem trochę żółci. Klęczałem przed sedesem jak przed jakimś plemiennym bożkiem, trąc kułakiem obolałe oczy, ale nie udało mi się zapłakać. Byłem prawie zupełnie ślepy, a światło sprawiało mi ból, jednak starałem się nie zamykać powiek, bo po ich drugiej stronie płonęły wciąż słowa Sarapsosa. Podczas tych trzech dni udało mi się poznać prawdziwe imię anioła, mimo że próbował je przede mną ukryć. Nazywał się Rój - Anioł Przemocy.

\*\*\*

Kilka dni później, tak jak przewidział to Sarapsos, zobaczyłem pierwszą z osób naznaczonych przez Pana. Był to starszy, siwowłosy mężczyzna o drobnych, ptasich kościach rysujących się pod skórą. Jego głowę otaczała perłowa mgiełka. Kupował w kiosku gazetę. Serce zaczęło mi walić jak szalone, a w ustach poczułem smak jakby rdzy, wanilii i gorzkich migdałów przemieszanych z bardzo odległym aromatem wilgotnej, żyznej ziemi. Nie mogłem mieć żadnych wątpliwości. Ten zapach rozpoznałbym natychmiast, nawet w piekle. Towarzyszył mi nieustannie podczas trzech dni obecności Sarapsosa i stanowił jedną z głównych wskazówek w realizacji mojego zadania. Kupiłem w kiosku papierosy, chociaż ręce tak mi się trzęsły, że rozsypałem wszystkie drobne. Staruszek przez chwilę przeglądał gazetę, a następnie złożył ją, wsadził do kieszeni i przeszedł na drugą stronę ulicy. Szedłem za nim tak długo, aż zniknął w bramie kamienicy. Zawahałem się przez chwilę, ale w końcu pociągnąłem za klamkę i znalazłem się w środku. Klatka schodowa była obszerna. W górę prowadziły szerokie, wygodne schody zaopatrzone w metalową poręcz, wygiętą w fantazyjne wzory. Przez kolorowe szybki w bramie i witrażowe okno na półpiętrze wpadały plamy światła, jak kłaczki barwnej waty. Staruszek piał się po schodach, szurając nogami. Przesunąłem ręką po poręczy, a chłód metalu polizał mi palce. Ruszyłem po stopniach w górę i wyminąłem staruszka akurat w momencie, gdy zatrzymał się przed masywnymi staroświeckimi drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze. Nie zwrócił na



mnie uwagi, choć byłem pewien, że łomot w mojej klatce piersiowej wzbudzał echo w głębokiej studni schodów.

Wspiąłem się dwie kondygnacje wyżej i przystanąłem. Słyszałem pod sobą brzęczenie i chrobot kluczy, a gdy przechyliłem się nieco przez poręcz, mogłem zauważyć cień poruszającego się mężczyzny. Drzwi zaskrzypiały i trzasnęły. Przez chwilę stałem w bezruchu, z bijącym sercem i dłońmi mokrymi od potu, a potem zszedłem na półpiętro nad poziomem drzwi staruszka. Zapaliłem papierosa i wyjrzałem przez okno do zapuszczonego ogródka za domem. Światło, przecedzone przez kolorowe szybki, kładło się na mojej twarzy i ubraniu barwnymi cekinami tak, że przypominałem widmo pierrota. Rzuciłem niedopałek na posadzkę i zgmiotłem go butem. Zbiegając w dół po schodach, przysiągłem sobie nigdy nie zbliżać się do tego domu, chociaż doskonale wiedziałem, że niedługo tu wrócę.

\*\*\*

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, ledwo nacisnąłem klamkę. Nie były nawet zamknięte na klucz. Rój wytłumaczył mi, że nie napotkam innych przeszkód poza oporem własnej małoduszności. Białowłosey staruszek był w kuchni. Na mój widok upuścił torebkę z jakimiś ziołami, którą trzymał w ręce, ale nie odezwał się ani słowem. Wbiłem palce we framugę kuchennych drzwi, zastanawiając się, który z nas jest bardziej przerażony. Wiedziałem, że Rój nie pokieruje moimi rękami i wszystko będę musiał robić sam. Stary mężczyzna wykonał nagle chaotyczny gest, a ja, jakbym czekał na sygnał, skoczyłem do niego i pchnąłem go silnie na ścianę, zaciskając jednocześnie palce na jego ptasiej szyi. Szamotał się przez moment, ale zaraz przestał. Nosił grube szkła krótkowidza, za którymi jego oczy miały się teraz niczym przerażone egzotyczne ryby. W nozdrzach czułem oszałamiająco silną woń rdzy i wanilii. Perłowa aureola nad głową starca gęstniała, w miarę jak ucisk moich palców stawał się coraz silniejszy. Miałem rękawiczki, zgodnie z nakazem anioła, i może dlatego wydawało mi się, że dłonie przestały do mnie należeć. Marzyłem tylko o tym, żeby stary wreszcie przestał oddychać. Zdałem sobie sprawę, że potrząsam nim jak pies szczurem. Nagle zacharczał, drgnął i zwiotczał. Puściłem go, a on osunął się po ścianie na podłogę. Spojrzałem na swoje ręce w tych idiotycznych rękawiczkach i zrobiło mi się niedobrze. Bezbłędnie trafiłem do łazienki, gdzie rzygałem strasznie długo, obejmując rękami sedes. Starannie spuściłem wodę i opłukałem usta pod kranem. Jeszcze nie mogłem odejść, musiałem coś znaleźć. Przyjaciela. Przetrzaśnałem rzeczy starego i w szufladzie biurka natrafiłem na to, czego szukałem - duży płaski pistolet i kilka pudełek naboji. Poupychałem to wszystko po kieszeniach. Wychodząc, zerknąłem na siwowłosego mężczyznę leżącego na podłodze w kuchni. Aureola z perłowej mgły rozplynęła się, a zapach rdzy i wanilii był ledwo wyczuwalny. Akwariowe ryby za szkłem okularów pływały martwe brzuchami do góry.

\*\*\*

Następny był kloszard. Smród niemytego ciała niemal zagłuszył zapach gorzkich migdałów. Zabiłem go jego własnym nożem, który nosił przyklejony plasterkami do żylastej, brudnej łydki. Ten przynajmniej się bronił, słabo, ale zawsze. Nie wiem, dlaczego sprawiło mi to ulgę. Zostawiłem go w śmietniku opartego o wielki pojemnik na odpadki, na którym ktoś napisał sprayem: „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy”.

Z czasem nauczyłem się rozpoznawać ten nagły impuls podobny do czerwonego ostrzegawczego światełka, który kazał mi wyjść z domu albo skrócić nagle w jakąś boczną uliczkę. Sarapsos zapewnił mnie, że nie muszę obawiać się policji. Jedynym zagrożeniem dla siebie byłem ja sam. Wypełniałem więc swoje zadanie, mimo iż wydawało mi się niewykonalne.

Załamałem się, dopiero gdy ujrzałem mglistą aureolę nad głową kilkuletniej dziewczynki. Mała miała śliczną owalną twarzyczkę, główkę całą w lokach i aż promieniała radością. Nigdy dotąd zapach wanilii i aromat świeżej ziemi nie był tak silny, a nimb bardziej świetlisty. Nie mogłem mieć ani cienia wątpliwości. Boże, przecież to tylko dziecko!

Powtarzałem to, krzyczałem przez te kilka dni, podczas których krążyłem wokół niej jak ćma wokół świecy, ale On pozostawał głuchy. Zdążyłem poznać jej rodziców, małego braciszka i starszą siostrę. Obserwowałem ich. Boże, przecież to tylko dziecko!

Odpowiadała mi cisza. Przestałem jeść, nie spałem, zacząłem miewać krwotoki z nosa. Potem w mojej głowie obudził się Rój. Słyszałem tylko szum, bez słów.

Nikt nie potrafi długo opierać się woli Boga. Podszedłem do niej na szkolnym boisku. Wyciągnąłem pistolet z kieszeni płaszcza i strzeliłem z bardzo bliska. Upadła z uśmiechem na buzi. Nie zdążyła się nawet zdziwić. Potworny ból podchodził mi do gardła i wydostawał się zza zaciśniętych zębów zduszonym szlochem podobnym do chichotu. Pośród histeryzujących, przerażonych dzieci, które huk wystrzału zdawał się zbijać w ciasne, poszarpane gromadki, wydawałem się sobie olbrzymi i kanciasty, tak bardzo nie na miejscu. Słyszałem rozpaczliwy krzyk nauczycielki i jakieś bezsensowne polecenia skierowane do maluchów. Z dymiącym pistoletem przeszedłem przez całe boisko. Nikt mnie nie zatrzymał.

\*\*\*

Wróciłem do domu, gotów skończyć z tym wszystkim. Włożyłem lufę do ust, a palec położyłem na cynglu. Ale broń nie posłuchała. Przytknąłem więc wylot pistoletu do skroni. Dzięki temu czarne, bezdenne oko wpatrywało się wprost w moje myśli, tak przyjaźnie, tak spokojnie. Kolba leżała mi w dłoni absolutnie doskonale, jakby została stworzona dokładnie według jej wklęsłości i wypukłości. Zrozumiałem, że pistolet jest moim przyjacielem, przewodnikiem i duchem opiekuńczym. Nie potrafi zrobić mi krzywdy. Ogarnęła mnie wściekłość. Trzasnąłem pistoletem o podłogę i posłałem go kopniakiem pod stół. Ból, jaki mi sprawiało wspomnienie uśmiechniętej dziecięcej twarzy, stał się nie do zniesienia. Miotalem się po pokoju, klnąc okrutnego wszechwładnego starca i jego pieprzony boski plan. Czułem wstręt do Niego i siebie. Nienawidziłem swoich dzieciobójczych rąk. Rzygać mi się chciało na swój własny żalony widok. Postanowiłem dostarczyć Bogu krwi, na której mu tak zależało. O tak, postanowiłem zapewnić Mu rozrywkę w Jego stylu!

Znalazłem gwoździe i młotek i przybiłem swoją cholerną prawą dłoń do drzwi pokoju. Ukrzyżowałem ją dokładnie tak, jak lubił. Ale kiedy z żalu i bezsilnej furii tłukłem zdrową pięścią w śliskie od krwi deski, przed oczami wciąż miałem obraz małej dziewczynki, którą Pan zapragnął włączyć do grona swoich aniołków przy pomocy mojej morderczej ręki.

Dłoń cholernie mnie bolała i to był jedyny efekt mojego krótkotrwałego buntu.

Bóg zawsze dostaje to, czego chce. Inaczej nie byłby Bogiem. Tego również dowiedziałem się od Sarapsosa. Teraz pragnął powołać do siebie stu sprawiedliwych, zanim zdążą dopuścić się niegodziwości lub grzechu, aby wprowadzić ich w chwale i światłości do dziedziny wybranych. Oczywiście, wybaczyłby im w końcu, gdyby zgrzeszyli, ale pozostaliby na zawsze splamieni w Jego oczach, więc... żegnajcie, Łąki Błogosławione! Zależało mu na ich całkowitej czystości i niewinności. To był właściwie akt łaski, że nazaczył ich perłową mgłą i wysłał na śmierć. Stu sprawiedliwych, cóż za wspaniała ofiara dla uczczenia boskiego majestatu! Względem mnie także dopuścił się aktu miłosierdzia. Dał mi szansę, żebym uratował duszę przed potępieniem. Poddał mnie próbie, podobnie jak niegdyś Abrahama, pozostawiając mi wybór pomiędzy złamaniem piątego



przykazania i norm społecznych a wypowiedzeniem Mu posłuszeństwa. Uczynił ze mnie narzędzie swojej woli, Zbrojną Prawicę, Anioła Śmierci.

Obwiązałem krwawiącą rękę bandażem. Okazało się, że nie uszkodziłem jej tak bardzo, jak chciałem. Wciąż mogłem poruszać palcami, a nawet zacisnąć je na kolbie pistoletu, chociaż robiło mi się wtedy mdło z bólu. Zobojeźniałem jakoś. Nie pamiętam nawet, ilu ludzi zabiłem. W każdym razie wciąż było daleko do stu. Każdy z nich pachniał rdzą i gorzkimi migdałami i nosił nad głową perłowy nimb, raz gęstszy, to znów bledszy, lecz zawsze wyraźny. Przypominam sobie jakiegoś mężczyznę bawiącego się z małym chłopcem na ganku domu. Padł jak szmaciana kukła, przewracając wysoką wieżę z klocków.

Był jeszcze nastolatek na rowerze, jakaś młoda kobieta z wózkiem, którą zapamiętałem z powodu zaciętego, nieprzyjaznego wyrazu twarzy i lekko przechodzona kurwa, próbująca namówić mnie na szybki numer w samochodzie. Wszyscy oni radują się już w Panu, alleluja!

I być może udałoby mi się wypełnić Jego polecenie, gdyby nie Tabita.

Kiedy ujrzałem ją pierwszy raz, jej miedziane włosy rozsypywały się jak aureola, jaśniejsza i bardziej świetlista niż opalizująca mgła ponad jej głową. Była piękna. Smukła i drobna, miała nienaganną figurę i cudowne długie nogi. Wydawało mi się, że mógłbym bez trudu objąć jej talię dłońmi. Ale najważniejszy był rys indywidualności, to nieodgadnione światło, które zdawało się z niej promieniować. Miała taką niepospolitą twarz, subtelną i jasną. Zachwyciłem się nią, tak jak zachwyciłby się każdy mężczyzna, którego wyobraźnia wykracza poza ramy wyznaczone przez dziewczyny z reklam szamponów. Patrząc na nią, doskonale rozumiałem, dlaczego Pan wybrał akurat ją. I już wtedy zaczęło rodzić się we mnie poczucie klęski.

Obserwowałem ją, śledziłem każdy ruch, jaki wykonywała, aż w końcu stała się moją obsesją. Czas mijał, mój jednooki, mroczny przyjaciel wyczekująco obciążał mi kieszeń, a ja obserwowałem Tabitę. Wreszcie Bóg zdecydował się mnie ponaglić. Znów nie byłem w stanie jeść, z nosa lała mi się krew, a nocami budziłem się, krzycząc, kiedy pojawiała się przede mną wizja cudownej twarzy zamienianej w krwawą miazgę kulą z mojego pistoletu. W głowie huczał mi Rój, ale nie dbałem o to, dopóki przesłaniał go świetlisty obraz Tabity. Walczyłem z Bogiem, walczyłem ze wszystkimi Jego zastępami, ale jestem tylko człowiekiem. Zawsze byłem szczupły, lecz zacząłem wyglądać jak szkielet, dostawałem drgawek, jakbym miał parkinsona, a zraniona dłoń nie chciała się goić. Przez brudny bandaż wciąż przesiąkała krew, uparcie jak pierwiosnek spod śniegu. Nie wiedziałem, czy to stygmat, czy raczej piętno potępienia, o którym mowa w Apokalipsie. Bałem się, że wariuję. Musiałem wreszcie coś postanowić.

\*\*\*

Tabita, siedząca po stronie pasażera w moim samochodzie, wpatrywała się we mnie oczami pełnymi lęku. Zmusiłem ją, żeby wsiadła do auta, zajeżdżając jej drogę i grożąc bronią, gdy chciała przejść na drugą stronę ulicy. Ani razu nie spróbowała uciec, jakby pas, którym przypiąłem ją do siedzenia, zamienił się w kajdany. Być może bała się pistoletu opartego na moim udzie. Przytrzymałem go prawą ręką, starając się prowadzić lewą, bo przebita dłoń znowu cholernie bolała.

Zawiozłem dziewczynę do opuszczonego domu na dalekim przedmieściu. Budynek był obszerny, drewniany, lekko wykrzywiony ze starości, ale wciąż bardzo solidny. Otaczał go ogromny, zapuszczony ogród, okolony parkanem obrosłym gęsto dzikim winem, które przypominało żywy mur. Wokoło nie było nic, tylko kilka prywatnych nieużytków. Wypatrzyłem ten dom kilka dni wcześniej, przywiozłem materace, koce, gazową maszynkę i paczkę świec. Zamknąłem nas oboje w tym małym,

ponurym Edenie, ponieważ wciąż nie byłem w stanie podjąć decyzji. Mimo że nie rozmawialiśmy wiele, jestem teraz pewien, że zaczęła się wtedy między nami tworzyć szczególna więź. Przywiozłem mnóstwo jedzenia, bo nie wiedziałem, co lubi, więc większość czasu spędzaliśmy, przygotowując rozmaite potrawy, chociaż żadne z nas nie miało w tym względzie doświadczenia, a potem patrzyliśmy, jak schną na talerzach, ponieważ jakoś nie mieliśmy apetytu. Tabita nie stawiała najmniejszego oporu. Może bała się mnie sprowokować. Musiała zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Myśl, że mogła się obawiać, że chcę ją skrzywdzić lub zgwałcić, bardzo mnie smuci. Bała się mnie, jestem pewien, jednak sądzę, że nie czuła do mnie nienawiści, dokładnie tak, jak powiedział Rój. Ludzie, których mam zabić, ułatwiają mi zadanie.

Ale pomylił się co do Tabity. Jej lęk i przerażająca pokora łamały mnie jak wiązkę patyków, kawałek po kawałku. Kiedy patrzyłem na nią skuloną w kącie na stercie koców, wszystkie gwoździe świata przebijały mi raz po raz klatkę piersiową tak, że z rozpaczy nie mogłem złapać tchu.

Powiedziała, że jej imię brzmi inaczej niż to, którym się do niej zwracam, ale ponieważ Sarapsos nauczył mnie, jak odgadywać właściwe nazwy rzeczy, wiedziałem, że naprawdę nazywa się Tabita, chociaż jeszcze nic o tym nie wie. Zapytała, jak mam na imię.

Odpowiedziałem jej, wymieniając to, którym ochrzcił mnie Rój.

- Adriel? - powtórzyła zdziwiona. Nie zrozumiała.

Z czasem zaczęła mi trochę opowiadać o sobie, o swojej rodzinie, planach, marzeniach. Gdyby tylko wiedziała, jak strasznie utrudnia mi wszystko! Pod wpływem jej słów rozsypywałem się jak kreda. Mogła mnie niemalże rozetrzeć między palcami. Chyba nie robiła tego zupełnie świadomie, ale to nie miało znaczenia. Pewnego dnia zapytała znienacka:

- Co chcesz ze mną zrobić?

Nie umiałem na to odpowiedzieć wprost.

- Zaprowadzę cię do domu - powiedziałem wreszcie. Przez chwilę w jej oczach zapłonęła iskra szaleńczej nadziei, ale zgasła, gdy dziewczyna spojrzała mi w twarz i wyczytała z niej, o jakim domu mówiłem. Usta jej zadrżały, odwróciła się do mnie plecami i aż do rana nie odezwała się ani słowem.

Tymczasem ja czułem się coraz gorzej. Dostałem gorączki, a w ręce wywiązało się chyba jakieś zakażenie, bo niemal nie mogłem nią ruszać. Kiedy szarpałem się z pozlepianym krwią bandażem, Tabita podeszła, żeby mi pomóc. Cofnąłem dłoń i nie pozwoliłem się dotknąć. Bóg chyba postanowił ze mnie zakpić. Ofiara opatrująca krwawą ranę oprawcy. To było tak bardzo w jego stylu, aż zakrawało na upiorne poczucie humoru.

Historia Tabity przywodzi mi na myśl pewną opowieść z Nowego Testamentu. Wskreszenia córki Jaira. Według mnie to najbardziej dramatyczny i przerażający z cudów Jezusa. Człowiek imieniem Jair miał jedyną córkę, która ciężko chorowała. Kiedy wszystkie inne sposoby zawiodły, wyruszył na poszukiwanie uzdrowiciela, którego sława wzrastała z dnia na dzień. Gdy nakłonił Go wreszcie, aby przybył do jego domu, dziewczynka już nie żyła. Jednak Jezus spokojnie, jakby nic szczególnego nie zaszło, oświadczył Jairowi, że jeśli Mu uwierzy, jego córka wstanie. Oszalały z bólu ojciec, którego oczy widzą martwe dziecko, zwraca się wtedy do Jezusa z rozpaczliwym żądaniem, prośbą człowieka, na którego nałożono nagle odpowiedzialność zbyt wielką, żeby mógł jej podołać: „Wspomóż moją wiarę!”.

Czasem boję się, że Bóg lubi sprawiać wrażenie, że wszystko zależy od nas, żebyśmy potem nie mogli mieć pretensji, kiedy nic dobrego z tego nie wynika. Patrząc na siedzącą w kącie dziewczynę, zrozumiałem, że nie wierzę w jej szczególną rolę w boskim planie i nie potrafię zaprowadzić jej do domu Ojca, gdzie mogłaby żyć wiecznie, radując się światłością i szczęściem. Nie potrafię

wskrziesić Tabity.

Kiedy pogodziłem się z myślą, że w żaden sposób nie potrafię przyczynić się do jej śmierci, zacząłem zostawiać ją samą i długie godziny błąkałem się po mieście, licząc na to, że po moim powrocie już jej nie zastanę. A jednak zawsze tam była - na stercie koców lub przy oknie, z kubkiem herbaty w rękach. W końcu przestałem zamykać na kłódkę drzwi, lecz wciąż witało mnie jej badawcze spojrzenie i zapach wanilii przemieszanej z rdzą. Wreszcie dotarło do mnie, że nie wolno mi zwalać na nią odpowiedzialności za własne sprzeniewierzenie. Któregoś ranka pojechałem na najbliższą stację benzynową i zadzwoniłem stamtąd po policję. Ledwie zdążyłem wrócić, gdy przed domem zaroilo się od glin. Nie chciałem dopuścić, żeby dostali mnie żywego, ale oszalałbym chyba, gdyby podczas strzelaniny coś się stało Tabicie.

- Uciekaj - powiedziałem do niej, lecz nie ruszyła się z miejsca. - Na litość boską, dziewczyno, uciekaj stąd! - krzyknąłem, bo gliniarze już otaczali dom, a jeden coś wrzeszczał przez megafon. Ponieważ nie odpowiadałem, zdecydowali się wejść. Drzwi uchyliły się ostrożnie i do sieni wsunęło się dwóch mężczyzn. Strzeliłem do nich. Widziałem jeszcze, jak obaj upadali. Wtedy poczułem, jak jakaś potężna pięść uderza mnie w okolicę splotu słonecznego, nagle zrobiło się ciemno, a ja pomyślałem, że śmierć jest taka nieskomplikowana.

\*\*\*

Przeżyłem. Lekarze uratowali mi życie. Osobiście uważam, że to głupota wkładać tyle wysiłku w leczenie człowieka, którego prawdopodobnie i tak skazą na śmierć. Jestem zmęczony, a Rój znowu mieszka w mojej głowie. Nie dbam o to, czy mnie zabiją, czy na zawsze zamkną w wariatkowie. Tak czy inaczej, przepadłem. Jestem naprawdę potępiony, zawiodłem Boga, nie skorzystałem z Jego wspianiałomyślnej szansy. Nie potrafiłem nawet wytrwać przy jednym zdaniu na własny temat, doznałem objawienia, w które nie umiałem uwierzyć. Jakie ma znaczenie, co ze mną zrobią i ile czasu mi zostało, skoro i tak piekło czeka na mnie z rozwartymi ramionami? Czym jest te marne parę lat w obliczu wieczności? Poczytajcie sobie Pismo, może znajdziecie lepszą odpowiedź niż ja. Boję się tylko jednego. Że skazałem na podobny los Tabitę. To jedyna rzecz, o którą potrafię jeszcze błagać Boga. Żeby wybaczył jej to, co zrobi w przyszłości, to, przed czym nie udało mi się jej uchronić.

Posłuchajcie mnie jeszcze przez chwilę, to bardzo ważne. Każdy z was może się niedługo obudzić z przeświadczeniem, że ma na imię Adriel i jest posłańcem śmierci. Każdy może usłyszeć, jak w jego głowie śpiewa Rój - Anioł Przemocy.

Pamiętajcie, jeśli kiedykolwiek poczujecie zapach rdzy, wanilii i gorzkich migdałów, nie wahajcie się ani sekundy. Rozpoznacie bezbłędnie ten zapach, jestem pewien, tak samo jak nimb wokół głowy, lśniący niby perłowa mgła. Wiem, że odszukacie pozostałych naznaczonych. Proszę, nie wahajcie się! Dla waszego własnego dobra...

*„Diorama” to opowieść o marzeniach. I o tym, że nie zawsze należy desperacko dążyć do ich spełnienia. Czasem ktoś mądrzejszy od nas, ktoś, kto patrzy z góry, nie dopuszcza do spełnienia szalonych pragnień. I dobrze.*

*Jest to też historia o smutku. Mam nadzieję, że nie okazała się zbyt depresyjna.*

*Diorama - obraz namalowany na przejrzystej tkaninie, umieszczony w skrzyni. Oświetlony z różnych stron stwarza wrażenie rzeczywistości.*

*Malowidło połączone z makietą plastyczną i rekwizytami podobnie jak panorama.*

*»Już nigdy losy nieżycziwe nie odbiorą mi tego, co dal czas miniony«.*

*Petroniusz*





# Diorama

Dzień dobry, Alicjo!

Jak zwykle zjawił się niepostrzeżenie. Nigdy nie umiała powiedzieć, kiedy przyjdzie. Ani skąd. Wsunęła ręce do kieszeni kurtki. Od morza wiał silny wiatr, przesycony wilgocią i chłodem. Kryształki soli osiadały na wargach Alicji - słonawy, srebrny błyszczak. Dotykały jej twarzy niby badawcze rączki. Rozległa płachta morza falowała ciężkim oddechem.

Alicja nie miała ochoty odpowiadać na powitanie Szczura. Szła powoli wzdłuż samej linii wody, kapryśnie wyrysowanej wciąż w inny wzór przez ataki i ucieczki fal. Zastanawiała się, dlaczego Szczur najczęściej pojawiał się wtedy, gdy wołała być sama, natomiast nigdy, kiedy go potrzebowała. Fale przewracały się na grzbiety i ślizgały się po piasku, sięgając nóg Alicji, której buty i tak dawno już były mokre. Szczur dreptał obok niej, podobny do dużego psa z dziwnym łysym ogonem. Miał przemoczone futro, posklejane od soli i wilgoci.

- Narysowałaś znaki? - spytał.

- Tak.

- No i co? - W zwróconych na nią dwóch czarnych paciorkach oczu błysnęło zainteresowanie.

- Och, nic. Po prostu je narysowałam.

- Dziś jest wyjątkowo dobry dzień na znaki - powiedział poważnie Szczur. - Narysowałaś je patykami na piasku?

- Muszlą. Czy to istotne? - Wzruszyła ramionami. - Fale je zmyły.

- Wszystko jest istotne - burknął Szczur.

Milczała. Była przyzwyczajona do podobnych frazesów. Szczur ją irytował. Nie lubiła przyznawać przed samą sobą, że go potrzebuje. Starła się zepchnąć głęboko w niepamięć te wstrętne klaki przerażenia, jakie lepiły się do niej, tłuste i dławiące, kiedy przez dłuższy czas nie słyszała chrobotu łapek i cichego pochrząkiwania Szczura.

Teraz zatrzymał się i przysiadł na piasku, wobec czego Alicja, wciąż milcząca, z pięściami wbitymi w kieszenie, przystanęła także. Jednak **CHCIAŁA** porozmawiać. Potrzeba usłyszenia innego głosu niż własny i wymiany jakichkolwiek uwag, choćby tylko z gryzoniem, była silniejsza niż niechęć.

Zresztą Szczur nie życzył jej źle. Tyle wiedziała na pewno.

- Alicjo, nie złość się. Bez sensu tracisz energię. Powtarzam ci bez końca, że trzeba wierzyć. Pragnienie, rozumiesz? Wytrwałe i zogniskowane. Jeśli nie wierzysz w możliwość zaistnienia tego, czego pragniesz, tylko rozpraszasz energię.

Spojrzał na nią ze smutkiem. Przez chwilę odniosła wrażenie, że Szczur martwi się o nią. Jego oczy były głębokie jak kosmos.

- Nie zawsze to, co dobre, objawia się w sposób, który nam odpowiada lub który... hm, zwykliśmy uważać za dobry. Nie zawsze też dobro, którego pragniemy, realizuje się w sposób, jakiego oczekujemy. Ale bezsprzecznie dobrem pozostaje, nawet jeśli pozornie wygląda inaczej, niż przypuszczaliśmy, a nawet drastycznie. Pamiętaj, że w końcu przynosi dokładnie to, o co prosiliśmy. Pozostaje tylko, rzecz jasna, kwestia ceny...

- Płacę na kredyt czy gotówką? - parsknęła Alicja.

- Tu działa system przedpłat - rzekł poważnie Szczur. - Jedyne, który się tu jako tako sprawdza.

- Nie wdawajmy się znowu w te jałowe dyskusje! Nie mam ochoty.

- Ja jednak sądzę, że **POWINNAŚ**. Widziałaś coś?

Skurcz przebiegł po twarzy Alicji.

- To samo co zwykle - szepnęła. - Jak długo to jeszcze potrwa?

- Powiedz mi, czego pragniesz, Alicjo? - spytał niespodziewanie Szczur.

Zacisnęła ze złością usta. Oczywiście! Garść frazesów i czczych obietnic. Pytania retoryczne, parabole, stroszenie wąsów i mrużenie ślepiów.

Kopnęła leżącą u stóp muszelkę, która potoczywszy się po piasku, wpadła do wody. Plusk.

- Doskonale wiesz czego!

- I dostaniesz to - mruknął. - Tak czy inaczej.

Oczy dziewczyny zwilgotniały. Starła się powstrzymać szloch, ale łzy drapały jej zamknięte powieki, chrobotwały w gardle. Płakała bezgłośnie. Nie chciała, żeby to widział, więc niemal biegiem ruszyła przed siebie, rozchlapując wodę, jak niezgrabna tancerka balansująca na linii kreślonej przez fale. Wiatr pachnący solą i morzem rozwiewał jej włosy.

Szczur odprowadzał ją wzrokiem. Po chwili westchnął głęboko i odszedł w przeciwną stronę.

\*\*\*





Brzdęk, brzdęk. Słowa mają czasem blaszane brzmienie. Ciężkie bryły metalu padają na podłogę w obłoku opiłków.

- Ty draniu! Parszywy bezduszny skurwielu! Nienawidzę cię!

Trzy głębokie bruzdy w podłodze, tuż obok czubków jego butów. W nich zaryte trzy ciężkie kowadła.

- Jesteś jak zaraza! Zatrujesz wszystko, czego się tkniesz! Niczego, słyszysz, niczego w tobie nie ma! Jesteś trupem! Niszczysz siebie? Diabli z tym! Ale oprócz tego niszczysz też mnie!

Kilka poszarpanych kawałków blachy, coś niby nożyce i toporek do mięsa. Wszystko to leży wokół niego - ciężkie, ostre słowa.

- Ty mnie zabijasz! Tyle razy ci wybaczałam! Wszystko dla ciebie poświęcałam, ale teraz już koniec! Rozumiesz?! Nigdy więcej!!! Jak cię można kochać, szmato? Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała cię trzeźwego! Zdychaj beze mnie. Nie ma cię, koniec. Nie ma tych zmarnowanych lat. Wymazuję cię z życia, ze świadomości, z pamięci! Nie pozwolę ci mnie zniszczyć!

Bardzo dużo odłamków. Zardzewiałe, poskręcane blachy bez kształtu, o ostrych kantach. Wszystkie wbijały się głęboko w podłogę dokoła niego. Tak. Tylko najpierw się o niego obijały. Niektóre przechodziły na wylot i znaczyły swój ślad z tyłu, za jego plecami. Nie sposób było odmówić Laurze celności. Nigdy. Teraz płakała. Miotła się po domu w przypiływie nienawiści i rozpacz. Wszędzie na podłodze i meblach leżały jej porzrzucone rzeczy. Wszędzie na podłodze i meblach leżały zakrwawione słowa. Tam, gdzie stał, kałuża krwi była tak duża, że bał się, żeby Laura się na niej nie pośliznęła. Obserwował, jak nieporadnie wpycha ubrania do walizek, porzuca nagle jedną torbę, żeby gorączkowo szamotać się z inną, zapłakana i rozdygotana.

Przymknął oczy. Żeby tylko nie pośliznęła się na krwi. Laura w tym obłądnym tańcu z tysiącami różnych mulet i on, zdychający Minotaur.

Znieruchomiała naraz pośrodku pokoju, potoczyła rozgorączkowanym wzrokiem wokoło. Jej oczy zatrzymały się na jego twarzy. Nagły błysk, jakby dopiero teraz go poznała.

- Czemu tak stoisz?! - krzyknęła wysokim, histerycznym głosem. Wydawało mu się, że boi się jego bezruchu. A on był tak słaby, że po prostu nie mógł się poruszyć.

- Odezwij się! Zdobądź się na cokolwiek! Znowu jesteś tak nawalony, że nic do ciebie nie dociera?! Rzucam cię, rozumiesz? Odchodzę!

Nawet nie zauważył, kiedy znalazła się obok niego. Chciał jej powiedzieć, żeby uważała na kałużę, ale jakoś nie mógł zebrać myśli w zdanie. Trzymała go za koszulę na piersi i szarpała. Nie miała szansy nim potrząsnąć, był więcej niż o głowę wyższy. Sięgała mu zaledwie do ramion. Jej palce zaciskały się i rozluźniały spazmatycznie. Czuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w skórę. Patrzyła na niego oczami pełnymi lęku, jakby przestraszona własną agresją. Wydawało się, że wisi na nim, szukając oparcia, tylko jej drgające paznokcie zostawiały brzydkie czerwone smugi na jego piersi.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię? - szepnęła. - Czy cokolwiek z tego do ciebie dociera?

Powoli skinął głową.

- Tak. Odchodzisz.

Wtedy jej twarz się skurczyła. Puściła koszulę i z całej siły uderzyła go pięścią w usta. Nie poruszył się, nawet nie poczuł bólu. A potem ogromna fala ciepłej wilgoci wezbrała gdzieś w środku, załaskotała w gardle i bluznęła gwałtownym krwotokiem przez nos. Dotknął rękami twarzy, całej umazanej krwią, bezradny i wciąż nieruchomy.

Prawdziwe czerwone krople padały teraz na podłogę, podczas gdy Laura płakała, skulona obok leżącej na tapczanie torby, z której niby kolorowe wnętrza wysypywały się ubrania.

Zamknął oczy. Miał nadzieję, że krwotok po prostu ustanie. Przed sobą widział duży, ciemny tunel, zupełnie pusty, o ścianach wyłożonych purpurową satyną, od których odbijało się echem coraz cichsze szlochanie Laury.

\*\*\*

Alicja obudziła się z krzykiem, który zamarł, gdy tylko zdała sobie sprawę, że już nie śpi.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. W całym domu dzwoniła cisza, wysokim, drażniącym wibrowaniem. Wydawała jej się przerażająca. Usiadła na łóżku. Oddychała z trudem. Szeroko otwarte oczy wlepiła w ciemność. Ogarniało ją coraz większe przerażenie. Żeby chociaż Szczur tu był! Tak bardzo pragnęła usłyszeć, jak jego spokojny głos tłumaczy, że sen, który przed chwilą śniła, wynika z jej lęków i niewiary i jest niepotrzebnym trwonieniem energii.

- Nic złego się nie stało - powiedziała na głos. - To tylko moja skłonność do zamartwiania się. Upiory wyobraźni, nic więcej.

Ale w głębi duszy, tam gdzie pulsowało źródło mdłego przerażenia, wiedziała doskonale, że śniła obraz rzeczywistych wydarzeń. Żadna z rzeczy wokoło nie była w połowie tak realna jak jej sny.

Zacisnęła powieki, zakryła dłońmi twarz. Szept popłynął przez ciemność, łamiąc kryształową strukturę ciszy, niby litania potępionego na krawędzi otchłani.

- Nie, nie rób tego... Nie możesz. Nie rób tego!

Szczur wychynął z kłębu ciemności w rogu pokoju.

- Biedne dziecko - powiedział cicho. - Powinnaś raczej mówić „tak”.

Ale Alicja tego nie słyszała.

\*\*\*

Miarowe kapanie, całe mile ciszy stąd. Laura znowu nie dokręciła kranu w łazience. Drobinę kurzu tańczyły w świetle, podobne strzępom rozgoryczenia, które pozostawiła po sobie, gdy bańka nienawiści wreszcie pękła. Wisiały na meblach, unosiły się w powietrzu. Wydawało mu się, że wdycha je wraz z tlenem, lekko chropowate, cierpkie. Nie czuł bólu, choć zdawał sobie sprawę, że wszystko to krąży w nim niby żrący kwas. W ogóle nic nie czuł.

Słyszał monotonne kapnięcia i tykanie zegara. Te dźwięki wyznaczały niezbędny rytm, według którego jego organizm funkcjonował. Kap - kap, tyk - tyk, wdech - wydech. Był pewien, że gdyby zabrakło jednego z nich, dryfujący we wnętrzu kwas przeżarłby mu mózg.

Błogosławione niech będą zegary i krany!

Położył głowę na blacie stołu. Z tej perspektywy zaczął obserwować kilka niewiadomego pochodzenia okruchów i eteryczną smugę popiołu z papierosa, widoczną na lakierowanej powierzchni drewna. Okruchy przybierały fantazyjne formy, a popielata smuzka zdawała się pełznąć. Przypominała dżdżownicę. Wiosną, w deszczowe dni, całe mrowie tych stworzeń pojawia się na chodnikach i w ogródkach. Kiedyś, jako dziecko, widział, jak zagłębiona w ziemi łopata rozcięła dżdżownicę na pół. Jedna jej część, zwijając się w spazmatycznych skurczach, zagrzebała się z powrotem, ale druga pozostała nieruchoma i martwa. Coś się uwalnia, coś umiera. Tym razem nie było inaczej. Laura odeszła, co prawda obolała, lecz bez specjalnych okaleczeń, a jemu została rola ogona dżdżownicy. Zadrzał. Coś nieuchronnie zbliżało się ku niemu, coś zimnego i całkiem wypranego z emocji. Jakaś straszna rzecz, przed którą musi bezwzględnie się uchronić. Nagle w przebłysku olśnienia zrozumiał. To nadchodziła przyszłość. Czas do przeżycia, który trzeba zabić, stępić, oszukać. Rozszerzonymi źrenicami wpatrywał się w swoją przyszłość, gdy za nim jak brudny, bury

cień czaiła się przeszłość. Życie z Laurą, które niemal od początku zamieniło się w koszmar, życie bez Laury, życie z innymi kobietami i bez kobiet... Ale nad tym unosiło się niby duch wspomnienie małego, roześmianego chłopczyka, który był kiedyś jego synem. Już prawie pięć lat mija od katastrofy samolotu, który... Jak to możliwe? W jaki sposób udało mu się przeżyć tak długo, podczas gdy Danny...

Dosyć. Nie ma na co czekać. Cudu nie będzie. Zmartwychwstanie miało miejsce tylko raz i to nie jego syn tego dokonał.

Pozostawało tylko znaleźć pewny sposób, żeby przenieść się do rajów dla niekompletnych dżdżownic. Kolorowe pigułki, białe pigułki, biały proszek, brązowy proszek - to przypominało zakazaną zabawę lekarstwami z domowej apteczki. Ale szybko poczuł niedosyt. Ma popełnić samobójstwo, faszerując się prochami jak historyczna stara panna? Nie, to nie w jego stylu. Zupełnie to do niego nie pasuje. Mroczny facet, mroczny artysta, musi dbać o swoją reputację. Zwłaszcza w takiej chwili. Uśmiechnął się z goryczą. Nie może dać takiej plamy na koniec. Co by na to powiedział jego agent?

Poszedł do łazienki, odkręcił kran i zaczął nalewać gorącej wody do wanny. Kiedy sięgał po zyletkę leżącą na półce pod lustrem, spojrzął na własne odbicie. Zdziwiło go, że oczy ma zupełnie spokojne. Przez dłuższy czas przyglądał się swojej twarzy, ale wydawała mu się jakaś odległa i obca. Woda ze śpiewnym poszumem wypełniała wannę. Poczekał, aż naje się do pełna, i zakręcił kran. Obrócił lewą dłoń wnętrzem ku górze. Żyłki na chudym nadgarstku były niebieskie i bardzo wyraźne. Naciął je kilkakrotnie, ostrożnie, żeby nie uszkodzić ścięgien. Wolał jednak poruszać rękami, na wypadek gdyby chciał zapalić albo napić się czegoś. Krew popłynęła natychmiast. Ciekła po palcach, plamiła koszulę. Schylił się i włożył rękę do wanny. Zabolało. Zobaczył eksplozję szkarłatu. W mgnieniu oka woda zmieniła barwę. Zamieniam wodę w krew, pomyślał. Taki drobny pożegnalny cud. Wyjął rękę z wanny i niezbyt zgrabnie, ale starannie ponacinał drugi nadgarstek.

Przyszedł czas na pożegnalny toast, powiedział do siebie. Wrócił do pokoju, sięgnął po butelkę i usiadł w fotelu. Nieco nieporadnie odkręcił korek. Palce, śliskie od krwi, zginały się dziwnie sztywno. Pociągnął długi łyk. Ciepły alkohol zapiekł w gardle. Żeby się rozgrzać, powiedział do siebie. Utrata krwi powoduje szybki spadek ciepłoty ciała. Oprócz wszystkiego mogę jeszcze umrzeć z zimna. Zamknął oczy. Na koszuli i spodniach pojawiły się już ciemne, wilgotne plamy. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony i połamany. Dziwne, że przy szybszych ruchach kawałki, które kiedyś były nim, nie wysypują się, grzechocząc, na podłogę. Może tam będzie lepiej, przeszło mu przez myśl, ale rozsądek natychmiast odrzucił tę ewentualność. Śmierć to takie samo bagno jak wszystko inne. Rozmawiał z nią, więc wie.

Z niedokręconego kranu w łazience zaczęła kapać woda.

\*\*\*

Alicja ocknęła się z odrętwienia. Nie potrafiła powiedzieć, czy spała, czy raczej straciła przytomność. W domu panowała ciemność i cisza. Noc widocznie jeszcze się nie skończyła.

Zamiast rozpaczy czuła tylko męczący niepokój. Z podniecenia pociły jej się ręce i sztywniały palce. Cicho zawołała Szczura, ale, oczywiście, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Niepokój z każdą chwilą narastał. Czuła wewnętrzny, nagły zew, żeby natychmiast wyjść z domu. Muszę iść nad morze, myślała. Na plażę. Teraz.

Wstała z łóżka, narzuciła kurtkę na nocną koszulę i prawie wybiegła w ciemność. Wiatr niósł ostry, przenikliwy chłód. Piasek był zimny i wilgotny. Jasny księżyc stał wysoko na niebie. Jego blask odcinał wyraźne kanciaste cienie.

Alicja biegła wzdłuż linii wody w stronę miejsca, gdzie rano spotkała Szczura.

Przyspieszyła, gdy tylko dojrzała duży, ciemny kształt leżący na piasku. Serce waliło jej jak szalone, a w głowie nie mogła znaleźć żadnej myśli, jakby uciekały zbyt szybko. Jednak mimo wszystko wiedziała, co oznacza pojawienie się tego dziwnego kształtu, którego kontury z trudem rozróżniała w ciemności. Przypadła do niego zdyszana, otwartymi ustami chwytając powietrze. Dotknęła go i

poczuła nagle ciepło. Przemarzał, ale zdecydowanie był ciepły. Żyje, myślała, żyje. Nic więcej nie miało w tej chwili znaczenia. Drżącymi rękami próbowała przekręcić go na wznak, rozpiąć koszulę i posłuchać, czy serce bije. Szarpała się z bezwładnym ciałem, z wolna popadając w histerię.

- Alicjo! - zawołał przybyły znikąd Szczur. - Zatamaj krwotok!

- Co? - szepnęła i zamarła z dłońmi opartymi o pierś mężczyzny.

- Przewiąż mu nadgarstki! - wysapał Szczur, który wreszcie znalazł się przy niej. - Podrzyj jego koszulę albo cokolwiek innego...

- O Boże - jęknęła. Uniósła rękę nieprzytomnego mężczyzny i w słabym świetle księżyca usiłowała obejrzeć przegub.

- Pośpiesz się! - syknął Szczur.

- Już! - zawołała. Poderwała się z klęczek i zaczęła szamotać z brzegiem nocnej koszuli, próbując go oderwać. Szarpała paznokciami, skulona w niewygodnej pozycji, ale materiał nie chciał ustąpić. Nagle coś sobie przypomniała.

Porzuciwszy walkę z oporną koszulą, sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła z niej dużą chustkę w kolorowe wzory. Wystarczyło jedno silne szarpnięcie zębami, żeby materiał rozerwał się z trzaskiem. Alicja znów padła na kolana. Pochyliła się nad leżącym, dysząc z wysiłku. Z przerażenia i zimna dygotały jej ręce.

- Jak mam to zrobić? - spytała z rozpaczą.

- Po prostu mocno zacisnij - zawyrokował Szczur. - O resztę będziemy się martwić potem.

W gorączkowym pośpiechu zacisnęła tak mocno, aż mężczyzna jęknął. Był cały mokry, oblepiony piachem, zalany krwią i brudny. Jego twarz nabrała koloru starej kości. Alicja delikatnie dotknęła jego policzka.

- Nie dam rady go podnieść - powiedziała do Szczura. - Ledwo udało mi się przekręcić go na plecy. Nie mogę go tu zostawić.

- To każ mu wstać - rzekł sucho Szczur.

- Przecież jest nieprzytomny!

- Jeśli się nie ocknie, umrze. Nie masz się co łudzić.

Alicja uderzyła pięścią w piasek w przyływie bezsilnej wściekłości.

- Nie!

Pochyliła się nad mężczyzną, spróbowała unieść go do pozycji siedzącej, ale był zdecydowanie za ciężki.

- Proszę cię - szepnęła. - Błagam, wstań.

Jego powieki zadrgały.

- Proszę! Musisz!

Poruszył się. Powoli otworzył oczy.

- Chodź - powiedziała, pociągając go z całej siły. - Musisz iść ze mną. Proszę, zrób to!

Popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, ale zaczął się poruszać, niezwykle wolno. Uniósł się wreszcie na łokciach, a potem usiadł. Chwyciła go za ramiona i szarpnęła w górę. Jego ciało było niemal zupełnie bezwładne. Poruszał się jak chora, połamana kukła. Alicja czuła, jak nieprawdopodobny wysiłek wkłada w każdy ruch. Słyszała chrapliwy, świszczący oddech, który rzeźił mu w piersi. W końcu dźwignął się na nogi, opierając o nią. Właściwie wisiał na niej zgięty wpół. Drżała z wysiłku, przygnieciona ciężarem. Przez mokrą koszulę czuła pod palcami sterczące żebra. Jak taki chudy facet może być aż tak ciężki?

- Chodź - dyszała z trudem. - Chodź, rusz się. Musisz iść.

Obejmował ją ramionami. Zgięty w pasie wspierał skroń o głowę dziewczyny. Zimne, zlepione strąki

ciemnych włosów przykleiły się do jej twarzy. Alicja spróbowała postąpić krok do przodu i pociągnąć go za sobą. Miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej kręgosłup.

- No już! To łatwe! Spróbuj!

Nie drgnął nawet. Szarpnęła go.

- No dalej! Ruszaj się, ty sukinsynu! - jęknęła.

Zrobił jeden chwiejny krok. A potem drugi. I następny. Szedł, czepiając się jej z całej siły. Przez ten czas modliła się, żeby się tylko nie potknąć. Razem wyglądali jak groteskowy, okaleczony skorupiak, bez sensu gmerający w piasku. A jednak ich wędrówka miała cel. Alicja wlokła półprzytomnego mężczyznę w kierunku domu, niezmordowanie, z determinacją i rozpaczą. Nie można pozwolić marzeniom umrzeć, kiedy są tak blisko.

- Widzisz - mruknął Szczur w ślad za odchodzącymi. - Masz dokładnie to, czego chciałaś. - A potem pobiegł truchtem do domu, wyprzedzając gigantycznego skorupiaka na jego morderczej drodze.

\*\*\*

Bo...li...li...li... Jednakowy sygnał alarmowy napływał ze wszystkich stron do udręczonego mózgu. Alfabet Morse'a dla ślepych, głuchych i nieprzytomnych. Ból przepływał wraz z krwią do każdej komórki ciała, pulsował w rytm uderzeń serca. Cały organizm podlegał potwornemu procesowi jednoczesnego rozdzierania się na coraz drobniejsze fragmenty i natychmiastowego zrastania w coś, co znowu podlegało rozpadowi, tak jakby stał się żywym obrazem kubistycznym w stadium równoczesnej analizy i syntezy. Te nieustanne transformacje sprawiały mu ból i były obrzydliwe. Nic nie widział, wokół panowała wszechwładna czerwień. Coś krępowало go, uniemożliwiając każdy ruch. Jedyne, co mógł robić, to leżeć, słuchając, jak jego ciało krzyczy.

\*\*\*

- Boże święty, co mu jest? - jęknęła Alicja.

- Ma potwornie zatruty organizm - burknął Szczur. - Walczy z tym. Nic więcej nie umiem ci powiedzieć.

Spojrzał na dygoczącego pod kocami mężczyznę. Bez wątpienia był ciężko chory. Strużki potu spływały po ściągniętej, bladej jak wapno twarzy. Szczur przypatrywał mu się uważnie.

- Myślę, że nie umrze - powiedział. - Przynieś jakieś bandaże i porządnie opatrz mu ręce. Chustka już przesiąkła. - Mężczyzna zadrżał. Jego palce zacisnęły się na kocu. Po twarzy przebiegł mu skurcz bólu.

- Czy nie można dać mu jakiegoś środka... - zaczęła Alicja i urwała. Głos jej się załamał.

- To nic nie da, tylko pogorszy sprawę. On jest nafaszerowany jak indyk na Boże Narodzenie.

Przygryzła wargę. Szczur spojrzał na nią. Jej oczy przypominały dwie martwe dziury.

- Wyjdzie z tego - powiedział. - Nic mu się nie stanie.

- A właściwie jak on ma na imię? - usta Alicji drgnęły ledwo dostłyszalnie.

- Luke.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła kilka wilgotnych, brudnych kosmyków z czoła leżącego.

- Ma straszną gorączkę.

- To normalne - parsknął Szczur. - Lepiej idź po te bandaże.

- Tak - zgodziła się potulnie Alicja.

\*\*\*

Słońce przesuwalo się mozolnie po niebie. Jego blask wpadał przez okna, lśniącą polewą pokrywał fragmenty podłogi, łózka, ścian. Precyzyjnie wycinał z cienia nieruchomy profil kobiecej twarzy, niby sylwetkę z czarnego kartonu. Czasem cień poruszał się, wydłużał, powiększał, ale nigdy nie znikał ze ściany pokoju. Zachód rozchlapał na wszystko czerwona farbę, podbarwił plamy światła na różowo. Cień czuwającej Alicji wyostrzył się, odrealnił i stał podobny do opiekuńczego ducha, strzegącego obojga, kobiety i nieprzytomnego mężczyzny, zamkniętych we wnętrzu szkarłatnego klejnotu.

\*\*\*

Z gęstej mgły powoli zaczęły się wyłaniać kontury czegoś, co mogło być światem. Doznania przyplływały i odpływały, łagodne fale zupełnie nieczytelnych bodźców. Głęboko tliła się jednak jakaś iskierka, coś w rodzaju szarego światełka, świtu, który nie może zdecydować się nadejść. Wrażenia, w miarę jak ulegały wyostrzeniu, stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. Powróciła świadoma zdolność odczuwania bólu, który zrobił się teraz ciężki i otępiający. W obolałej głowie coś kołatało. Luke słyszał własny oddech jak obcy, pozbawiony sensu dźwięk. Miał popękane i spieczone usta. Spróbował oblizać je dziwnie zdrętwiałym językiem, ale niewiele mu to pomogło. Kiedy zdecydował się otworzyć oczy, światło uderzyło o jego źrenice z siłą rozpędzonego auta. Biało-niebieskie szpile wbiły się w mózg, eksplodując wewnątrz. Szybko zacisnął powieki. Ostrożnie uniósł je ponownie, starając się skupić wzrok na jasnej plamie przed sobą. Skrzywił się, oczy zaczęły mu łzawić, ale plama powoli zamieniała się w zmartwioną i pełną napięcia twarz młodej kobiety. Wydawała mu się znajoma, mimo że widział ją chyba pierwszy raz w życiu. Spróbował się do niej uśmiechnąć.

- Pamiętasz mnie? - spytała cichutko Alicja.

- Nie wiem - szepnął. Wciąż wyglądał fatalnie. Patrząc na ciemne sińce pod oczami i popielatą bladość twarzy rozświetloną powitalnym uśmiechem, Alicja poczuła w sercu ukłucie bólu. Luke wydawał się taki chory i jakoś... postarzały?

- Pamiętasz, co się stało? - zapytała.

Oczywiście, że pamiętał. Wszystkie fakty powróciły z nagłą ostrością.

Przymknął oczy.

- Tak. Nie mogłem dłużej... to znaczy chciałem... hm, skończyć z tym.

Przypatrywał jej się uważnie i nagle spytał niepewnie:

- Jesteś aniołem?

Potrząsnęła przecząco głową i niespodziewanie rozplakała się. Zakryła dłońmi twarz, ale łzy przeciekały przez palce, płynęły po rękach w dół, kapiąc na podłogę, na łóżko, na jego pierś.

To przeze mnie, pomyślał zmieszany. Powiedziałem albo zrobiłem coś nie tak. Nie chciał sprawić jej przykrości. Nie chciał, żeby płakała. Spróbował dzwignąć się na łokciach, ale nie dał rady. Poczul tylko przenikliwy ból w poranionych nadgarstkach.

- Przepraszam. Nie miałem niczego złego na myśli... Zapytałem, bo tylko to przyszło mi do głowy - plątał się, jeszcze niezupełnie przytomny.

- Tak się bałam, że możesz umrzeć - szlochała Alicja. - Zaraz mi przejdzie. Prze...praszam.

\*\*\*

- Poszłaś kiedykolwiek tak daleko, żeby zobaczyć, co jest za lasem? - spytał Luke.

- Nie. Za każdym razem gubię się między drzewami. W końcu trafiam na ścieżkę, która prowadzi z powrotem do domu. Myślę, że dalej po prostu nic nie ma.

Blask słońca wpadał przez okna, zalewał kuchnię jasnym światłem późnego poranka. To był pierwszy dzień, kiedy Luke poczuł się na tyle dobrze, żeby Alicja pozwoliła mu wstać. Smażyła właśnie jajka na śniadanie, mocno przejęta tą trudną i nie do końca opanowaną sztuką.

- Jak dużo miejsca nam przydzielono?

- Sporo. Po lesie można krążyć nawet kilka dni.

Luke zapalił papierosa.

- To nie będzie specjalnie błyskotliwe pytanie - powiedział. - Zastanawiałaś się, dlaczego tu jesteśmy?

- O tak. Milion razy. Na początku. Ale nie potrafiłam znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi, więc przestałam, żeby nie zwariować.

Odwrócona do niego plecami kroićła plastry bekonu na ciemnym drewnianym blacie. Kuchnia, tak jak cały dom, była ogromna, staroświecka i odrobinę mroczna. Nawet teraz, w pełnym świetle poranka, cień chował się wśród galeryjek ciężkiego kredensu, pomiędzy nogami potężnego dębowego stołu i w szparach podłogi zrobionej z grubych desek pomalowanych na kolor dojrzalej wiśni.

- Szczur zamiast Królika - mruknął Luke.

- Raczej zamiast Gadającego Świerszcza. - Uśmiechnęła się niewesoło.

- Nastrój pasuje bardziej do Krainy Czarów, w której Królika zastąpił Szczur.

- W dodatku dosadny i nieuprzejmy. Kiedy zdążyłeś go poznać?

- Dziś rano. Popatrzył na mnie ponuro i nie raczył się nawet odezwać. A potem wszedł do szafy.

- Tej dużej, na lwich nóżkach? - Spojrzała na Luke'a przez ramię.

Skinął głową, strzepując popiół na lekko wyszczerbiony talerzyk w różyczki.

- Przedtem był w niej tylko stary parasol i puste pudła na kapelusze - powiedziała Alicja. - Od tamtej nocy, kiedy się zjawiłeś, pełno w niej twoich rzeczy. Koszule, spodnie, swetry, garnitury, nawet płaszcz. Przyda ci się. Zimą bywa tutaj paskudnie.

Starła się mówić lekko, ale przy ostatnim zdaniu głos jej się trochę załamał. Luke ostrożnie położył rękę na stole. Nadgarstki miał grubo poowijane bandażem.

- Przeżyłaś już zimę tutaj, prawda? - spytał łagodnie. Plastry boczku gwałtownie rzucone na patelnię zaskwierczały.

- Dwie - szepnęła Alicja. - Na początku myślałam, że oszaleję. Chyba niewiele do tego brakowało. Wiesz, raz nawet zabiłam Szczura. Rzuciłam w niego mosiężnym świecznikiem. Ogromnym. Szczur upadł całkiem martwy, jestem tego pewna. Rozwaliłam mu głowę. Wpadłam potem w histerię. Ciągnęłam trupa za ogon, płacząc. Wyobrażałam sobie, jak latami błąkam się po tym ogromnym, pustym domu, coraz starsza i coraz bardziej przerażona. Zostawiłam go na plaży. Potem przeżyłam jedną z najgorszych nocy w życiu. A rano Szczur zjawił się jakby nigdy nic. Powiedział tylko: „Staraj się panować nad emocjami, bardzo cię proszę”. Nigdy więcej do tego nie wracał. Wiesz, co jest naprawdę zabawne? W końcu doszłam do siebie i zrobiłam się głodna. Otworzyłam lodówkę. Była pełna marchwi. Soków, przecierów, sałatek, potrawek, mrożonek, wszystko z gotowanej marchwi. Pozostałe jedzenie po prostu znikło. Jadłam to świństwo przez tydzień. Najgorsze, że czułam się jak dziecko, które ktoś skarcił. Od tamtej pory przestałam walczyć ze Szczurem.

Luke słuchał uważnie. Wiedziała, że posiada rzadki dar prawdziwego słuchania rozmówcy. Palił kolejnego papierosa, głęboko zaciągając się dymem. Siedział nieco pochylony na krześle, długie nogi skrzyżowane w kostkach sięgały daleko pod stół. Uśmiechnął się do niej, mrużąc oczy, w których



pojawił się dziwny błysk.

- Opowiem ci historyjkę, chcesz? Żeby ci nie było smutno z powodu marchwi.

Wracałem kiedyś nocą do domu, pieszo. Na ulicy słychać było tylko moje kroki. Niebo zrobiło się blaszane, a domy spały jak wielkie skulone zwierzęta.

Podobała mi się moja samotność pod gwiazdami. Szedłem zakosami od rynsztoka do rynsztoka, własne myśli wydawały mi się słuszne i głębokie, a oscyływały między rozczarowaniem stagnacją życia, przekonaniem o tandetnym blichtrze cywilizacji, pragnieniem prawdziwej miłości i „kurwa, pieprzę ten cały interes”, co oznaczało, że naprałem się na smutno. Nagle usłyszałem cieniutki, żalony głosik. Nie spodziewałem się, że jakiegokolwiek stworzenie może dawać wyraz takiej rezygnacji i smutku. W obecnym nastroju nie potrafiłem przejść obojętnie wobec cierpienia tego czegoś, cokolwiek to było. Za załomem muru znalazłem malutkiego burego kotka, który płakał na parapecie zamkniętego piwnicznego okna. Wydłubałem go z kąta, gdzie próbował się schować. Nawet się nie bronił, tylko sflaczał w ostatniej rozpaczy. Dawno nie widziałem czegoś równie nędznego. Był lepki od brudu i sparszywiały, chudy jeszcze bardziej niż ja, miał kaprawe, zaropiałe oczka, a poza tym wciąż się trząsał. Mieścił się cały na jednej dłoni. Nie mogłem go tam zostawić. Wpakowałem zwierzątko pod marynarkę i zaniósłem do domu. Laura, kiedy go zobaczyła, zapytała, czy następnym razem, jak mnie weźmie litość, przyprowadzę z ulicy dziwkę, bo taka biedna i ma rzeżączkę.

- Zawsze tak było? - spytała cicho Alicja.

Luke spochmurniał.

- Nie, nie zawsze. Ale wystarczająco często. Rzecz w tym, że powinniśmy się rozstać wtedy, kiedy przestaliśmy się rozumieć, a nie wtedy, kiedy zaczęliśmy się naprawdę nienawidzić. W każdym razie kot został. Moja siostra go wzięła. Jest teraz wielkim, grubym kocurem w domu pełnym dzieciaków. I tu dochodzimy do morału. Czasami wybawiony trafia lepiej niż wybawca.

Alicjo, czy ty pamiętasz, jak się tu znalazłaś?

Przymknęła oczy.

- To okropnie banalne. Potracił mnie samochód. W dodatku na zielonym świetle. Przechodziłam przez jezdnię, a tamta kobieta po prostu na mnie wpadła. Pamiętam jej zdziwioną twarz. Nie mam pojęcia, jak mogła nie zauważyć, że światło się zmieniło. Gdybym chociaż przechodziła na czerwonym, byłoby w tym więcej sensu. A potem ocknęłam się tutaj, na plaży. Nie czułam się źle, tylko przez pierwsze dni miałam zawroty głowy i mdłości. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam Szczura. Czekał na mnie.

- Myślisz, że on jest czymś w rodzaju anioła stróża?

Alicja zastanawiała się przez moment.

- Nie wiem. Nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy.

- Anielski gryzoń - mruknął Luke. - Kto wymyślił coś podobnego?

Patrzył na nią spod lekko zmrużonych powiek. Wiedziała, że nie najlepiej widzi bez okularów, które nosił tylko czasami. Za to miał najpiękniejsze oczy, jakie potrafiła sobie wyobrazić.

- Znam cię od zawsze - powiedział nagle. - Nie rozumiem, jak to możliwe. Ty wiedziałaś o mnie wcześniej, prawda?

Uśmiechnęła się.

- Pewnie, że tak. Odkąd się tu pojawiłam.

- Czyli niemal dwa lata.

Dziewczyna drgnęła.

- Wiesz - zaczęła cicho - jesteśmy tu tylko we dwoje. A jeśli będziemy musieli zostać na zawsze?

Wpatrywała się w niego z napięciem. Zdusił niedopałek.

- Nawet jeśli tak się stanie, to nie wiem, co mogłoby mi się przytrafić lepszego.

- Naprawdę? - szepnęła.

- Tak. Naprawdę.

Spojrzała mu w twarz i zobaczyła, że się uśmiecha.

- Czujesz dym? - spytał.

I wtedy Alicja poczuła. W kuchni zrobiło się szaro.

- O rany! - jęknęła. - Jajka się spaliły!

\*\*\*

Luke spoglądał na dom. Dziwaczny w kształcie i pociemniały ze starości, wznosił się na niskiej skarpie nad samym morzem. Bódl niebo stromym dachem i ostrymi hełmami półokrągłych wieżyczek. W nieregularną bryłę ktoś wkomponował mnóstwo balkonów, okien, załamanych nisz i kolumnienek oplecionych dzikim winem i powojem o ogromnych, słodko pachnących kwiatach. Całość wyglądała tak nierealnie, jakby zrodziła się podczas snu szalonego symbolisty, ale jednocześnie emanowała nastrojem tajemniczego uroku. Luke natychmiast polubił ten dom. Otoczenie też mu się podobało. Wzdłuż brzegu morza ciągnęła się w obie strony płowa wstęga plaży. Fale wyrzucały na brzeg różne fantastyczne dziwactwa, ogryzione kości gałęzi, drobne muszle i wodorosty. Wiatr pachniał słono i rzeško. Woda była chłodna, a jej tafla przybierała tysiączne odcienie, od intensywnego błękitu przez granat i stalową szarość aż do perłowych, bladych srebrzystości.

Z tyłu za domem rosło sporo rozłożystych zdziczałych drzew owocowych, pozostałość zaniedbanego sadu. Luke podszedł do wielkiej, pokrzywionej jabłoni, która pewnie od dawna już nie rodziła owoców. Dotknąwszy dłonią chropawej kory, starał się wyobrazić sobie cierpki smak jabłek.

Może miałyby posmak soli?

Za drzewami rozciągały się łąki, rozległe, porośnięte wysoką trawą. Im bliżej morza, tym trawa stawała się ostrzejsza i bledsza, wyrastała rozwichrzonymi kępami. Im dalej było do brzegu, tym miększa się stawała, jej zieleń ciemniała, długie źdźbła zaczynały przeplatać się z wesołymi pyszczkami margerytek i fioletowymi czuprykami koniczyny.

Krajobraz był urzekający, ale zupełnie nierzeczywisty. Luke'owi przywodził na myśl sceny ze średniowiecznych arrasów, walki ze smokami i polowania na jednorożce. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś utkał czy wyhaftował obraz, we wnętrzu którego znaleźli się oboje z Alicją. Głęboko, niewidoczny nawet kątem oka, czaił się za tym wszystkim niepokój, tajemnica zasnuwająca widnokrąg bladą mgiełką. Luke z łatwością potrafił uwierzyć, że za ścianą lasu na horyzoncie zaczyna się nicość. Mimo to nigdy nie czuł się tak mocno związany z jakimś miejscem, tak bardzo gdzieś przynależny. Wydawało mu się, że powrócił do domu z jakiejś długiej i nieprzyjemnej podróży.

Ten powrót przyniósł mu radość i ukojenie. Nie bał się samotności z Alicją. Był całkowicie przekonany, że nie grozi im znużenie sobą nawzajem. Powoli zaczynał rozumieć, jakimi oczami patrzyli na świat Adam i Ewa.

\*\*\*

Noc była długa i nieprzyjemna. Męczyły go paskudne sny. Leżał na łóżku w niemile sterylnej sali. Jedyne dźwięki, jakie potrafił uchwycić, sprowadzał się do poszumu, świergotania i pikania różnych

rozstawionych wokoło urządzeń. Ich ostre żądła wbijały się w jego skórę. Miał wrażenie, że maszyny powolutku wysysają z niego życie, niby wielkie pająki ukryte w metalowych i plastikowych osłonach, wampiry, którym udało się do perfekcji opanować zdolność mimikry.

Obserwował samego siebie z góry, jak gdyby unosił się gdzieś pod sufitem. Jego ciało wyglądało na bardzo chore. Mizerna twarz o zapadniętych policzkach, sterczące obojczyki, chude ręce poznaczone sinymi śladami i chciwe żądła igieł spijające krew bezpośrednio z żył. Niemal o tym zapomniał, ale tak właśnie wyglądała rzeczywistość.

Z nagłą jasnością zdał sobie sprawę, co widzi. I wtedy się obudził. Zadrzał. Alicja spała skulona w drugiej części ogromnego łóżka. Wyglądała na tak kruchą, że aż niematerialną. Wystarczy pstryknięcie palcami i rozwieje się w powietrzu.

Nikt mi już niczego nie zabierze! - pomyślał, ale w środku zagnieździło się nagle tępe, bezradne przerażenie, bo zrozumiał, gdzie się znaleźli.

- Diorama - szepnął niemal bezdźwięcznie. - Jesteśmy w terrarium Boga.

- Ładnie powiedziane - pochwalił go cichym głosem Szczur, który siedział obok na szafce. - I trafne.

- Ten sen to rzeczywistość, prawda? - spytał Luke. - Tak naprawdę leżę tam, w szpitalu.

- Co to znaczy naprawdę? - burknął Szczur. - Jesteś tam, gdzie masz być. Oddychasz, jesz, kochasz się, czujesz się szczęśliwy lub smutny. Jesteś rozsądnym facetem, Luke. Nie zadawaj głupich pytań. A jeśli chodzi o tamto ciało, to rzeczywiście, znajduje się w szpitalu, w stanie śpiączki.

Luke'a przeszedł dreszcz.

- Zaraz - szepnął. - Jeśli to prawda, w każdej chwili mogę się obudzić w tym cholernym szpitalu i stracić wszystko...

- Nie możesz - przerwał szorstko Szczur. - Masz uszkodzony mózg. Prawdę mówiąc, masz zniszczony mózg. Tam, na dole, przypominasz roślinę, Luke.

- A co masz do powiedzenia o niej?

- To samo. - Szczur zrobił taki ruch, jakby wzruszał ramionami. - Prawie.

- Czy ona wie?

- Naturalnie. Często o tym śni. Zresztą ty też będziesz. I co? Czujesz się oszukany? Zawiedziony?

- Nie. Chyba nie - zdecydował. Przymknął oczy. Jakoś trudno mu było zebrać myśli.

- Czy w jakikolwiek sposób przyczyniłem się do tego, co się stało z Alicją?

- A jesteś Bogiem? - parsknął Szczur. - Wy, ludzie, macie o sobie cholernie wysokie mniemanie.

Przyjmij to tak, jak jest. Znaleźliście się w terrarium, jak sam słusznie zauważyłeś.

- Jaką mam wobec tego pewność, że to rzeczywiście terrarium, a nie laboratorium?

- Wcale nie masz pewności - odparł Szczur, zeskakując z szafki i roztapiając się w ciemności. - Pozostaje ci tylko nadzieja. Dobranoc.

Rozmawiali cicho, więc Alicja się nie obudziła. Mruknęła tylko coś przez sen i poruszyła się nerwowo. Luke patrzył na czarny prostokąt sufitu.

\*\*\*

Gryzł długie srebrnozielone źdźbło trawy. Miało gorzkawy smak. Siedzieli na piasku, patrząc w morze. Luke obejmował rękami kolana, a dziewczyna bawiła się muszelką.

- Zawsze bardzo lubiłem morze - stwierdził. - Ale nie potrafię mu ufać. Kiedy byłem mały, wierzyłem, że jest żywe. Rozmawiałem z nim.

Alicja spojrzała na niego. Wzruszył ramionami, uśmiechając się.

- No, to znaczy gadałem do niego, a ono szumiało.

- Ja też uwielbiam morze - powiedziała. - Ale panicznie boję się wody, a właściwie utonięcia. Pozostać na zawsze wśród ryb i tych dziwacznych, upiornych stworzeń o mnóstwie nóg, aż do skończenia świata, brr... to wstrętne. Nawet jeśli mieszka się w zamku z pereł, koralami i bursztynu. Luke podniósł mały kamyczek i cisnął w stronę fal.

- Te wszystkie historyjki o podwodnych pałacach, morskich księżniczkach, utopionych żeglarzach. Czasem myślę, że naprawdę tam są. Robi mi się zimno, kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać. Chyba mógłbym wejść do wody i iść w głąbiny, po prostu żeby ich odwiedzić. Nie patrz tak, kochanie. To jeden z moich mniej wariackich pomysłów.

Oczy Alicji nagle zaświeły, jakby o czymś sobie przypominała, a na jej twarzy pojawił się figlarny uśmiech.

- Chciałbyś zobaczyć mój wariacki pomysł? Trzeba iść w górę strumyka, aż do lasu. Chcesz?

- Jasne. Mam całą kolekcję wariackich pomysłów. Zbieram je od dzieciństwa i zapisuję w notesie.

- Wiem. - Skinęła głową. - Ma grube czarne okładki, pełno w nim rysunków i różnych rzeczy, które akurat przyszły ci do głowy. Piszesz w nim wiecznym piórem...

- Które podobnie jak notes zostało hen w dole, na ziemi - przerwał, wstając i otrzepując się z piasku.

- Lepiej już chodźmy.

Wydawało jej się, że posmutniał.

- Masz rację - powiedziała. - Liczy się tu i teraz.

\*\*\*

Zatrzymał się na skraju polany, jakby nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Popatrzył na dziewczynę z mieszaniną podziwu i niedowierzania.

- Sama to zrobiłaś? - spytał.

- W pewnym sensie - mruknęła, nagle dziwnie zakłopotana.

Luke postąpił dwa kroki naprzód i znów zamarł. Milczał. W końcu nie wytrzymała.

- Podobają ci się? - zapytała z nadzieją.

Odwrocił się z twarzą nadspodziewanie poważną. Nigdy nie przypuszczała, że to, co mu pokazała, zrobi na nim tak piorunujące wrażenie.

- Są piękne - powiedział. - Po prostu piękne. W jaki sposób udało ci się je zrobić?

- No... - szepnęła zmieszana. - Ja tylko patrzyłam na kamienie. Wyobrażałam sobie ciebie, patrzyłam na kamień, a potem odpryski śmigają na wszystkie strony i tyle. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje.

Mała polanka, przecięta strumykiem, pełna była rzeźb. Wszystkie przedstawiały Luke'a. Luke siedzący na krześle z nogą założoną na nogę, Luke palący papierosa, Luke podpierający pięścią brodę. Wszystkie portrety były uderzająco podobne, pewnie nakreślone. Oddawały najmniejsze niuanse nastroju i osobowości modela. Wydawały się w jakiś sposób żywe, co przydawało im niepokojącego czaru.

Luke, trochę oszołomiony, przechadzał się w milczeniu między własnymi wyobrażeniami. Czuł się dziwacznie, jakby oglądał skamieniałe kawałki swojego życia zamrożone przez Alicję w nagłym ułamku czasu.

Dotknął najbliższego posągu i w niespodziewanym przeblasku olśnienia zrozumiał, dlaczego na ich widok odczuł mieszaninę zachwyty i grozy. Żadna z tych rzeźb na pewno nie została wyciosana dłutem. Wyglądały, jakby ktoś w niezwykle sposób zmusił kamień do przybrania takiej, a nie innej formy.

- Podobają ci się? - spytała ponownie Alicja.

Po raz pierwszy, odkąd stanęli na polanie, zdobył się na uśmiech.

- Mój Boże - powiedział. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nie ma rzeźbiarza, który mógłby ci dorównać.

- Nie wyrzeźbiłam ich. Ja tylko patrzyłam na kamienie. Może to się dzieje jedynie tutaj, na tej polanie. Spróbuj sam.

- Nic z tego nie wyjdzie. Nie potrafię tego zrobić.

- To bardzo łatwe. Wystarczy, że spojrzysz na któryś kamień. Może być tamten, omszały na zielono, przy samym brzegu wody.

- Nie umiem kształtować kamieni siłą woli.

- A próbowałeś? - Lekko wydeła wargi. - Mówię ci, to łatwe. Po prostu boisz się, że ci nie wyjdzie.

- W porządku! - skapitulował, doskonale wiedząc, że dziewczyna go podpuszcza. - Na który mam patrzeć?

- Na tamten omszały - wskazała palcem.

Na chwilę zamknął powieki, potem otworzył oczy i spojrzał na kamień. Rozległ się głuchy trzask, odpryski zatańczyły w powietrzu.

Kiedy opadły na trawę, w miejscu głazu pojawiła się główka kilkuletniego chłopczyka o delikatnych rysach.

Alicja gwałtownie wciągnęła powietrze.

- To Danny, mój syn - powiedział Luke. - Zginął w katastrofie lotniczej cztery i pół roku temu - urwał i obrócił ku niej twarz. Nerwowo zacisnął wargi, blade, jakby odpłynęła z nich cała krew.

- Nie powinnam cię zmuszać, żebyś to robił - usta Alicji poruszyły się niemal bezgłośnie. - W ogóle nie powinnam cię tu przyprowadzać.

- W porządku - szepnął. - To nie twoja wina. Ja... po prostu nie potrafię pogodzić się z tym, że go nie ma.

Dziewczyna milczała z wzrokiem wbitym w mech pod stopami. Nagle głośno trzasnęła złamana gałązka, a wśród zarośli coś zaszeleściło. Luke drgnął.

- Co to? - spytał.

- Ciebie - powiedziała. - Smuga smutku. Stój cicho i staraj się nie ruszać.

Wśród drzew dały się słyszeć stłumione odgłosy, tupnięcia i parsknięcia. W chwilę potem spomiędzy liści wychynął suchy, kształtny łeb. Za nim ukazała się szyja zdobna w długą grzywę, aż wreszcie koń ostrożnie wkroczył na polanę. Był karej maści, jego sierść lśniła jak onyks. Miał długie, zgrabne nogi i bujny ogon. Uniósł głowę, drżącymi chrapami wachał powietrze. Wypukłe ciemne oko rzucało nieufne spojrzenia na dwoje ludzi nieruchomych niby posagi, pomiędzy którymi stali. Zwierzę przestąpiło z nogi na nogę, potrząsnęło łbem, po czym odwróciło się i znikło w lesie.

- Nie widziałam go od bardzo dawna - głos Alicji brzmiał dziwnie pusto. - Przychodzi tak rzadko. Pierwszy raz zobaczyłam go koło domu. Czułam się rozpaczliwie samotna. Szczur nie pojawiał się od kilku dni, myślałam, że nigdy nie wróci. Ze wszystkich sił pragnęłam spotkać jakieś żywe stworzenie, żebym nie musiała tkwić tu sama do końca świata. Wtedy usłyszałam tętent. Po plaży biegł ten koń. Całą sierść miał mokrą, pokrytą nalotem soli...

- Och, Boże święty! - Zachłysnęła się nagle. Jej źrenice rozszerzyły się w paroksyzmie przerażenia i rozpacz. Z całkowitą jasnością zdała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Twarz jej pobladła, zatrzepotała rękami. Przed oczami zobaczyła tańczące czarne płatki, a nogi zrobiły się tak miękkie, że z trudem utrzymywały ciężar ciała. Alicja czuła, że zaraz zemdleje.

- Co się stało? - Luke podtrzymał ją, przyciskając do siebie. Spojrzała w jego zdumione, pełne strachu oczy.

- Luke... - jęknęła. - Co ja ci zrobiłam? Chciałam tylko, żebyś był szczęśliwy, przysięgam. Tylko tyle. Nagle zaczęła krzyczeć. Bezskutecznie próbował ją uspokoić, opanować tę falę histerycznej rozpaczki, ale dziewczyna szarpała się w jego uścisku.

- Co za pieprzone, kurewskie draństwo! Ja ci to zrobiłam!!! Nie rozumiesz?! Sprowadziłam cię tutaj. Widzisz, tyle potrafię! Nawet zmusić cię, żebyś wziął tę cholerną żyłkę... Wystarczy tylko naprawdę mocno chcieć, wystarczy nabazgrać codziennie na piasku kilka magicznych formuł, które dostało się od jakiegoś pieprzonego Szczura, i proszę! Wszystko jest możliwe, prawda?!

- Posłuchaj mnie, to nie tak... - starał się mówić spokojnie, ale mimowolnie coraz bardziej podnosił głos. Zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny. Sytuacja całkiem wymknęła się spod kontroli.

- Dokucza ci samotność?! - krzyknęła z furią Alicja. - Chcesz mieć dziecko?! Świetnie, wybierzemy sobie jakieś, a ja je zgrabnie załatwię. Może być nawet żółte, czarne lub zielone, w dodatku od razu odchowane! To nie problem! A może brakuje ci rodziny, przyjaciół? Nic prostszego! Zogniskowane pragnienie, bazgroł na piasku, a potem nagły wypadek lub depresja zakończona samobójstwem i gotowe! W ten sposób skompletujemy doborowe towarzystwo. Pieska? Kotka? Pandę olbrzymią? Nic trudnego, wystarczy wybrać dowolny okaz! Boże, Luke, ja chciałam, żebyś był szczęśliwy! Nic więcej! Zamiast tego cię zabiłam!

- Do cholery, Alicjo! - wrzasnął Luke. - Zamknij się i słuchaj! Ja **JESTEM** szczęśliwy! Przestań bredzić! Żyję i mam się dobrze. Jestem kurewsko szczęśliwy, nigdy w życiu bardziej nie byłem! Przycisnął ją mocniej i lekko potrząsnął. Wiła się w jego objęciach, starając uwolnić.

- To przeze mnie! - powtarzała uparcie. - Dobrze wiesz, że mam rację! Przeze mnie leżysz w tym cholernym szpitalu jak jakieś warzywo, pieprzona kapusta, seler... jak... marchew!

Wybuchła gwałtownym, rozpaczliwym szlochem. Objęła go kurczowo, tuląc twarz do jego piersi. Luke, do którego dotarł nagle absurdalny komizm całej sceny, miał przez moment ochotę się roześmiać, ale udręka i gorycz Alicji były zbyt prawdziwe.

- Cicho, serduszek, już dosyć - powiedział. - Zostaw w spokoju te jarzyny. Wszystko, co się stało, zrobiłem sobie sam. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

- To przeze mnie chciałeś się zabić... - chlupała - przeze mnie jesteś tutaj... jak marchew...

I rozsłochała się znowu.

- Wyjdź z tego ogródka, kochanie. Spójrz na mnie. No, popatrz na mnie. Uporczywie odwracała twarz, wtulając głowę pod jego pachę. Płakała tak, że cały przód koszuli miał mokry. Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie, ale stanowczo uniósł w górę. Musiała na niego spojrzeć.

- Nie zabieraj mi wszystkiego, skarbie. Zostaw dla mnie jakieś zasługi w dziedzinie rozpieprzania sobie życia. Znasz mnie, widziałaś, po co mam ci o tym opowiadać? Własnymi rękami zbudowałem sobie piekło. Nic już nie można było zrobić. Pogodziłem się z tym, nikogo nie winię, nawet siebie samego, ale chyba musiałbym oszaleć, żeby czegokolwiek żałować. Posłuchaj, chcę, żeby to do ciebie dotarło. Jesteś najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek pozwolono mi mieć, pocałunkiem od Boga, rozumiesz?

- Nie krzycz - szepnęła.

- Wcale nie krzyczę. Zdenerwowałem się tylko. Boże, nigdy więcej tego nie rób! Myślałem, że stało ci się coś strasznego. Kocham cię, dziewczyno. Chcesz, żebym umarł na zawał?

Palce Alicji wbiły się w jego ramię.

- O Jezu, Luke, może jestem potworem, ale tak się cieszę, że tu jesteś...

- Chodź, pójdziemy do domu - powiedział. - Ja mam dość atrakcji na dzisiaj.

Nie ruszył się jednak z miejsca. Wciąż stał po kostki w trawie, w lesie, którego nie było, tuląc do

siebie ukochaną kobietę, która mu się śniła.

\*\*\*

Patrząc na wrak swojego ciała leżący w sterylnej salce szpitalnej poczuł nagły lęk. Miarowe buczenie aparatury przyprawiało go o dreszcze. Powietrze naelektryzowane było niepokojem. Gdy tylko zrozumiał, czego się boi, obudził się. Dreszcze nie ustąpiły. Dygotał.

Alicja poruszyła się w ciemności.

- Luke? - szepnęła. - Co ci jest?

- Śniłem szpital - odpowiedział. Jego głos brzmiał dziwnie głucho. Szpila tego samego lęku przeszła nagle i ją.

- Stało się coś złego?

- Nie wiem... chyba nie. Myślę, że zdecydowali się mnie odłączyć.

- O Boże! - jęknęła.

- Nie sądzę, żeby... to mogło coś zmienić - powiedział i urwał.

- To nic - zaczęła szybko Alicja. - Nawet nie zauważysz. Mnie odłączyli już dawno temu. Nie martw się. To trochę jak skok w głęboką wodę, ale nic więcej.

- Chodź do mnie! - szepnął. Jego dłonie wsunęły się w jej włosy, dotknęły twarzy, ramion, piersi i nagle wszystko stało się tak straszne, aż krzyknęła na głos:

- Nic złego nie może się stać!

A potem zapadła cisza.

Przerwał ją dopiero po chwili zdławiony głos Luke'a.

- W porządku. Nic nie możemy zrobić. Pozostaje tylko czekać, aż... O Chryste, ja nie mogę teraz umrzeć. Dopiero zacząłem żyć.

Alicja głęboko wciągnęła powietrze.

- Nie bój się - powiedział łagodnie. - Tym razem nie będzie drastycznego finału.

- Śmierć to wcale nie finał - wtrącił Szczur. Siedział w nogach łóżka i ogryzał pazury. Nie zauważyli, czy przyszedł przed chwilą, czy był tam od początku.

- Nic o niej nie wiecie, a traktujecie ją zbyt **OSTATECZNIE**. Może oboje umarliście już dawno, nie dostrzegając różnicy?

- Wynoś się! - krzyknęła Alicja i rzuciła w Szczura pustym kubkiem po herbacie. Nie trafiła. Kubek z hukiem uderzył o szafę.

- Nastajesz na życie niewinnego gryzonia - oburzył się Szczur, dając nura w ciemność. - Chciałem was tylko pocieszyć.

- Precz! - zawołała z rozpaczą Alicja.

- Och, nie przeszkadzajcie sobie! Chyba nie wstydzicie się Szczura? - ozwał się głos z mroku za drzwiami. W ciszy, która nastąpiła, wyraźnie dał się słyszeć chrobot drobnych pazurów.

- Muszę z nim porozmawiać - szepnął Luke. Wstał i w ciemności zaczął naciągać spodnie.

- Tak - zgodziła się - Masz rację. Idź.

Widział ją jak cień skulony na łóżku. Szczur czekał na niego na ganku. Luke skrzyżował ramiona na piersi i zadrżał w podmuchu chłodnego wiatru.

- Co tu się tak naprawdę dzieje? - spytał ostro.

Oczy Szczura załśniły.

- Posłuchaj, Lukas. Przyjmij to, co dostałeś, i pokornie podziękuj. Czyżbyś nie czuł się szczęśliwy? Znalazłeś to, czego ci brakowało. Ukojenie.

- Chcę wiedzieć - powiedział Luke. - Mam prawo wiedzieć.  
- Ty nie stanowisz praw. Jest Ktoś, komu podlegasz. Ktoś, kto sam jest Prawem.  
- Proszę - szepnął Luke, który powoli zaczął się domyślać. Próbował nie dopuszczać do siebie tej możliwości.  
Szczur spojrzał na niego lśnącymi oczami.  
- „Bóg przywraca szczęście Hioba” - powiedział tylko.  
- Co? - jęknął Luke z niedowierzaniem.  
- Dokładnie to, co słyszałeś.  
Poczuł, jak ogarnia go fala bezsilnej wściekłości i goryczy.  
- Dostałem to za Danny'ego, tak? W zamian za syna, którego mi zabrał! To podłe, wstrętne i podłe!  
Ja...  
Zabrakło mu słów.  
- Boże Wszechmogący! - wykrztusił w końcu.  
Głos Szczura był przerażająco poważny.  
- Nie wołaj Go, Lukas. Dobrze ci radzę. Lepiej Go nie wołaj.  
- Dlaczego?! - krzyknął z furją. - Co jeszcze może mi zrobić?!  
- Wszystko. Musisz to zrozumieć. On może wszystko. Uznał, że należy ci się nagroda. Odpoczynek. Przyjmij to pokornie i z wdzięcznością.  
- Z wdzięcznością! - jęknął. - No pewnie! Mam paść na kolana i krzyczeć „Hosanna”, bo a nuż się rozzłości i pośle mnie do piekła?  
- Zgadza się - przytaknął Szczur.  
- Całe moje pieprzone życie spędziłem w piekle - warknął Luke. - Nie zmartwię się specjalnie, kiedy tam trafię.  
- Mylisz się - głos Szczura stwardniał. - Otrzymałeś łaskę. Wybaczone ci. Uszanuj to. Przez całe życie błądziłeś. Niedawno sam to przyznałeś. Uratowało cię to, że w głębi duszy nigdy nie wyparłeś się Pana. W końcu popełniłeś samobójstwo. To grzech śmiertelny, pamiętasz? Ale Pan wspaniałomyślnie ci wybaczył. Wszystko zależy od Jego woli. Nigdy nie mów nic pochopnie o Bogu ani o piekle, Lukas. Nie masz o tym najmniejszego pojęcia. Ciesz się z tego, co ci dano, i pamiętaj, że Pan może w każdej chwili cofnąć swoją łaskę i przypomnieć sobie wszystkie powody wystarczające, żeby cię ukarać.  
- Więc do tej pory mnie nie karał? - spytał Luke gorzko. - Nawet kiedy zabrał mi dziecko?  
- Do tej pory nawet cię nie tknął - powiedział Szczur. - Rozumiesz mnie?  
- A Alicja?  
- Jest dokładnie tak, jak powiedziałem. Pan stworzył ją dla ciebie. Pochodzi wprost z twoich wyobrażeń i potrzeb. Wejrzał w ciebie, a następnie powołał do życia istotę, która najbardziej ci odpowiada, i umieścił ją w miejscu najlepiej do ciebie pasującym.  
- Więc tak naprawdę jej nie ma?  
- Ależ jest. Tutaj.  
- Ale nie tam, w rzeczywistości?  
- Nie zadawaj głupich pytań, Luke! - zdenerwował się Szczur. - Dokładnie takiej kobiety zawsze szukałeś, prawda? Doskonale identycznej. Żyjesz chyba wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że ideały nie istnieją.  
Luke usiadł na stopniach ganku. Było mu zimno, ale nie zwracał na to uwagi. Czuł, jak gryząca gorycz zżera mu serce.  
- On zabrał mojego syna - powiedział cicho. - Mojego Danny'ego. Na co mu czteroletni chłopczyk?



- Niczego ci nie zabrał! - wrzasnął Szczur tak nagle, że Luke aż drgnął. - Ten dzieciak nigdy nie należał do ciebie, tylko do Niego! Tak jak ty sam! Tak jak wszystko! Po prostu był twoim synem, nic więcej. Skąd wiesz, że tam nie jest szczęśliwszy?

Nagły wybuch Szczura zaskoczył go. Spojrzał w lśniące ślepie i zobaczył w nich cierpienie.

- Czemu wy, ludzie, nie potraficie niczego docenić? Czemu nie rozumiecie, że On robi dla was o wiele więcej niż dla jakichkolwiek innych istot we wszechświecie, które służą Mu z niepomiernie większym oddaniem? Jesteście ślepi i tępi! Na wszystkie gwiazdy nieba, tacy ślepi i tępi! Wybacz, Lukas. Teraz nie mogę z tobą rozmawiać.

Luke usłyszał prędko chrobot łap i Szczur zniknął. Został sam. Ciemność wokół nigdy nie wydawała się bardziej gęsta. Ukrył twarz w dłoniach i roześmiał się nagle chrapliwym, niemal histerycznym śmiechem.

- „Bóg przywraca szczęście Hioba” - powiedział na głos. - A niech to cholera!

*Kiedy byłam małą dziewczynką, wierzyłam światu, że za lustrem zaczyna się inny świat. Za wszelką cenę starałam się dostrzec w szklanej tafli chociaż fragment niewidocznego pokoju czy korytarza, przekonana, że stoją tam inne meble i mieszkają dziwne, tajemnicze istoty. Pragnęłam je podejrzeć tak bardzo, ale nie chciały mi się pokazać. Czasem, w nocy, przemykały ukradkiem, ciemne jak mrok.*

*Prawdopodobnie z tej fascynacji wziął się pomysł na mikropowieść „Zwierciadło”.  
Niektórym może wyda się ponura, aleja, pisząc ją, świetnie się bawiłam.*

*Rozważcie to panowie, orły i jaguary,  
Choćbyście byli ze złota,  
Choćbyście byli z jadeitu,  
I tak pójdziecie tam,  
Do miejsca ludzi bez ciała.*

*Wiersz aztecki*



# Zwierciadło

Obudził ją hałas. Brzęk, jakby pękała szklana tafla. Jednak gdy otworzyła oczy, nie dostrzegła niczego niezwykłego. Kontury znajomych mebli w ciemności przypominały uśpione zwierzęta. Najlżejszy powiew nie poruszał zasłon, więc żadne okno z pewnością nie zostało wybite. Mrok wypełniał pokój jak ogromne, spokojne jezioro, a łóżko zdawało się spoczywać na jego dnie, podobne do szkatułki ze skarbami.

To musiał być sen, z którego nie zapamiętałam nic poza dźwiękiem, uznała, przymykając powieki. Ogarnęła ją ciepła, przyjazna ciemność. Zasypiała już, gdy dźwięk się powtórzył, tym razem o wiele cichszy. Towarzyszyło mu ledwie dosłyszalne dzwonienie i odgłos delikatnego skrobania. Zadrzała. Zaniepokojona usiadła na łóżku. Dźwięk umilkł.

Może to jednak szyba, pomyślała, spuszczając nogi na podłogę. Podeszła do okna, uchyliła zasłonę. Szkło wydawało się nienaruszone. Przez nie ujrzała fragment ogrodu, parkan z wysokich kutych sztachet, postrzępione cienie drzew i ulicę. Noc wyglądała jak malunek na blasze. Z nieba cyklopim okiem spoglądał na nią księżyc. Wisiał nisko, niczym lampion zawieszony na żyłce. Wiatr nie poruszał nawet jednego listka, więc nie mógł rozkołysać gałęzi tak, żeby uderzały w okno.

Oparła dłoń na framudze i wtedy trzask rozległ się znowu, tym razem zdecydowanie za jej plecami. Obróciła się gwałtownie, spojrzała w głąb pokoju. Z przybitego do ściany trema sączyła się blada poświata, a dźwięk zdawał się dochodzić właśnie stamtąd.

Owalne lustro, otoczone kutą w fantazyjne wzory srebrną ramą, powieszono w jej pokoju, kiedy była bardzo mała. Wtedy wymyśliła przyjaciółkę mieszkającą po drugiej stronie i potrafiła prowadzić z nią niekończące się rozmowy. Potem dorosła i lustro stało się zwykłym przedmiotem.

Podeszła do niego. Na gładkiej powierzchni, zmatowiałej nieco skutkiem upływu czasu, nie zauważyła żadnego pęknięcia ani zadrapania. Mleczny poblask, który się z niej wydobywał, nie rozjaśniał mroku. Odbity obraz pokoju był dziwnie obcy, niepokojący.

Na pewno hak się obluzował i trzeszczy, próbowała się uspokoić. Jutro każę to sprawdzić, inaczej lustro gotowe spaść ze ściany.

Nie chciała przyznać, że bardzo przeraża ją mdłe, nienaturalne światło, bo wtedy musiałaby przyjąć, że nie należy do świata zmysłów. A potem uciec z krzykiem. Z wysiłkiem odwróciła się plecami do trema i ujrzała cienki jak sztylet promień księżycy wpadający przez szczelinę w zasłonie. To jego rozproszona poświata odbija się w lustrze. Z pewnością tak. Poczwała ulgę, lecz strach jej nie opuścił. Podbiegła do okna, zaciągnęła kotarę. Mrok się zagęścił. Prędko wskoczyła do łóżka. Ogromne, z baldachimem w złote gwiazdy, wyglądało raczej jak łódź niż pudełko na kosztowności i choć zdawała sobie sprawę, jakie to dziecinne, wydawało jej się jedynym naprawdę bezpiecznym miejscem. Otuliła się szczelnie kołdrą, bojąc się, że nie będzie mogła zasnąć, ale już po chwili ciemność, znów przyjazna i cicha, zamknęła się ponad nią, niosąc w sobie sen.

\*\*\*

Obrócony plecami do pokoju wpatrywał się w okno. Zmierzch wypełził już z cieni w bramach i załomach murów. Słońce ciężko staczało się z nieba, kalecząc boki o ostre krawędzie dachów i wieże katedry. Ponad nimi ślizgały się chmury. Wszystko miało czerwoną barwę, jak palce, którymi przed chwilą dotknął twarzy. Strużka ciepłej wilgoci znów popłynęła z nosa. Na wargach poczuł

żelazisty posmak krwi.

Jak mogło do tego dojść? - zapytał sam siebie chyba po raz setny. Chociaż postronnemu obserwatorowi wydałby się zupełnie spokojny, wewnątrz dygotał z bezsilnej wściekłości. Zaciśnął palce na framudze. Miał ochotę wybić pięścią szybę, przewracać meble i rozbić je na kawałki. Czy zauważył coś wcześniej? Nie, jasne, że nie. Od niedawna miewał bóle głowy, był poirytowany i zmęczony, ale nie zwracał na to uwagi. Do czasu kiedy pierwsze czerwone krople, ładne jak szklane paciorki, potoczyły się po pościeli, tworząc wesoły sznureczek. Wtedy wszystko zgrabnie złożyło się w całość, ale i tak potrzebował sporo czasu, żeby prawda do niego dotarła.

To moja wina, stwierdził. Mogłem uważać. Mogłem, kurwa, myśleć. Teraz, oczywiście, na wszystko zrobiło się za późno. Obłoki na niebie pociemniały, zaczęły przypominać brudne tampony.

Znów dotknął nosa. Rozmazał lepka, krzepnącą czerwień. Ze złością wytarł twarz leżącym na parapecie ręcznikiem, zmiął go i cisnął na podłogę. Będę się musiał przyzwyczaić, powiedział sobie ponuro.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - zawołał.

Do pokoju nieśmiało wsunął się Corffy.

- Przepraszam, szefie - wymamrotał - ale wszyscy czekają.

Zbył go machnięciem ręki.

- Niech poczekają. Zaraz przyjdę - miał nieprzyjemny, gardłowy głos.

- Szefie... - Zatroskany Corffy nerwowo skubał mankiet. - Wszystko w porządku?

- Wynoś się! - warknął. - Powiedz, że już idę.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Zmierzch objął tymczasem w posiadanie całe niebo, zaczął dziergać lśniącymi niemi pierwsze blade gwiazdy. Noc nadchodziła bez pośpiechu, a wściekłość w sercu wpatzonego w okno mężczyzny płonęła i nie mogła się wypalić.

\*\*\*

W wielkiej sali na dole było ciemnawo. Świeciły tylko boczne lampy, bo szef nie lubił górnego oświetlenia. Zgromadzeni przy stole, około piętnastu osób, szemrali, że każe im tak długo czekać, ale umilkli natychmiast, gdy tylko dał się słyszeć odgłos kroków na schodach.

Corffy uśmiechnął się do siebie. Był pewien, że nikt nie ośmieli się mu podskoczyć. Szef zbliżył się do nich.

- Dobry wieczór, panowie - powiedział, unosząc ręce w geście powitania. - Cieszę się, że wszyscy przyjęliście zaproszenie. To bardzo uprzejme z waszej strony. Mam nadzieję, że nie nudziliście się beze mnie.

Posłał im drwiący uśmiech. Na twarzach niektórych gości pojawiły się brzydkie grymasy, ale wszyscy milczeli. Corffy miał ochotę się roześmiać. Lubił patrzeć, jak szef trzyma ich za pyski. Był jak lampart w stadzie kundli. Usiadł u szczytu stołu, nalał sobie do szklanki bursztynowego trunku. Wyglądał jak zwykle niesamowicie. Założył miękką białą koszulę, krótki skórzany płaszcz i wysokie buty. Gęste włosy, sięgające niemal do pasa, nosił rozpuszczone. Miały niespotykaną barwę. Ciemnobrązowe, lśniły rdzawym połyskiem, raczej w kolorze sangwiny niż rudym.

- Wasze zdrowie! - Niedbałym gestem wznosił w górę szklankę. Na ustach wciąż błąkał mu się ironiczny uśmieszek.

Corffy zdawał sobie sprawę, że szef jest stuknięty, a może nawet szalony, ale podziwiał go i kochał jak pies pana. Do niego bezsprzecznie należała władza w mieście. Żaden z tych dupków przy stole

nie mógłby ani się z nim równać, ani tym bardziej wyrwać mu jej z rąk. Matka zawsze powtarzała, że w Dniu Sądu o dusze grzeszników upomni się mściciel o czarnych skrzydłach, i w snach Corffiego miał on drapieżne rysy szefa.

- Z pewnością zastanawiacie się, po co zwołałem to małe zgromadzenie - usłyszał jego chrapliwy głos. - Mam wam do przekazania wiadomość, która część z was ucieszy, a część raczej zmartwi. Kiedy jakiś czas temu zakładałem naszą wspólnotę - chyba wolno mi ją tak nazywać? - nie przypuszczałem, że wypłyną, całkiem dosłownie, pewne niespodziewane okoliczności. Z powodów czysto osobistych muszę was, niestety, opuścić, pozbawiając mojej protekcji, uwagi i pieniędzy. Wycofuję się ze wszystkich interesów. Bieżące sprawy doprowadzą do końca moi przyjaciele, pan Vincent i pan Luger. Nie będę się wtrącał do tego, jak podzielicie strefy wpływów.

Powstało zamieszanie. Niektórzy zgromadzeni wykrzykiwali coś nieskładnie, inni klęli, część wpatrywała się w siedzącego u szczytu stołu mężczyznę z niedowierzaniem i lękiem. Corffy czuł się, jakby oberwał pałką po głowie. Miał nadzieję, że to kolejny przewrotny numer szefa, ale coś w duszy mówiło mu, że nie. Skonsternowany spojrzał w oczy zajmującego najbliższe krzesło Vincenta i wyczytał w nich takie samo zdziwienie. Milczący Luger siedział po prawej ręce szefa z nieprzeniknioną miną, ale Corffy wiedział, że on także jest wstrząśnięty.

- W porządku! - przez gwar głosów przebił się ostry okrzyk. - Wyraziliście swoje emocje, a teraz cisza! Jakież pytania?

Szef wstał, pochylił się nad stołem, oparłszy pięści na blacie. Zapadło krótkie milczenie. Wreszcie podniósł się otyły, łysiejący Rocco Faksus, przecierając chustką spocone czoło.

- Nie możesz tak po prostu odejść, Crux! Obiecałeś nas bronić! Co się stanie z naszymi udziałami?!

Crux się uśmiechnął.

- Prawdę rzekłszy, gównu mnie to obchodzi. I jeszcze jedno. Wycofuję się, ale niech nikomu nie strzeli do łba, że z tego powodu może zachwiać moją pozycją albo starać się zająć moje miejsce. Traktujcie to jak radę od starego przyjaciela. Myślę, że to wszystko.

Ledwie skończył, harmider wybuchł na nowo. Niektórzy powstawali z miejsc, gestykulowali, błagali, grozili i klęli. Ludzie Cruksa przezornie sięgnęli po broń. Wtem zza stołu porwał się wielki, zwalisty gość, zwany Sznurem.

- Hej, Cornet! - wrzasnął. - Co to za pieprzenie?! Mieliśmy robić interes wartą kupę kawałków!

Crux lekko podniósł brwi.

- Tak? Więc nie zrobimy.

Sznur osłupiał.

- No co ty, kurwa? Władowałem w to mnóstwo forsy! Miałem na tym zarobić tyle szmalu, żeby z setek robić sobie skręty! A ty mi wyjeżdżasz z tym gównem!

Cornet zmrużył oczy. W ciemnych tęczęwkach zabłysł paskudny ognek.

- Chciwość - zaczął powoli - jest grzechem. Nikt ci nie powiedział?

- Pieprz się! - ryknął Sznur.

W trzech susach Cornet go dopadł. Wyrzwał pięścią w nos, który złamał się z chrupnięciem. Tamten próbował poderwać rękę do twarzy, ale nie zdążył. Crux trzasnął go w usta, a potem w brzuch. Sznur zatoczył się i ukląkł. Zamachał na oślep pięścią, ale Cornet kopnął go kolanem w twarz. Sznur zalał się krwią.

Corffy rozdziawił usta. Wiele razy oglądał szefa w akcji, lecz teraz Crux chyba naprawdę się wkurzył. Złapał przeciwnika za klapy, poderwał i rzucił na ścianę. Nawet Luger westchnął, bo szef, chociaż wysoki, nie dorównywał Sznurowi wzrostem i był od niego ze dwa razy szczuplejszy.

Wyglądało, że Cornet się wściekł. Kilkakrotnie trzasnął głową przeciwnika o ścianę, a potem walił

go metodycznie, tak że tamten krztusił się krwią i powybijanymi zębami.

- Nie nauczyłeś się, że jest coś, co trzeba cenić wyżej od pieniędzy, skurwysynu? Co? Jeszcze nie? - wysyczał mu prosto w twarz i gdyby Sznur miał jeszcze coś w rodzaju nosa, poczułby zapach drogiego alkoholu. - Wiesz, co to jest? Życie, gnoju!

Głowa Sznura kołysała się w rytm uderzeń. Cornet go puścił, pozwalając mu osunąć się po ścianie, i z rozmachem uderzył w splot słoneczny. Sznur charknął, zsiniał i opadł na bok. Crux go kopnął. Raz. I jeszcze raz. I znowu.

Nikt z zaproszonych gości się nie poruszył. Leżący na podłodze toból jęczał i podrygiwał, a rysy Corneta stężały w jakimś obłądnym zapamiętaniu.

Zmęczył się, oddychał ze świstem, w końcu zatrzymał i spojrzał na milczących mężczyzn wokół. Odrobina krwi pociekła mu z nosa. Otarł ją rękawem.

Okrwawiony toból poruszył się, zbulgotał. Crux się pochylił.

- Co? - spytał ostro.

Zmasakrowane usta wymamrotały z trudem:

- Nie... zabijaj... mnie...

Szaleństwo w oczach Corneta zgasło. Widniało w nich tylko znużenie. Popatrzył na swoje pokaleczone dłonie.

- Pieprzyć to - powiedział. - Zebranie uważam za skończone. Zabierzcie go stąd. I niech tu ktoś, kurwa, posprząta.

\*\*\*

Obszerna sala, opuszczona i cicha, sprawiała przygnębiające wrażenie. Za stołem siedziały tylko trzy osoby. Vincent wpatrywał się w niedopite resztki na dnie szklanki, Corffy bawił się zapalniczką, a Luger starannie zwijał skręta.

Crux postawił nogę na siedzeniu krzesła, oparł o kolano skrzyżowane ręce.

- Kto organizował towar na tamtą imprezę, no wiecie, ze trzy miesiące temu, kiedy przyjechali ci goście od kasyn? - spytał niespodziewanie.

Luger uniósł głowę.

- Max Vren.

Usta Corneta drgnęły.

- Nie ma go w mieście, prawda? Mówił, dokąd wyjechał?

- Nie - odezwał się Vincent. - Ale twierdził, że go gdzieś wysłałeś.

Crux zmrużył oczy i przez chwilę jego twarz wyglądała jak wilczy pysk.

- Jak dotąd nie - powiedział. - Ale niedługo go wyślę.

Luger oderwał wzrok od skręta i spojrzał na szefa. Jego obojętne źrenice były jak dymne szkło.

- Mamy się tym zająć?

- Znajdźcie go. Chcę mu coś uświadomić. Powoli i dokładnie. Potem dopilnujecie kilku spraw i będziecie wolni.

Rysy Lugera przypominały źle obrobioną maskę z granitu.

- Ty nie żartujesz - raczej stwierdził, niż spytał.

Cornet lekko potrząsnął głową. Vincent drgnął nerwowo.

- Wylewasz nas, Crux?

Cornet westchnął.

- Dalej będziecie robić to co zawsze. Jesteście w tym dobrzy. Spróbujcie raczej dogadać się między

sobą, niż pozabijać, chociaż to wasza sprawa.

Luger ostrożnie położył skręta na stół.

- Posłuchaj, Cornet. Nie wiem, o co ci chodzi, ale ja nigdy nie wystąpię przeciwko tobie. Bałbym się, Crux. Za dużo widziałem.

Cornet uśmiechnął się lekko.

- Mylisz się. Nie zamierzam się was pozbyć. Naprawdę się wycofuję. Zostawiam wam kwitnący interes. Powinniście być wdzięczni.

Milczeli.

- Nie potraktuj tego jak braku szacunku, ale uważam, że ci odbiło - powiedział ponuro Vincent.

Crux sięgnął po butelkę.

- Za waszą samodzielność, panowie. Jeśli się zjawię i zażądam czegoś, natychmiast to wykonacie. Od tej pory wszystkie decyzje podejmujecie sami. Nie przychodźcie do mnie z żadnymi gównami, bo nie będę się nimi zajmował. Jeżeli spieszycie coś, na czym mi zależy, nie wezmę pod uwagę, jak dawno się znamy. Zrozumieliście? W tej chwili zależy mi na rozmowie z Makssem Vrenem. Daję wam dwadzieścia cztery godziny na doprowadzenie go, żywego. A dla ciebie, Corffy, mam dobrą radę. Zaczynaj sobie szukać nowego szefa.

Corffy, który dotąd nie ośmielił się odezwać, wzniósł na Corneta udręczone, nierozumiejące spojrzenie.

- Ale dlaczego? - szepnął. - Dlaczego, szefie?

Cornet popatrzył w oczy pozostałej dwójki i wyczytał w nich to samo nieme pytanie. Zdjął nogę z krzesła, rozgarnął włosy i odstawił butelkę na stół.

- Bo jestem śmiertelnie chory, Corffy - powiedział wolno. - Jestem, kurwa, bardzo śmiertelnie chory.

\*\*\*

Max Vren dygotał. Jego twarz przybrała kolor popiołu.

- Ja... nie wiem, co się stało - wymamrotał, szcękając zębami. - Mogę wszystko wyjaśnić! Wyjechałem z miasta nagle, bo spieszyłem się, żeby załatwić... sprawy, z którymi mnie posłałeś. Pamiętasz, prawda? Musisz pamiętać... Chodziło o to, że spieszyłem się i...

Cornet ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Daj mi to - powiedział do Lugera, wyciągając rękę po broń. Od niechcienia nacisnął spust. Vren wrzasnął, gdy jego kolano rozprysło się jak czerwony fajerwerk.

- Dzięki - mruknął Crux, oddając pistolet.

Obojętnie przyglądał się wijącemu się na podłodze Maksowi.

- Teraz nie będziesz się spieszył, więc możemy spokojnie pogadać i wyjaśnić sobie kilka drobiazgów. Jest jedna rzecz, którą cenię wyżej od pozostałych. Domyślasz się jaka? - Wycelował w rannego palec. - Lojalność, Max.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zajęczał Vren.

- Nie? - Crux uniósł brwi ze zdziwieniem. - O fiołce z brązowym płynem, o czymś ekstra, czego, według ciebie, nigdy nie zapomnę. O wspaniałych uczuciach, które na długo staną się moim udziałem. Miałeś rację. Nie zapomnę tego do końca mego pieprzonego życia.

Panika wykrzywiła rysy leżącego.

- Ja nic o tym nie wiem! - wyszeptał pospiesznie. - Jezu, Crux, ja nie mam z tym nic wspólnego...

Zakrztusił się, bo Luger z rozmachem kopnął go w żebra. Cornet przyklęknął, nachylił się. Długie włosy musnęły twarz Vrena.



- Nie wkurzaj mnie. Nie jestem w nastroju. Kto ci to dał?

- Mój dostawca...

Pięść Cruksa wylądowała na jego szczęce. Przed oczami Maksa rozbłysło tysiąc gwiazd.

- Jakaś kobieta! - wrzasnął szybko. Wyciągnął przed siebie drżące, czerwone od krwi ręce. - Cornet, ja się wykrwawię! Pomóż mi, błagam!

Cruks z politowaniem potrząsnął głową.

- Max - powiedział - nazwisko. Mimo najszczerzych chęci z mojej strony to nie jest konstruktywna rozmowa. Podaj mi nazwisko, dobrze?

Poblądłe wargi Vrena zaczęły drżeć.

- Nie wiem... Nigdy jej nie widziałem... Przysięgam, Cornet. Błagam, zatamujcie tę krew!

- Na to już za późno, Max - głos Corneta brzmiał dziwnie stłumiony. - Ile ci za mnie zapłacili?

- To miała być próbka...

- Ile?

- Pięć procent zysku, jeśli weźmiesz całą partię.

Cornet z westchnieniem przesunął ręką po twarzy.

- Nie kłam, skurwysynu. Robię się tym zmęczony.

Spojrzenie Vrena przesłaniało z Corneta na stojących nieruchomo Vincenta i Lugera.

- Dziesięć kawałków - wykrztusił. Źrenice Corneta zwęziły się.

- Tak nisko mnie cenisz, Max? Dziesięć kawałków za moje życie?

Vren zadygotał.

- Nie wiedziałem! Przysięgam...

- Zamknij się - powiedział Vincent z wysiłkiem. - Kurwa, Max, lepiej się zamknij!

Cornet wstał. Na jego twarzy pojawił się wyraz, który sprawił, że chyba nawet krwinki w żyłach Maksa zawyły z przerażenia.

- Wiesz, na co mnie skazałeś? - głos Cruksa był gardłowy, cichy niemal jak szept. - Nie, jestem pewien, że nie. Więc pokażę ci.

Vren zaskomlał, bo pojął, że nie ma dla niego ratunku.

\*\*\*

Piłka potoczyła się w cichy zaułek, między pojemniki ze śmieciami, więc pobiegł za nią. Potwór siedział oparty o ścianę. Nie miał twarzy i chyba nie miał też oczu. Był władcą much, z koroną splecioną z ich roju krążącego nad głową. Niektóre wchodziły do dziury, która niegdyś była jego ustami, jak do sali audiencyjnej i wylatywały bogatsze w mądrość o złudnym majestacie śmierci. Podarte strzępy drogiego garnituru tworzyły królewski płaszcz godny tej jednej szczególnej okazji. Piłka leżała przy jego nodze, jak ścięta głowa krnąbrnego poddanego.

Odbity w rozszerzonych źrenicach chłopca potwór ogromniał, wypełniając cały świat. Uśmiechał się dobrotliwie ustami pełnymi much i przywoływał go, przywoływał wprost w swoje martwe, pełne tajemnic ramiona tak obrzydliwie i kusząco zarazem, że kiedy zduszony krzyk nie pozwolił nabrać oddechu, a napięcie stało się nie do zniesienia, dzieciak musiał obrócić się i uciec, choć trup, który na to czekał, pobiegł za nim, goniąc go wytrwale w jego dziecinnych strasznych snach przez wiele nocy z rzędu.

\*\*\*

Cornet znów wpatrywał się w okno. Wieże katedry wyciągały w górę ramiona, jakby oczekiwały stamtąd pomocy. Po niebie włóczyły się chmury nabrzmiałe wściekłością i deszczem, czekając na pretekst, żeby wybuchnąć, niby małolaty z ulicznego gangu.

Ogromne poddasze, gdzie mieścił się apartament Cruksa, tonęło w półmroku. Po obu stronach parapetu przykucnęły kamienne gargulce. Położył rękę na łbie jednego z nich. Czekał. Był pewien, że przyjdą właśnie dzisiaj. Czuł to. Cienka biała nić przecięła niebo, w oddali rozległ się niski pomruk burzy. Czy można sobie wyobrazić lepszą noc na wizytę rodziny? Najpierw poczuł przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz, a potem przyspieszone uderzenia serca, niezawodny system alarmowy. Poruszali się bardzo cicho. Usłyszał ich, gdy już weszli do wnętrza. Nie napotkali żadnego oporu, bo odesłał swoich ludzi. I tak nie zdołaliby ich powstrzymać.

Cornet stał na pozór spokojnie, nie odrywając wzroku od okna, ale nerwy miał napięte jak struny.

- Walka z nami na nic się nie zda, Calderon - usłyszał za plecami znajomy głos. - Wiesz, że mam rację.

Odwrócił się, opierając pięść na biodrze. Na ustach drgał mu uśmiech, który nie sięgał oczu. Pośrodku dywanu stali Argus Saffon i Ivo Mius. Drzwi pilnowało dwóch ludzi.

- Postanowiliście mnie odwiedzić po latach? - spytał. - Gdybyście zawiadomili wcześniej, mógłbym się lepiej przygotować na wasze przyjęcie. A tak, cóż, musimy się zadowolić tym, co mamy.

- Nie igraj z nami! - warknął Ivo. - Jesteś całkowicie w naszych rękach.

Cruux lekko skinął głową.

- Na to wygląda.

- Pójdiesz z nami, Cornet - odezwał się Argus. - Sykstus życzy sobie z tobą rozmawiać. Nie próbuj żadnych sztuczek, ostrzegam. Nie masz szans. Jesteś chory i w dodatku sam. Dorwaliśmy cię, Calderon. To koniec. Lepiej, żebyś zdał sobie z tego sprawę.

Cruux dotknął kciukiem podbródka.

- Dajcie mi chwilę, żebym się oswoił z tą myślą - powiedział.

Powoli obrócił się ku oknu. Jeśli miał spróbować ucieczki, to tylko teraz. Wbrew pozorom Ivo stanowił o wiele większe zagrożenie od potężnie zbudowanego, starszego Saffona. Cornet położył dłonie na parapecie. Chłód popłynął przez palce jak prąd.

- W porządku, porozmawiam z Sykstusem - zaczął i błyskawicznym ruchem posłał mały srebrzysty nóż, który do tej pory bezpiecznie drzemał w jego rękawie, prosto w pierś Iva. Równocześnie lewą ręką wyszarpnął ukryty pod parapetem pistolet, strzelił raz do Argusa i po dwa razy do goryli pilnujących wejścia. Oni także sięgali już po broń, ale Cruux natychmiast dał nura za ogromny wiktoriański fotel. Huk wystrzałów wstrząsnął ścianami jak krzyk. Jedna z kul minęła głowę Corneta o milimetry, gdy pod osłoną mebli przemykał ku drzwiom. Zaryzykował zerknięcie na środek pokoju. Ivo, charcząc, dogorywał na podłodze. Saffon, zgodnie z oczekiwaniami Cruksa, próbował go ratować, jeden z goryli leżał nieruchomo przed progiem, a drugi z wyrazem oszołomienia wpatrywał się w rosnącą w oczach czerwoną plamę na brzuchu. Cornet rzucił się do wyjścia. Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak łatwo. Właściwie był pewien, że jego atak okaże się tylko honorową manifestacją. Nie mógł uwierzyć, w jaki sposób Argus, a przede wszystkim Ivo dali się nabrać na tak prymitywną sztuczkę. Byli po prostu zbyt pewni siebie.

Przeskakując nad ciałem zabitego goryla, kątem oka zauważył podrywającego się Saffona. Rzucił się schodami w dół, już niemal pewny zwycięstwa, gdy nagle jakieś żelazne kleszcze chwyciły go w pól, podrywając w górę, miażdżąc żebra i uniemożliwiając zaczerpnięcie oddechu. Poczł kwaśny odór, przed sobą ujrzał zamyśloną, jakby nieobecną twarz z bladymi martwymi oczami. Usta były zaszyte grubą czarną nicią. Pies, przemknęło mu przez myśl. Cholera, to rzeczywiście koniec! Martwiak

uderzył jego głową o ścianę i zapadła ciemność.

\*\*\*

Koral ocknęła się niespodziewanie w samym środku głębokiego snu. Przez chwilę była zbyt oszołomiona, żeby zdawać sobie sprawę, gdzie się znajduje. Rozpoznała masywne kolumny podtrzymujące baldachim i znajome sylwetki mebli. To mój pokój, zrozumiała. Coś jednak musiało się zmienić, bo poczuła dreszcz podświadomego niepokoju. Instykt kazał jej spojrzeć na ścianę z lustrem. Mleczna poświata spływała z jego tafli ciężkimi kroplami, spadała na podłogę, pełzła po dywanie. Oczy Koral rozszerzyły się z przerażenia. Wydała stłumiony okrzyk, gotowa zerwać się z łóżka w panicznej ucieczce, gdy wszystko znikło. Lustro wydawało się całkiem zwyczajne, obojętnie odbijało ciemność pokoju poznaczoną niewyraźnymi plamami sprzętów. Jednak dobiegał z niego dziwny szmer. Jakby ciche szuranie towarzyszące niepewnemu przesuwaniu się czegoś.

Wysunęła się spod kołdry. Szła w stronę trema drobnymi, powolnymi krokami, jak w transie. Wysunięte w przód ręce dotknęły tafli. Była zimna. Koral spojrzała w głąb zwierciadła i zachłysnęła się oddechem. W rogu pokoju leżał zakrwawiony mężczyzna. Błyskawicznie obróciła głowę, jej przerażone spojrzenie badało wszystkie kąty i załomy mebli. W pokoju nie było nikogo prócz niej. Znów odwróciła się do lustra. Mężczyzna z wyraźnym trudem usiłował się podnieść. Długie czarne włosy zasłaniały mu twarz. Jasną niegdyś koszulę pokrywały rdzawe, lepko lśniące plamy. Włókna puszystego dywanu chciwie piły gasnącą czerwień.

Koral odruchowo napała dłońmi na tafle, która ustąpiła bez oporu. Dziewczyna zrobiła krok do przodu i znalazła się we wnętrzu lustrzanego pokoju. Gdy spojrzała w głąb srebrnej ramy, ujrzała swoje łóżko ze zmiętą pościelą, komódkę i starą dębową szafę. W pomieszczeniu stały ich dokładne odbicia, ale tak jak zawsze podejrzewała, będąc dzieckiem, niewidoczne w zwierciadle fragmenty pokoju wyglądały całkiem inaczej. Zamiast stoliczka z marmurowym blatem stał orzechowy sekretarzyk, a toaletkę z kosmetykami zastąpiła elegancka etażerka.

To sen, uznała Koral, przestając się czemukolwiek dziwić. Przykłękła obok leżącego. Jego włosy nie były czarne, jak poprzednio sądziła, tylko brązoworude. Nie mogła dostrzec żadnej rany, chociaż miała pewność, że to jego krew plami dywan. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Wtedy drgnął, unosząc lekko głowę. Zobaczyła szczupłą, pociągłą twarz o ostrych rysach. Takie twarze miewali kondotierzy, rycerze i okrutni książęta na obrazach dawnych mistrzów. Koral bez trudu mogła go sobie wyobrazić z mieczem u boku i pogardliwym grymasem na ustach. Teraz wargi miał czerwone od krwi, której rozmazane smugi znaczyły też czoło i policzki.

- Jesteś ranny? - spytała. - Jak mam ci pomóc?

Ciemne oczy starały się z trudem skupić na niej spojrzenie. Nie odezwał się jednak. Być może nie mógł. Nigdy nie widziała tyle krwi. Czuła jej zapach, słodkawy i drażniący.

Światło rozbłysło nagle niby pękająca petarda. Do pokoju wszedł przystojny młody mężczyzna o jasnych, zaczesanych za uszy włosach.

- No, no - powiedział. - Zdaje się, że mamy gościa.

W jego szarych tęczówkach kryło się coś nieprzyjemnego, co psuło regularność ładnych rysów. Podniosła na niego wzrok.

- Ten człowiek jest ranny - zaczęła. - Chciałam mu pomóc...

- Wcale nie jest ranny - przerwał.

Spojrzała na leżącego. Zamknął oczy i zdawał się nie słyszeć ani słowa. Był śmiertelnie blady.

- W takim razie jest chory.

Jasnowłosa zaśmiał się krótko.

- Po prostu nie uważał. Ma przeklętą krew.

Podszedł do krwawiącego i trącił go butem.

- Cieszę się, że cię widzę, braciszku - syknął jadownicę. - Naprawdę.

Przystojna twarz promieniała nienawistną satysfakcją. Koral natychmiast poczuła do niego odrazę.

Nie wiedziała, co robić, żeby wyrwać bezbronnego mężczyznę z rąk jasnowłosego brata, więc tylko musnęła końcami palców ubrudzony krwią policzek. Chory rozchylił powieki. Spojrzała w błyszczącą od gorączki czerń i przeszedł ją dreszcz. Nie chciałyby mieć w tym człowieku wroga.

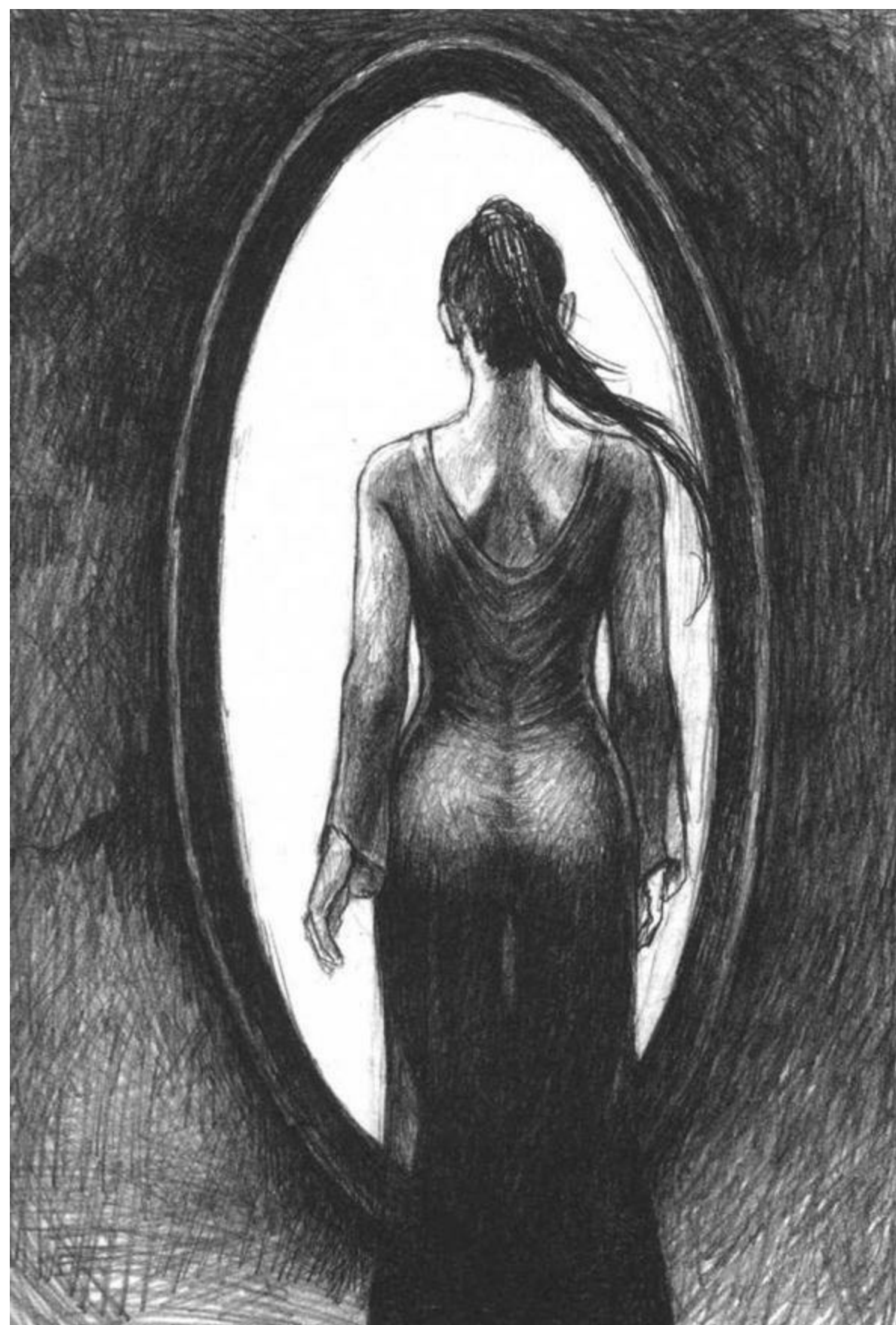
Tymczasem jasnowłosa, całkowicie ignorując Koral, wyjrzał na korytarz.

- Znalazłem go! - zawołał.

Dziewczyna wciąż klęczała przy leżącym.

- Możesz wstać? - spytała szeptem.

Nieznacznie potrząsnął głową. Wysięk włożony w koncentrację uwagi musiał go zmęczyć. W skrzywieniu ust dostrzegła grymas bólu.



Drzwi skrzypnęły i do pokoju weszło kilka osób. Barczysty, wysoki mężczyzna z siwiejącymi włosami, chłopak o aroganckim wyglądzie i dwóch krótko ostrzyżonych facetów przypominających gangsterów ze starych kryminałów. Wszyscy oni rozstąpili się pospiesznie, umożliwiając przejście smukłemu, eleganckiemu mężczyźnie w szarym płaszczu.

- Mówiłem, że nie uciekł daleko - odezwał się siwowłoso.

- Dziwne, że w ogóle mu się to udało - mruknął najpóźniej przybyły. Miał głęboki, melodyjny głos.

Skinął niedbale na oczekujących w pogotowiu goryli.

- Zabierzcie go. Tylko uważajcie! Wciąż jest zadziwiająco silny.

Bezceremonialnie odsunęli Koral, chwycili zakrwawionego mężczyznę za ramiona i brutalnie szarpnęli w górę. Z trudem zdusił jęk.

Zimne jak granit spojrzenie człowieka w płaszczu zatrzymało się na dziewczynie. Uważnie taksował jej szczupłą, drobną sylwetkę, łagodny owal twarzy, prosty nos, szaroniebieskie, ogromne oczy i długie włosy w kolorze leśnego miodu.

- Zostawcie mnie samego - powiedział. Posłusznie zaczęli wychodzić. - Justus! Ty zostajesz.

Jasnowłosa cofnął się od progu. Gangsterzy właśnie wywlekali pojmanego więźnia, gdy przyskoczył do niego arogancki młodzieniec i trzasnął pięścią w podbródek.

- Skurwysynu! - krzyknął. - Zabiłeś Iva!

Elegancki mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

- Dość tych popisów podziwu godnej lojalności i braterskich uczuć - warknął. - Na twoim miejscu byłbym mu wdzięczny, Vax. Zwolnił dla ciebie miejsce.

Chłopak spurpurowiał.

- Ależ, Sykstusie - zaczął. - Ja nigdy...

Facet w płaszczu odwrócił się do niego plecami.

- Poleciałem, żebyście wyszli. Czyżbyś ogłuchł?

Po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi.

- Kto to jest? - spytał Sykstus, ruchem głowy wskazując dziewczynę.

Justus wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Była tu, kiedy go znalazłem.

Koral wstała. Sykstus zwrócił ku niej twarz o chłodnych, arystokratycznych rysach. Miał szpakowate włosy, ale wydawał się całkowicie bez wieku.

- Jak się nazywasz?

- Koral Trada - odparła, pewna, że opór byłby głupotą.

- Trada? - Zamyślił się. - Skądś znam to nazwisko...

- Jej ojciec ma na imię Edward - podpowiedział usłużnie Justus. - Odziedziczył spory majątek i teraz sam prowadzi rodzinną firmę.

- Pod opieką Cruksa?

Justus uśmiechnął się krzywo.

- Czy ktoś tu może zrobić coś poza nią? Miasto należy do Pana Szubienicy.

Sykstus spojrzał na poplamiony dywan.

- Dlaczego mu pomagałaś? - zwrócił się do Koral.

Wzruszyła ramionami, przekonana, że to po prostu dziwny, bardzo realistyczny sen. Obudzi się i przez pewien czas będzie go pamiętała, a potem zapomni.

- Bo krwawił - powiedziała.

W głosie Sykstusa pojawił się cień ironii.

- Pomagasz każdemu, kto krwawi? Dlaczego właśnie jemu?

- Bo jest piękny - we śnie takim jak ten stać ją było na szczerłość.

- Piękny? - zdziwił się. - Masz nietypowy gust, dziewczyno.

- Nie, po prostu dobry.

Zobaczyła, że się uśmiecha.

- W jaki sposób tu weszłaś?

- Przez lustro. Najpierw świeciło, a potem rozstało się jak woda.

- Nie boisz się?

- Czego? Przecież to sen. Ludzie nie przechodzą przez lustra.

- Ludzie nie.

Roześmiał się, a ona poczuła nagłe ukłucie lęku. Na próżno starała się zrozumieć, dlaczego ten śmiech ją przeraża. Brzmiał przecież niemal serdecznie.

- Wiesz chociaż, jak on ma na imię? - spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Cornet. Cornet Calderon Dellvardan. Ale nazywają go Crux. Pewnie uważasz, że brzydko z nim postąpiliśmy? W takim razie pokażę ci, za co go ścigamy.

Zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką, a Koral nagle ujrzała rozległą równinę otoczoną lasem. Na płaskim, ołowianym niebie krążyły, wrzeszcząc, jakieś ptaki, chyba mewy. W powietrzu wisiały strzępy mgły. Dopiero przed chwilą ocknął się mdły jesienny świt. Było bardzo zimno. Drżała w podmuchach lodowatego wiatru. Z lasu wyłoniła się grupa jeźdźców. Na czele na ciężkim karym koniu jechał mężczyzna z mieczem przytroczonym na plecach. Krople wilgoci lśniły rdzawo w długich, ciemnych włosach.

Przesunęli się tuż obok Koral, która niespodziewanie oderwała się od ziemi, szybując za nimi jak duch. Wiatr wzmógł się. Z pysków wierzchowców buchała para. Konni milczeli. Nie padło między nimi ani jedno słowo.

Z mgły powoli wyłoniły się zarysy wioski i niewielkiego zameczku, czy raczej warowni wybudowanej z surowego kamienia. Wszędzie panowała cisza, a budynki wydawały się wymarłe. Tylko gdzieś tam z komina sączyła się wątlą smużka dymu.

Crux zatrzymał jezdnych. Rozdzielił oddział na dwie grupy. Jego miecz z sykiem wysunął się z pochwy. Runęli na sioło jak stado kruków na padlinę. Część wpadła do wsi, część ruszyła wprost do zamku. Kopyta koni zadudniły w bramie. Ktoś krzyknął, ktoś wybiegł na dziedziniec. I wtedy rozpoczęła się rzeź. Ludzie Corneta zadawali śmierć każdemu, kto dostał się pod ich ostrza. Rozlegało się nieludzkie wycie, lament, szcęk oręża. Kobiety wywlekano za włosy z kryjówek, dzieci tratowano, starców strącano z murów. Atakowani prawie się nie bronili. Koral stwierdziła z przerażeniem, że wszyscy mieszkańcy osady są chorzy. Spoglądała na ich wycieńczone, naznaczone piętnem śmierci sylwetki, na chwiejny krok przy nieudolnych próbach ucieczki czy obrony. Niektórzy po prostu kładli się, czekając na zagładę.

Cornet zadawał ciosy na prawo i lewo. Pewne. Zabójcze. Bezlitosne. Przeciął niemal na pół jakiegoś wyrostka, przebił mieczem klęczącą z wyciągniętymi błagalnie rękami kobietę. Pochylił się obojętnie, otarł ostrze krajem jej sukni. Jeźdźcy pozsiadali z koni, wpadli do wnętrza warowni. Tam dobijali rannych i tych chorych, którzy nie mieli siły się ruszać. Koral poczuła, że zbiera jej się na mdłości. Słodkawy zapach krwi gęstniał w powietrzu. Koń Cruksa stąpał pomiędzy trupami, a jego pan uważnie szukał wśród nich najmniejszych oznak życia.

- Zdaje się, że dość widziałaś - usłyszała melodyjny głos i obraz zniknął. - Tak umierał klan Seimle. Nikt nie ocalał.

Koral, bardzo blada, z trudem przełknęła ślinę.

- Myślę, że już wiesz, czemu nie przepadamy za Cruksiem Cornetem. On jest jak zaraza, dziewczyno. Śmiertelna zaraza. Trzymaj się od niego z daleka, bo inaczej coś złego może przytrafić się i tobie. Nigdy, dobrze mnie zrozum, nigdy, pod żadnym pozorem, nie pomagaj Calderonowi Dellvardanowi zwanemu Szubienicą ani nie zbliżaj się do niego. Nie jest wart nawet litości. Nie traktuj tego jako zwykłej rady, Koral. To coś więcej. Nie muszę tłumaczyć, co mam na myśli, prawda?

Oszołomiona skinęła głową.

- Doskonale. Teraz wiemy, na czym stoimy. Mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Słodkich snów, moja piękna.

Chyba klasnął w dłonie, ale wcale nie była pewna. Poczwała, że zamyka się nad nią ciemność, i upadła.

\*\*\*

Obudziła się z bólem głowy, zmęczona, jakby wcale nie spała. Zdziwiająco dobrze pamiętała niezwykle sen. Nappełnił ją niepokojem, który jednak z każdą chwilą się zmniejszał. Ranek zaglądał przez okna, a w jego świetle wszystkie niecodzienne wydarzenia blakły i traciły znaczenie. Żeby się całkiem uspokoić, wstała i długo wpatrywała się w lustrzane odbicie pokoju. Nie zauważyła niczego dziwnego, a dywan był nieskazitelnie czysty. W srebrnej ramie ujrzała ponadto tylko własny uśmiech, pełen politowania nad swoją skłonnością do dziecinnych fantazji.

Ziewnęła, siadając na łóżku. Może by się jeszcze chwilę przespać? - pomyślała. Wsuwała właśnie nogi pod kołdrę, gdy serce zamarło jej na sekundę, żeby zaraz porwać się do przerażonego galopu. Podniosła dłonie do ust, chcąc stłumić okrzyk przestachu. Rąbek jej białej nocnej koszuli pokrywały rude plamy zakrzepłej krwi.

\*\*\*

Biblioteka mieściła się w obszernym, nieużywanym pokoju, którego okna wychodziły na tył ogrodu i ulicę utworzoną przez rząd wysokich, ciemnych kamienic ozdobionych niezliczoną ilością kariatyd, atlantów, puttów z koszami kwiatów i wąskich okien. Promienie słońca niechętnie wpadały do wnętrza, zmuszając do tańca zawieszony w powietrzu drobiny kurzu. Jako dziecko Koral spędzała w bibliotece długie godziny, budując swoje baśniowe królestwa i chłonąc niezrozumiałe ryciny zamknięte między okładkami grubych tomów, pewna, że nikt jej tu nie będzie szukał. Teraz znów przewracała pożółkłe kartki przetykane wyobrażeniami krwawych bitew i dumnych, dawno obróconych w proch arystokratów. Czasem mignął jej portret przypominający rysy mężczyzny ze snu, ale po uważnym przyjrzeniu podobieństwo okazywało się złudne. Jednak dziewczynę wciąż męczyło przecucie, że gdzieś widziała obraz, który go przedstawiał. Pamiętała jastrzębi profil, włosy o barwie skrzepłej krwi i pięść wspartą na biodrze, tuż przy rękojeści miecza.

Zmęczona wstała z podłogi. Przeciągając się, podeszła do okna. W dole, z dłońmi zaciśniętymi na sztachetach parkanu, stał jeden z podwładnych Sykstusa, którego spotkała po drugiej stronie lustra. Krzyknęła z zaskoczenia, gwałtownie cofając się na środek pokoju, a echo odbiło jej głos od ścian, przemieniając go w suchy szept. Potknęła się o stertę książek, które przedtem pościągała z półek, upadła między grube skórzane oprawy. Bała się wstać, żeby nie dostrzegł jej w szybie, więc na czworakach doczołgała się pod parapet, a przerażone serce biło na alarm w dzwonnicy jej żeber. Z lękiem zerknęła ponad framugą, ale ulica była pusta. Kamienne putta obojętnie dźwigały girlandy kwiatów, a drzewa w wyniosłym milczeniu pełniły straż wzdłuż parkanu.

Zerwała się, wybiegła z biblioteki, żeby dopaść okna na korytarzu w nadziei, że uda jej się zobaczyć, w którą stronę odszedł, ale tuż za progiem wpadła na swoją siostrę Dianę.

- Gdzieś ty się podziewała? Szukam cię chyba od godziny! - głos Diany drgał z oburzenia. Próbowwała ją ominąć, ale dziewczyna zastąpiła jej drogę. - Zapomniałaś, prawda? Oczywiście! Z tobą tak zawsze! Zupełnie nie można na tobie polegać!

Koral usilnie starała się sobie przypomnieć, o co siostrze chodzi. W tej chwili mogła myśleć tylko o



mężczyźnie sprzed domu, ale teraz i tak straciła szansę, żeby zobaczyć, dokąd poszedł.

- Przestań wrzeszczeć - warknęła. - Wcale nie muszę cię słuchać!

Diana zacisnęła usta.

- Byłam pewna, że zapomnisz! Przecież obiecałaś, że pojedziesz ze mną na zakupy! Ojciec za nic nie puścił mnie samej po tym, ile wydałam w zeszłym tygodniu! Znasz starego sknerę! I tak musiałam nakłamać, że jedziemy wybrać prezent na urodziny Cyntii. Samochód czeka już piętnaście minut! A ty, jak zwykle, nic nie chcesz dla mnie zrobić!

Wydawała się naprawdę zdruzgotana. Z trudem powstrzymywała łzy. Koral skapitulowała. Już dawno nabrała pewności, że jej młodsza siostra jest uzależniona od wydawania pieniędzy.

- Przecież nie powiedziałam, że nie jadę - zaczęła, ale Diana nie dała jej skończyć. W okamgnieniu znów wesolutka jak pasikonik chwyciła Koral za rękę i pociągnęła w stronę schodów.

- No to gazu, zanim ojciec się wścieknie i odeśle szofera!

Zbiegały w dół, gdy z głównego holu dały się słyszeć jakieś głosy i trzask otwieranych drzwi. Na półpiętrze Koral zatrzymała się jak wryta, chwytając poręcz, żeby nie upaść. Przy drzwiach zobaczyła swego ojca, całego w uśmiechach, który wskazywał drogę do gabinetu obróconemu do niej plecami jasnowłosemu mężczyźnie. Rozpoznała go natychmiast, jeszcze zanim spojrzał w stronę schodów i uprzejmie skinął głową. Był naprawdę przystojny, ale Koral odniosła upiorne wrażenie, że to tylko maska, pod którą skrywa się pysk potwora. Obok z pogardliwą miną i rękami w kieszeniach stał chłopak, który tamtej nocy uderzył Corneta w twarz. Towarzyszyło im jeszcze kilka osób, ale dla Koral mogli wcale nie istnieć. Wszyscy wymieniali uprzejmości z ojcem i znikali w gabinecie.

- Co jest? Zakochałaś się w którymś? - zachichotała Diana. - Ten młody wygląda całkiem niezłe, chociaż ten z jasnymi włosami też może być. Widziałaś, jak się na ciebie gapił? Ciekawe, co by o tym pomyślał Dawid. Chyba mu opowiem, jak cię trafiła na schodach strzała Amora. - Przewróciła oczami, robiąc możliwie najgłupszą minę. - Ach, czyż to nie cudowne i rromantyczne!

- Kim oni są? - wyjąkała Koral, blada jak marmurowe stopnie schodów.

- Jacyś goście od interesów. - Diana wzruszyła ramionami, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. - Podobno okropnie wpływowi faceci. Widziałaś, jak stary ich obskakiwał? No chodź już! Cudowne zakupy czekają!

Koral pozwoliła się popchnąć w stronę wyjścia.

\*\*\*

Cornet zakaszłał. Ból natychmiast przesunął zakrzywionym palcem po jego żebrach. Crux zdawał sobie sprawę, jak bardzo osłabł. Z trudem znalazłby siłę, żeby dźwignąć się z podłogi. Krwotok ustał, ale zostawił po sobie wspomnienie bólu odcisnięte na każdym stawie i ścięgnię.

- Chyba jesteś szalony, Cornet - powiedział Sykstus, siedzący okrakiem na odwróconym krześle. - Chciałem, żebyśmy załatwili tę sprawę przyzwoicie. Uczciwie. Miałem nawet zamiar pozwolić ci samemu rozwiązać problem. Honorowo, jak za dawnych czasów, ze względu na to, kim byłeś kiedyś, i ze względu na twego ojca. A ty zabiłeś Iva...

Crux zdobył się na paskudny uśmiech.

- Sam posłałeś szczeniaka do mnie? Sykstus, nie poznaję cię. To jakbyś osobiście poderznął mu gardło.

- Nikt nie musiał go posyłać - warknął obecny w pokoju Argus. - Ivo sam podejmował decyzje.

Uśmiech Corneta nieco się poszerzył.

- Teraz pewnie trochę ich żałuje, ale z pewnością będzie dobrym psem.

Argus spojrział na Sykstusa, który lekko skinął głową. Saffon podszedł do Corneta i niemal od niechcienia uderzył go pięścią w skroń. Świat wywinał kozła, gdzieś rozległ się ogłuszający hałas. Plamy podobne do zwiędłych liści poderwały się z podłogi, zatańczyły.

- ...głupota, Cornet - usłyszał odległy głos Sykstusa. - Wiele lat temu zdradziłeś klan Dellvardan, ale ja pozwoliłem ci odejść. I czegoż to dowiaduję się teraz? Zgadniesz? Niezbyt pomyślnych wieści. - Uderzył otwartą dłonią w oparcie krzesła. - Wiesz, kto cię zaraził, prawda? Posłałem ciebie, Calderon, żebyś zniszczył gniazdo nosicieli przeklętej krwi, żebyś zabił każdego, kto należał do klanu Seimle. Każdego, Cornet. Postąpiłem tak, bo ufałem ci i wierzyłem, że zrozumiesz, dlaczego to konieczne. Zawiodłeś moje zaufanie, zdradziłeś swój klan, zabiłeś mego następcę i ze wszystkich tych powodów zasługujesz na śmierć. Ale za to, że pozwoliłeś, żeby zaraza zagroziła nie tylko nam, lecz całemu Ludowi Luster, zasługujesz na piekło. I ja ci je urządzę.

- Imponująca przemowa - powiedział Cornet. - Naprawdę jestem pod wrażeniem. Wspaniały z siebie hipokryta, Sykstus. Dlaczego nie powiesz prawdy, że przerobienie mnie na mięso po prostu sprawia ci przyjemność? Wierzę w twoje umiejętności w tym względzie, więc nie miej mi za złe, że nie podzielał twego entuzjazmu i punktu widzenia. Aha, małe sprostowanie. Zabiłeś mojego ojca. W porządku, potęga starego sukinsyna naprawdę zaczęła wymykać się spod kontroli. A potem zostałeś starszym klanu i zacząłeś wcielać w życie te swoje kabotyńskie kawałki. Pozbyłeś się wszystkich, którzy nie lizali ci butów. Nigdy nie zdradziłem klanu. Odszedłem, żeby nie burzyć jego jedności, nie wprowadzać zamieszania i nie musieć patrzeć na twoją próżną gębę. Trzy razy usiłowałeś mnie zabić i zawsze okazywałem się za silny. Moje zniknięcie było dla ciebie najlepszym rozwiązaniem. Nie oczekuj ode mnie, że uznam w tobie jakiś autorytet.

- A teraz, bohaterze, zdychasz, rzygając krwią - warknął Sykstus. - To boli, co? Pocieszę cię. Z każdym dniem będzie gorzej. I może tak trwać całą wieczność. Wiesz, co to znaczy wieczność w kałuży własnej krwi?

Cornet uśmiechnął się z politowaniem.

- Sykstus, nic się nie zmieniłeś. Myślisz tylko o obrywaniu muchom skrzydełek.

Starszy klanu pobladał. Crux zdawał sobie sprawę, czym ryzykuje, ale nie potrafił się powstrzymać. Wściekłość i nienawiść, którym pozwalał nad sobą panować, przesłaniały bowiem jeszcze jedno mroczne, głęboko skryte uczucie - lęk. Dobrze wiedział, że okrucieństwo Sykstusa potrafi przybierać wyjątkowo wyrafinowane formy. Jak długo będzie miał siłę pozostać sobą? Na ile czasu starczy duma? Doskonale zdawał sobie sprawę, że złamać można każdego. Od tej reguły wyjątki nie istnieją. Jak każde żywe stworzenie bał się bólu, ale największy lęk ogarniał go wtedy, gdy uświadamiał sobie, że to, co przez lata niewoli robi z niego Sykstus, nie będzie miało wiele wspólnego z Cornetem Calderonem Dellvardanem, który odważył się rzucić wyzwanie całemu klanowi.

- Och, Cornet - syknął złowrogo starszy rodu. - Prowokujesz mnie? Mam ci uświadomić, kto nosi obrożę, a kto trzyma w garści bat i smycz?

Nie dokończył, bo wtem do pokoju wbiegła dziewczyna słodka niczym śliczna lalka. Jej okrągłą, słodką buzię okalały serpentyny złotych loków. Błękitne oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Cornet! - krzyknęła z radosnym niedowierzaniem i podbiegła, żeby go uściskać. - Nareszcie wróciłeś! Tęskniłam za tobą! Jak dobrze, że jesteś. Obiecuj, że będziesz uczył mnie malować i że przeczytamy razem te wszystkie trudne książki, których nie rozumiem, i w końcu pozwolisz mi zacząć lekcje konnej jazdy...

Urwała, bo wreszcie dotarła do niej osobliwość zastanej sytuacji.

- Co ci się stało? - spytała niepewnie. - Czemu siedzisz na podłodze?

To była Fiona Charlotta Ovex Dellvardan, wychowanka i największa nadzieja Sykstusa, który hodował ją jak jakąś cieplarnianą roślinę, żeby stała się matką odrodzonego idealnego klanu. Powiadano, że faszrował ją magią, a nawet uciekał się do pomocy Kręgu, żeby mogła dać mu potomstwo. Podobno miał na tym punkcie obsesję. Nie wahał się zaciągać ogromnych zobowiązań wobec bractwa, byle tylko Charlotta urodziła mu syna. Przez wiele lat Crux był dla niej jak starszy brat, bo szczerze żałował dziewczyny przemienionej przez Sykstusa w złotą kukiełkę.

Teraz, widząc wściekłe, bezradne spojrzenia starszego klanu próbującego wzrokiem spiorunować winowajcę, który zapomniał zatrzaskać drzwi, Cornet pomimo swej rozpaczliwej sytuacji miał ochotę się roześmiać.

Zdezorientowana Fiona utknęła pośrodku pokoju.

- Ależ ty się zrobiłaś piękna - powiedział swobodnie, tylko ze względu na nią, nie Sykstusa. - Nie poznałem cię.

- Co się stało z twoją koszulą? - szepnęła. - Przecież to krew.

Uspokajająco wyciągnął do niej rękę.

- Nic, skarbie. Musiałem zabić wściekłego psa. - Usłyszał, jak Argus zgrzytnął zębami. - Siedzę na podłodze, żeby nie pobrudzić mebli.

- Psa? - powtórzyła, postępując krok do przodu. - Tutaj?

- Nie podchodź do niego! - wtrącił błyskawicznie Sykstus. - Pobrudzisz się! Cornet jest... bardzo zmęczony. Dopiero przyszedł. Teraz nie może z tobą rozmawiać. Załatwiamy ważne sprawy.

Na ustach Cruksa pojawił się ironiczny grymas.

- Później do ciebie przyjdę - powiedział. - Obiecuję.

Sykstus przełknął ślinę.

- Zostaw nas samych, kochanie. Słyszałaś, co Cornet ci obiecał. Przyjdzie później.

Oszołomiona Fiona, przywykła słuchać poleceń Sykstusa, podeszła do drzwi. Zawahała się jednak i spojrzała na Cruksa.

- Na pewno nic ci nie jest? Ten pies cię nie pokaleczył?

Zmrużył oczy.

- Ten nie - powiedział wolno.

Starszy klanu zacisnął usta. Fiona zamarła z dłonią na klamce.

- Żartowałem, skarbie - głos Corneta brzmiał spokojnie. - Czuję się świetnie. Pogadamy potem. Teraz już idź.

Dziewczyna wyszła, a Calderon roześmiał się nieładnym, drwiącym śmiechem.

- Jak tam twoje plany hodowlane? Idealna matka dla małego Sykstusa Amanusa Dellvardana! Co prawda nie grzeszy rozumem, ale ten potomek ma odziedziczyć po tatusiu. A jeśli będzie odwrotnie, to cholerna chryja, co?

- Zamknij się! - wrzasnął Argus.

- Biedny Vax Mius! Ledwo jego braciszek Ivo trafił do pracowni, gdzie stanie się usługowym psem, zwalniając miejsce twojego następcy, ty się szykujesz do roli rozplodowego byka! Daruj sobie, Sykstus. W twoim wieku taki wysiłek może się okazać zgubny. Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś jałowy jak nieboszczyk w trumnie. No, chyba żeby Vax cię wyręczył...

- Dość, Calderon! - wysyczał starszy klanu.

- Na mnie w każdym razie nie licz. Ja się nie bawię lalkami.

Na policzkach Amanusa pojawiły się dwie szkarłatne plamy. Zerwał się, przewracając krzesło, dopadł Corneta i zamachnął się, żeby go kopnąć, ale wtedy Crux złapał go za nogę, pociągając z całej

siły ku sobie. Sykstus runął na plecy, a Cornet skoczył na niego. W tej chwili ciężka łapa Argusa trzasnęła go w kark, a przywołanych jego krzykiem trzech osiłków oderwało Cruksa od starszego klanu łątwo niby szmacianą kukłę. Posypał się na niego grad ciosów. Skulił się na podłodze tak, żeby ramionami zasłaniać głowę, a podkurczonymi nogami brzuch. Przybrał tę pozycję instynktownie, bo gdzieś w głębi duszy miał małą, zimną iskrę nadziei, że może go teraz zabiją.

\*\*\*

Pomieszczenie nie było duże. Od podłogi ciągnęło chłodem. Na zbitym z nieheblowanych bierwion stole leżało mnóstwo dziwnych przedmiotów.

- Sam zdejmiesz koszulę czy mamy ją z ciebie zedrzeć? - spytał Sykstus.

W każdym jego słowie dawało się słyszeć zadowolenie.

Cornet ściągnął przez głowę brudną, zakrwawioną szmatę. Wolał nie rozpinąć guzików, żeby nie zauważyli, jak drżą mu palce. Wiedział, że nie może się spodziewać niczego prócz bólu.

Jego brat Justus siedział po drugiej stronie stołu z wyczekującym uśmiechem, podobny do dzieciaka, który szykuje się do rozpakowania gwiazdkowego prezentu.

- Zwiąż sobie włosy - powiedział, podając mu kawałek sznurka.

Cruks z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Nie wiem, w jaki sposób mój rodzony ojciec mógł spłodzić taką gnidę jak ty.

Justus wyszczerzył zęby.

- Właściwie powinienem spytać o to samo.

Usłyszeli kroki na korytarzu i do wnętrza wszedł Millo Oexen, z wielką ostrożnością niosąc nieduży tygiel. Cornet zobaczył jego lśniąca płynną zawartość i trochę za szybko wciągnął powietrze.

- Niespodzianka, Calderon - zachichotał jakoś piskliwie Vax, z miną szczeniaka oczekującego na kość. - Z pewnością ci się spodoba.

- Ja też tak myślę - przytaknął Sykstus. - Czekają cię niezapomniane wrażenia.

Wziął ze stołu długą, cienką rurkę zakończoną kościaną rękojeścią i wsunął ją do naczynia. Nieskazitelna srebrna powierzchnia pozostała idealnie gładka, jakby część przedmiotu znikła, a nie zagłębiła się w płynie. Po chwili Amanus wyjął narzędzie. Rurka lśniła spokojnym, łagodnym blaskiem. Sykstus uniósł ją do góry, a następnie pochylił, upuszczając jedną srebrzystą kroplę na dłoń Corneta. Zasyczała, padając na skórę, a Cruks mimo woli zadrżał.

- Zimno ci, Cornet? - spytał Sykstus. - Gwarantuję, że szybko się rozgrzejesz.

- Czy te żenujące popisy naprawdę cię bawią?

- O tak. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Tak też myślałem.

Sykstus pokazał mu tygiel.

- Wiesz, co to jest, prawda? Alchemiczne srebro. Parzy, jak się zdążyłeś przekonać. Wspaniale się nadaje do wykonywania skomplikowanych rysunków. Słyszałeś o obręczy? Sześć magicznych liter, które wypisane na czole dają całkowitą władzę nad ciałem i umysłem ofiary. Tak się składa, że nie potrzebuję twojego umysłu. Wolę, żebyś cały czas wiedział, co się z tobą dzieje. Postanowiłem zastosować inną wersję obręczy, która pozwoli ci zachować kontrolę nad głową, ale tylko nad nią. Jest prosta. Po jednej literze pod każdym obojczykiem, na ramionach i łopatkach. Nie będziesz mógł opuścić tego pokoju ani przeciwstawić się komukolwiek bez mojego rozkazu. Nie będziesz nawet w stanie popełnić samobójstwa. A jestem pewien, że w końcu bardzo tego zapragniesz. Czasami przyjdę cię odwiedzić i sprawdzić, jak postępuje twoja choroba. Z radością sobie popatrzę, jak

wyjesz z bólu, krwawiąc wszystkimi porami. Nie żartowałem, to naprawdę może trwać bardzo długo. Żeby ci się nie nudziło, od czasu do czasu wymyślę jakąś niespodziankę. Co do obręczy, podobno wystarczy wypisać litery, ale przecież ty zasługujesz na coś trwalszego. Poza tym będę spokojniejszy, że się nie zetrą. Odziedziczyłeś po tatusiu sporo trudnej do okiełznania mocy. Przytrzymajcie go! - powiedział do Milla i Argusa.

- Naprawdę wierzysz, że będę się wyrywał? - warknął Crux.

- Liczę na to.

Oexen i Saffon pchnęli go na krzywy stołek, brutalnie wykręcając ręce. Delikatny srebrny płomień przesunął się po skórze lewego ramienia, piękny jak różdżka dobrej wróżki, a Cornet zadygotał, bo ból był znacznie silniejszy, niż przypuszczał. Metalowa rurka przesuwiała się wśród ogłuszającego huku płomieni i jęku rozdzieranych tkanek, które dudniły w głowie Corneta w rytm gwałtownego pulsowania krwi. Zacisnął z całej siły zęby, a jedyna myśl, którą był w stanie sformułować i powtarzać w duchu, brzmiała jak absurdalna modlitwa: Boże, który odrzuciłeś takich jak ja, proszę, nie pozwól mi krzyczeć! Roziskrzone konstelacje migotały przed oczami i niemal nie zauważył, kiedy nieskończoność dobiegła końca. Usłyszał stłumiony, dochodzący jakby zza warstwy waty głos Sykstusa:

- Spójrz no, Justus. Podoba ci się?

- Nie za bardzo. Jakoś krzywo i mało wyraźnie.

- Tak myślisz? Zaraz poprawię.

Ogień znowu zapłonął w ramieniu Corneta, kiedy srebrna baletnica ponownie zerwała się do tańca.

\*\*\*

Ocknął się zdrętwiały i obolały. Zimno bijące od kamiennej posadzki wpełzło mu do żył, chociaż w głowie szalała gorączka. Obliznął popękane wargi, lecz nie poczuł ulgi. Ostrożnie dźwignął się na łokciu, spróbował wstać. Ból smagnął go przez plecy, zakrzyczał w ramionach. Z trudem podniósł się na nogi, dygocząc z zimna. Rozejrzał się po celi. Łukowaty sufit pochylał grzbiet nad ścianami z grubych cegieł. Nie było okien. Słabe żółtawe światło wypełniające pomieszczenie nie miało żadnego źródła, jakby to lśniło powietrze. Oprócz dużego stołu, kilku zydli i skrzyni nie zauważył żadnych mebli.

Mogę tu spędzić resztę życia, pomyślał. Lata, a nawet wieki, pogrążając się w chorobie i szaleństwie. Sykstus jest zbyt opętany okrucieństwem, żeby pozwolić mi umrzeć. Będzie przedłużał moją agonię w nieskończoność. Zadygotał. Rozpacz rozwarła ramiona, gotowa przytulić go do serca bez dna.

Nawet gdyby starszy klanu przedwcześnie zginął, nadzieja na poprawę losu była znikoma. Po nim obejmie władzę siostrzeniec, Vax Mius, któremu zabił brata. Zresztą obaj, Ivo i Vax, nienawidzili Corneta już wcześniej, bo miał dość siły, żeby przeciwstawić się Amanusowi i opuścić klan, na co bracia nie potrafili się zdobyć. Pozostawała im, zaproponowana z łaski i braku lepszego kandydata, pozycja następcy starszego klanu. Oczywiście, sytuacja uległaby radykalnej zmianie, gdyby Sykstus doczekał się dziecka. Ale dla Corneta wszystko to nie miało znaczenia. Dawno temu Amanus wykazał się wielką przenikliwością, wysyłając Calderona, żeby zniszczył źródło zarazy, przeklęty klan Seimle. Crux był wtedy zbyt młody i słaby, żeby odmówić, a przy tym rozumiał zagrożenie związane z rozprzestrzenianiem się choroby. Inne klany też je pojmowały, ale i tak pozostał w ich oczach mordercą bezbronnym. W ten sposób Sykstus podciął mu skrzydła, przysporzył wrogów i uniemożliwił sięgnięcie po należną po ojcu władzę. Crux nie tęsknił do stanowiska przywódcy rodu.

Sykstus widział w nim jednak ciągle zagrożenie, prowokował scysje, a nawet próbował zamachów, więc Cornet odszedł z klanu. Nie wtrącał się do spraw Ludu Luster ani oni do niego, aż do tamtej nieszczęsnej imprezy. Przez wszystkie minione lata był pewien, że dobrze wykonał zadanie, nie pozwalając przeżyć nikomu z klanu Seimle. Od czasu gdy pierwsze paciorki krwi posypały się na poduszkę w jego domu, przypominał sobie scena po scenie atak na warownię, ale bezskutecznie. Aż pewnego dnia z zakamarków pamięci wypłynął zapomniany obraz. Blady, mglisty poranek. Mewy krzyczą, jakby podnosiły lament. Bruk dziedzińca śliski od krwi. Trupy wpatrują się w niebo, obojętne, jakby w jednej chwili pojęły i zlekceważyły wszystkie tajemnice świata. Cornet szturcha butem nieruchome ciała, czubkiem miecza odgarnia włosy i kawałki rozdartych ubrań. Chłopiec leży w błocie obok przewróconej beczki. Wydaje się najbardziej martwy ze wszystkich, bo na jego twarzy maluje się wyraz doskonałej apatii. Crux właśnie go mija, kiedy oczy utkwione martwo w odległy punkt zwracają się ku niemu. Nie widać w nich cierpienia ani lęku, tylko obojętność. Crux unosi miecz, żeby go przebić. Bez wysiłku, tylko trochę, bo drobne ciało nie będzie przecież stawiać oporu, ale ręce zamierają w połowie ruchu. Ogarnia go zmęczenie i niechęć. Dzieciak i tak przecież kona. Poza tym znajdzie go któryś z jego ludzi.

- Hej! - krzyczy. - Sprawdźcie koło tej beczki!

I odchodzi, z cholewami wysokich butów pochłapanymi krwawym błotem, zostawiając za sobą mściciela, któremu darował życie, aby odplacił mu za to fiolką pełną śmierci.

To jedyne rozwiązanie, pomyślał Cornet. Końcami palców dotknął misternego wzoru wyrysowanego na skórze pod obojczykiem nabrzmiałymi krwawymi krechami. Zabolało, aż syknął. Spróbował podejść do drzwi. Masywne, z grubych desek, nie były nawet zamknięte na klucz. Szyderca Sykstus specjalnie nie założył na nich nawet magicznej blokady, jednak w miarę jak się zbliżał, Crux czuł coraz wyraźniejszy opór. Na krok przed progiem jego ciało ostatecznie odmówiło współpracy i zamarło. Cornet zaklął. Zawrócił do stołu. Przyszło mu do głowy, że mógłby rozdrapać rany tak, żeby litery zniknęły, chociaż na samą myśl zrobiło mu się mdło. Na blacie leżała płaska łopatka o ostrych krawędziach, więc sięgnął po nią. Palce, które zacisnął na rękojeści, natychmiast zeszywniały, a narzędzie z brzękiem upadło na posadzkę.

Teraz naprawdę ogarnęła go rozpacz. Usiadł na zydłu, podpierając dłońmi czoło, a wieczność wilczym krokiem przemykała pod ścianami. Otrzeźwił go chłód. Było tak zimno, że cały dygotał. Szczękając zębami, zaczął się rozglądać za jakimś ubraniem. W kącie, jak brudna szmata, leżała jego sztywna od krwi koszula, ale postanowił założyć ją tylko w ostateczności. Otworzył wieko skrzyni. Pośród butwiejących łachów znalazł miękką czarną kurtkę, wystrzępioną i wymiętą, ale prawie nie podartą. Otulił się nią, bo była sporo za obszerna. Ściągnął sznurek z włosów, które rozsypały się po plecach. I wtedy w nagłym przeblysku przypomniał sobie pochylającą się nad nim dziewczynę. Żeby wejść do siedziby klanu, obwarowanego magicznie na kształt twierdzy, w dodatku pozostając niezauważona, musiała mieć potężny naturalny talent. Czasami, bardzo rzadko, pojawiał się taki. Cornet znał Sykstusa na tyle, żeby wiedzieć, że go zlekceważy. Amanus nigdy nie potrafił docenić śmiertelników. Jeśli udało jej się wejść raz, może będzie umiała i drugi. Powoli w głowie Cruksa zaczął się rodzić plan, oparty na jednym, niepewnym założeniu, że dziewczyna o włosach barwy leśnego miodu ponownie zechce mu pomóc.

Skupił całą swoją moc, starając się wywołać jej wizerunek. Z wysiłku na czoło wystąpiły mu krople potu. Bał się, że za chwilę dostanie następnego krwotoku i wszystko diabli wezmą. Po chwili wiedział już, że ma na imię Koral, więc delikatna nić kontaktu jednak zaczęła się nawiązywać. Zawołał ją. Cicho, a potem trochę głośniejszym głosem. Światło w pomieszczeniu przygasło, a następnie rozblęskło silniejszym perłowym blaskiem. Koral, Koral, Koral - wołał, aż imię zaczęło dźwięczeć i

wibrować, zaś powietrze zgęstniało, tworząc owalną ramę zawieszoną nad stołem. Wreszcie ją zobaczył. Stała w swojej sypialni, wgapiając się w niego ze zdumieniem.

- Koral - szepnął ochryple, bo z wysiłku zaschło mu w gardle, a pod czaszką eksplodowały fontanny iskier - poznajesz mnie?

- Jeszcze nie zdążyłam się położyć - wymamrotała oszołomiona. - Nie zdążyłam się położyć, więc nie mogę spać...

- Nie śpisz - przerwał, czując, że nie znajdzie siły, żeby długo utrzymać przejście. - Proszę, podejdź do mnie. Potrzebuję pomocy.

- Nie mogę... To jakieś szaleństwo!

- Pomóż mi, Koral. Jesteś moją jedyną szansą.

Postąpiła krok do przodu, ale zawahała się i zatrzymała. Wyciągnął do niej rękę.

- Nie ufaj Sykstusowi i pozostałym. Oszukali cię, cokolwiek ci pokazali. Tak samo dobrze możesz uwierzyć im jak i mnie. Podejdź tu. Proszę. Chcesz mnie zmusić, żebym cię błagał?

Srebrzyste światło rozlało się po celi, kiedy chwyciła wyciągnięte dłonie tak nieprawdopodobnie łatwo, że nawet Cruksa to zdziwiło. Przejście, które otworzyła, znikło, migocząc. Stała przed nim, drżąc lekko, a Cornet nie wiedział, czy z lęku, czy z zimna.

- Boże, wyglądasz jak śmierć! - wyszeptała.

Uśmiechnął się krzywo.

- Nie mam aż takich kwalifikacji. Jestem bardzo wdzięczny, że po namyśle zechciałaś mnie odwiedzić po prawdziwej stronie. Nawet nie wyobrażasz sobie jak. A teraz posłuchaj. Pójdiesz w lewo korytarzem...

- Nie.

Urwał zaskoczony.

- Najpierw powiedz mi, kim jesteś.

- Cornet Calderon Dellvardan...

- Tyle sama wiem. Ojciec ci płaci i boi się ciebie jak ognia. Nie jesteście ludźmi, prawda? Więc kim?

Zabębnił palcami o blat stołu.

- Pamiętasz, co mówiła matka, kiedy byłaś mała i zbyt długo patrzyłaś w lustro?

- Że zobaczę diabła. Wychowała mnie niańka. Matka zginęła w wypadku samochodowym.

- Brakowało ci jej? - spytał Cornet, który nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Dziewczyna zaskakiwała go. Opanowała się bardzo szybko, jak ktoś nawykły do kontrolowania uczuć. Wiedział, że jest przestraszona i zdezorientowana, ale nie dawała tego po sobie poznać.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Spędzała życie na jachtach i przyjęciach. Nie wiem, czy pamiętała, jak mam na imię. Ale ty nie jesteś diabłem.

- Bo brakuje mi rogów i ogona?

- Bo strasznie krwawiłeś. Nie potrafię sobie wyobrazić diabła w kałuży krwi.

Westchnął.

- Należę do Ludu Luster. Nie wiem, skąd pochodzimy. W każdym razie byliśmy już, kiedy pierwszy człowiek zobaczył swoje odbicie w spokojnej wodzie. Koral, zrób, o co cię proszę. Czas ucieka.

Utkwiła w nim szaroniebieskie spojrzenie.

- Czego chce od ciebie ten Sykstus? Zabić cię?

Odwrócił wzrok.

- Tym bym się aż tak nie przejmował - mruknął.

Przysunęła się bliżej, dotknęła jego lodowatej dłoni.

- Ty się boisz! - powiedziała poruszona.

Obrócił się ze złością. Nie potrafił jej zrozumieć. Stała przed nim blada, ale opanowana, prowadząc konwersację tonem odpowiednim na nudnym raucie u wysoko postawionego oficjela. O co go jeszcze zapyta? O pogodę?

- Tak się składa, że masz rację - warknął. - Składam hołd twojej przenikliwości. Chcesz, żebym zaczął klaskać? Sykstus to wariat. Krwawy wariat. Będzie patrzył, jak zdycham, jak rzygam krwią i wyję z bólu, a jeśli zechce, przerobi mnie na karmę dla psów kilka razy w ciągu godziny! Twoim zdaniem, powinienem to przyjmować ze stoicyzmem?!

Drgnęła.

- Nie krzycz. Po prostu przeraziła mnie myśl o tym, czego ty mógłbyś się bać.

- Przepraszam - mruknął. - Ostatnio zrobiłem się dziwnie nerwowy.

Przesunął ręką po twarzy.

- To którądy mam iść? - głos Koral już nie wydawał się obojętny. Podniósł wzrok i jego oczy spotkały się ze spojrzeniem dziewczyny.

Wtedy zdała sobie sprawę, że już dawno dokonała wyboru, który z pewnością okaże się nieodwracalny. Uwierzy temu rudowłosemu demonowi, ponieważ chce tego, nie dbając o własne zdrowe zmysły ani pogroźki Sykstusa.

Cornet nie miał czasu zastanawiać się nad przyczynami decyzji Koral, bo usilnie próbował sobie uzmysłwić, w której części domu powinna się znajdować jego cela.

- Pójdiesz korytarzem w lewo - powiedział. - Po bokach będziesz mijać rzędy zamkniętych drzwi. Absolutnie nie zaglądać przez nie. Na końcu korytarza zobaczysz wrota odlane z ciemnego metalu. Na lewym skrzydle jest wyryty młodzieniec z pochodnią uniesioną w górę, na prawym starzec z pochodnią w dół. Otworzą się, jeśli będziesz zdecydowana, że chcesz wejść. To pracownia Sykstusa. Przejdiesz przez pierwsze pomieszczenie i wejdiesz do drugiego. Tam powinien się znajdować żeliwny tygiel pełen płynnego metalu przypominającego rtęć, lecz dużo jaśniejszego. Nie wiem, gdzie dokładnie stoi, ale świeci w ciemności. Przynieś go do mnie.

- Dlaczego sam tego nie zrobisz?

- Nie mogę stąd wyjść - wyjaśnił.

Skinęła głową.

- Rozumiem.

Wyszła na korytarz, nie oglądając się. Cornet miał nadzieję, że nikogo nie spotka, a blokady w pracowni Amanusa rozstąpią się równie łatwo jak zabezpieczenia domu.

\*\*\*

Sień była mroczna, rozświetlona nierównym żółtym światłem. Ciężkie sklepienie wisiało nad nią niby wieko trumny. Już po kilku krokach ogarnął ją strach. Kamienne płyty podłogi odbijały stukot obcasów. W załomach muru, między fugami, miały swoje gniazda nieistniejące dźwięki, skrzyp zawiasów, szelest, ciężki oddech, szepty. Ściany korytarza zdawały się nimi tętnić. W pewnej chwili zeszywniała z lęku, a serce ścisnęło się jak pięść, gdy z ciemnej niszy wysunął się nagle cień skulonego potwora. Zobaczyła długą, wyszczerzoną paszczę, łapy zbrojne w zakrzywione pazury. Krzyknęłaby, gdyby nie zabrakło jej oddechu. Dopiero po chwili zrozumiała, że patrzy na posąg. Szkaradny stwór był odlany z brązu lub jakiegoś podobnego metalu. Przeszła obok, z lękiem zostawiając rzeźbę za plecami, niemal przekonana, że bestia wodzi za nią spojrzeniem, kołyszac



ciężkim łbem.

Korytarz, pełen prawie niesłyszalnych zgrzytów i chichotów, zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie zobaczyła przed sobą drzwi z lśniącego niebieskawego metalu. Zatrzymała się dziesięć kroków przed nimi, usiłując stłumić strach. Tak naprawdę miała ochotę natychmiast stąd uciec. Młodzieniec ze skrzydła wrót wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu, a starzec gapił się lubieżnie na jej nogi. Już miała zawrócić, kiedy zamajaczyła przed nią szara jak popiół, ściągnięta twarz Corneta. Znowu poczuła zapach krwi. Ujrzała lepką, gorącą czerwień na podłodze sypialni i dłonie Cruksa z palcami zaciskającymi się na włóknach dywanu.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła przed siebie. Najchętniej zamknęłaby oczy. Chcę wejść, powtarzała w duchu. Chcę, bardzo chcę. Masywne odrzwia drgnęły, uchylły się lekko, zamarły jakby w krótkim wahaniu, a potem rozwarły się na oścież.

Z piersi Koral wyrwało się westchnienie ulgi. Zobaczyła ogromną komnatę, przykrytą żebrowanym sklepieniem, pełną dziwacznych urządzeń, z których większość przywodziła na myśl maszyny do tortur. Pod ścianami ciągnęły się rzędy półek zastawionych manuskryptami albo przedmiotami ze szkła i metalu, o wymyślnych złowrogich kształtach.

Na podłodze, tyłem do drzwi, siedziała mała dziewczynka w biało-niebieskiej sukience z falban. Jej jasne loki były upięte aksamitną wstążką. W skupieniu układała coś, co w mdłym świetle Koral wzięła za szklane kulki. Przez chwilę dziecko nie okazywało żadnego zainteresowania szczękiem zawiasów, jakby go w ogóle nie usłyszało. Potem obróciło głowę. Tylko połowa twarzy miała ludzkie rysy. Druga była zastygłym w wyrazie niemej furii pyskiem upiornego demona. Koral chwyciła się framugi. Uderzenia własnego serca słyszała jak tłuczenie młota pneumatycznego.

- Pokażę ci sztuczkę, chcesz? - odezwał się potwór głosem pękniętego srebrnego dzwonka.

Dziewczyna zdobyła się tylko na bezwiedne skinienie głową.

- Zobacz! - pęknięty dzwonek dźwięczał dumą.

Szklane kulki potoczyły się po posadzce i wtedy Koral uzmysłowiła sobie, że to oczy. W każdym otwierały się dwie wąskie szczeliny, z których wykluwały się pokryte śluzem nietoperze skrzydła. Oczy wstrząsały nimi i kolejno podrywały się w górę. Po chwili wszystkie kołowały nad złocistą aureolą włosów dziewczynki.

- Podoba ci się?

Koral z trudem przełknęła ślinę.

- Tak - wychrypiała.

- Pobaw się ze mną. Nauczę cię, jak to się robi.

- Nie... Nie mogę... - co za dziwny świst wydobywa się z jej gardła. - Szukam... metalu, który świeci w ciemności.

- Alchemicznego srebra? - zaśpiewał dzwonek. Chuda rączka o sinych paznokciach wskazała niskie drewniane drzwi. - Jest tam. Ale nieś ostrożnie.

- Dziękuję - wyjąkała Koral.

Dziecko nakazało oczom zniżać się i wlatywać pod sufit wśród trzepotu błoniastych skrzydeł. Nic nie wskazywało na to, żeby nadal rejestrowało obecność Koral. Dziewczyna przeszła przez pokój, cicho wsunęła się do sąsiedniego pomieszczenia. Drżały jej kolana, a ręce miała mokre od potu. Druga komnata była nieco mniejsza i ciasniej zastawiona. Tutaj mechanizmy wyglądały jeszcze bardziej złowieszczo. Koral nie sądziła, że coś może ją przestraszyć na równi z potworem o szklanym głosie, ale kiedy zobaczyła leżącego na niskim stole stwora, wstrząsnął nią spazm przerażenia. Z całą pewnością był martwy, jednak na widok wchodzącej przewrócił bladymi, wodnistymi oczami, które wydawały się bezmyślne, a jednocześnie pełne głębokiej mądrości, jakby

błądziły daleko między rozjarzonymi konstelacjami kosmosu. To były źrenice martwego boga. Czarne, lśniące szwy, którymi zaszyto mu usta, wyglądały ohydnie, jak robaki. Pod pergaminową skórą pulsowały niebieskie żyły.

Dziewczyna poczuła, że robi jej się słabo. Przemogła się z trudem i zaczęła gorączkowo przeszukiwać półki. Trup wodził za nią wzrokiem, nie poruszywszy się jednak. Kiedyś musiał być młodym, przystojnym mężczyzną, ale to tylko potęgowało upiorne wrażenie.

Ze zdenerwowania straciła kilka szklanych kolb, które roztrzaskały się na kamieniach z jęklwym bęg! Zbierało jej się na płacz. Nic nie świeciło w półmroku, nic nie przypominało żeliwnego tygła. Zrzuciła na podłogę dwie grube iluminowane księgi i dostrzegła bladą poświatę. Usunęła jeszcze dwie, a wtedy za nimi ukazał się kociołek na trzech nóżkach. Boki miał rzeźbione w głowy gorgon. Na wierzchu ktoś położył oprawny w skórę tom, który tłumiał blask wydobywający się z wnętrza. Kiedy go zdjęła, nieskazitelnie gładka tafla zaczęła świecić. Koral schwyciła w dłonie ciężkie naczynie i pospiesznie opuściła komnatę odprowadzana tępym, wszechwiedzącym spojrzeniem trupa. Pragnęła jak najszybciej opuścić pracownię. Na myśl o ponownym spotkaniu dziewczynki w falbankach dreszcze przebiegały jej po krzyżu, ale sąsiednia sala była pusta. Nie pozostało w niej nawet jedno fruujące oko.

Droga powrotna przez rozchichotany korytarz przypominała podróż przez piekło. W połowie drogi zaczęła biec, a szepty i skrzywienia podążyły za nią, zachwycone gonitwą. Bez tchu wpadła do celi Corneta.

- Widział cię ktoś? - w jego głosie brzmiał niepokój.

- Dziecko o twarzy diabła i trup z zaszytymi ustami - wydyszała. - Och, Jezu, Cornet! Ta mała bawiła się ludzkimi oczami! A on leżał cały siny...

- W porządku. - Crux uspokajająco położył rękę na jej ramieniu. - To tylko pies i jeden z eksperymentów Sykstusa. W tej chwili nic nam nie zrobią. Postaw tygiel na stole i zamknij drzwi.

Posłusznie wykonała polecenia. Cornet nerwowo przeszedł się po pokoju. Zauważyła, że jakoś sztywno się porusza. Wargi miał całkiem bezkrwiste. Podał jej kawałek rzemyka.

- Zwiąż mi włosy, dobrze?

Wsunęła dłonie między grube, lśniące pasma. Prześlizgiwały się w palcach jak jedwab. Nigdy nie widziała tak pięknych włosów. Związując je rzemieniem nisko na karku, poczuła, że Cornet drży. Zerknęła na jego ostry profil i nie ośmieliła się spytać dlaczego.

- Włóż rękę do naczynia - powiedział. Wyczuła w jego głosie napięcie. - Dotknij samej powierzchni.

- Po co? - spytała.

- Obiecałaś mi pomoc, tak? Więc rób, co mówię. Śmiało. Nic ci się nie stanie.

Ostrożnie musnęła palcami błyszczącą ciecz. Po skórze przebiegło delikatne mrowienie i przyjemne ciepło. Zanurzyła całą dłoń, a gdy ją wyjęła, zobaczyła, że wewnętrzna strona jest srebrna.

- Podejdź do mnie - nakazał. Mimo woli mówił trochę ochryple. To nic, pomyślał. Nic w porównaniu z wiecznością w piwnicach domu Sykstusa. Dziewczyna zbliżyła się, ale w jej ruchach czytał niepokój. Nabrał głęboko powietrza i uśmiechnął się. To był zacięty, zły uśmiech, bo przypominał sobie pochylających się nad nim Amanusa i Justusa z szyderczym triumfem na gębach. Ujął srebrną rękę Koral za nadgarstek, wsunął sobie pod kurtkę i mocno przycisnął do piersi tuż pod obojczykiem. Krzyknęła ona, nie Crux. Wyszarpnęła rękę i odskoczyła. Wstrząśnięta potrząsała dłonią, która już nie była srebrna, a Cornet próbował nabrać tchu przez zaciśnięte zęby. Ból zawodził w każdym włóknie nerwów, ale nie był tak straszny jak podczas kreślenia liter. Ostrożnie odchylił połę i spojrział. Misterny wzór znikł. Zastąpiła go czerwona plama podobna do krzyczących ust.

- Chodź, skarbie - powiedział. - Załatwimy się z resztą.

Słowa pozwalały się artykułować opornie, a oddech wciąż świstał między zaciśniętymi zębami.

Dziewczyna patrzyła na niego ze wstrętem.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie. - Nie zrobię czegoś podobnego!

Szarpnął ją za ramiona.

- Posłuchaj, Koral. Inaczej nigdy stąd nie wyjdę. - Krzywiąc się, ściągnął kurtkę i cisnął na stół. - Popatrz! Widzisz? Muszę pozbyć się tych pieprzonych znaków. Dzięki nim Sykstus ma nade mną całkowitą władzę. Nie wyobrażaj sobie tylko, że będę błagał o życie, bo do tego się nie zniżę!

- Jesteś szalony! - jęknęła. - Wszyscy powinniście się leczyć!

Cornet poczuł, jak ogarnia go znany, bezpieczny stan wściekłości, który tłumi cierpienie, zagłusza rozpacz i przesłania lęk. Jego oczy zapłonęły gniewem.

- Myślisz, że mnie to bawi?! - wrzasnęła. - Że jestem jakimś pieprzonym świrem, który znajduje przyjemność w czymś takim?! Po prostu nie chcę tu gnić do skończenia świata! Sam bym to zrobił, ale nie mogę. Własne dłonie odmawiają mi posłuszeństwa. A nawet gdyby udało mi się nabrać tego srebrnego cholerstwa w ręce, to przepali je aż do kości. Popatrz na mnie! Powiedziałem, popatrz! Nie jestem człowiekiem, Koral, ale, kurwa mać, nie jestem zrobiony z drewna! Rozumiesz?

- Nic nie rozumiem! Nie mam z tobą nic wspólnego. Nie chcę cię znać, nie chcę cię widzieć! Ciebie i twoich dzieci z twarzami diabłów, potworów o zaszytych ustach, czarodziejskich hokus-pokus, magicznych zwierciadeł i... chcę do domu! Pozwól mi wrócić do domu!

Po policzkach dziewczyny płynęły łzy.

Wielka fala rezygnacji zalała serce Corneta i w jednej chwili zatopiła rozpaczliwą żądzę przeżycia. Nagle nie umiał znaleźć żadnego powodu, żeby dalej walczyć. I tak zdechnie w konwulsjach, dławiąc się krwią. Czy to istotne, na czyjej podłodze, Sykstusa czy własnej? Honor? Miał dość honoru. Dość bólu, śmierci, triumfów, nadziei i całego klanu Dellvardan. Co go obchodzi, że zamiast szeptać jego imię z szacunkiem i lękiem, będą gadać, jak to Crux Cornet, konając, lizał buty śmiertelnego wroga. Pochylił się nad stołem, oparł łokcie o blat. Ścisnął skronie. Czuł się wyczerpany i chory. Świeże oparzenia bolały jak wszyscy diabli. To tyle.

- Nie płacz - powiedział obojętnie. - Nie warto. Nie mogę cię wysłać do domu. Przykro mi. Musisz sama stąd wyjść. Schodami, koło pracowni Sykstusa w górę, potem w prawo i prosto. Na końcu korytarza znajdziesz drzwi. Gdy wyjdiesz na ulicę, staraj się dokładnie przywołać obraz swojej sypialni. Kiedy pojawi się w owalnej ramie z mgły, przejdź. Nie bój się, nie powinnaś napotkać kłopotów. W razie czego powiem, że ściągnąłem cię siłą. Zresztą to prawda. Żegnaj, skarbie. - Przez usta przemknął mu krzywy uśmiešek. - Mimo wszystko miło było cię poznać.

Koral łykała łzy. Przez tę mokrą, rozmazaną zasłonę widziała szczupłe plecy Corneta z kręgosłupem jak sznur pełen supłów. Dwa misterne zaognione wzory na łopatkach wyglądały niczym śpiące węże. Wtedy zaczęła mgliście rozumieć, że życie Cruksa Corneta z Ludu Luster nie obfitowało w wiele chwil wolnych od gniewu, bólu i samotności, a przekleństwo krwi sięga szerokim kręgiem poza nieszczęsny klan Seimle. Ciężko być taką istotą, pomyślała, czując, jak przepełnia ją współczucie i żal. Bała się Corneta, lecz w żaden sposób nie mogła wzbudzić w sobie odrazy czy potępienia. Stoi właśnie przed demonem, przed stworzeniem, które ludzie przez wieki słusznie nazywali diabłem, i nie ma w niej nie tylko nienawiści, ale nawet niechęci.

Podeszła i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Przeszedł ją dreszcz i głęboki wstrząs, bo dotknęła aksamitu promieniującego niezwykłą mocą. Przesunęła palce po skórze, a energia przepłynęła przez nie, uderzając w dziewczynę kolejnym dreszczem. Crux się nie poruszył, lecz Koral wydało się, że cały świat zawirował, że zetknęła się z czymś, co przewyższa ją i rzeczy, które do tej pory miały dla niej znaczenie. W nagłym przeblysku pojęła, że ta istota, ten mężczyzna jest

ważniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek przeżyła. Niż pusty dom, ojciec w wiecznych wyjazdach służbowych, widmo strojącej się matki, narzeczony Dawid, którego zgodziła się poślubić, bo nie był jej nienawistny, a swoim majątkiem i pomysłami świetnie pomógłby rodzinnej firmie, ważniejszy nawet niż ona sama. Przy nim wszystko blakło, sprowadzone do roli martwego odbicia w lustrze, ponieważ tylko Cornet był prawdziwy. Mój świat to tylko odbicie jego świata, pomyślała. Wtedy zrozumiała, że nie potrafi skazać Corneta na śmierć i hańbę, w oczach tego człowieka nieporównanie gorszą od śmierci. Już nie miała swojej duszy, bo Crux ją zabrał. Za darmo, bez cyrografu, bez czegokolwiek w zamian.

- Cornet - wyszeptała.

Zwrócił na nią zmęczone spojrzenie.

- Może lepiej, byś usiadł...

Uśmiechnął się paskudnie, drapieźnie, a Koral się przestraszyła, że ją znienawidzi. Ale jej strach był bezpodstawny.

Targnął nim ból, więc zagryzł wargi. Srebro kapalo z palców Koral, zamieniając senne węże w jeziora czerwieni, lecz to łzy, które spływały po policzkach dziewczyny, byłyby zdolne przepalić nawet diamenty.

Żeby wstać, musiał chwycić się blatu. Podłoga lekko falowała, ale gdy tylko ostatnia z liter znikła, Cornet poczuł, jakby zdjęto mu z ramion prawdziwą ciężką obręcz. Wyprostował się, odetchnął swobodnie. Żyję, pomyślał. Jeszcze nie zdycham. Jeszcze zdążę oddać Sykstusowi i mojemu bratu to, co się im należy.

Oparzenia wprawdzie bolały, lecz Crux od dawna nie czuł się tak dobrze. Żyję, myślał, z każdym oddechem odzyskując siły. Och, Sykstus! Trzeba było mnie zabić, krwawy skurwysynu!

Przypomniawszy sobie o dziewczynie. Była bardzo blada, a usta lekko jej drżały. Wyszczrzył do niej zęby.

- Już w porządku. Przestań się przejmować. Jestem złym facetem. Należało mi się. Chodź! Musimy stąd wyjść. Na razie zaliczyliśmy dopiero połowę sukcesu.

Wciągnął na siebie postrzępioną kurtkę. Chwilę rozglądał się w poszukiwaniu broni, ale niczego nie znalazł.

- Cornet? - szepnęła.

- Co?

- Czy tu zawsze tak jest?

Zrozumiał, o co pyta.

- Tak - powiedział. - Obawiam się, że tak.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź. Czeka nas wycieczka po siedzibie rodu Dellvardan.

Wypchnął ją na korytarz. Skierowali się w lewo, ku pracowni Sykstusa. Echo podchwyciło odgłos ich kroków. W ścianach znów ożyły chichoty i szelesty. Cienie, które rzucali, w mdłym, nierównym świetle wyginały się spazmatycznie w kształt pożerających się nawzajem potworów. W powietrzu unosił się piwniczny zapach przemieszany z odległym wspomnieniem ciężkiego kadzidlanego dymu. Przycupnięte w niszach posągi wodziły za przechodzącymi metalowymi łbami.

Cornet nie pamiętał, od jak dawna tędy nie chodził. W mrocznych, chłodnych korytarzach bawił się jako dziecko, kiedy podziemia i pracownia należały do jego ojca.

- Boże, co za upiorne miejsce! - jęknęła Koral. Drżała.

- Po prostu piwnice - mruknął. - Chociaż faktycznie, niezbyt przytulne. Mam nadzieję, że nikt nie zechce nagle zleźć na dół.

- Co jest za tymi drzwiami? - spytała, wskazując na rzędy zamkniętych wrót.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Większości z nich nikt nie otwierał od setek lat. Część cel z pewnością stoi pusta, w niektórych Sykstus trzyma swoje martwiaki i materiał do eksperymentów, a w innych są zamknięci więźniowie, wrogowie i zdrajcy klanu, czasem demony, większość z nich dawno zapomniana. Wolę nie myśleć, jak wyglądają po kilku setkach albo tysiącach lat.

- Więc mogą jeszcze żyć? - szepnęła wstrząśnięta.

- Jasne - powiedział. - Sam bym tak skończył, gdyby nie ty.

- Jesteście nieśmiertelni?

Usta Corneta wykrzywił nieładny uśmiech.

- Nie wiem, dziewczyno. Nikt z nas nie doczekał naturalnej śmierci.

Zamilkła.

Za zakrętem korytarza pojawiła się pracownia. Skrzydła drzwi pozostały rozwarte, tak jak zostawiła je Koral. Po lewej stronie otwierał się mroczny wylot klatki schodowej.

Wtem z wnętrza po prawej wyłoniła się niezgrabna, potężna postać. Trup. Czarne szwy pełzły po jego wargach. Bezradnym gestem wyciągał ramiona, jakby prosił o pomoc w zrozumieniu czegoś, co przerasta możliwości jego umysłu.

Koral pisnęła i chwyciła Corneta za łokieć.

- Co to jest? - wykrztusiła.

- Mój kuzyn Ivo - w głosie Cruxa pobrzmiwała ironia. - Pies. Wy się chyba już poznaliście.

- Czy jest coś, z czego nie kpisz, Cornet? - wybuchła. - Przecież to ożywiony nieboszczyk!

Spojrzał na dziewczynę, dostrzegł jej bladość, drżące palce i zrozumiał, jak bardzo musi się bać.

- Przepraszam, Koral. Dla mnie to normalne. Zwykły martwiak. Nie jest jeszcze gotowy, więc nie zrobi nam nic złego. Wiesz, dlaczego ma zaszyte usta? - spytał, nie mogąc się powstrzymać.

Potrząsnęła głową.

- Bo śmierdzi - powiedział.

Koral wzdygnęła się. Chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów.

- Nie bój się. To tylko pies. Bryła mięsa. No już, idziemy.

Posłusznie zaczęła pokonywać stopnie. Cornet zastanowił się, czy nie wrócić, żeby zniszczyć psa, ale nie miał żadnej broni, a martwiaki są bardzo silne, więc zrezygnował.

Położył dłoń na wyslizganej poręczy, starając się wyrzucić z umysłu wspomnienia, jakie wywołało dotknięcie metalu. Szerokie, ciemne schody wyprowadziły ich na górę, wprost do Galerii Szeptów. Crux znów ujrzał ogromny, wysoko sklepiony hol, którego zakrzywiony w ostrołuk sufit tonął w półmroku. Nie liczył na to, że za życia uda mu się jeszcze raz znaleźć w tym miejscu. Korytarz z surowej cegły i kamienia był niezwykle długi, a przestrzeń zdawała się tutaj załamywać pod dziwnymi kątami. Ponoć jeśli ktoś znał odpowiednie formuły, mógł przemieszczać się nim poza czasem i wymiarami, ale wiedza ta zaginęła wraz ze starożytnymi pokoleniami rodu Dellvardan.

Wysoko w górze wiązki żebrowań podtrzymujących sufit podawały sobie ręce, tworząc sklepienie. Na gzymsach siedziały przykucnięte gargulce, kamienne nietoperze rozkładały skrzydła do lotu, a pod ścianami przemykały misternie rzeźbione jaszczurki. Hol był tak ogromny, że odgłos kroków na marmurowej posadzce, ułożonej z czarnych i białych rombów, nił w ciszy. Na ścianach wisiały obrazy oprawne w ciemne, zgryzione przez korniki ramy. Były to naturalnej wielkości portrety członków klanu, zastygłych w sztywnych pozach. Cornet przesunął wzrokiem po ich surowych obliczach i poczuł, że wrócił do domu.

Mieli do przejścia spory kawałek galerii, bo Crux wybrał drogę przez najstarszą, najmniej

uczęszczaną część domu. Spieszył się. Żeby za nim nadążyć, Koral musiała biec. Mroczny korytarz, jakby żywcem wyjęty z powieści grozy, wydawał się dziwnie znajomy. Mijane po drodze portrety przyciągały uwagę, jakby każdy z nich wołał coś do niej bezgłośnie. Były piękne. Wyłaniające się z ciemnego tła twarze zdawały się jaśnieć wewnętrznym blaskiem. Postaci stały na tle nierealnych krajobrazów przedstawiających leśne jeziora okrągłe jak zgubiona moneta lub postrzępione szczyty zwieńczone warownymi zamkami.

Nagle wśród rzędów obrazów oczom Koral ukazał się portret długowłosego mężczyzny z dłonią wspartą na biodrze. W tle, na wzgórzu, płonęło miasto. Natychmiast rozpoznała ostry profil. Teraz stało się jasne, dlaczego nie znalazła tego obrazu w żadnej książce ze swojej biblioteki.

- Cornet, to ty! - zawołała. - Znam ten portret. Widziałam go we śnie!

Zatrzymał się zaskoczony. Dziewczyna musiała mieć jeszcze więcej mocy, niż przypuszczał, jeśli śniła, że przechadza się korytarzami siedziby jednego z potężniejszych rodów po Prawdziwej Stronie. Szczególnie tym korytarzem.

- Jesteśmy w Galerii Szeptów - wyjaśnił. - Znajdziesz tu portrety wszystkich dobrze urodzonych członków rodu. W każdym wizerunku pozostaje część mocy modela, bo prawdziwy portret zabiera kawałek duszy. Podobno czasem obrazy rozmawiają ze sobą. Oczywiście, kiedy w pobliżu nikogo nie ma. Dobrze się rozglądaj, a zobaczysz innych znajomych.

Zerknęła na ścianę po lewej. Obraz w masywnej ramie przedstawiał mężczyznę o rysach uderzająco podobnych do Corneta. Był jednak starszy, mocniej zbudowany, a długie, rozpuszczone włosy miały jaskrawo rudy kolor. Władcze spojrzenie zdawało się przewiercać dziewczynę na wylot. Na przeciwległej ścianie wisiał portret lodowej piękności o kruczonych lokach. W długich, bladych palcach trzymała świerszcza. Koral spojrzała na nią i zadrżała.

- To moja matka - powiedział Cornet, uśmiechając się krzywo. - Była czarownicą. Śmiertelniczką, tak jak ty. Zmusiła ojca, żeby się jej ukazał, i o mały włos nie zrobiła z niego niewolnika, a był już wtedy starszym rodu i faktycznym przywódcą większości klanów. Szaleńczo się w niej zakochał, przeprowadził ją i pojął za żonę. Stary drań i suka dobrali się jak w korcu maku. Byli siebie warci. Czasem zastanawiam się, o czym rozmawiają nocami, ale wołałbym tego nie słyszeć.

Koral poczuła nagły niepokój, a jej ręce zrobiły się mokre od potu.

- Człowiek może się stać jednym z was, Cornet?

Skinął głową.

- Tak. Pod warunkiem, że ktoś wysokiej krwi przeprowadzi go na Prawdziwą Stronę i całkowicie wypełni mocą.

- A ty jesteś wysokiej krwi?

Uśmiechnął się, pokazując duże, ostre zęby.

- Najwyższej, skarbie. Mój ojciec trząsł wszystkimi klanami. Miał tyle mocy, że nikt nie potrafił go pokonać. W końcu załatwił go Sykstus, nie bez pomocy Kręgu. Wtedy objął władzę nad rodem Dellvardan, ale stracił kontrolę nad pozostałymi klanami. Nasza rodzina wciąż ma bardzo silną pozycję, lecz już nie dominuje nad innymi. Spójrz, tam wiszą Vax i Ivo, siostrzeńcy i kandydaci na następców Sykstusa. Znacznie uprościłem mu wybór, odkąd Iva przerabiają w piwnicy na psa. Brakuje tej gnidy Justusa, bo nie ma prawa tutaj zawisnąć. Stary sukinsyn go nie uznał i nie dał mu swego nazwiska. Został Vallegro, po matce, nie Calderon. Muszę przyznać, że ojciec miewał przebłycki wielkiego rozsądku. Chodź, nie możemy tu dłużej sterczeć. Jesteśmy w domu wroga.

Oboje drgnęli, gdy w oddali rozległo się skrzypnięcie zawiasów i daleki odgłos rozmowy.

- Ktoś idzie! - syknął Cornet, chwytając dziewczynę za ramię. Popchnął ją na ścianę, gdzie nagle za figurą przyczajonego gryfa pojawiły się, dotąd zupełnie niewidoczne, wąskie, wiodące w górę

schodki. - Idź za mną - szepnął do ucha Koral, znikając w otworze. Słyszał za sobą jej przyspieszony oddech. Dłoń dziewczyny dotknęła jego pleców, poczuł palce wplątane we włosy.

Schody pięły się stromo niezliczoną ilością serpentyn. Powietrze, przesycone zapachem kurzu, nawet nie drgnęło. W ciemności Cornet potknął się kilka razy, zanim wyciągnięte po omacku ręce natrafiły na opór ściany. Wymacał znajomą klapkę, odsunął i zerknął przez maleńki otwór. Widoczny w nim pokój wydawał się pusty.

- Wchodzimy - szepnął, cicho przekręcając zapadkę. Sekretne drzwiczki otworzyły się bezszelestnie, gruby dywan stłumił odgłos kroków. Znaleźli się w przestronnym, przyjemnie urządzonej saloniku, pozbawionym jednak okien. Ciepłe, równomierne światło zdawało się promieniować z sufitu. Obracał głowę, by spojrzeć na Koral, gdy kątem oka dostrzegł w rogu przy biurku czyjąś sylwetkę. Rozpoznał szerokie barki i kędzierzawe włosy Milla Oexena. Niemal w tym samym momencie Millo zobaczył jego. Błyskawicznie odskoczył od biurka z wyrazem wściekłości i zaskoczenia na twarzy. Crux natychmiast zauważył, że Millo, tak jak on sam, nie ma broni. Przez sekundę zamarli w bezruchu, wtem Oexen rzucił się do ataku. Cornet zrobił unik, przemykając tuż pod potężną pięścią. W bezpośrednim starciu z dużo silniejszym przeciwnikiem musiał liczyć na zwinność i szybkość. Millo był potężny, ale mało zwrotny.

Wystraszona Koral tuliła się do ściany. Crux zrobił kolejny unik, jednocześnie wyprowadzając cios w brzuch Milla. Trafiał, ale równie dobrze mógłby uderzyć w stalową płytę. Odskoczył, lecz wielka pięść grzmotnęła go w żebra, pozbawiając tchu. Widząc wzniesioną do ciosu łapę olbrzyma odruchowo poderwał w górę ramiona, pewien, że jedno solidne uderzenie w głowę zakończyłoby walkę na korzyść Oexena. Zanim zdążył je opuścić, pojął swój błąd, gdy coś na kształt małego samolotu rozbiło się o jego odsłonięty bok. Siła uderzenia pozbawiła go równowagi. Zatoczył się na stół, bezskutecznie próbując zaczerpnąć trochę powietrza. Zgięty wpół zawisł na blacie, a Millo niczym wielka, niespieszna lawina ruszył na niego. Pochylony nisko Crux trzasnął go krzesłem po nogach. Oexen się potknął, a Cornet walnął resztkami krzesła w kudłaty łeb. Millo przykleknął. Crux błyskawicznie spuścił pięść na nasadę jego szerokiego nosa. Buchnęła krew, lecz wbrew zdrowemu rozsądkowi olbrzym, zamiast zachwiać się lub zwinąć, zaczął wstawać na nogi. Calderon okręcił się, żeby grzmotnąć go łokciem w splot słoneczny, gdy wielka łapa zacisnęła mu się na ramieniu, miażdżąc ranę po oparzeniu. Crux zobaczył przed oczami snop iskier, usłyszał własny gardłowy okrzyk. Millo bez miłosierdzia wykręcał mu rękę. Jeszcze sekunda, a kość trzaśnie jak suchy patyk. Cornet szarpnął się i z całej siły kopnął przeciwnika kolanem w podbrzusze. Uścisk zelżał, więc udało mu się wyrwać ramię. Natychmiast odskoczył z zasięgu pięści Milla, który zamiast kulić się z bólu, właśnie się prostował. W nagłym przeblysku Cornet zrozumiał, że zginie, jeśli natychmiast nie znajdzie broni. Chciał zanurkować za stół, ale potknął się o resztki krzesła. Runął na podłogę, a Millo już przy nim był. Ponad sobą ujrzał szeroką, zadowoloną mordę. Grube palce wyciągnęły się ku jego szyi. Spróbował kopnąć Oexena w brzuch, ale nie zdołał, bo Millo poderwał się, wydając nagły ryk wściekłości. To blada jak płótno Koral spuściła mu na łeb ciężki mosiężny świecznik. Jednym ruchem ręki odrzucił dziewczynę na ścianę, lecz w tej krótkiej chwili Cornetowi udało się wstać. Świecznik upadł na dywan, a dłoń Cruksa natychmiast się na nim zacisnęła. Z rozmachem trzasnął olbrzyma w twarz, ale mocarna łapa zdołała wyszarpnąć kandelabr z ręki Corneta, niemal łamiąc mu palce. Koral, kaszląc, usiłowała się podnieść. Okrwawiony Millo, upiorny niczym Minotaur, rzucił się na Calderona, potrząsając zdobycznym świecznikiem. Crux śmignął za stół, unikając trafienia, które odłamało część blatu. Oddychał szybko, a serce mu waliło w przyspieszonym rytmie. Sukinsyn mnie zabije, pomyślał. Gorzej, połamię mi większość kości i odniesie w zębach Sykstusowi. Muszę go czymś załatwić.

Porwał następne krzesło, żeby mieć choć symboliczną zasłonę przed furczącym w powietrzu kandelabrem. Pierwszy cios Milla rozbił prowizoryczną tarczę, lecz Cornet dalej parował ciosy kawałkami mebla, jednocześnie starając się wypatrzeć coś, co mogłoby posłużyć za lepszy oręż. Kątem oka dostrzegł na blacie biurka metaliczny błysk. Dopiero po chwili mógł zaryzykować dłuższe spojrzenie. Nóż do papieru. Piękny stary sztylet o kościanej rękojeści. Teraz musiał tylko cofać się do biurka, unikając trafienia świecznikiem, i wbić nóż w serce Milla. Tymczasem olbrzym napierał na niego twardo i zaciekle. Cornetowi mdlały ręce, od potężnych ciosów przeciwnika drętwiały mięśnie. Z krzesła pozostały tylko dwie wyszczerbione nogi. Cornet z wolna tracił siły i, co gorsza, refleks. Bronił się z trudem. Walczył przyparty do biurka, ale wciąż nie miał okazji sięgnąć po nóż. Sytuacja stawała się tak rozpaczliwa, że postanowił zaryzykować. Zebrawszy wszystkie siły, odbił rękę Milla, aż zabójczy świecznik trzasnął o ścianę z taką siłą, że pękł na dwoje. Nogi od krzesła rozleciały się w drzazgi. W ręce Oexena pozostał przełamany ostry kawał metalu, którym zdołał drasnąć Corneta w pierś. W oczach Milla pojawił się błysk triumfu. Zapędzony w kąt Crux nie miał już gdzie uciekać. Oexen uniósł do ostatniego ciosu pięść zbrojną w resztkę świecznika, lecz palce Calderona zdążyły namacać rękojeść noża. Zgiętym ramieniem osłonił twarz, udając, że próbuje przyjąć na nie uderzenie. Grube wargi Milla rozciągał uśmiech. Zwyciężył. Wziął szeroki zamach, a wtedy nóż Corneta skoczył do przodu, zagłębiając się w oku przeciwnika. Millo zawył, podrywając ręce do twarzy, a Calderon uświadomił sobie, że dotychczas walczyli niemal w całkowitym milczeniu. To dobrze. Mniej hałasu oznacza mniej kłopotów. Trzeba tylko uciszyć Milla, bo jego wrzask rozniesie się po całym domu. Ręka pewnie pokierowała nożem, który płynnym ruchem wbił się między żebra Oexena. Krzyk urwał się gwałtownie, zmieniony w głuche stęknienie, i olbrzym zwałił się na podłogę.

Cornet przez chwilę z trudem łapał oddech. Twarz, włosy i tors miał mokre od potu. Z przykrością stwierdził, że ostatnie wydarzenia źle odbiły się na jego kondycji.

Szturchnął trupa nogą.

- Powodzenia na nowej drodze życia - mruknął. Poszukał wzrokiem dziewczyny. Siedziała na podłodze, przestraszona i oszołomiona.

- Nic ci nie jest? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Na pewno?

- Na pewno - potwierdziła słabo.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Dzięki za pomoc.

Skrzywiła się.

- Ładna pomoc. Niemal cię wykończył tym świecznikiem.

- Fakt - zgodził się - w dodatku paskudnym. Sykstus nigdy nie grzeszył gustem.

Kłęknął przy trupie, wyszarpnął nóż i starannie otarł ostrze koszulą Milla. Obrócił ciało, żeby zamiast na boku leżało na wznak. Spojrzał w nieruchomą twarz olbrzyma. Zastygł na niej wyraz niedowierzania i złości. Cornet westchnął. Bez względu na to, co teraz pomyśli Koral, nie można pozwolić, żeby Sykstus przerobił Oexena na psa. Millo-martwiak stanowiłby potężną broń. Nawet za życia mało się różnił od żywego trupa.

Rozejrzał się za czymś pomocnym. Na gzymsie kominka stał niewielki posążek tańczącego fauna. Miał masywną, kanciastą podstawę. Crux sięgnął po niego, zważył w dłoni. Będzie dobry, uznał. Stał w rozkroku nad ciałem.

- Co robisz? - usłyszał szept Koral i spuścił fauna na kędzierzawy łeb Milla. Rozległo się brzydkie



chrupnięcie. Cornet zamachnął się znowu, tym razem masakrując twarz trupa. Zbryzgany posoką faun uniósł się i opadł znowu. Po trzecim ciosie czaszka pękła. Krew otoczyła głowę Milla szybko rosnącą aureolą. Crux odrzucił posążek. Koral poczuła, że chwytają ją mdłości.

- A jednak miał mózg - mruknął do siebie Cornet. - Nigdy bym nie podejrzewał.

- Zwymiotowałam - poskarżyła się Koral.

- Rzygaj śmiało, dziewczyno. Dywanu i tak nie da się uratować. Szkoda, lubiłem go.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wybuchła. - Dlaczego robisz takie wstrętne rzeczy?

Odgarnął włosy. Rzemień zsunął się z nich już na początku starcia z Millem.

- Chyba jestem zły - powiedział. - Jak wszyscy. Diabły z lustra. Jeszcze tego nie zrozumiałaś? Martwy Millo przerobiony na psa byłby dla mnie groźniejszy niż żywy. W ten sposób Sykstus nie będzie miał z niego pożytku. Zostanie z kupą rozwalonych mebli i zniszczonym dywanem.

Zabrał się do przeszukiwania szuflad biurka.

- Z ciebie też zrobią martwiaka, jak zginiesz? - parsknęła z gniewem.

- Nie. Psem może zostać tylko ktoś bezgranicznie lojalny wobec klanu. O mnie trudno to powiedzieć - wyjaśnił, grzebiąc we wnętrznościach szuflad.

Wreszcie wśród rupieci dostrzegł to, co miał nadzieję znaleźć. Palce dotknęły przeraźliwie zimnej, mydlanej powierzchni. Sięgnął głębiej i wyciągnął płaski pistolet o długiej lufie. Sprawdził, czy jest załadowany. Już miał zatknąć go za pasek na plecach, gdy po chwili wahania wcisnął broń w rękę Koral. Gdyby przypadkiem się rozdzielili, on sam, uzbrojony w sztylet, znający świetnie rozkład domu, Dellvardan Wysokiej Krwi, miałby szansę przeżyć. Bezbronna śmiertelniczka - nie.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia, omal nie upuszczając broni na podłogę. Nie zdziwił się. Pistolet był wstrętny. Półprzezroczysty, jakby półżywy. Natychmiast zaczął spijać ciepło z jej dłoni. Miał żółtawą, niejednorodną barwę plwociny. Nawet Cornet nie potrafił trzymać go bez odrazy. Ale był niezawodny. Crux go odbezpieczył. Natychmiast zaczął pić ciepło ze zdwojoną aktywnością.

- Weź to - powiedział do Koral. - Strzelaj natychmiast, gdy kogoś zobaczysz. Staraj się po prostu trafić. Nie musisz się martwić o wyrzuty sumienia. Nie jesteśmy ludźmi. - Uśmiechnął się krzywo.

- Cornet - stęknęła - ta rzecz jest ohydna.

- Ale bardzo pożyteczna. W razie czego uciekaj przez okno. Nigdy przez drzwi. Byłe dalej od domu. Potem tak jak mówiłem. Przywołaj obraz sypialni i przejdź.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chodź - powiedział, nie pozwalając o nic pytać. - straciliśmy mnóstwo czasu, może być już za późno, żeby wyjść.

Poprowadził ją w głąb amfiladowych, bezokiennych pokoi, urządzonych ze smakiem, oświetlonych pozbawioną źródła jasnością. Musieli dotrzeć do najbliższej ściany z oknami. Nie mieli szansy wrócić na dół, do Galerii Szeptów, bo sekretne przejście nie otwierało się od strony pokoju.

Cornet wyczuwał w całym skrzydle zaburzenia równowagi magicznej, spowodowane przełamaniem kilku zaklęć i zabójstwem Milla. Sykstus prawdopodobnie też je odczuwa, chociaż chyba jeszcze nie domyśla się przyczyny. Dom rodu Dellvardan był niezwykle rozległy. Trzon stał oczywiście po Prawdziwej Stronie, ale poszczególne części sięgały różnych wymiarów. Koral sama, bez Cruksa, zdołałaby może wyjść z budynku przez któreś z drzwi, choć z pewnością już nie teraz. Cornet jako wysoko postawiony przedstawiciel Ludu Luster nie miał na to żadnych szans. Powrót do siedziby rodu potęgował jego moc i dodawał siły, lecz równocześnie nakładał poważne ograniczenia. Zwłaszcza dotyczące posłuszeństwa wobec starszego klanu. Próba wdarcia się do rzeczywistości Koral przez któreś z wejść głównych równałaby się szaleństwu. Pozostawało okno wychodzące na Prawdziwą Stronę, najlepiej od ogrodu, gdzie blokady były najslabsze. Crux miał nadzieję, że

dziewczyna zdoła je przełamać. Jemu czary Sykstusa nie pozwoliłyby nawet dojść do framugi. Drgnął, bo zdawało mu się, że kątem oka zobaczył ruch. Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego. Jednak instynkt kazał mu natychmiast uciekać. Serce zabiło mocno, a w głowie zadzwoniły ostrzegawcze brzęczyki.

- Biegnij, Koral - krzyknął, popychając dziewczynę w kierunku bocznego korytarza.

Zawahała się.

- Szybciej, uciekaj!

Wpadł za załom muru. Koral znikła w ciemnym pokoju.

Nagle usłyszał cichy, śpiewny świst. Znajomy i bardzo złowróżbny. Krzyknął gardłowo, gdy w lewym ramieniu narodził się oprawca. Darł je pazurami, palił oddechem, rozdzierał na strzępy. Cornet grzmotnął plecami w ścianę. Nogi go nie utrzymały i zaczął się osuwać. Własny oddech brzmiał w uszach jak jednostajny jęk. Pocisk przestrzelił ramię na wylot. Nie utkwiał w ciele ani nie uszkodził kości. Inaczej Cornet dawno straciłby przytomność. Trucizna szalała, zmieniając rękę w pochodnię, w kawał żelaza na kowadle, w miazgę tkanek, nerwów i krwi.

Przez różową mgłę, która nagle zasnęła pokój, Cornetowi zamajaczyła sylwetka wysokiej, silnie zbudowanej kobiety. Szeroka twarz, czarne, kędzierzawe włosy. Maxima Oexen, siostra Milla. W ręce miała pistolet, nieco mniejszy niż ten, który dał Koral. Nieznacznie przesuwając lufę, trzymając Cruksa na linii strzału niby owada na szpilce. Zezujące oko wylotu zatrzymało się w końcu wpatrzony w jego prawe ramię. Na twarzy Maximy pojawił się wyraz błogości. Koniuszkiem języka oblizwała usta. Na ten widok Corneta ogarnęło obrzydzenie. Bestia wciąż pożerała zranioną rękę, a ból oślepiał. Wiedział, że Maxima zaraz pociągnie za spust i przestrzeli mu drugie ramię. Czekał, a kobieta napawała się jego bólem jak cudownym spektaklem.

Koral, ukryta w sąsiednim pokoju, doczołgała się do drzwi i ośmieliła spojrzeć.

Ona to robi specjalnie, pomyślała z przerażeniem. O Boże, jakie to wstrętne!

Maxima nie zauważyła dziewczyny. Koral uniosła broń. W głowie kołatały jej zapamiętane słowa Corneta. Wystarczy trafić.

Maxima rozchyliła w uśmiechu wargi. Powolutku naciskała spust.

Cornet starał się koncentrować wzrok na wylocie lufy. Bałby się, gdyby w ogóle mógł myśleć, lecz bestia szarpiąca mu ramię pożarła też i świadomość. Czekał.

Znajomy świst i nic. Żadnej nowej eksplozji bólu. Tylko przeciągły agonalny wrzask. Chyba nie jego? Niemożliwe.

Maxima runęła na ziemię, skręcając ciało jak martwy pająk.

Delikatne palce na jego twarzy. Przerażone szarobłękitne spojrzenie.

- Cornet? Cornet? Żyjesz? O Boże, odezwij się!

Miał skórę barwy popiołu, wargi bez kropli krwi.

Szept.

- Zaraz... przejdzie... Koral.

Trucizna dopalała się powoli. Wstrząsnęły nim torsje, ale ból trochę przygasł. Z wolna Cornet dochodził do siebie. Zraniona ręka była zupełnie bezwładna. Rwała niemiłosiernie, lecz to dawało się wytrzymać. Zdołał nawet wstać z podłogi.

- Chodź, Koral. Chodź, dziewczyno. Musimy uciekać.

- Dokąd? - jęknęła zdruzgotana.

- Do okien. To już blisko. Chodź!

Drżały mu kolana. Ze złością zacisnął zęby. Lepiej mi, nakazał sobie. Kurwa, właśnie, że lepiej!

Podszedł do ciała Maximy, pochylił się, wyszarpnął broń z martwej dłoni. Wetknął ją za pasek.

Potrząsnął głową.

- Za dużo czasu spędzam ostatnio na podłodze.

Ostrożnie wsunął rękę w rozcięcie kurtki, żeby ją chociaż trochę ochronić. Koral się nie odzywała. Posłusznie poszła za Crukssem, który pewnie wybierał drogę. Miał rację. Minęli jeden korytarzyk, kilka pokoi i znaleźli się w obszernej sali. Całą jedną ścianę pokrywały okna o framugach obrosniętych winoroślą.

- Otwórz któreś - polecił dziewczynie, starając się, żeby nie wyczuła w jego głosie napięcia.

Ostrożnie przekręciła klamkę. Zamknięcie ustąpiło natychmiast. Do wnętrza wpadł powiew ostrego, przesyconego świeżym zapachem powietrza. Cornet odetchnął z ulgą. Znowu zdziwiła go łatwość, z jaką Koral łamała magiczne blokady. Wychylił się przez parapet i wyjrzał. Nie było dobrze, ale też nie tak źle, jak się spodziewał. Pod nimi na niezbyt dużej wysokości znajdował się dach zbudowanej na polecenie Sykstusa oranżerii. Niestety, stromy i śliski jak diabli.

Po ogrodzie przechadzała się noc. Księżyc gonił po niebie poszarpane chmury. Wielkie, blade powoje wodziły za nim rozkochanym wzrokiem. Powietrze było gęste od ich zapachu. Czarne na tle nocy drzewa potrząsały ramionami ciężkimi od liści.

Widok za oknem, choć piękny, przypominał Koral ilustrację do jakiejś upiornej baśni.

- Schodzę - powiedział Cornet. - Potem pomogę tobie.

Zerknęła w dół.

- Jak dasz sobie radę z jedną ręką?

- Dam - uciał. - Zobaczysz.

W jednej chwili stał na parapecie po zewnętrznej stronie, a potem po prostu skoczył. Poślizgnął się na mokrym dachu, zatańczył na szczycie kalenicy, ale nie spadł. Zadarł głowę.

- Chodź - zawołał. - Tylko nie patrz w dół.

Bała się, ale gdy zabrakło przy niej Corneta, niespodziewanie większym lękiem zaczęło ją napawać wnętrze domu. Miała wrażenie, że coś nieokreślonego i strasznego pełźnie ku niej z serca budynku. Przerzuciła nogi przez parapet i zaczęła się ześlizgiwać w dół, uczeplona pędów dzikiego wina. Okazały się nadspodziewanie mocne. Wreszcie poczuła, że chwyta ją silna, duża dłoń Corneta.

- Już wiedzą - szepnął. - Poczujesz, prawda? Rozlewa się zakłęcie obezwładniające. Teraz musimy się spieszyć jak cholera.

Spojrzała na wąską kalenicę. Zawrót głowy i mdłości. Potrząsnęła głową.

- Nie przejdę tędy.

- Przejdiesz - warknął. Czuł się źle, był obolały i krwawił. A w dodatku zdawał sobie sprawę, do czego zdolny jest Sykstus, jeśli dostanie ich żywcem.

- Daj mi rękę i zamknij oczy. Poprowadzę cię.

- Co?!

Zmierzył ją złym, zmęczonym spojrzeniem, z którego wyczytała, ile wysiłku kosztuje go każdy ruch.

- Inaczej cię zostawię - powiedział. Nie zrobiłby tego. Już nie. Oboje wiedzieli, lecz wtedy Koral zdała sobie sprawę, że musi zrobić wszystko, co jej każe, żeby uratować życie. Bez słowa wyciągnęła dłoń. Zamknął na niej palce.

Szli całkiem sprawnie. Byłoby pewnie szybciej, gdyby ją niósł, ale nie miał siły. Poprowadził dziewczynę po dachu oranżerii, pomógł zeskoczyć na duży płaski taras. Stamtąd bez specjalnych trudności po gzymsie i małym pinaklu ześlizgnęli się na wąską galerię. Na okalającej ją balustradzie siedziały skulone, czarne na tle mroku gargulce. Przebiegali obok, gdy jeden niespodziewanie poruszył skrzydłami. Corneta owionął mdły smród zepsutego mięsa.

Harpie, zdążył pomyśleć, wyszarpując pistolet zza paska. Rzeczywiście, stwory, które siedziały na

balustradzie galerii, nie były kamienne. Najbliższy wydał przeciągły, paskudny syk. Teraz już kilka trzepotało skrzydłami, roztaczając mdlący odór. Wielki cień sfrunął z dachu na posadzkę, zagradzając Cornetowi drogę. Obok pojawił się drugi. Za plecami też usłyszeli łopot i chrobot pazurów. Najbliższa harpia podchodziła powoli, sycząc. Jej piękna ludzka twarz była skrzywiona w nieprawdopodobnym grymasie wściekłości i rozbawienia. Zaśmiała się, pokazując podwójny rząd ostrych, długich jak męski palec zębów.

Koral pisnęła cicho. Zasłonił ją sobą, przycisnąwszy do muru. Wiedział, że musi wystrzelać wszystkie, zanim zdążą nadlecieć ich siostry.

- Daj mi swój pistolet - wyszeptał do dziewczyny. - spokojnie i cicho. Żadnych gwałtownych ruchów.

Lewa ręka bolała tak, że z trudem zmusił się, żeby nią poruszyć. Rękaw miał przesiąknięty krwią, dłoń wilgotną i lepką. Harpie podchodziły bliżej, co chwila wybuchając chichotem i serią syków. Wabił je zapach krwi.

Wciągnął głęboko powietrze, policzył do trzech i zaczął strzelać.

Zakotłowało się. Dwa stwory, trafione niemal równocześnie, zawyły dziko, przemieniając się w pierzaste kule płomienia. W niebo uderzył chóralny wrzask. Ugodzone śmiertelnie harpie rozsypywały się na popiół. Cornet wciąż strzelał, gdy na tle księżycy ukazały się skrzydlate cienie. Rosły w oczach. Ich przeraźliwe krzyki mieszały się z jękami konających sióstr.

No to koniec, pomyślał. Nadlatuje stado. Na pobojowisku szarpały się cztery ranne harpie. Jedna, kulejąc i wlokąc za sobą skrzydło, rzuciła się do ataku, więc rozwalił jej łeb. Dwie, kracząc i plując, fruwały w powietrzu. Nadlatujące stado zbliżało się szybko, potężniejąc dzięki przybywającym z odległych części dachu posiłkom.

- Biegiem! - krzyknął Cornet i już w pędzie zestrzelił krążącą nad głową harpię. Spadła, wyjąc. Druga nagle rzuciła mu się na plecy i byłby zginął, gdyby nie ostrzegawczy krzyk dziewczyny. Obrócił się, strzelając wprost w rozwarte, wrzeszczące usta. Smród przyprawiał o mdłości. Stwór przemienił się w łopoczącą kulę pierza, lecz nie zajął się ogniem, więc nie został śmiertelnie ranny. Crux nie miał już czym go dobić. Odrzucił oba puste pistolety.

- Na ziemię i w krzaki! - wychrypiał do Koral. - Byle gęste!

Pchnął ją mocno, żeby zmusić do szybszego biegu, a sam został nieco z tyłu. W ostateczności postanowił się zatrzymać i wziąć cały impet ataku na siebie, żeby dać dziewczynie szansę ucieczki. Wzdrygnął się na myśl, że zginie rozszarpany przez harpie, ale co innego mógł zrobić.

Już nie biegli galerią, zeskoczyli na płaski daszek, stamtąd na stromy okap zakończony rynną. Rzygacz w kształcie smoka łypnął na nich obojętnie. Wciąż jeszcze znajdowali się dość wysoko, ale musieli zaryzykować skok. Na szczęście ziemię pokrywał trawnik. Pierwsza skoczyła Koral. Upadła, ale chyba niezbyt groźnie.

- W porządku? - spytał Cornet.

Skinęła głową.

Wylądował miękko, lecz impet skoku odbił się boleśnie w zranionym ramieniu i oparzeniach, aż na chwilę pociemniało mu przed oczami. Mimo to poderwał się pierwszy, podbiegł do Koral i objął ją zdrową ręką, pomagając biec. Za szeroką połacią trawnika zaczynał się park, gęsto zarośnięty starymi drzewami. Gdyby zdołali tam dotrzeć, utrudniliby harpiom pościg. Wyjące stado rzuciło się za nimi. Cornet objął Koral wpół i popędził ku gęstwinie. Chichot stworów brzmiał jak pieśń z piekieł. Mdlący odór wypełniał nozdrza. Crux czuł na karku gorące, smrodliwe oddechy. Triumfalne wrzaski ogłuszały. Dziewczyna nie była w stanie wytrzymać tempa, więc właściwie musiał ją nieść. Skraj parku zdawał się oddalać, zamiast przybliżać. Wreszcie niskie gałęzie smagnęły ich po

twarzach. Wpadli między drzewa, a harpie spadły na park jak pikujące samoloty. Jednak pośród pni i gałęzi wytraciły szybkość. Starły się omijać drzewa, lecz zderzały się ze sobą i skrzecząc wściekle, zaczynały walkę we własnych szeregach. Mimo to wciąż stanowiły śmiertelne zagrożenie.

Crux rozpaczliwie rozglądał się po ogrodzie, próbując znaleźć schronienie. Pomysł zaświtał nagle. Różana altana. Powinna stać gdzieś w tej części parku. Chyba że Sykstus ją zlikwidował, pomyślał ponuro.

Koral potykała się co chwila, dysząc z trudem. Właściwie włókł ją, nie podtrzymywał. Skręcili gwałtownie w lewo i Cornet dostrzegł upragnioną altanę. Kutej pergoli nie było widać zza gęstwy róż, których nikt nie przycinał chyba od wieków. Nie mógł się spodziewać wspanialszego widoku. Wydłużył krok, zmuszając dziewczynę do szybszego biegu. Nie tracił czasu na odwrócenie głowy, ale i tak wiedział, że harpie ich doganiają. Znaczna część stada znalazła drogę pośród drzew.

Altana była już o krok. Crux pchnął Koral w gęstwinę krzewów. Runęli między róże. Pociągnął ją w głąb, zmuszając do czołgania. Kolce dały ubrania, wplątywały się we włosy, kaleczyły skórę. Calderon z satysfakcją odnotował wściekle, zawiedzione wrzaski, łopot skrzydeł i syk. Dopiero gdy krzaki zgęstniały za bardzo, żeby dalej się czołgać, uznał, że są względnie bezpieczni. Padł na wznak, łamiąc gałązki, z trudem chwytając oddech.

- Tradycja - wydyszał. - To święta rzecz. Gdyby Sykstus nie zachował tej wzniesionej przez przedwiecznych altany, zostałyby z nas flaki.

Koral nawet nie starała się go zrozumieć. Leżała bezwładnie jak zepsuty manekin. Krzyki i syczenia harpii dawały się słyszeć jeszcze przez jakiś czas, aż ucichły. Stwory odleciały. Ale to nie oznaczało końca kłopotów. Czar obezwładniający pełził ku nim powoli, lecz nieubłaganie. Crux wiedział, że wypełnił już cały dom, a teraz wylewa się do ogrodu. W parku, na zewnątrz murów budynku, osłabł, choć nadal nie można go było przełamać. Władza starszego klanu urywała się dopiero za parkanem ogrodu. Ziemia powoli nasiąkała czarem. Crux czuł nieprzyjemne mrowienie i lekki ból głowy.

Róże kierowały ku niemu zdumione pyszczki, zaglądały w twarz. Cornet myślał. Nie zdążą opuścić terenu posiadłości przed zaklęciem Sykstusa. Park jest zbyt rozległy.

Zerknął na leżącą bez ruchu Koral i niespodziewanie zachciało mu się śmiać. Wyobraził sobie jej minę, kiedy oznajmi, że znaleźli się w sytuacji gorszej niż w domu. Tam mogli chociaż liczyć na otwarcie magicznego przejścia. Pobiegajmy jeszcze trochę, kotku. Jak będziemy mieli szczęście, szlag nas trafi ze zmęczenia i wywinimy się tym sposobem zemście Sykstusa. Elfy z różanego krzaka. Pięknie, nie ma co.

Czar obezwładniający nasilał się. Cornetowi zdrętwiały stopy, przez skórę wkradał się chłód. Tu już nie było miejsca na drwinę. Usilnie starał się znaleźć jakieś rozwiązanie, a nic nie przychodziło mu do głowy. Zmęczenie czy skutek trującej magii? Zaklął. Żałował wysiłku włożonego w ucieczkę, dziewczyny, którą w to wciągnął, zmarnowanej szansy. Żałował, lecz wcale nie zamierzał się poddać. Bo była jeszcze Wieża. Jedyne miejsce, do którego nie sięgała moc przywódcy klanu. Najstarszy, przesycony potężną magią fragment domu, tron trzonów. Miała kiedyś nazwę, lecz nikt nie ośmielał się jej wypowiadać.

Wieża. Przybytek umarłych. To tutaj przebywały po śmierci dusze potężnych członków rodu. To tu można było usłyszeć ich głos. Zew wieków. Zew cienia. Nikt z żyjących nie mógł długo przebywać w Wieży, jeśli nie chciał oszaleć. Nikt nie wchodził tam bez przyczyny, z własnej woli. Bo zmarli nienawidzili żywych, domagali się ich krwi. Trwali przezarcie zazdrością, czyhając na okazję, by opętać śmiałka, który wtargnął do ich twierdzy, wyrwać się na wolność. Tam gdzie przebywali, między cieniami, nie mieli już takiej władzy i siły jak dawniej. A pragnęli jej całą duszą. Czasem zdarzały się opętania katastrofalne w skutkach dla klanu, którego dotknęły. Zawsze musiały się

skończyć interwencjami Kręgu, na szczęście udanymi. Jak dotąd. Mroczna sława otaczała Wieżę Umarłych. Jednak Cornet się nie bał. Był pewien, że zdoła wytrzymać zew. W końcu nosił w sobie krew ojca, który potrafił wziąć w garść wszystkie rody i przywrócić legendarną władzę królewską. Przed którym drżał Krąg. Który miał tyle mocy, że zgładzono go dopiero podłym podstępem. Gorzej z Koral. Cornet nie miał pojęcia, jak śmiertelniczka zareaguje na Wieżę. Miał jednak nadzieję, że zdoła ją ochronić.

Dotknął ramienia dziewczyny, delikatnie potrząsnął. Jej powieki zatrzepotały.

- Koral, wstań. Zabiorę cię w bezpieczniejsze miejsce.

- Co? - jęknęła, otwierając oczy. - Nie lubisz róż? Ja je uwielbiam. Tak bardzo, że chcę tu leżeć do skończenia świata. Podobno diabli wymyślili kolce. Wiesz coś o tym? - głos dziewczyny brzmiał cierpko.

Cornet się uśmiechnął.

- Skarbie, cynizm zostaw mnie. Mam za sobą wieki praktyki.

Poczołgał się przez krzaki. Ruszyła za nim. Ostrożnie rozgarnął gałązki. Harpii nie było. Odetchnął z ulgą, a wtedy bardzo blisko rozległ się niski, gniewny pomruk. Uniósł wzrok i spojrzał w kocie-ludzkie oczy chimery. Parsknęła, prezentując rząd ostrych kłów. Cornet zamarł. Tej z pewnością nie zatrzymają krzaki, pomyślał. Ślepiea chimery wpatrywały się w niego uważnie. Dziwił się, że bestia dawno się na nich nie rzuciła. Musiała wywęszyć uciekinierów znacznie wcześniej, lecz cały czas tylko warowała przy altanie. Stała na potężnych szponiastych łapach, bijąc o boki ogonem zakończonym żądłem. Przed sobą widział groteskowy pysk, ani ludzki, ani lwii. Sierść na nim posiwiiała ze starości. Jedno okrągłe ucho było w połowie naderwane. Niemożliwe, chociaż...

- Tass - szepnął ostrożnie.

Z gardła chimery wydobył się głuchy warkot. Oblizął wargi.

- Tass - powtórzył głośniejsz. - Pilnuj domu!

Zwierzę nastroszyło wąsy, przysiadło, jakby się zastanawiając.

- Pilnuj domu, Tass!

Chimera targnęła łbem i znikła w ciemności.

- Boże, co to było? - stęknęła Koral.

Cornet przesunął ręką po twarzy.

- Stara chimera mojego ojca - wyjaśnił. Zastanawiał się, jak Sykstus mógł być tak głupi czy skąpy, żeby nie wymienić zwierząt. I ktoś taki rządzi teraz klanem. Toż to upadek.

Koral szarpnęła go za rękaw.

- Czy ona wróci? - spytała zduszonym szeptem.

- Nie sądzę. A jeśli nawet, nic nam nie grozi. Zna mnie od dzieciaka. Chodź.

Podniósł się na nogi. W ciemności majaczyła mroczna, przysadzista sylwetka Wieży. Zakłęcie obezwładniające rozlewało się powoli, lecz bał się, że opanuje ich, nim dotrą do kryjówki. Chwycił Koral za rękę i ruszył biegiem. Musieli zawrócić w stronę domu. Wieża sterczała samotnie, oddalona od bryły budynku, ale połączona z nią łukowatym mostem, który kończył się mniej więcej w jednej trzeciej jej wysokości masywnymi drzwiami. Podobne drzwi znajdowały się również u podstawy Wieży. Nie były zaryglowane ani zabezpieczone żadnym zaklęciem, bo żadne nie miało szansy się utrzymać. Dopadli wejścia w ostatniej chwili. Cornet nie przypuszczał, że moc Sykstusa rozpełźnie się z taką siłą. Widocznie sukinsyn spotęźniał w ciągu ostatnich lat. Na końcowym odcinku Crux miał nogi jak z ołowiu, w głowie słyszał nieustanny huk i mało brakowało, a byłby zemdłą. Koral radziła sobie nieco lepiej, lecz ostatnie metry przebiegła z widocznym trudem. Calderon szarpnął wielkie, kute w kształt smoków uchwyty i wpadli do wnętrza. Uderzyła ich cisza i martwota. Drzwi

zatrzasnęły się ze zgrzytem, lecz dźwięk był nienaturalnie przytłumiony. Wieża nie miała okien, mimo to w środku nie było ciemno. Ściany z surowych głazów zdawały się emanować błękitnym blaskiem. Rozmigotane cienie ślizgały się po posadzce, spływały wzdłuż boków marmurowego stołu, który stał pośrodku pomieszczenia, pełniąc honory jedyne mebla i jedyne przedmiotu w ogóle, nie licząc drabinki prowadzącej od górnych drzwi ku posadzce. Koral nie miała wątpliwości, że blok marmuru to ołtarz. Pływające po gładkiej powierzchni niebieskie bryzgi światła sprawiały makabryczne wrażenie, więc wpatrzona w nie dziewczyna zadrżała. Zupełnie jakby spływał błękitną posoką, pomyślała.

Cornet, ciężko dysząc, opierał się o ścianę. Z trudem otrząsnął się z resztek zaklęcia. Marnie się czuł i nie najlepiej wyglądał. Co prawda mocno oberwał, ale nie aż tak, żeby stracić tyle siły. Bolały go poparzone plecy i klatka piersiowa, rwała przestrzelona ręka. Ostrożnie dotknął zranionego ramienia. Wciąż krwawiło, nieznacznie, lecz uporczywie. Dawno powinno przyschnąć. Zrozumiał i warknął ze złości. Jasne, krew. Cholerna, pieprzona zaraza. Podarunek od klanu Seimle.

- To ołtarz, prawda? - usłyszał głos Koral.

Skinął głową.

- Tak, ale nawet nie pytaj, do czego służy.

- To miejsce jest jakieś dziwne. Ja...

- Boisz się? - przerwał. - Masz czego. Stoisz w Wieży Umarłych, kaplicy klanu.

Drgnęła.

- Oddajecie im cześć?

Cornet zaśmiał się chrapliwie.

- Skąd. Staramy się nie dopuścić, żeby wyleźli na zewnątrz. Banda upiorów z dawnych wieków. Jedyne szansa, że wzięliby się między sobą za łby. Chwilowo jesteśmy bezpieczni. Żadne zaklęcia nie sięgają Wieży.

- Jeśli tak, to jedyne miejsce, gdzie będą nas szukać - zauważyła trzeźwo. - Sykstus na pewno się domyśli, że tu jesteśmy.

- Nie. Uwierz mi.

- Dlaczego?

Bo nikt o zdrowych zmysłach by tak nie postąpił, pomyślał ponuro. Już zaczynał ich słyszeć. Niesłychanie odległe, nieczytelne głosy. Za ledwie pomruk pełny zdumienia i ekscytacji. Krew. Życie.

- Wieża nie jest zbyt uczęszczana - wyjaśnił. - Chodzi o coś w rodzaju tabu.

- No dobrze, ale w jaki sposób chcesz stąd wyjść?

Odruchowo wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu.

- Sykstus nie może trzymać tak potężnej blokady w nieskończoność. W końcu pęknie, a my uciekniemy.

- Przez ogród pełen chimer, żywych trupów, skrzydlatych potworów i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze?

- Aha.

Uśmiechnął się blado. Koral spojrzała na jego twarz, a potem na pokryty rdzawymi plamami rękaw.

- Krwawisz. Daj, opatrzę ci rękę.

Wzdrygnął się.

- Nie. Nic mi nie będzie. My... jesteśmy trochę inni.

- Przestań to powtarzać. Krwawisz całkiem podobnie.

Zastanowił się. Nie pomoże, ale i nie zaszkodzi. Umarli i tak poczuli już krew. Chociaż może jeśli jej

upływ trochę się zmniejszy, będą mniej podekscytowani. Zaczął podwijać rękaw. Koral rozglądała się za jakimś prowizorycznym bandażem. We wnętrzu Wieży było zupełnie pusto, więc w grę wchodziła tylko jakaś część garderoby. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma na sobie elegancką nocną koszulę, za dużą bluzkę w kolorowe rybki, której lubiła używać jako szlafroka, i domowe pantofle. Fantastyczny strój na nocne wyprawy do siedliska demonów. Poszarpana kurtka Corneta nie nadawała się do niczego, więc po chwili namysłu zdjęła bluzkę i oderwała od niej rękaw.

- Usiądź na stole - poleciła.

Na ołtarzu? Crux zawahał się, ale uznał, że w sumie to wszystko jedno. Ściany wibrowały dźwiękiem. Cienie na blacie układały się w kształty zdeformowanych, krzyczących twarzy. „Krew, życie, krew, życie” - zawodziły mury, lecz Koral ich nie słyszała. Ostrożnie przewiązała ramię Corneta. Rana wydała jej się koszmarna. Nie miała pojęcia, jak Crux jest w stanie poruszać ręką. Nie spytała go o nic, bo twarz ściągnęła mu się w wyrazie napięcia. Oczy miał bardzo poważne.

- Koral - powiedział cicho - obejmij mnie.

- Och!

- Mocniej, dziewczyno. Staraj się o niczym nie myśleć. Powtarzaj coś, nie wiem, tabliczkę mnożenia, liczb barany, cokolwiek. Skup się na tym i nie przerywaj. Ani na sekundę, rozumiesz?

- Cornet...?

- Cicho!

Ogarnął ją ramionami, przycisnął do siebie, aż z trudem łapała oddech. Słyszała, jak mocno wali mu serce. Bo było źle, bardzo źle. Wyjące twarze wylaniały się ze ścian i zapadały pożarte przez następne. Wrzask rozsadał Cornetowi czaszkę, uniemożliwiał zaczerpnięcie oddechu. Zaciśnął zęby. Zew potężniał. Wznosił się i opadał na przenikliwej, zawodzącej nucie. Ponad tym wszystkim trwali oni, umarli. Zdawało mu się, że tonie w drobnym, niesłychanie ostrym żwirze, wdzierającym się do oczu, ust, nosa, powstałym z ich walczących między sobą osobowości. Czuł ich głód, ich żądzę. I wściekłość. Nienawidzili go. Wdzierali się w niego, ranili, szarpali. Bo się bronił. Bo nie chciał im dać tego, czego pragnęli. Co stało się ich obsesją, męką i nadzieją. Krew. Życie. Krew! Życie! KREW! ŻYCIE!

Cornet zagryzł wargi, kurczowo przyciskając do siebie dziewczynę. Coś w nim pękało, powoli, ale nieubłaganie. Walczył. Odpierał wpychające się w jego umysł istoty z rozpaczą i determinacją. Wtedy poczuł dotknięcie, które rozpoznał. Nie miał wątpliwości, choć nie potrafił uwierzyć. Nie rób tego! - krzyknął bezgłośnie, lecz sekunda szoku i słabości wystarczyła. Krzyknął drugi raz, z bólu, gdy nim zawładnęła. Stał się wysoką, czarnowłosą kobietą o twarzy jak serce. Lodowa piękność rozprostowała kurczowo zaciśnięte palce. Nie były białe jak porcelanowy bibelot, ale dziwnie kanciaste, za duże. I dlaczego tak boli lewe ramię? To nic! Życie! Życie! Krew! Aaaach! Matko?! Zostaw mnie! Precz! Jestem Cornet... Aaaach! I drobnym, jasnowłosym mężczyzną, którego srebrne oczy... Moje królestwo. Nie ma go. Obróciło się w proch. Tysiące lat. Odnajdę moje królestwo. Jestem... NIE! Cornet Calderon Dellvardan.

Smak krwi w ustach. Wokoło oni, przenikliwi jak jesienna zawierucha. Jestem Crux Cornet. Cornet Szubienica. Tak mnie nazywają. I być może przeliczyłem się. Być może nie znajdę dość siły, żeby przeciwstawić się woli umarłych.

Koral zapadła w błogą, miękką mgłę, pełną szeptów, wołania i prośby. Słodycz. Głęboka słodycz. Płynie przez palce gładka jak aksamit. Ciepła. Coraz jej więcej i więcej. Gdzieś tu ma źródło. Źródło, którego można dotknąć. Trzeba, bo wtedy słodycz wypełni ją całą, na zawsze.

- Nie rób tego!



- Co?!

- Nie pij mojej mocy.

Ocknęła się. Spojrzał w błękit pełen zdumienia. Wysunęła spod jego koszuli dłoń, której palce są wilgotne i lepkie.

- Cornet? Co się ze mną dzieje?!

- Im chodzi o krew, Koral. Wariują, bo czują krew.

- Nie rozumiem, co się stało.

- Cicho. Nic. Próbowali wypełnić cię moją mocą i wykorzystać. Nie pij jej. Może być dla ciebie zabójcza. Jestem jak pęknięty reaktor, rozumiesz?

Oszołomiona skinęła głową.

Cornet przetrzeźwiał trochę, jednak wciąż czuł przytłaczającą wołę umarłych. Zew nie ustawał. Zrozumiał, że nie potrafi się oprzeć. Za chwilę przemieni się w upiора opanowanego przez kilku najsilniejszych zmarłych, którzy odtąd będą toczyć w jego głowie walkę o władzę. Jeśli uda mu się uciec z Wieży, zanim go dorwą, wpadnie w ręce Sykstusa i wkrótce stanie się śliniącym się i błagającym o litość strzępem mięsa pod jego batem. Myśl, Cornet! Myśl! To nie jest śmierć, na jaką honor pozwala ci przystać.

Zmarli zrą się jak psy. Już dawno by go pokonali, gdyby nie szarpali się między sobą. Może w tym leży nadzieja. Szaleństwo, to prawda, ale również nadzieja.

- Koral - wyszeptał obcym, zdławionym głosem.

Znów szybowała we mgle. Spadała głową w dół, ku nieskończonym przestrzeniom, ku ciemności i słodyczy.

- Koral!

Potrząsnął nią. Szyja dziewczyny była miękka, głowa odchyliła się bezwładnie, ale powieki zadrgały.

- Coornet...?

- Pomóż mi - wymamrotał przez zaciśnięte zęby. - Myśl o domu. Pokaż mi go! Wyobraź sobie, że wracasz do domu.

Dom? Mgła zaczyna rzednąć. Ojciec, Diana, milczące drzewa w ogrodzie. Jak daleko! Duży budynek z podjazdem i dwoma skrzydłami, rozpostartymi niby ramiona.

Muszę ich wpuścić, pomyślał Cornet. Na jedno mgnienie oka. Wykorzystać ich moc do otwarcia przejścia. Zwiesić szansę wydostania się na zewnątrz, a potem, natychmiast gdy zaczną walczyć o dominację, przejść i zatrzaskać kanał. Jeśli się nie uda, sprowadzę na klan kolejne przekleństwo w postaci upiора w moim ciele.

Pot zalewał mu oczy, ze wszystkich ran, otarć i skaleczeń zaczęła sączyć się krew. Nie potrafił opierać się dłużej, nie potrafił ani ułamka sekundy, więc wpuścił ich.

Cisza. A potem perłowy rozbłysk przejścia i eksplozja wrzasku, kiedy rzucili się na siebie, żeby zwyciężyć, żeby odzyskać: KREW! ŻYCIE!

Cornet. Jestem Crux Cornet.

Porwał Koral na ręce i skoczył w perłowy blask.

Trzasnął kolanami o kamienie, wypuścił dziewczynę, potoczył się po bruku i znieruchomiał. Ze zmęczenia wstrząsały nim dreszcze. Dotknął nosa, rozmazał po twarzy krew. Nie było jej dużo.

W powietrzu nie pozostał nawet ślad przejścia. Udało się, pomyślał. Poszukał wzrokiem dziewczyny. Gramoliła się niezdarnie z ziemi, ale chyba nic się jej nie stało.

- Koral? - wychrypiał. Jego głos brzmiał jak szorowanie piaskiem po szkłe. - Jesteś cała?

- Chyba tak. Boże, głowa mnie boli. Uciekliśmy upiorom czy umarliśmy? Powiedz, bo nie jestem

pewna.

Usiadł na bruku. Rozejrzał się i dopiero teraz stwierdził, gdzie się znaleźli. Dwie przecznice od domu Koral, lecz wciąż po Prawdziwej Stronie. Ryzyko otwarcia przejścia w Wieży było olbrzymie, ale opłacało się. Bez wykorzystania potęgi zmarłych nie zdołaliby uciec.

- Wylądowaliśmy prawie dokładnie w twoim domu. - Spróbował się uśmiechnąć. - Brawa za nawigację.

Spotkał jej bezradne spojrzenie.

- Ale ja niczego nie poznaję. Tu jest dziwnie obco.

- Bo to Prawdziwa Strona. Wszystkie budynki, całe miasta mają tu swoje korzenie, swój trzon. Teraz go widzisz. Zwykle oglądasz odbicia przeniecowane przez rzeczywistość, którą znasz.

Wstała, rozglądając się uważnie. W pierwszej chwili ulica zdawała się zupełnie obca, ale w miarę jak koncentrowała uwagę, budynki i fragmenty krajobrazu stawały się znajome. Uczucie było dziwne, podobne do odczuć doświadczanych we śnie. Powoli rozpoznawała konkretne miejsca, mały skwer, kamienice, dom Cyntii, przyjaciółki Diany. Kontury zdawały się ostrzejsze, barwy pełniejsze, perspektywa w niejasny sposób wypaczona.

Cornet wciąż siedział na ulicy. Przesunął ręką po twarzy. Ogarnęła go fala zmęczenia. Dobrze, że nie dostałem krwotoku, pomyślał.

Koral odwróciła się w jego stronę, popatrzyła z troską.

- Dobrze się czujesz? Boże, wyglądasz okropnie.

Rzucił jej spojrzenie spod przymrużonych powiek.

- Ranisz moją próżność. Nie może być aż tak źle.

Jesteś piękny, Cornet, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Przyklękła przy nim.

- Możesz wstać?

- Jasne. Podaj mi rękę.

Pewnie chwycił podaną dłoń, podciągnął się i stanął na nogi. Zawirowało mu w głowie tylko odrobinę. Zerknął na Koral.

- Chodź, odprowadzę cię do domu.

To ja cię powinnam odprowadzić, miała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Nie chciała, żeby pomyślał, że się nad nim lituje. Powlekli się ulicą w dół. Cornet poruszał się z trudem. Koral też nie czuła się dobrze. Miała zawroty głowy i ciągle była oszołomiona.

Kamienice zdawały się na nich napierać. Pochylały się, potrząsając diademami attyk. Ich płaskie, szare twarze z bramami podobnymi do zaciśniętych ust napawały dziewczynę lękiem. Kłęby cieni prześlizgiwały się wzdłuż ścian, lecz wołała nie myśleć, do jakich istot należą.

Cornet milczał. Zapadnięte, podkrążone oczy wbijał w bruk przed sobą, ale i tak często się potykał. Wciąż zaciskał palce na dłoni Koral. Rękaw kurtki znów zwilgotniał, pokrywały go abstrakcyjne desenie plam. Patrzyła na nie z niepokojem.

- Cornet, ty krwawisz - ośmieliła się w końcu powiedzieć.

- To nic, przeżyję.

Złowiła wzrokiem jego spojrzenie, ale szybko odwrócił oczy.

- Bardzo cię boli?

- Nie - odparł stanowczo, chociaż ramię rwało aż po czubki palców.

- Czy was nie można zranić normalną bronią?

Skinął głową.

- Można, ale za to znacznie trudniej zabić. Musiałabyś przebić mi serce albo rozwalić mózg.

Wzdrygnęła się.

- Jakoś nie mam ochoty. Co to było, ten pistolet? W życiu nie dotknęłam czegoś równie wstrętnego.

- Jest magiczny. Ściślej mówiąc, przeklęty. Kiedyś służył do wykonywania wyroków Kręgu i obrony przed wszystkimi, którzy nie podporządkowali się jego nakazom. Nikt spoza bractwa nie miał prawa go użyć. Ale teraz nawet najmniej znaczące klany mają przynajmniej kilka egzemplarzy. Krąg przestał to kontrolować.

- Aha - bąknęła, ale po jej minie poznał, że nie ma pojęcia, o czym mówi.  
Uśmiechnął się mimo zmęczenia.

- Nie wiesz, co to jest Krąg? W dawnych czasach, których nikt z żyjących nie pamięta, klanami rządzą królowie. Władza kilku pierwszych była stabilna i w miarę sprawiedliwa, potem system przemienił się w tyranię. Mnożyły się zamachy, potomkowie z prawego i nieprawego łóża, wojny o sukcesję, zbrodnie, korupcje i wszelkie draństwo. Kiedy sytuacja stała się nie do zniesienia, powstała tajna organizacja zwana Kręgiem, która obaliła monarchię. Po zwycięstwie miała się przerodzić raczej w organ kontrolny niż aparat władzy. Starsi klanów uzyskali niezależność. Sami rządzą w rodzinach, sami rozwiązują konflikty z innymi rodami. Krąg wkracza tylko wtedy, gdy coś może zagrozić całemu Ludowi Luster. Oczywiście, teoretycznie. Jest bardzo potężny, Koral. Wszyscy staliśmy się marionetkami w jego rękach. Członkowie organizacji są magami, dysponują ogromną mocą i wiedzą. W jej imię wyrzekają się swoich rodów, aby zaprzysiąc bractwu całkowitą wierność. Nie sądzę, żeby znalazł się wśród nich choć jeden, który uczynił to ze szlachetnych pobudek. Krąg składa się z opętanych żądzą władzy ambicjuszy. Nie zawahają się przed niczym, żeby awansować w hierarchii. Każdy może poprosić bractwo o pomoc, lecz jeśli ją uzyska, zostaje na zawsze dłużnikiem. Krąg sam upomni się o zapłatę w odpowiednim momencie. I sam ją wyznaczy. Dzięki temu na każdego ma haka i wszystkich trzyma w garści. Oczywiście, nie pozwoli żadnemu rodowi urosnąć w zbyt dużą potęgę. Bez trudu poszczuje na niego innych lub po prostu go zniszczy. Koral potrząsnęła głową.

- Bardzo gorzko to brzmi.  
Wzruszył ramionami.

- Jestem ulubioną czarną owcą Ludu. Muszę się trzymać roli.

- Pochodzisz z rodu królów, Cornet? Powiedziałeś, że masz szlachetną krew.

- Pochodzenie mierzy się długością rodu i ilością mocy. Ojciec miał jej tyle, że faktycznie przywrócił władzę królewską, chociaż nigdy nie sięgnął po tytuł i nie został koronowany. Nawet Krąg bał się starego. Tak bardzo, że pomógł zorganizować zamach. Sykstus wykorzystał sytuację.

- I za to go nienawidzisz?  
Uśmiechnął się krzywo.

- Nie. Ojciec oszalał. Stał się niepoczytalny i bardzo niebezpieczny. Wiedział, że balansuje na cienkiej linii. Wszędzie wietrzył spiski, nikomu nie ufał, zgładził większość swoich popleczników i lojalnych poddanych. W końcu pewnie sam byłbym zmuszony go zabić. Sykstusa nienawidzę, bo jest podłym skurwysynem. Widać twój dom, Koral.  
Spojrzała na budynek i płot z kutych sztachet. Wyglądał tak obco, aż zadrżała.

- Boże, jest taki dziwny.

- Lepiej zaprowadzę cię do łóżka. Beze mnie mogłabyś spotkać coś, czego nie powinnaś widzieć.

- Na przykład co?

- Nic.

- Moją rodzinę? - spytała i wzdrygnęła się jeszcze raz na myśl o spotkaniu ojca lub Diany tu, po Prawdziwej Stronie. Z pewnością byliby zmienieni. Prawdę mówiąc, bała się tego, co mogłaby ujrzeć.

- Choćby - przytaknął Cornet. - Ale nie tylko. Nocą po dużych domach lubią się błąkać różne paskudztwa.

- Nawet mi nie mów! - jęknęła.

- Nie mam zamiaru.

Pociągnął ją za rękę i po prostu przeniknął przez parkan, jakby sztachety zrobiono z mgły. Znaleźli się w ogrodzie. Żwirową alejką dotarli do frontowych drzwi, przez które Cornet przeprowadził dziewczynę równie łatwo jak przez płot. Znajome, choć dziwnie odmienne pokoje i korytarze napępiały Koral lękiem. Ze strachu zwilgotniały jej ręce, poczuła gęsią skórę na ramionach. Własny dom wydawał się upiorny. Kątem oka łowiła jakieś poruszenia w ciemnych kątach, słyszała szelesty i szepty, miała wrażenie, że jest obserwowana przez mrowie lśniących, złośliwych ślepiów.

Cornet wyglądał na zmęczonego, lecz nie było po nim widać śladu niepokoju. Koral poczuła się lepiej dopiero w sypialni. Crux posadził ją na łóżku. Powinien już iść, ale coś go zatrzymywało. Milcząc, przypatrywał się dziewczynie. Skulona na brzegu wielkiego łóżka wydawała się krucha i niematerialna. W bladej twarzy lśniły ogromne szaroniebieskie oczy, jak dwa bliźniacze deszczowe nieba.

Jesteś piękna, Koral, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- Muszę iść. Uratowałaś mi życie. Nie zapomnę o tym. Nie bój się. Sykstus zostawi cię w spokoju. Nie interesuje się śmiertelnikami. To poniżej jego godności. Jesteś bezpieczna.

Szaroniebieskie spojrzenie zatrzymało się na jego twarzy.

- Nie boję się o siebie.

Wiem, pomyślał.

- Dam sobie radę. Jestem za silny dla tego drania.

Ale nie w tej chwili, pomyślała Koral.

- Dokąd pójdziesz?

- Nie wiem. Tam, gdzie mnie łatwo nie znajdzie.

Przygryzła wargę.

- Zostań.

Przysiadł obok na brzegu łóżka. Wyciągnął rękę i zewnętrzną stroną dłoni pogłaskał dziewczynę po policzku. Miodowe włosy Koral prześlizgnęły się po palcach. Chciał zostać. Bardzo chciał. Powoli mijało napięcie związane z ucieczką i zagrożeniem życia i Cornet dopiero teraz poczuł, jak strasznie jest wyczerpany. Marzył o tym, żeby położyć się obok tej błękitnej i złotej dziewczyny, zamknąć oczy i pozwolić sobie odpocząć, lecz zdawał sobie sprawę, że to nierealne.

- Nie - powiedział, wstając. - Wiesz, że to niemożliwe.

- Dlaczego? - spytała. Jej głos trochę się łamał.

- Jestem twoim złym snem, Koral. Im prędzej się z niego obudzisz, tym lepiej.

- Nieprawda! - krzyknęła.

- Uważaj na siebie, dziewczyno.

- Cornet! - zawołała, ale już wyszedł.

Nabrała głęboko powietrza, zamknęła oczy. Zapragnęła jak najszybciej zapaść w sen, stracić pamięć, bo w pokoju zrobiło się nagle przeraźliwie pusto.

\*\*\*

- Ćma? - zawołał półgłosem. Odpowiedziała mu cisza. Wiatr przemykał między nagrobkami, chłodny jak dotknięcie widma. Czarna, masywna bryła kościoła odcinała się od nocnego nieba. Słyszał suchy

szelest ocierających się o siebie źdźbeł trawy i urywane, jakby zdyszane świergoty świerszczy. Cmentarz spał cichy i martwy. Tak martwy, jak potrafi być tylko kamień.

-Ćma?

Poruszała się ciszej niż wiatr. Nagle między bielejącym w mdłym świetle gwiazd krzyżem a figurą zamyślonego anioła pojawiła się jej blada trójkątna twarz. Wielkie, okolone sińcami oczy spoglądały na niego trwożnie.

- Panie? - zaszemrała.

- Potrzebuję dobrej kryjówki. Natychmiast. Przez jakiś czas zostanę u ciebie.

Wąskie, sine usta strzygi rozciągnęły się w uśmiechu.

- Tak, panie - odpowiedziała przepiękna radością, że okazał jej zaufanie. Będzie mogła mu służyć, nawet jeżeli nie potrwa to długo.

\*\*\*

Justus stukał palcami w blat stołu. Nie czuł wściekłości ani zdziwienia. Raczej chłodną, starannie pielęgnowaną nienawiść, którą nasiąkał od dzieciństwa. Vallegro. Nie Calderon. Justus Vallegro Dellvardan. Stary go nie uznał. Nie nadał mu swego nazwiska. Dostał je ten długowłosy gnojek. Syn sukki, pomiot wiedźmy. A teraz uciekł. W porządku. To mu nic nie da. Jego krew jest przeklęta. Niech zdechnie. Niech zdycha w nieskończoność. Calderon Dellvardan. Znajdę cię, bracie. Znajdę i będę patrzył na twoje poniżenie i agonię.

Do gabinetu wpadł Sykstus. Elegancki, blady, wściekły. Justus uniósł głowę. Sykstus nie usiadł. Krążył po pokoju.

- Jak on to zrobił? Nie jest tak potężny. Nikt nie jest. Obręczy nie można przełamać. Zresztą gdyby ją przełamał, nie używałby srebra. Posłał fantoma? Wywołał demona? Bez sprzętu, bez mocy? Nie wierzę, to niewykonalne.

- Nie uciekł sam.

Sykstus zatrzymał się. Nerwowo gestykulujące dłonie zamarły. W oczach pojawił się czujny błysk.

- Uważasz, że ktoś zdradził?

Justus potrząsnął głową.

- Nie. Pomogła mu tamta dziewczyna.

- Śmiertelniczka? Mało prawdopodobne. Dostała się tu raz, przypadkiem, i miałyby zaraz przełamywać blokady? Wiesz, ile wysiłku trzeba włożyć, żeby otworzyć pracownię?

- Ivo ją widział.

- Penetrowałeś umysł psa? - Na twarzy Sykstusa pojawił się wyraz obrzydzenia. - Musisz naprawdę nienawidzić Corneta.

Vallegro wzruszył ramionami.

- Chciałem wiedzieć, co się stało.

Starszy klanu z niesmakiem pokręcił głową.

- Są przecież pewne granice. No nic. Musimy znaleźć Cruksa. Rozważam zawiadomienie Kręgu.

Palce Justusa wybijają na blacie cichy, równomierny rytm.

- Jesteś pewien, że to konieczne?

- Już postanowiłem. Za duże ryzyko. Sami możemy sobie nie poradzić. On jest gotów zgubić cały klan. Choruje, Justus. Umiera. Nie ma nic do stracenia.

Ładne szare oczy Justusa na moment skrzyżowały się ze spojrzeniem starszego rodu. Potem Vallegro opuścił wzrok i wpatrzył się we własne ręce.

- Może jednak ma - powiedział cicho.  
- O czym myślisz?  
- O dziewczynie. Słodkiej, złotowłosej Koral Trada.  
Sykstus się skrzywił.

- Ona nic nie znaczy. Wykorzystał ją, naraził na potężne niebezpieczeństwo. Nie jest głupi. Zdawał sobie sprawę, że się o niej dowiemy. Dlaczego uważasz, że mu na niej zależy?

- Nie znasz go. Naprawdę bardzo przypomina starego. Bezwzględny, ale sentymentalny. Ma we krwi słabość do śmiertelnych.

Sykstus się zamyślił.

- Zastanowię się nad tym. Może to jest jakiś pomysł.

Palce Justusa znów zaczęły bębnić po stole.

\*\*\*

Koral przewracała się z boku na bok. Ostatnio wciąż budziła się o absurdalnych porach, nie mogąc z powrotem zasnąć. Było jej niewygodnie. Duszno, ciasno, gorąco. Zmieniła się. Łatwo wpadała w złość, irytowały ją drobiazgi. Domownicy stali się nudni. Złośliwi i męczący. Na niczym nie potrafiła skupić uwagi. Denerwowała się. Łapała się na tym, że wciąż patrzy przez okno i zagląda w głąb lustra. Starła się nie myśleć. Starła się zapomnieć, ale to nic nie dawało. Pod powiekami wciąż pojawiała się szczupła twarz, ciemne oczy, smukła sylwetka. I drobiazgi. Jakiś gest bez znaczenia, kształt paznokcia, drgnięcie ust. Cień rzucany przez rzęsy. Koral Trada przewracała się z boku na bok, udręczona, znużona, nie mogąc zasnąć.

\*\*\*

Cornet przymknął powieki. Poczul, jak ogarnia go fala wściekłości. Zacisnął zęby. Boże, ten piwniczny zaduch! Ściany zwalają się na niego, przytłaczają, aż trudno odetchnąć. Chowa się po norach jak szczur. Wspaniale! Ponury, zawzięty, z pięściami wciśniętymi w kieszenie, krążył pomiędzy murami, od których zawsze ciągnęło wilgocią. Gdzie się obrócił, ścigało go szarobłękitne spojrzenie. Schudł, twarz mu się ściągnęła, oczy płonęły jak u wilka. Wszystko doprowadzało go do furii. Kryjówka w krypcie kościoła, przerażony, pokorny wzrok Ćmy, ramię, które nie bardzo chciało się goić. A najbardziej miodowe włosy. I drobna postać w białej koszuli. Czul, że się dusi. Czul, że musi wyjść zaczerpnąć powietrza i zobaczyć szarobłękitne spojrzenie.

- Ćma! - wrzasnął z irytacją.

Pojawiła się natychmiast. Chuda jak pajak. Czarne kudły w strąkach, zgarbione plecy.

- Chcę, żebyś kogoś dla mnie znalazła, rozumiesz? Możliwie szybko. Jest mi coś winien. A ja również muszę mu coś oddać. Zaaranżuj nam spotkanie, Ćma. Czas na rewanż.

Posłusznie kiwnęła głową. Ale wlepione w niego oczy były pełne lęku.

\*\*\*

Asfalt jest mokry. I latarnie rozmazują na nim światło jak plamy oleju. W powietrzu wisi mżawka, rzeka spięta mostem wygląda niby szpetna, krzywa blizna. Cornet idzie spokojnie, niespiesznym krokiem, nie kryjąc się. Przez plecy ma przewieszony miecz, którego tak dawno nie nosił. Oddycha

głęboko. Powietrze jest zimne, wilgotne, pachnie rzeką. W cieniu po drugiej stronie mostu coś się porusza. Od ściany budynku odkleja się ludzka sylwetka. Przybliża, wchodzi w krąg żółtych ślepiów latarni. Przeciwnik jest młodszy, chudy jak szkielet. Jego mizerną twarz znaczy piętno choroby. Krzywi się w grymasie uśmiechu, zęby lśnią wilgotnie. Ostatni z klanu Seimle. Miecz także niesie na plecach.

Przyjdzie mi się zmierzyć z widmem, myśli Cornet. Nagle, właściwie bez zdziwienia, zdaje sobie sprawę, za co nienawidzi umierającego chłopaka. Za Koral. Za to, że mściwie, bezpowrotnie odsunął go od niej. Gdyby nie przeklęta krew, przeprowadziłby ją bez chwili zastanowienia.

- Cornet Calderon Dellvardan - mówi chłopak, potrząsając głową z niedowierzaniem. - Kto by pomyślał? Witaj, oprawco.

Jego czaszka jest obciążona pergaminową skórą, oczy zapadłe.

- Ostatni z klanu Seimle - mówi Cornet. - Mój akt litości.

Przeciwnik odsłania w uśmiechu blade, bezkrwiste dziąsła.

- Yekke Alder Seimle. Ale mylisz się, oprawco, już nie ostatni.

- Musisz być szalony, żeby płodzić potomków i rozsiewać zarazę, Yekke. - Cornet wzrusza ramionami.

Alderem wstrząsa dreszcz.

- Chciałem, żebyś to poczuł, Cornet. Żebyś wiedział. Teraz ty też jesteś chory, teraz i ciebie będą ścigać, żeby zabić. Żeby, jak to mówią, wyeliminować źródło zarazy. Rozumiesz, jak to jest, Cornet? Nie chcesz umierać, co? Dla dobra Ludu sam ze sobą nie skończysz, mam rację, co? Nie masz zamiaru poddać się bez walki, oprawco.

- Yekke - mówi Crux z politowaniem - zdobądź się na odrobinę dumy. Nie ponizaj się, bo flaki się we mnie przewracają.

- Dlaczego mnie oszczędziłeś? - napastliwy ton, a w nim dźwięczy coś jakby wyrzut.

Cornet uśmiecha się krzywo.

- Nie chciało mi się podnosić miecza. Ręce mnie rozboleły.

Przez twarz tamtego przebiega skurcz.

- Teraz też cię rozboleją, tchórze?

Crux mruży powieki.

- Nie - mówi drwiąco. - Nie zdążą.

- Wyzwałeś mnie na pojedynek, więc walczyć - warczy Alder, wyciągając miecz z pochwy.

- Jaki pojedynek? Raczej jatka - mówi Cornet półgłosem, sięgając do rękojeści broni. Oczywiście ma rację. Alder naciera na niego z furją, ale Cornet odbija cięcie z łatwością. Jakby prowadził ćwiczenia z dzieckiem. Wie, dlaczego tamten przyjął wyzwanie. Żeby umrzeć. Paruje następny cios i robi półobrót. Tym razem może sobie pozwolić na litość bez popełnienia błędu. Tnie przeciwnika sprawnie, krótko, przez bark i klatkę piersiową. Yekke chwieje się i pada. Słychać brzęk metalu upuszczonego na bruk. Krew podbarwia kałuże na czerwono. Drgają cienkie, papierowe powieki, światło załamuje się na wyszczerzonych zębach. Wychudzona twarz staje się maską upióra.

Ja też tak będę wyglądał, myśli Cornet i przebiega go dreszcz. Unosi miecz jednym ruchem i przebija leżące ciało. Na wszelki wypadek. Wyciera ostrze ubraniem trupa. Mżawka gęstnieje. Chłód kąsa dłonie i twarz. Cornet wsuwa ręce w kieszenie, podnosi kołnierz kurtki. Ostatni z klanu Seimle śmieje się do zachmurzonego nieba, a deszcz głaszcze mu włosy, rozmywa kałuże krwi.

Dni mijały, a Koral przeżywała je w zupełnym odrętwieniu. Nie zdawała sobie sprawy, że przeszło ich tak wiele. Zbliżał się termin jej ślubu z Dawidem Ulterem, chłopakiem, który dobrze się zapowiadał w firmie ojca, który nie znaczył więcej niż płaska sylwetka przesuwaną się między meblami. Nie była pewna, czy potrafi odtworzyć w pamięci jego twarz. Obojętnie obejrzała nowy dom, prezent ślubny od ojca. Obojętnie wydawała rozporządzenia co do szczegółów wystroju. Obojętnie zносиła piskliwą, chaotyczną ruchliwość Diany, zachwyconej, że może garściami wydawać pieniądze przeznaczone dla siostry. Tylko w sprawie sukni okazywała dziwne ożywienie. Odrzuciła wszystkie modele markowych domów mody, wszystkie nowatorskie pomysły projektantów. W sumie kazała sobie uszyć ciężką, długą suknię o staroświeckim kroju, możliwie najbardziej przypominającym strój lodowej piękności ze świerszczem w porcelanowych palcach, widziany na portrecie w Galerii Szeptów. Jakby to mogło w czymś pomóc, coś odmienić, skoro Cornet milczał. Wołała go nieskończoną ilość razy, błagała, płakała i modliła się, lecz lustrzane tafle pozostawały zimne i głuche.

Teraz krążyła po pokoju w białej staroświeckiej sukni, obijając się o ściany, które zrobiły się nagle za grube, gwałtownie zacieśniając przestrzeń. Miała wrażenie, że ktoś wepchnął ją do pudełka pełnego mdłych, przesłodzonych czekoladek. To nie do zniesienia! Padła na łóżko, ale natychmiast zerwała się znowu do nerwowej karuzeli wokół pokoju.

Oddychała gwałtownie, kostki zaciśniętych pięści zbiegły.

Nie! - krzyczał w niej jakiś głos. Nie! Nie! NIE! Dosyć tego! Poczula, jak ogarnia ją wściekłość, ślepa i głęboka.

Podeszła do lustra w srebrnej ramie, wpatrzyła się z nienawiścią w lśniącą taflę.

- Cornet! - powiedziała ochryplym, niskim głosem, drżącym ze złości. - Skurwysynu! Bydlę! Wiem, że mnie słyszysz.

Tremo odbijało jej wykrzywioną gniewem twarz. Dotknęła powierzchni, naparła na nią.

- Cornet! - wrzasnęła. - Cornet! Nie zostawiaj mnie tak, ty draniu! Pokaż się!

Cisza. W lustrze odbicie pokoju i ona, biała staroświecka harpia.

- Sukinsynu, nie masz tyle odwagi, żeby ze mną porozmawiać? Nawet tyle? Wiem, że mnie słyszysz!

Rzeczywistość pękła nagle. Czas się zatrzymał w jednej chwili, jednym gwałtownym rozbłysku.

Lustro ciemnieje, powierzchnia staje się matowa, odbicia nikną. Palce, które starają się zagłębić w tafli, z bezsilną złością drapią powierzchnię.

- CORNET!!!

- No, o co chodzi? - ostry, gardłowy głos, w oczach paskudny błysk. Za plecami ma grube kamienne mury, pajęczyny i półmrok. Jest zły. Twarz mu się ściągnęła, mięśnie szczęk drgają. Ale i ją wypełnia potężna fala furii.

- Jutro wychodzę za mąż - wycodziła.

W lustrze brzydki, kpiący uśmiech, zmrużone oczy.

- Powodzenia na nowej drodze życia, skarbie.

Koral oślepiea eksplozją wściekłości. Niemal nie zdaje sobie sprawy, że uderzyła Corneta w twarz. Ręka przeszła przez taflę jak przez mgłę. Nie powstrzymał jej, nie poruszył się. W szarym błękicie rodzi się i rozrasta rozpacz, bo nic go to nie obchodzi. Jego nie obchodzi, a jej usta stają się nagle bezkrwiste, zaciśnięte w kreskę.

- Myślałam... myślałam, że... - mówi, nienawidząc się za to upokorzenie - tobie też zależy.

Przepraszam. Zapomnij o tym.

- A skąd wiesz, że nie?

Zachłysnęła się, umilkła.



- Chcesz być taka jak ja? Chcesz, żebym cię zabrał, o to chodzi? Odkąd cię zobaczyłem, nie myślę o niczym innym. Zadowolona?

- Więc zrób to. Ja nie dbam o nic. Mam cię błagać? W porządku. Przed tym też się nie zawaham. Przeprowadź mnie, Cornet.

- Nie mogę! - krzyknął. W jego głosie oprócz wściekłości brzmiała nuta smutku. Dopiero teraz zauważyła, że zmizerniał.

- Dlaczego? - spytała.

Przesunął ręką po twarzy, spuścił wzrok.

- Bo naprawdę mam przeklętą krew. Gdybym cię przeprowadził, skazałbym cię na to samo.

- Oszukałeś mnie! Powiedziałaś, żebym nie wierzyła w to, co mówi o tobie Sykstus, bo to same kłamstwa.

Westchnął.

- Nie do końca.

Zagryzła wargę.

- Nie do końca - powtórzyła z goryczą. - O Boże.

Cornet milczał przez chwilę.

- To kwestia punktu widzenia.

- To znaczy, że pozabijałeś tamtych bezbronnych ludzi.

- Tak. Ktoś musiał to zrobić. Padło na mnie. Starszy klanu Mwee, którego ziemię zagarnęli, siedzibę zrabowali, a członków wybili do nogi, był magiem. I umierając, rzucił na nich przekleństwo zarazy.

Niestety, bardzo skuteczne. Odtąd klan Seimle stał się zagrożeniem dla całego Ludu.

- Dlaczego?

- Podstępem zarażali innych.

- Po co? - szepnęła Koral z niedowierzaniem. Cornet wzruszył ramionami.

- Z nienawiści. Większość rzeczy robimy z tego powodu, dziewczyno.

Palce Koral nerwowo drgnęły, ale głos brzmiał spokojnie.

- Wykorzystałeś mnie, prawda? Świadomie naraziłeś na cholerne niebezpieczeństwo, a może nawet śmierć, wzywając do domu Sykstusa. Zaprzeczysz, Crux?

Po twarzy Corneta przebiegł skurcz.

- Nie. Nie zaprzeczę.

- Wobec tego co ci zależy mnie przeprowadzić? Przecież sama tego chcę.

- Oszalałaś?! - wrzasnął. - Teraz mi zależy. Myślisz, że mogę ot tak skazać cię na śmiertelną chorobę? Pokochałem cię, idiotko. Nie mam pojęcia, w jaki sposób do tego doszło. Wariuję przez ciebie. Prześladujesz mnie. Gdzie spojrzę, widzę twoją twarz. Bardzo pragnę cię przeprowadzić, ale nie wolno mi tego zrobić. Dotarło?

- Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć - warknęła. - I co teraz, mam prosić kogoś innego?

Poblądł gwałtownie.

- Nie.

- Nie możesz ty, załatwię to z kimś innym. Choćby z twoim cholernym braciszkiem.

- Nigdy.

- Niby dlaczego?

Oczy Corneta pociemniały z gniewu.

- Bo nie zwykłem rozdawać tego, co należy do mnie.

- No proszę - syknęła. - Traktujesz mnie jak rzecz.

- To on traktowałby. Zrobiłby z ciebie niewolnika, maszynę albo zabawkę. Zależnie od kaprysu.

Uzależniłby cię od siebie na zawsze. A potem złamał, upodlił i kopnął w kąt. Mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia, Koral. Lud Luster traktuje gatunek ludzki jak śmieci.

- Ty też, Cornet?

Zacisnęła usta, dłonie drgnęły.

- Nie graj ze mną w ten sposób, dziewczyno. Uszanuj moją inteligencję, skoro nie chcesz uszanować własnej.

- Co z nami będzie, Cornet? Jutro mam wyjść za mąż! - krzyknęła rozpaczliwie. - Nic cię to nie obchodzi? Pozwolisz na to?

- Nie.

- Więc zrób coś. Przeprowadź mnie albo nie, wszystko mi jedno. Tylko zabierz mnie stąd, dłużej tego nie wytrzymam.

Poczuł, jak znów ogarnia go złość.

- Chcesz, żebym cię zabrał?

- Tak! - wrzasnęła z furją. - Właśnie tego chcę.

- Żebyś potem jęczała i wygadywała, jak strasznie cię skrzywdziłem?

Teraz ona zbladła.

- Bez obaw! - warknęła.

- Ty w ogóle wiesz, o czym mówisz?

- Niech cię diabli, Cornet! To twoja ostatnia szansa. Teraz mi odmówisz i wszystko przepadnie. Nie zawołam cię więcej, nie zechcę widzieć na oczy. A ty będziesz do końca życia żałował. I ja też.

- W porządku. - Wycelował w nią palec. - Nie życzysz sobie ślubu? Załatwię to. Tylko nie chcę słyszeć żadnych pretensji. Na twoją pieprzoną prośbę, Koral.

- Żebyś wiedział, bydlaku! - krzyknęła, lecz lustrzana tafla znów pokazywała tylko odbicie jej wścieklej, pobielalej ze złości twarzy.

\*\*\*

- Wejdz, chłopcze - powiedział Edward Trada, otwierając przed Dawidem drzwi gabinetu. Przekroczył próg i zamarł, tak że idący z tyłu Ulter omal na niego nie wpadł. Na kosztownym orzechowym biurku siedział w niedbalej pozie długowłosa mężczyzna. Spojrzał na wchodzących z uśmiechem, który zmroził Tradzie krew w żyłach, niczym tchnienie wiatru spod lodowca.

- Witam, panowie - odezwał się uprzejmie. - Miło widzieć was obu, bo zdaje się, że będziemy musieli rozwiązać wspólny drobny problem. Siadajcie, proszę.

Trada pospiesznie, niezgrabnie ruszył w kierunku fotela, czując, jak serce przestaje mu bić, a całe ciało robi się lekkie niczym balon. Bo oczywiście rozpoznał gościa.

- Coś ty za jeden! - krzyknął nerwowo od progu Dawid, cofając się o krok. - Czego chcesz?

- Powiedziałem: siadać! - warknął Cornet. - Tylko spróbuj zwiąć, a z rozkoszą rozwalę ci łeb o kant tego eleganckiego mebla. Szczerze mówiąc, czekam na pretekst.

Dawid wsunął się do środka, a brzydki uśmiech Corneta pogłębił się. Trada spojrzał na niego i zrozumiał, co to znaczy być przerażonym.

Koral wciąż spowita w ciężką atlasową suknię, przechadzając się tam i z powrotem po sypialni, przypominała staroświecką marionetkę. Męczyły ją złe przecucia. Bała się, że Cornet w obecnym nastroju jest w stanie zrobić coś zbyt radykalnego. Postanowiła znaleźć ojca. Porozmawiać z nim, przygotować na to, co może go spotkać. W końcu była mu to winna.

Przebiegła przez pokoje na górze, zajrzała do saloniku i jadalni, a w końcu przypomniała sobie o

gabinecie. Zbiegła na dół, wpadła bez pukania.

- Cornet, nie! - krzyknęła. - Bo będę zmuszona cię zniechęcić.

Crux rozluźnił uchwyt na gardle posiniałego, pokrwawionego Dawida, potrząsnął nim jak pies szczurem i pchnął na podłogę.

- Jak sobie życzysz, skarbie - powiedział spokojnie. Ale Koral zauważyła, że z trudem nad sobą panuje.

W rogu gabinetu siedział wbity w fotel Trada, a krople potu lśniły na jego skroniach niby diadem. Na dywanie Dawid, charcząc, usiłował zaczerpnąć oddechu.

- To jest Cornet, tato - powiedziała Koral, czując, jak strasznie głupio brzmią jej słowa, ale przecież musiała coś powiedzieć, zanim sytuacja stanie się zbyt dramatyczna. - Właściwie miałam ci go wcześniej przedstawić.

Urwała. Cornet śmiał się bezgłośnie, ale całkiem otwarcie. Spojrzała w jego złe, rozbawione oczy i zdała sobie sprawę, że nerwowo wyłamuje palce.

- Naprawdę to zrobiłaś? - wychrypiął z podłogi Dawid. - Rzuciłaś mnie dla tego potwora?

- Nic nie tracisz - wymamrotała. - Jest jeszcze Diana. To ładna dziewczyna, niedługo będzie pełnoletnia. Wciąż możesz zostać zięciem szefa.

Cornet popatrzył na nią z mieszaniną podziwu i rozbawienia. Koral umilkła, bo w sumie chciała tylko pocieszyć Dawida, a nie zachować się jak suka.

- Koral - chrząknął ojciec z czeluści fotela - co to znaczy?

- Tylko tyle, panie Trada, że kocham pańską córkę - powiedział Cornet. - Z wzajemnością. Mam nadzieję, że to wyjaśnienie pana zadowala. Aha, jako przyszły teść może pan liczyć na moje szczególne względy i opiekę. Mam na myśli perspektywy rozwoju pańskiej firmy. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

Wtedy Edward Trada doświadczył iluminacji. Osobista protekcja Corneta oznaczała nieprawdopodobne korzyści. Całą gamę wspaniałych możliwości, wśród których nietykalność i zwolnienie od haraczu były ledwie warte wzmianki. Co do Dawida, to cóż - ma niewiele lat, poczeka. Bo rzeczywiście, jest jeszcze Diana. Pozwolił sobie na to, żeby się rozpromienić. Niewiele, ale jednak trochę.

- To zaskakująca sytuacja - powiedział z powagą. - Lecz szczęście córki zawsze było dla mnie najważniejsze.

Na ustach Corneta znów pojawił się paskudny uśmiech.

- Nie wątpię, panie Trada.

\*\*\*

Sykstus delikatnie pogłaskał włosy Charlotty. Obróciła na niego okrągłe błękitne oczy.

- Dlaczego się martwisz? - szepnęła.

- Nie martwię się. Myślę.

- Jesteś smutny.

- Kierowanie rodem wymaga czasem trudnych decyzji. Pamiętaj, że dobro klanu i dobro Ludu stanowi najwyższą wartość. Właśnie w tej kolejności. Dobry może być tylko ten, kto jest wierny i oddany rodzinie, rozumiesz?

Skinęła głową.

- Cieszy mnie twoja lojalność i posłuszeństwo - powiedział. - Będiesz doskonałą matką rodu Dellvardan.

Nie patrząc już na nią, wyszedł spotkać się z wysłannikiem Kręgu. Nie spodziewał się, że Krąg przyśle Rdzę. Na setki oddanych członków akurat ją. Nie wiedział, jak to odczytać. Jako ostrzeżenie, groźbę czy szyderstwo. Wcale się nie zmieniła. Krótkie ciemne włosy przylegały do głowy niby hełm. W trójkątnej twarzy rzucała się w oczy tylko czerwona plama ust. Nie podała mu ręki na powitanie. Wydeła wargi znajomym grymasem, znamionującym pogardę lub znudzenie.

- Witaj, Rdzo - mruknął.

- Witaj - odpowiedziała niskim głosem. - Podobno sobie nie radzisz. Twój stołek się chwieje?

- Nie używałbym tak drastycznych określeń.

Spod ciężkich powiek patrzyły na niego bezczelne żółte oczy.

- Więc czego chcesz od Kręgu?

Sykstus westchnął.

- Usiądź. Wyjaśnię ci.

Rdza opadła na fotel. Słuchała z pozoru senna, ale w głębi przesłoniętych rzęsami żółtych ślepi mieszkała nieustanna czujność.

\*\*\*

- Kochałeś kiedyś kogoś, Cornet? - spytała Koral.

- Tak - odpowiedział. - I co?

- Nic. Przestałem.

- Tak po prostu?

- Na to wyszło.

Odwróciła się i spojrzała na sufit.

- Jak to właściwie jest z tą przeklętą krwią?

- Młody, rosnący w siłę klan Seimle rywalizował ze starożytnym, ale podupadającym klanem Mwee. Ród Seimle wygubił wszystkich z rodziny Mwee, lecz starszy ginącego klanu z zemsty rzucił na zwycięzców przekleństwo krwi. Ponieważ potrafił posługiwać się przedwieczną magią, której dzisiaj nikt już nie zna, zaraza rozprzestrzeniła się w szalonym tempie. Trzeba było zlikwidować wszystkich nosicieli.

- Nikt nie zna lekarstwa?

- Nie. Zginęli wszyscy z rodu Mwee, a tylko urodzony członek klanu, który rzucił klątwę, jest władny ją odwołać.

- A Krąg? Mówiłeś, że jest potężny.

- Krąg składa się z samych szaleńców. Diabli wiedzą co naprawdę potrafi i co stanowi jego cel. Podejrzewam, że gdyby to rzeczywiście leżało w interesie bractwa, znalazłby antidotum, ale niewykluczone, że woli mieć w rękach kolejny bicz na wspólnotę rodów. Chociaż kto wie. Może wcale nie umie znaleźć lekarstwa. Członkowie Kręgu zaprzędają bractwu duszę. Jak myślisz, co jest warte takiej ofiary? Władza? Tajemnica? Oświecenie? Muszą być szaleni.

Roześmiała się.

- Od kiedy dbasz o duszę, Cornet?

Wzruszył ramionami.

- Umieram. W takim momencie dusza staje się dziwnie cenna.

- Zanim to nastąpi, ja stanę się zgrzybiałą starowiną albo dawno będę gryźć piach.

Przekręcił się na plecy.

- Prawdopodobnie tak, dziewczyno. Oddałbym wszystko, żeby cię przeprowadzić, ale nie mogę. Zaraziłbym cię.

- To ci nie przeszkadza ze mną sypiać.

- Dopóki jesteś śmiertelniczką. Klątwa przenosi się przez krew, ale sama jest czymś magicznym, mistycznym w pewnym sensie. Podobnie jak przeprowadzenie. Na razie nic ci nie grozi, a ja wiem, że nie urodzisz mi zarażonych dzieci. My nie krzyżujemy się z gatunkiem ludzkim.

- Jezu! Jakbyś powiedział z małpami!

- Koral, jesteśmy potężną, starożytną rasą. I nie szanujemy ludzi. I z natury stoimy po stronie zła. Zabijam, żeby żyć i ot tak, dla pstryknięcia palcami. Związałaś się z diabłem z lustra. Myślałem, że wiesz.

- Więc co? Wykorzystasz mnie i porzucisz? Będziesz się bawił, aż ci się znudzę?

Cornet westchnął.

- Opowiem ci historyjkę, bo widzę, że mnie nie rozumiesz. To stara legenda. Pochodzi jeszcze z czasów rządów królów. Pewien potężny władca miał dwóch synów. Wezwał kiedyś przed swoje oblicze młodszego i kazał mu ukryć się za tronem, aby wziąć udział w lekcji prawdziwych rządów. Następnie zawezwał kapitana straży przybocznej i spytał, czym według niego jest potęga państwa. Ten rzekł: „Potęgą państwa jest król, niby klamra, która spina je w całość”. Wtedy władca kazał przybyć swemu starszemu synowi. Gdy ten wszedł, zapytał: „Dlaczego związałaś spisek przeciwko mnie?”. Królewicz zbladł i zawołał: „Żądza władzy mnie zaślepiła. Wybacz mi, ojcze!” Władca odpowiedział: „Przebaczam ci jako ojciec, lecz jako król - nie mogę. Oto zdrajca! Zabij go, kapitanie straży”. Żołnierz wykonał rozkaz, a król nakazał młodszemu synowi wyjść z ukrycia. „Czy nienawidzisz mnie za to, co zrobiłem?” - spytał. „Nie”, odparł chłopak. „Po to jesteś królem, aby karać zdrajców. Zresztą on stał pomiędzy mną i tobą, więc nie mogłem go kochać”. „Mój synu”, powiedział król, „staniesz się teraz moim następcą. Pamiętaj, że dobro kraju to rzecz nadrzędna. Przysięgnij, że gdybym kiedykolwiek oszalał i postępował wbrew tej zasadzie, zabijesz mnie, zanim wyrządę nieodwracalne szkody”. Młodszy królewicz wzruszony złożył przysięgę. Mijały lata. Niespodziewanie król zakochał się w pięknej żonie przywódcy jednego z potężnych klanów. Miłość zaślepiła go zupełnie. Postanowił zdobyć ukochaną za wszelką cenę. W kraju rozpętała się wojna domowa, wiele rodów zbuntowało się przeciw władcy. Wszędzie płynęła krew, płonęły ognie i skwierczały zgliszcza. Pewnego dnia królewicz wkroczył do komnaty ojcowskiej i rzekł: „Królu i ojcze, oto z wielkim bólem przyszedłem wypełnić przysięgę. Ponieważ oszalałeś i przysparzasz królestwu wielkich szkód, muszę cię zabić”. Lecz zanim zdążył zadać cios, z ukrycia wypadł kapitan straży ze swymi ludźmi, którzy pojмали królewicza. Wtedy władca spytał: „Czym jest państwo, kapitanie?”. „Państwo to król. Póki jest władca, poty trwa królestwo. Bezkrólewie oznacza chaos”. „Zabij zdrajcę”, rzekł król, a żołnierz spełnił rozkaz. Wkrótce też skończyła się wojna, władca rozgromił i wytracił buntowników, pozbywając się za jednym zamachem zbyt potężnych i samowolnych poddanych, a kraj szybko dźwignął się z upadku, gdyż zawsze był silny i bogaty. Zaś król zażył wiele szczęścia u boku ukochanej kobiety, przy okazji zapewniając sukcesję synowi, którego mu dała. Jaki morał z tego wynika?

Koral potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Że polityka to podła rzecz?

Crux się uśmiechnął.

- Nie. Że dla Ludu Luster nie istnieje nic ważniejszego niż miłość do kobiety.

Teraz uśmiechnęła się dziewczyna.

- Przewrotna ta twoja bajka. Przecież miłość powinna nieść dobro.

Cornet uniósł brwi.

- Naprawdę? Nie wydaje mi się, wy, ludzie, trywializujecie ją. To potężne, stare, groźne uczucie, dzięki któremu można ważyć się na wszystko. Dobro? Zastanów się, gdyby ktoś kazał ci wybierać, kto ma umrzeć - człowiek, którego kochasz, czy, powiedzmy, małe dziecko, słodkie i nieświadome.

Koral przymknęła oczy.

- Nie kończ. Rozumiem. Nie wiem, jak potrafiłabym z tym żyć, ale wiem, co bym wybrała.

- Sama widzisz - mruknął Crux. - Mój świat jest stary i po prostu odarty ze złudzeń.

Spojrzała na niego.

- Chyba nie do końca.

- Może nie.

- Zabiłbyś własne dziecko, Cornet? Gdyby chodziło o władzę lub cokolwiek innego?

Potrząsnął głową.

- Duma by mi nie pozwoliła. Właśnie za tę skazę Lud się mnie wyrzekł.

- Nie rozumiem.

- Za to, że nie przejąłem sukcesji po ojcu. Wtedy musiałbym walczyć o władzę, posuwać się do skrytobójstwa, intryg, zawierać sojusze z tymi, którymi gardzę, zdradzać przyjaciół i wciąż drzeć o stabilność swego stołka. To nie dla mnie, skarbie. Mówiłem ci, że miałem starszego brata? Był synem poprzedniej żony ojca. Matka i stary wykończyli go opętani lękiem, że im zagraża. Nie chciałem być taki sam. Z drugiej strony nie chciałem podzielić losu brata, czego nie dało się wykluczyć.

- Jezu! Mieli jakieś dowody, że działał przeciwko nim?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Chyba nie.

- Chcesz powiedzieć, że twój ojciec zamordował własnego syna, który był zupełnie niewinny?

Na ustach Corneta pojawił się twardy, chłodny uśmiech.

- Nie ma niewinnych - powiedział.

- A ty?

Wzruszył ramionami.

- Byłbym zmuszony spróbować zabić starego, gdyby zaczął mi zagrażać.

- Rzeczywiście, jesteście potworami.

- Jasne, moja piękna. Zadajesz się z bestią. Wciąż chcesz się stać taka jak ja?

- O niczym innym nie marzę.

- Dziś wieczorem spotkam się z kimś, kto, być może, zgodzi się nam pomóc. Ale nie rób sobie wielkich nadziei. To pomysł desperata.

- Może ci grozić jakieś niebezpieczeństwo? - zaniepokoiła się.

Pocałował ją.

- Nie. W najgorszym razie to będzie żalósne.

\*\*\*

Noc zapadała nad miastem, brzydka i mglista. Wiatr niósł w sobie zimną wilgoć. Cornet rozcierał ręce. Czekał. Rozumiał, że z każdą chwilą jego czekanie staje się coraz bardziej beznadziejne. Nikt się nie zjawi. Jeszcze kilka minut i wróci do Koral. W głębi duszy od początku wiedział, że nie może liczyć na pomoc Kręgu.

Odgłos kroków zaskoczył go. U wylotu zaułka pojawiła się nagle drobna postać ubrana w płaszcz. Podeszła bliżej i Cornet rozpoznał trójkątną twarz z czerwoną plamą ust.

Poczuł dreszcz przebiegający po krzyżu. Mięśnie napięły się odruchowo, serce przyspieszyło rytm, gdy tymczasem ona szła bez pośpiechu, z rękami w kieszeniach płaszcza, z wargami ułożonymi w grymas lekceważenia. Zatrzymała się kilka kroków przed nim. Żółte oczy patrzyły na pozór obojętnie, maskując czujność.

Milczała. Chciał się odezwać, ale zupełnie zaschło mu w ustach, więc tylko nerwowo przełknął ślinę. Nie spodziewał się, że jej widok potrafi nim wstrząsnąć.

Czerwone usta rozciągnęły się w uśmiechu, a palce wysuniętej z kieszeni dłoni wykonały niedbały gest. Cornet poczuł nagle potężne tąpnięcie, jakby ziemia pod jego stopami miała się zapaść. Zawiroowało powietrze, w twarz uderzył kurz. Zaskoczony stracił równowagę, przyklęknął na jedno kolano.

- Niespodzianka, Cornet - usłyszał rozlewny akcent Rdzy. W jej głosie drgało rozbawienie.

Zamrugał, starając się pozbyć spod powiek piekących drobin pyłu. Uniósł głowę, spojrzął i zatrząsł się ze złości. Wszystko wokół zrobiło się szare, płaskie, niby pozbawione perspektywy. Wiatr gonił po bruku tumany spopielałego kurzu. Na niebie zasnutym burą patyną jarzyło się zimne, mdłe słońce. Rdza nadal przed nim stała, ale zrobiła się przezroczysta, bezcielesna jak duch. Dobrze słyszał tylko jej głos.

- Masz rację, Crux. To jest właśnie to, co podejrzewasz. Cofnęłam cię między cienie. Jak myślisz, ile czasu zajmie ci powrót?

- Czy ty zawsze musisz zachowywać się jak suka, Rdza? - wycedził przez zęby.

Zaśmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu. Najchętniej chwyciłby ją za gardło, ale równie dobrze mógłby próbować udusić mgłę.

- Słyszałam jakieś wzruszające historyjki, jak to ponoć zakochałeś się i desperacko poszukujesz sposobu, żeby uczynić swoją ukochaną jedną z nas. Sentymenty, Cornet. Zawsze twierdziłam, że w końcu cię zabiją. Maleńka, słodka śmiertelna dziewczynka. Kto by pomyślał?

- Słuchaj - wychrypiał. - Jeśli cokolwiek stanie się Koral...

- Och, jasne! - przerwała. - Wiem, wiem. I umieram z przerażenia.

- Powinnaś.

W żółtych ślepiach przez sekundę zabłysło zainteresowanie.

- Lubię cię, Cornet. Właściwie mógłbyś daleko zajść, gdybyś akurat nie zdychał na krwawiaczkę.

Zacisnął pięści.

- Znajdę cię, Rdza. Wiesz o tym. Znajdę, zanim zdążę zdechnąć.

Zmrużyła oczy.

- Trzymam za słowo. Prowokuję cię świadomie, żebyś mnie jeszcze bardziej nienawidził i wreszcie zaczął się mścić. To mi dostarczy emocji i wzbogaci monotonię życia.

Kiedy skończyła mówić, zdał sobie nagle sprawę, co oznacza pustka i dziwny chłód widoczny w jej źrenicach. Zobaczył, kim naprawdę była.

- Jesteś psem Kręgu - odezwał się cicho. - Niczym więcej. Jesteś martwa. Oddałaś im duszę, a oni zrobili z ciebie martwiaka. Chciałaś władzy, a stałaś się niewolnikiem. Łudzisz się pozorami mocy, nie wiedząc, że została z ciebie tylko pusta skorupa wypełniająca polecenia bractwa.

Cofnęła się o krok, twarz jej pobladła.

- Hej, Cornet - syknęła. - Czy ja nie zapomniałam spytać, jak się czujesz?

- Kwitnąco - warknął. - W każdym razie nie jestem trupem jak ty.

- No cóż. Tego możesz za chwilę pożałować.

Pstryknęła palcami, a Cornet zwinął się z bólu, który rozdarł go niespodziewanie, łatwo jak świstek papieru. Gorąca wilgoć buchnęła przez nos, kurz na bruku chciwie spijał czerwone krople, zaś oczy

Rdzy przyglądały się skulonemu, targanemu spazmami bólu mężczyźnie tylko na pozór obojętnie.

\*\*\*

Zasnęła. Z pewnością tak, chociaż nie miała pojęcia, w jaki sposób. Przecież przez cały czas denerwowała się, czekając na powrót Corneta. Jednak musiała zasnąć, bo skąd nagle się wzięła w tym ponurym, pustym pokoju z małymi, przesłoniętymi kratą okienkami umieszczonymi pod samym sufitem. To z pewnością sen. Zwłaszcza że nadal leży w łóżku Corneta.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, wpuszczając kogoś do środka. Koral rozpoznała go i doznała nagłego uczucia lęku.

- A, miło cię widzieć, moja śliczna - powiedział Justus z perfidnym uśmieszkiem na gębie. - Zaskoczona? Mam nadzieję, że pozytywnie.

O Boże, pomyślała w popłochu. To wcale nie sen! Zadrzała, podciągając po szyję kołdrę, jakby mogła się pod nią ukryć.

Justus przysunął się bliżej, usiadł na brzegu łóżka.

- Cóż, Koral. Przez jakiś czas będziesz naszym gościem. Radosna nowina, co? W końcu jesteśmy rodziną Corneta. Mamy prawo cię poznać. Czuj się jak w domu. Możesz być pewna, że zrobimy wszystko, żeby zapewnić ci liczne rozrywki i jak najbliżej się z tobą zaznajomić. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że wyjdiesz stąd, przełamując nasze zakłęcia. Postaraliśmy się docenić twój talent. Blokady są o wiele silniejsze. Nie zdołasz ich złamać. A drzwi zamkniemy na zwykły zamek, ale za to bardzo solidny.

Zachichotał w sposób, który wydał się Koral obrzydliwy. Patrzył na nią ładnymi, nienawistnymi oczami, aż dziewczyna zdała sobie sprawę, że osiągnął cel, w jakim przyszedł, i bardzo ją przestraszył. Wiedział o tym, co dało mu powody do triumfu. Jego twarz promieniała i tylko wielki strach Koral tłumiał przemożną ochotę, by w nią napluć.

Wyciągnął rękę, dotknął policzka dziewczyny. Wzdrygnęła się.

- Zostaw mnie! - krzyknęła desperacko.

- Nie bój się - syknął. - Na razie nic ci nie zrobię. Dopóki on żyje. Jeszcze nie zwariowałem. Za dobrze znam swego kochanego braciszka, bękarta kurwy. Gotów wyleźć z grobu, żeby się mścić.

Koral odetchnęła z ulgą. Parszywy tchórz, pomyślała.

- Co się tak gapisz? - warknął Justus. - On żyje. Ma tylko kłopoty. Ale to nic. Za chwilę będzie miał problem. Bardzo przykry i bardzo bolesny, uwierz mi. A wtedy przestanę się nim przejmować, mała śmiertelniczko.

Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na wykrzywioną złośliwie gębę Justusa. O Boże, w co ja się wpakowałam, jęknęła w myślach. To nie może się dziać naprawdę.

Lecz w głębi duszy wiedziała, że jednak się dzieje, a jej pozostaje nadzieja, że Cornet nie da się wciągnąć w zasadzkę i znajdzie sposób, żeby ją uwolnić.

\*\*\*

Cornet zbudował kolejne zamazane, matowe przejście. Przekroczył je i zaklął paskudnie. Wiatr ciskał tumanami kurzu, na niebie ponuro tliło się obrażone, zamierające słońce wielkości męskiej pięści. Trafiał do następnego cienia. Rdza wepchnęła go w zaświaty, dominium umarłych, gdzie jeszcze nie należał, więc błąkał się teraz między cieniami, jak potępiona dusza szukająca drogi do domu.



Miał fatalne przeczucia, dławił go lęk o Koral, rozsadzała wściekłość. Na razie brakowało mu czasu, żeby zastanawiać się nad podłością Rdzy. Przyjdzie i na to pora. W każdym razie w Kręgu zyskała potężną moc. Dał się cofnąć między cienie łatwo jak pierwszy lepszy szczeniak. A to suka, pomyślał z goryczą, splatając kolejne przejście, które miało go znowu zaprowadzić do zakurzonego, spowitego w półmrok przedpiekła.

\*\*\*

Koral z trudem rozchyliła powieki. Odkąd została porwana, nieustannie trwała w sennym odrętwieniu. Jawa mieszała się z majakami, aż w końcu dziewczyna straciła poczucie czasu i rzeczywistości. Nie wierzyła własnym zmysłom i pamięci. Czasami nie potrafiła powiedzieć, czy naprawdę spotkała i pokochała Corneta, czy znajduje się w siedzibie rodu Dellvardan, czy może raczej w szpitalu dla obłąkanych. Z czasem przestało ją interesować i to. Zobojętniała na wszystko. Właściwie nie miała poczucia krzywdy. Nie doznawała żadnych cierpień, nie czuła głodu, nie spotkało jej nic złego ze strony klanu. Większość czasu przesypiała, bez tęsknoty do wolności, bez myśli o Cornecie. Tylko sny miewała męczące. Było jej wtedy duszno, gorąco, niewygodnie. Przygniatał ją wielki, ciepły ciężar, jakby nieznaną zwierzę usiłowało ułożyć się na niej do snu. Nie lubiła tych majaków. Zostawało po nich lekkie uczucie obrzydzenia i cień ostrego, słodkawego zapachu. Rzeczywistość Koral zawężiła się do wypełnionej niejasnymi rojeniami przestrzeni pokoju, w której pływała niczym w kadzi pełnej mgły i wszechobecnej senności.

Teraz ktoś suchym szeptem wypowiadał jej imię, tak natarczywie, że z niechęcią otworzyła oczy. Zamrugła ze zdumienia, bo stojąca nad łóżkiem postać wyglądała dziwniej niż senne majaczenia. Wychudła, spowita w brudne łachmany istota patrzyła na Koral przenikliwie. Usta, przypominające pęknięcie w bladej skórze, powtarzały jej imię. Ogromne oczy, oprawne w podkowy sińców, były całkowicie czarne, pozbawione białek i tęczówek. Czoło, policzki i brodę pokrywały równoległe blizny. Do twarzy lepiły się w strąkach ciemne, podobne do sznurków włosy.

Szok wywołany pojawieniem się stwora otrzeźwił dziewczynę. Przestraszona poruszyła się na łóżku, podciągnęła kołdrę. Na ten widok wargi istoty rozciągnęły się w uśmiechu. Koral dostrzegła trzy rzędy cienkich, ostrych jak szpile zębów.

- Nie zbliżaj się! - syknęła.

Stworzenie wyciągnęło przed siebie kościste dłonie w geście, który chyba miał oznaczać przyjaźń.

- Nie bój się - zaszemrało. - Jestem Ćma, strzyga.

Uśmiech nie schodził z upiornej twarzy.

- Dobrze, że żyjesz. Przyszłam cię zabrać. Widzisz?

Z fałdy chałatu wyciągnęła pęk kluczy.

- Myślą, że służę im - wąskie usta drgnęły. - Ale to nieprawda. O nie! Służę panu. On jeden był dla mnie dobry. Pamięta moje imię, wiesz? Nie bój się. Pan cię kocha, dlatego przyszłam. Zabiorę cię i schowam, a on będzie zadowolony. Pochwali mnie. Powie: dobrze się spisałaś, Ćma.

Koral powoli zaczynała rozumieć.

- Twój pan to Cornet, tak? - spytała, czując, że serce zaczyna mocniej bić. - Służysz Cornetowi?

Strzyga skwapliwie przytaknęła.

- Ale oni nie wiedzą - zniżyła głos, rozglądając się czujnie. - Chodź, zabiorę cię.

Dziewczyna błyskawicznie wyskoczyła z łóżka. Dziwne otumanienie minęło, choć fizycznie czuła się bardzo słaba. Nogi się pod nią ugięły, gdy stanęła na podłodze, ale postanowiła przemóc zmęczenie. W żadnym razie nie mogła zmarnować szansy ucieczki.

Strzyga wyciągnęła kościstą dłoń.

- Chodź! - ponagliła.

Koral ujęła podaną rękę i drgnęła. Palce były lodowate, cienkie jak u kościotrupa.

Ćma wyprowadziła dziewczynę na korytarz. Przypominał piwnicę, z której uwolniła Corneta. Koral zobaczyła rzędy drzwi i kamienną posadzkę, lecz sklepienie wisiało niżej, brakowało nisz z posągami, a światło miało zielonkawy odcień. Strzyga pociągnęła ją za sobą. Skradały się przylepione do ściany, a ich cienie tańczyły na ceglanych murach. Korytarz miał mnóstwo odnóg i Koral natychmiast straciła orientację. Przez chwilę bała się, że krąży w kółko, bo wszystko wokół wyglądało tak samo, lecz Ćma prowadziła pewnie, bez wahania. Z czasem korytarze zrobiły się węższe i niższe. Ze ścian wydobywało się coraz mniej światła. W końcu przeszło w półmrok, potem w bladą poświatę. Było coraz ciasniej. Korytarze zmieniły się w tunele. Koral znów zaczęło ogarniać odrętwienie, wrażenie nierealności. Zapadła zupełna ciemność, powietrze przesycił piwniczny zaduch. Czołgała się po omacku, na czworakach, wleczona przez zimną kościaną rękę. Straciła poczucie czasu, jawa i sen znów się przemieszały, tak iż w końcu nabrała przekonania, że to śmierć prowadzi ją gdzieś na drugą stronę świata.

\*\*\*

Powietrze pachniało kurzem i było aż gęste od drobin próchniejącego drewna. Ściany z surowych kamieni obrosły pajęczynami. Smugi światła z trudem przeciskały się przez szpary w zabitych deskami oknach, tak że wewnątrz dzwonnicy zdawały się przewiazywać lśniące sznury. Cornet ostrożnie postawił stopę na kolejnym stopniu. Chwilę badał jego wytrzymałość i zaryzykował krok. Przepróchniałe drewno zaskrzypiało, uginając się pod ciężarem, ale nie pękło. Crux wspiął się już do połowy wieży. Schody, po których szedł, przypominały drabinę o nieco szerszych stopniach. Chwiały się tak bardzo, że chwilami miał wrażenie, jakby spacerował po linie.

Spojrzał w dół. Pod sobą zobaczył ażurową konstrukcję z belek i desek, która wydawała się mniej stabilna niż pajęczyna stworzona ze smug światła. Miejscami brakowało po trzy, cztery stopnie. Urwane fragmenty poręczy zwieszały się nad przepaścią klatki schodowej wbrew logice i prawu ciężenia. Poszczególne kondygnacje schodów oddzielały drewniane podesty. Przez dziury po brakujących deskach można było spojrzeć w ciemniejszą czeluść.

Stopień, na którym Cornet postawił nogę, pękł nagle, rozsypując się częściowo w fajerwerk spróchniałych drobin. Stopa Cruksa osunęła się, uderzyła w niższy szczebel, który także trzasnął. Cornet chwycił się bocznych belek, podciągnął na rękach, oparłszy nogę o kikut złamanego stopnia. Na szczęście szczebel wytrzymał, chroniąc Corneta przed upadkiem. Crux dotarł do podestu i na chwilę przerwał wspinaczkę. Musiał zaczerpnąć oddechu. Zadarł głowę, spojrzał w górę, oceniając, jaki dystans ma jeszcze do pokonania. Zobaczył ciemną paszczę dzwonu zawieszoną u pułapu. Z poprzecznej belki, niby martwy wąż, zwisał sznur. Otaczały go unoszące się w powietrzu obłe, ciemne kształty. Wyglądały niepokojąco. W półmroku Cornet nie był w stanie ich rozpoznać. Dopiero gdy pokonał dwie następne kondygnacje, przekonał się, czym są. Z powały na długich, cienkich sznurkach zwieszały się martwe gołębie. Powieszono je za nóżki, tak że wyschłe oczodoły łypały w dół na wdrapującego się przybysza. Wisiały na różnej wysokości, lekko wirując i kołysząc się w powietrzu. Spizarnia strzygi.

Corneta mimo woli przeszedł dreszcz. Poczul nieuzasadniony niepokój, jakby nieżywe ptaki stanowiły ostrzeżenie i groźbę w języku, którego nie rozumiał. Przypominały mu zmumifikowane anioły.

Gdy tylko wyrwał się spomiędzy cieni, otrzymał wiadomość od Ćmy. Strzyga uwolniła Koral i miała zaprowadzić Corneta do lochu, gdzie ją ukryła. Bardzo bała się Sykstusa, więc na miejsce spotkania wyznaczyła jedną ze swych tajnych kryjówek, dzwonnice opuszczonego cmentarnego kościoła. Cornet wspiał się jeszcze o kilka szczebli. W półmroku spowijającym sklepienie wieży nie mógł dostrzec sylwetki strzygi.

- Ćma! - zawołał półgłosem. - Ćma!

Odpowiedziała cisza. Martwe gołębie leniwie obracały się na sznurach. Cornet zrobił następny krok, gdy nagle jakaś siła spętała mu nogi, świat wykonał zdumiewający przewrót, a dzwonnica wywróciła się, lądując dachem w dół. Crux szybował między trupami ptaków jak bluźniercza wersja świętego Franciszka. Dyndał uwieszony za kostki na sznurze przymocowanym do belki z dzwonem. Długie włosy powiewały niczym rdzawy sztandar.

Z zacienionej niszy wkroczyły na podest pod nim trzy postaci. Cornet jęknął w duchu.

- Witam - powiedział Sykstus. - Fajnie ci się wisi?

Crux nie odpowiedział. Dławił go gniew i strach o Koral. Przeklinał się za nieostrożność i głupotę. Sznur, na którym wisiał, kręcił się. Pod ścianami wirowały spróchniałe deski. Bezpośrednio pod spodem ziała dziura klatki schodowej.

- Cudownie tak wyglądasz, Cornet - w głosie Sykstusa brzmiała satysfakcja. Rdza podniosła w górę trójkątną twarz, uśmiechnęła się złośliwie. Byłby na nią splunął, gdyby nie pewność, że nie trafi, dyndając na wirującej linie.

- Postanowiłem dać ci trochę czasu, żebyś przemyślał kilka spraw - ciągnął Sykstus. - Ale nie martw się, wrócę po ciebie.

- Twoja sparszywiła przyjaciółka strzyga nie odwiedzi cię, Cornet - dodał z mściwym zadowoleniem Argus Saffon. - Od niedawna nie jest specjalnie ruchliwa.

W Cornecie wrzała wściekłość. Szarpnął się, ale lina tylko boleśnie wpiła się w skórę. Pieprzyć was, pomyślał. Pieprzyć wszystko. Jakoś z tego wyjdę.

- Nie możemy cię tak zostawić - odezwała się rozlewnym tonem Rdza. - Sięgniesz do sznura, wypłaczesz nogi i uwolnisz się. W końcu nie jesteś gołębiem.

- Racja - przytaknął Sykstus. - Dostaniesz prezent od Rdzy. Gotowa?

Wysłanniczka Kręgu skinęła głową. Chuchnęła w dłonie i prędkimi ruchami zaczęła je pocierać. Spomiędzy palców wytrysła biała poświata. Rdza otworzyła ręce. Trzymała w nich dwa cienkie wrzeciona splecione ze światła.

- Przybij go - polecił Sykstus.

Rdza rzuciła jarzące się szpile, jakby to były lotki posłane w kierunku nieistniejącej tarczy. Popłynęły w górę ze świstem. Cornet poczuł, że niewidzialna moc siłą prostuje mu ramiona. Grzmotnął plecami o ścianę wieży. W nadgarstkach rozrzuconych rąk poczuł ostry ból, a zaraz potem wrażenie przenikliwego zimna. Przekręcił głowę, żeby na nie spojrzeć. Magiczne szpile przenikały przez ciało, wbite głęboko w mur, przygważdżając go do ściany. Czuł się jak eksponat zbieracza insektów.

Sykstus z zadowoleniem zerknął w górę.

- Może nie powinienem bawić się tobą, tylko zabić cię od razu, ale nie mogę się powstrzymać. Nie sądzę, żebym wiele ryzykował. Uciekłeś mi raz, przyznaję, jednak teraz nie dasz rady. Nie ma przy tobie twojej ślicznej śmiertelnej dziewczynki. Wrócę tu, Cornet. Czekać. Wybaczam ci, że jesteś w nieuprzejmy sposób małomówny. W końcu znalazłeś się w szczególnej sytuacji.

Odwrócił się, żeby odejść, lecz przypomniawszy sobie o czymś, przystanął.

- Jesteśmy w kościele, prawda? - zwrócił się do Rdzy i Argusa. - Hej, Cornet! Wiesz, że w tej

pozycji przypominasz krucyfiks? Tylko odwrócony, co z natury rzeczy bardziej do Ciebie pasuje. Miłych rozmyślań.

Śmiejąc się, zaczął schodzić po schodach. Rdza posłała Cornetowi całusa. Obnażył zęby i warknął jak wilk w potrzasku.

- Buziaczki - zawołała. - Ja też wrócę. Obiecuję!

Crux zamknął oczy. Nie chciał patrzeć na triumfujące gęby wrogów.

\*\*\*

Koral dotknęła kamiennej ściany. Na palcach pozostała wilgoć. Otuliła się szczelniej kocem, ale i tak kęsała ją dokuczliwe zimno. Izba, do której zaprowadziła ją strzyga, była całkiem schludna, jak na kryjówkę głęboko pod ziemią. Stało tu porządne łóżko z czystą pościelą, stół, kilka krzeseł. Światła dostarczały dziwne, niekopcące lampki. Ich jasny płomień nie parzył. W sąsiednim pomieszczeniu mieściła się spiżarnia, całkiem nieźle zaopatrzona. Jednak Koral zdążyły się już znudzić zimne mięsa i wino. Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w ukryciu. Zdawało jej się, że bardzo długo. Z początku strzyga przebywała z nią cały czas. Wychodziła na krótko, a potem wracała, często przynosząc świeże jedzenie, owoce i różne drobiazgi. Lecz któregoś razu wyszła i nie pojawiła się z powrotem. Koral czekała, najpierw zła, potem przestraszona. Szybko jednak zobojętniała. Ten stan zdarzał jej się coraz częściej. Nawet myśli o Cornecie nie wywoływały emocji. Koral, owszem, nadal go kochała, ale uczucie tłumiała wszechobecna obojętność.

Ćma nie więziła dziewczyny. W każdej chwili Koral mogła opuścić izbę, ale nie pamiętała drogi na zewnątrz. Przez drzwi wyglądała w płataninę tuneli, lecz myśl, żeby zapuścić się w któryś, nawet nie przyszła jej do głowy. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że strzygę spotkało coś złego. Jednak to jej specjalnie nie obeszło.

Czekała w podziemiach, nie wiedząc, na co właściwie. Nieustannie czuła znużenie. Powoli wkradła się w nie także nuda. Wszystkie czynności Koral wykonywała mechanicznie. Budziła się, myła, jadła i znów spała. Czas przestał istnieć. Prawdopodobnie żyłaby tak do momentu, gdy wypalą się gwiazdy, gdyby nie zaczęły kończyć się zapasy. Zjadła ostatnie suchary i ostatni kawałek pieczeni, a potem apatycznie czekała, aż pojawi się głód. Przybył niepostrzeżenie i z wolna robił się natrętnym gościem. Wreszcie dokuczył Koral tak, że musiała coś postanowić. Nie miała ochoty szukać drogi wśród ciemnych, cuchnących zgnilizną korytarzy, więc starała się wymyślić inny sposób. Przypomniała sobie, jak otworzyła przejście w Wieży, wyobrażając sobie dom. Teraz nie miała tam po co wracać, więc postanowiła przywołać obraz mieszkania Corneta. Skupiła się, pozwoliła pamięci odtworzyć znajome kształty. Powoli pomieszczenie napełniało się perłową poświatą. Gdy w ramie z mgły pojawiło się odbicie pokoju Cruksa, Koral zrobiła krok do przodu i znalazła się w środku.

Corneta nie było w domu, a ona przyjęła ten fakt bez emocji. Nie zastanawiała się nawet, czy wpadł w pułapkę Sykstusa, czy grozi mu niebezpieczeństwo lub gdzie się teraz znajduje. Prawdę mówiąc, zapomniawszy przejąć. Obchodziła ją tylko lodówka. Z ulgą stwierdziła, że nie jest pusta.

W opustoszałym mieszkaniu Corneta Koral, siedząc na kuchennej podłodze, zaczęła jeść, żeby stłumić głód i móc potem spokojnie zasnąć.

\*\*\*

Nauczył się nie rozchyłać powiek, bo wtedy wieża wirowała nieznośnie, wywołując mdłości. Chłód

kamiennej ściany, do której przylegał plecami, był niczym w porównaniu z przeraźliwym zimnem płynącym z przebitych nadgarstków. Cornet powoli tracił siły. Wielokrotnie próbował uwolnić ręce, ale bez rezultatu. Nie czuł bólu, tylko zimno i postępujące osłabienie. Szybował w ciemności, otoczony światą martwych gołębi. Dzwonnica przemieniła się w szyb bez dna, a on spadał w czeluść, przekonany, że tak wygląda wieczność.

Czasami na krótko wracała świadomość. Wtedy podejmował rozpaczliwe wysiłki, żeby się uwolnić. Nie zależało mu już na własnym życiu. Wiedział, że jest skazany od chwili, gdy Krąg opowiedział się przeciwko niemu. Mógł walczyć z Sykstusem, a nawet z całym klanem, lecz z pewnością nie pokona potęgi bractwa. Chciał tylko uratować Koral. W miarę jak słabł, wszystkie pomysły i plany blakły, mieszały się z sobą, traciły sens. Nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, jak postąpić ani do kogo się zwrócić, nawet gdyby cudem odzyskał wolność. Szybował w ciemności albo wirował wraz z dzwonnica, pod wyrozumiałymi spojrzeniami martwych ptaków. Z czasem zaczął majaczyć. Przypominał sobie wydarzenia i obrazy, ale nie był pewien, czy zdarzyły się rzeczywiście. On, Koral, Sykstus, Ćma, wszystko mieszało się, splatało, rozplątywało. Rozmawiał z gołębiami. Prosił, żeby zaopiekowały się dziewczyną. Kiwały się potakująco. Potem mówił do ciemności, a może do kogoś, kto krył się za nią. Do nieistniejącego boga Ludu Luster. Pomóż Koral. Uratuj ją. Ale bóg nie odpowiadał, więc doszedł do wniosku, że nie ma sensu z nim dyskutować, bo jest tak samo zły jak każdy członek Ludu. Zaczął zatem mówić do tego, który stoi ponad wszystkim, ponad demonami, ludźmi i światem. Do jakiejś siły, która po prostu musiała tam być. Pomóż Koral. Uratuj ją. Przed Sykstusem, przede mną, przed złem. Przecież należy do ciebie. Gołębie dyndały na sznurkach, w snopach światła wirował kurz, a Cornet wygłaszał osobliwą, monotonną modlitwę albo spadał w czeluść wypełnioną czernią.

Głos, który usłyszał, brzmiał cicho i śpiewnie, jednak budził tak głębokie przerażenie, że natychmiast go otrzeźwił. Otworzył oczy, zamrugał. Strach przesunął swój kościsty palec wzdłuż jego kręgosłupa, połaskotał w kark.

W powietrzu na wysokości oczu Corneta unosiła się Ćma. Łachmany powiewały jak skrzydła, poważna, pokryta bliznami twarz emanowała blaskiem. Było w niej coś potężnego i straszego zarazem. Na rozwartych ramionach strzygi trzepotały gołębie. Ponad jej głową kotłowała się istna pierzasta aureola. Wszystkie ptaki, tak jak i sama Ćma, z pewnością były martwe. CruX z trudem przełknął ślinę.

- Ćma? - wyszeptał. - To ty?

Widmo strzygi rozwarło usta.

- Teraz poznałam swoje prawdziwe imię - zaśpiewało wysokim, nienaturalnym głosem, od którego włosy się Cornetowi zjeżyły. - Jest piękne.

- Tak - wymamrotał. - Wierzę.

Upiór uniósł ręce. Wśród ptaków zakotłowało się, załopotwały skrzydła, posypały się pióra.

- Nie wierzysz - odpowiedziała strzyga. - Ale wysłuchano cię. Ja usłyszałam. I ja wysłuchałam. Musiałam przyjść, mimo że jestem już bardzo daleko, odległa o swoje prawdziwe imię. Odeszłam, ale kazano mi zawrócić, bo taki jest obowiązek niewolnika. Uwalniam cię teraz, ale ty też uwolnij mnie. Oddaj mi wolność, bo należę już do świata rzeczy prawdziwych. Powiedz, że nie muszę już służyć. Powiedz, synu rodu Dellvardan.

Cornet zwilżył językiem wargi.

- Dobrze - wychrypiał. - Uwalniam cię, Ćmo. Możesz odejść, dokąd zechcesz.

Skinęła głową.

- Przyjmij zatem ostatni dar od niewolnicy. Niech się stanie wolność, potomku Ludu Luster.

Szpile przybijające ręce Cruksa znikły w chwili, gdy wypowiadała ostatnie słowa. Oderwał się od ściany, a napięty sznur zakołysał nim jak wahadłem. Zdążył z obrzydzeniem i lękiem pomyśleć o zderzeniu z wiszącym w powietrzu widmem, gdy przeleciał przez nie bez śladu oporu. Ćma odsunęła się nieco, tak że wciąż mógł widzieć jej twarz, chociaż wirował na linie.

- Żegnaj, demonie - zaśpiewała. - Idź czynić smutek.

W tym momencie rozsypała się na proch, przypominający próchno. Został po niej tylko słup kurzu i kłaczki pierza. Cornet dyndał głową w dół między mumiami gołębi.

Gdy już trochę ochłonał, spróbował sięgnąć do liny krępującej nogi. Za czwartym razem zdołał poluzować węzeł. Po dłuższych wysiłkach oswobodził stopy. Rozkołysawszy linę, zeskoczył na podest schodów. Deski zatrzeszczały, ale wytrzymały impet. Cornet upadł na podłogę, ciężko dysząc. Nie wiedział, jak długo leżał. Kilka minut czy kilka godzin. Był bardzo wyczerpany. Z nosa pociekła mu cienka strużka krwi, ale na szczęście nie dostał krwotoku. Usiadł z trudem, opierając plecy o ścianę wieży. Obejrzał nadgarstki. Na skórze nie pozostał ślad po szpilach. Odpoczywał jeszcze przez chwilę, a potem zaczął chwiejnie pokonywać schody. Mięśnie drżały mu z wysiłku, więc musiał często przystawać.

Na zewnątrz wstawał świt. Słońce nie pokazało się jeszcze zza horyzontu, świat tonął w nierealnym szarym poblasku. Cienie kładły się między nagrobkami, krzyże przypominały pieńki świętych drzew. Nie wiedział, dokąd iść. Po chwili wahania postanowił, że nie będzie się ukrywać. Z pomocą Kręgu Sykstus i tak go znajdzie. Powlókł się do domu. Musi odpocząć, zebrać myśli, żeby zastanowić się, jak odnaleźć Koral.

Zdziwił się, widząc w oknach światło. Z bijącym sercem wbiegł na górę, nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się natychmiast. Nie były zamknięte. Cornet wsunął się do środka, szybko zlustrował pokoje. Pusto. Na kuchennej podłodze leżały szczątki jedzenia. Zajrzał do sypialni i zamarł. Na łóżku skulona sylwetka nakryta kocem. Spod przykrycia wysuwają się jasne kosmyki. Koral! Przez jedną straszną sekundę był pewien, że nie żyje. Jednak dziewczyna poruszyła się nieznacznie. Przyskoczył do niej, objął, przytulił.

- Nic ci nie jest, maleńka? Wszystko dobrze?

Głaskał miodowe włosy.

- Cornet? - szepnęła.

W szarobłękitnych oczach nie znalazł radości ani zaskoczenia. Były obojętne. Odsunął dziewczynę od siebie, przytrzymał za ramiona. Patrzył w zupełnie puste źrenice, a strach zaciskał mu lodową pięść na sercu. Koral bezwolnie poddała się jego rękóm.

- Skarbie, maleńka, co on ci zrobił? Pamiętasz? Powiedz!

Twarc dziewczyny nie wyrażała emocji.

- Nie wiem. Nic.

- Nic? - Cornet potrząsnął obojętnym, bezwładnym ciałem. W źrenicach Koral jego wizerunek odbijał się jak w lustrze. Ale nie było go już ani w sercu, ani w pamięci. Dziewczyna zachowywała się jak kukła.

- Koral, co tam się stało? Co ci zrobili w domu Sykstusa?

Apatycznie pokręciła głową.

- Nie wiem. Spałam.

Crux przesunął dłońmi po twarzy, rozgarnął włosy. Niepokój przerodził się w podejrzenia, złe, straszne.

- Poczekaj tu - starał się mówić spokojnie. - Rozumiesz? Zostań i czekaj, aż przyjdę. Nigdzie nie wychodź. Nie bój się, maleńka. Wszystko będzie dobrze.

Koral się nie bała. Zwinęła się z powrotem w kłębek, zadowolona, że dał jej spokój. Nie zauważyła nawet, jak Cornet wybiega z mieszkania.

\*\*\*

- Wejść! - zawołał Sykstus na odgłos pukania do drzwi gabinetu.

Do środka wsunął się Argus Saffon.

- Jeden z członków klanu domaga się natychmiastowego widzenia ze starszym - oznajmił z niepewną miną.

Sykstus uniósł brwi.

- Kto taki, Saffon?

Argus przełknął ślinę.

- Cornet Calderon Dellvardan - powiedział.

- Ach tak - mruknął Sykstus.

Nie wydawał się szczególnie zaskoczony. Odłożył trzymane w ręce pióro i spojrzał na półleżącą w głębokim fotelu Rdzę. Nieznacznie skinęła głową.

- Wprowadź go - zwrócił się do Argusa. - W końcu to przywilej każdego członka rodu.

Saffon otworzył drzwi. Do gabinetu wszedł Cornet. Był blady jak wapno, ale pozornie bardzo spokojny.

- Co cię sprowadza przed starszego klanu, Calderon? - zagadnął uprzejmie Sykstus.

Mięśnie szczęk przybysza drgały.

- Co zrobiłeś Koral? - spytał chrapliwie.

Amanus rozłożył ręce.

- Nic. Gościła u nas, więc staraliśmy się zapewnić jej jak najlepszą opiekę. Wiemy, że jesteś bardzo przywiązany do tej śmiertelniczki.

Cornet powoli podszedł do biurka. Oparł dłonie na blacie, pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy starszego klanu. Spojrzał wprost w oczy wroga, a Sykstusa ogarnął lęk, bo w źrenicach Cruksa zobaczył szaleństwo.

- Powiedz mi prawdę - szepnął Cornet ochryple. - Powiedz, Sykstus.

Starszy klanu zbladł. Przez chwilę wydało mu się, że pomimo magicznych blokad, grona podwładnych, potężnej mocy i stanowiska zostanie rozszarpany na strzępy we własnym gabinecie, w siedzibie swojego rodu. Z trudem przełknął ślinę. W tym momencie odezwał się rozlewny akcent Rdzy.

- Ja ci powiem, Cornet.

Crux targnął głową. Sykstus odetchnął z ulgą, odsuwając się odrobinę z krzesłem. Z wysiłkiem opanował odruch poluzowania krawata. Cornet wbił spojrzenie w twarz Rdzy. Uśmiechała się nieprzyjemnie.

- Prędko opuściłeś dzwonnice. Jesteś pewien, że zdążyłeś wszystko dobrze przemyśleć?

- Tak, suko Kręgu. Nigdy niczego nie byłem tak pewien.

Sięgnęła po stojący na stoliku kieliszek wina. Umoczyła usta w trunku.

- Jak słusznie zauważyłeś, Cornet, reprezentuję Krąg. Zatem gdy Sykstus zapewnił twojej ukochanej wszelkie wygody, ja postarałam się o rozrywki.

Zmrużyła oczy, mierząc Cruksa drwiącym spojrzeniem. Przez chwilę bawiła się kieliszkiem.

- Zatem - podjęła, gdy się nie odezwał - sprowadziłam specjalnie dla niej zwierzątko. Fergusa.

Cornet poszarzał na twarzy. Świat pękł i zawalił się na niego. W jednej chwili umarł i odrodził się

upiozem.

- Źle zrobiliście - wychrypiał - zabierając mi wszystko. Trzeba było zostawić mnie w spokoju.
- Jesteś chory, Cornet - wtrącił Sykstus, który odzyskał już rezon. - Lepiej wracaj do domu, połóż się. Zrozum, nie stanowią zagrożenia dla nikogo. Jesteś wrakiem. Możemy zrobić z tobą wszystko. Ale pozwolimy ci umrzeć samotnie. Klan nie zniża się do rozgniatania insektów.

Crux nie słuchał. Powoli zbliżył się do Rdzy. Wyciągnął rękę, dotknął krótkich czarnych włosów.

- Nic ci nie pomoże, martwiaczko - powiedział. - Nic. Wspomnienia, sentymenty, ochrona bractwa. Możesz mnie zabić, ale to też nic nie zmieni. Odplacę ci, Rdza.

Uśmiechnął się straszonym, krzywym grymasem upiora. W nieprzeniknionych ślepiach wysłanniczki Kręgu pojawił się strach, którego nie potrafiła ukryć.

- Zostaw mnie! - syknęła.

Zacisnął pięść na jej włosach, szarpnął.

- Za późno, Alysio Maddox Dellvardan, suko Kręgu, zwana Rdzą.
- Zdychaj! - wrzasnęła, robiąc palcami szybki gest.

W Corneta uderzyła fala mocy. Odrzuciła go na środek gabinetu. Stracił równowagę, upadł. Wydawało mu się, że stanął w płomieniach. Każdy nerw krzyczał, a Crux wił się po podłodze, wymiotując krwią. Jak przez kłęb waty usłyszał dźwięczący satysfakcją głos Sykstusa.

- Pokazać ci Fergusa, Cornet? Jest włochaty, bezmózgi i bardzo jurny.

Płomienie nie gasły, a kałuża krwi zamieniła się w morze, w którym tonął. Nie zauważył nawet, że zaniepokojeni hałasem wpadli do gabinetu ochroniarze Sykstusa. Starszy klanu trącił Cruksa czubkiem buta.

- Zabierzcie tę szmatę i wyrzucicie - odezwał się do podwładnych Saffona. - Jak dla mnie, może być przez okno.

\*\*\*

Cornet szedł. Rzędy kamienic ciągnęły się po obu stronach ulicy jak szary wąż podążający w przeciwnym kierunku. Bruk uciekał spod butów. Każdy krok był sztywny i mechaniczny. Każda decyzja oznaczała nadejście ciemności, bo Crux wiedział, że kawałki zdruzgotanego świata nigdy nie poskładają się znowu w całość.

Dotarł do domu, w którym mieszkał. Zatrzymał się przed wejściem, spojrzął w górę na światło w oknach poddasza, na gargulce podtrzymujące parapet. Uśmiechały się szpetnie. Koniec, powiedziały ich kamienne pyski. Demony należą do piekła, a piekło nie oszczędza nawet swoich. Krew Ludu Luster jest przeklęta od zarania dziejów. Cornet przyznał im rację i wszedł do środka.

Zastał Koral siedzącą na łóżku. Splecione dłonie trzymała na podołku. Obróciła na niego błękitne spojrzenie, pełne smutku i rezygnacji. Crux oparł się o framugę drzwi, nie mogąc zmusić się do ani jednego kroku dalej.

- Coś się ze mną dzieje, Cornet - powiedziała Koral. - Coś bardzo złego.
- Tak - szepnął z trudem.
- Wiesz co, prawda?
- Tak.

Milczała chwilę.

- Więc powiedz. Jesteś mi to winien.
- Kiedy cię porwano - usłyszał swój własny głos - Sykstus założył na ciebie zaklęcie snu, a Rdza, wysłanniczka Kręgu, sprowadziła demona zwanego Fergussem. On jest jak kłęb tkanek, nie myśli, nie



czuje, nie pragnie. Żyje, żeby się rozmnażać. Zapłodnił cię.

- Więc urodzę demona? - spytała cicho.

- Nie dopuszczę do tego - wyszeptał. - Nie mogę. Fergus, rozwijając się w ciele nosiciela, pożera jego duszę. Unicestwia ją. W chwili porodu nosicielka umiera, a ponieważ nie ma duszy, przestaje istnieć. Absolutnie, Koral. Pochłania ją niebyt.

Dziewczyna spuściła głowę, poruszyła splecionymi palcami.

- A więc jednak zostałam matką demona - powiedziała smutno. - Miałam nadzieję, że to będą twoje dzieci.

- Błagam, przestań - głos Corneta załamał się. - Ukarano mnie, ale tak, że bodajbym zdechł, zanim cię spotkałem.

Spojrzała mu w oczy.

- Niczego nie żałuję, rozumiesz? Nawet gdybym wiedziała, jak to się skończy, zrobiłabym to samo.

- Nie wiesz. Nie powiedziałem ci...

- Zrozum, Cornet. Wiem - przerwała. - Umrę.

Zamknął oczy.

- Tak - szepnął ochryple. - Muszę cię zabić. Nie sposób uratować ofiary Fergusa. Można tylko uratować jej duszę. Odesłać ją do zaświatów, do których należy, dopóki jeszcze coś z niej zostało.

- Nie jestem z Ludu Luster, więc to nie będą twoje zaświaty, prawda?

Skinął głową.

- Nie mogę cię teraz przeprowadzić, maleńka. Nie przeistoczysz się z powodu Fergusa. Pożre moją moc i na tym się skończy. Nigdy więcej cię nie zobaczę, Koral.

Spróbowała się blado uśmiechnąć.

- Zawsze będę o tobie pamiętać, Cornet. Jeśli w zaświatach istnieje pamięć.

Wargi Cruksa rozchyłały się z trudem.

- Nie wiem nic o waszych zaświatach.

- Ja też nie - powiedziała Koral. - My, śmiertelni, nigdy nie wiemy, co nas czeka. Możesz poleżeć koło mnie chwilę?

- Koral! - jęknął. - Koral...

- Ciiicho - położyła palec na ustach.

Zamilkł. Ułożył się obok niej w łóżku. Leżeli przytuleni, a czas przestał istnieć.

- Jestem gotowa - odezwała się w końcu. - Przeprowadź mnie, Cornet.

Pogłaskał delikatnie miodowe włosy, przesuwał palce między gęstymi kosmykami. Szeptał do niej, uspokajał, gładził, aż wreszcie jego dłonie zacisnęły się, szarpnęły i głowa dziewczyny bezwładnie opadła na poduszkę. Ciało drgnęło, znieruchomiało, a Cornet poczuł, że umiera. To on był trupem, nie spokojnie leżąca Koral. Wtulił twarz w jej włosy, pozwalając, żeby wszystko odpłynęło, znikło.

Nie wiedział, ile czasu spędził, obejmując martwą dziewczynę. Ocknął się i wypuścił ją z objęć, gdy nagle w duszy otwarło się i trysnęło źródło mocy tak potężnej, że zalało go w jednej chwili, zmusiło do krzyku, do szarpania pazurami pościeli, do tłuczenia łbem w ścianę. Nienawiść. Odwieczna, straszliwa siła Ludu Luster. Cornet pozwolił jej ogarnąć się całkowicie, przemienić i przeprowadzić na nową Prawdziwą Stronę, wsłuchany we własny krzyk, we własne wycie potępieńca.

A potem wszystko zajęło się ogniem. Nie potrafił powiedzieć, czy podpalił mieszkanie, czy to eksplodowała jego nieokiełznana nienawiść. Płomienie objęły meble, półki z książkami, łóżko z ciałem Koral, zamieniając je w stos pogrzebowy pogańskiej księżniczki.

Crux przeszedł przez ogień, bez trudu, bez lęku, bo jeszcze nie mógł odejść. Nienawiść, topiąc wszelkie uczucia, pozostawiła jedno nieodrodne dziecko - zemstę. Już na ulicy Cornet odwrócił się,

spojrzał na płomienie. Zaczęły lizać dach. Ze wszystkich okien buchał ogień, a kamienne gargulce trwały na posterunkach niczym strażnicy bram do otchłani, bo przecież w mieszkaniu otworzyło się piekło.

\*\*\*

W siedzibie rodu panowała cisza. Przez całą drogę do pracowni nie spotkał nikogo, jakby cały klan zasnął. Cornet dostał się do domu bez najmniejszych trudności, łamiąc blokady jak dziecinne sztuczki. Siła, którą nosił w sobie, byłaby zdolna z łatwością wywalić w powietrze pół Prawdziwej Strony. W Cornecie ocknęła się potęga ojca, dziedzictwo krwi. Podejrzywał, że stał się o wiele silniejszy niż stary, ale mało go to obchodziło. Zszedł na dół, jednym gestem wyłamał drzwi pracowni. Niebieskawy metal popękał, skruszone kawałki z łoskotem upadły na posadzkę. Crux wszedł do środka, bez wahania przemierzył większą komnatę, otworzył mniejszą. Ku swemu zdziwieniu ujrzał spoczywającego na stole martwiaka. Widocznie Sykstus nie zdążył go skończyć. Pies wywrócił blade, mętne oczy.

- Się masz, Ivo - mruknął Crux.

Zdjął z półki tygiel z alchemicznym srebrem.

- Wiesz co? Do dupy z takim życiem. Uwolnię cię od niego, kuzynie.

Chlusnął na psa lśniąca cieczą. Martwiak wydał wysoki, przenikliwy skrzek, na bladej skórze rozkwitły błękitne płomienie. Cornet wyszedł, nie odwracając się, żeby spojrzeć, jak Ivo zapada się w sobie, przemienia w gęstą, cuchnącą ciecz.

Przez kręte korytarze, ciemne klatki schodowe i puste, wysoko sklepione komnaty podążał prosto do części mieszkalnej, ściskając tygiel ze srebrem. Za pasek zatknięty miał pistolet, który zabrał z domu. Był w salonie, gdy usłyszał trzask otwieranych drzwi i odgłos kroków. Odstawił naczynie na niski stolik obok kanapy, wyjął broń i czekał. Do pokoju wkroczył Vax Mius. Cornet wyszczerzył do niego zęby.

- Witaj, Vax. Szczerze mówiąc, jestem zachwycony, że cię widzę.

Chłopak zbladł jak płótno, ze zdumienia oklapła mu szczęka.

- Co tu robisz? - wyjąkał.

- Przyszedłem odwiedzić rodzinę. Chyba nie masz mi tego za złe. Niezapowiedziane wizyty należą do naszej tradycji.

Mius szczękał zębami. Jego twarz pokryła się kropelkami potu.

- Nie wyjdiesz stąd żywy, Calderon. Nie rób głupstw.

- Hej - syknął Cornet. - Źle wyglądasz, synku. Jesteś blady. Nadmiar obowiązków? Wybacz, że nie pogratulowałem ci awansu na stanowisko następcy starszego. Ale wiesz co? Nie będziesz się nim długo cieszyć.

Vax wyciągnął przed siebie dłonie w geście obrony czy błagania.

- Nie, Cornet! - zaskomlił. - Nie!

Crux pociągnął za spust. Vax kaszlnął, charknął i zwałił się na podłogę.

- Kolejny dywan do wymiany - mruknął Cornet, przypatrując się rosnącej kałuży krwi. - Powodzenia na nowej drodze życia, Mius.

Wetknął pistolet za pasek, sięgnął po tygiel. Przy odrobinie szczęścia zastanie Justusa w jego pokoju. Uśmiechnął się paskudnie. A w dziedzinie Ludu Luster szczęście zawsze sprzyja mścicielom. Nie niepokojony przez nikogo minął kilka pokoi i dotarł do szerokiego korytarza. Za czwartymi z kolei drzwiami zaczynał się apartament Justusa. Cornet nacisnął klamkę. Ustąpiła bez oporu. Justus,

pochylony nad rozłożonymi na biurku papierami, na widok Cruksa zachłysnął się oddechem, posiniał.

- Cornet? - wychrypiał.

Crux posłał mu olśniewający uśmiech drapieżcy.

- Braciszku! Co za radość, że cię zastałem.

Justus porwał się zza stołu, przewracając krzesło.

- Nnie zbliżaj się! - wyjąkał. Przerazenie wykrzywiło mu twarz w brzydką maskę. Dłonie wykonywały chaotyczne gesty, jakby Cruksa otaczał niewidzialny trujący dym, który Justus starał się rozproszyć.

- Dlaczego? - syknął Cornet. - Przecież jesteśmy rodziną. Płynie w nas ta sama krew, braciszku. Nie zawrzesz ze mną paktu krwi?

Zrobił krok do przodu.

- Wynoś się! - wrzasnął histerycznie Justus, odskakując w kąt pokoju.

Nie miał dokąd uciec, bo Cornet blokował jedyne drzwi.

- Nieładnie, Justus - ton głosu Cruksa przyprawiał Vallegro o dreszcze przerażenia. - W ten sposób spędza się psa z kanapy, a nie odzywa do brata. Gdzie twoje maniery?

Usta Justusa posiniały ze strachu, drżały.

- Cornet, przysięgam! Nigdy nie miałem wobec ciebie złych zamiarów. To Sykstus. To on cię nienawidzi.

- Morda w kubek, braciszku - warknął Cornet. - Ani jednego parszywego słowa z twojej gęby padalca, gnido. Szczerze mówiąc, w dupie mam twoje braterskie uczucia. Bo widzisz, tak się składa, że ja nienawidzę ciebie.

Justus zaskomlał, skulił się, a z jego ust zaczęły się sypać bełkotliwe błagania.

- Powodzenia w piekle - powiedział Cornet i chlusnął srebrem z tygla prosto w twarz brata.

Justus zawył. Poderwał dłonie do krwawej, poczerniałej jamy, w jaką momentalnie zamieniła się jego twarz. Niebieskawe płomyki zatańczyły na włosach, szybko obejmując całą głowę. Wokół rozszedł się mdlący smród spalenizny. Justus tarzał się po podłodze, a z jego gardła wydobywał się jednostajny wrzask, który mogłoby wydawać raczej zdychające zwierzę, a nie istota obdarzona świadomością. Cornet spokojnie odstawił na biurko pusty tygiel i wyszedł. Po korytarzu ściagały go cichnące krzyki brata, lecz nie zwracał na nie uwagi.

Pokój Charlotty otworzył się równie łatwo jak apartament Justusa. Dziewczyna już spała. Cornet zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka, nie zapalając światła. Charlotta, zbudzona hałasem, zamrugła, spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Cornet? - szepnęła. - Tak dawno cię nie widziałam. To cudownie, że jesteś, ale przyjdź jutro, dobrze? Teraz śpię i wiesz, trochę mi głupio, że jestem rozebrana. To znaczy w koszuli...

Urwała zmieszana. Stał nad nią, milcząc, a wyraz, jaki malował się na jego twarzy, wzbudzał w dziewczynie strach.

- Cornet? - powiedziała drżącym głosem. - Proszę cię, wyjdź. Wyglądasz strasznie. Boję się.

Nie wyszedł. Zamiast tego usiadł na łóżku. W ciemności czarne oczy wyglądały jak dwie wycelowane w nią lufy. Pisnęła ze strachu. Chciała zerwać się i uciec, ale przydusił ją ramieniem. Spróbowała się wyrwać, lecz Cornet był znacznie silniejszy. Unieruchomiona dyszała tylko, szeroko otwierając niebieskie oczy, które ze strachu zrobiły się całkiem okrągłe. Lęk paraliżował tak, że zapomniała o krzyku.

Cornet wpatrywał się w Charlotte bez współczucia. Drżała. Półotwarte usta z trudem chwytaly powietrze.

- Nie jesteś czystej krwi - powiedział. - Zostałaś przeprowadzona.

Nagle, w jednej chwili, ujrzał rozgrywającą się w odległej przeszłości scenę. Wizja wybuchła jak magnezja w archaicznym aparacie fotograficznym i równie nagle zgasła. Zobaczył łąkę ukwieconą niby ilustracja do bajki i złotowłosą pasterkę otoczoną stadkiem owiec. Skonfundowana dziewczyna miała rąbek podartej spódnicy, a nad nią pochylał się Sykstus w eleganckim szarym płaszczu podróżnym. Crux zaśmiał się cicho.

- Co za sielanka - mruknął. - Niewinność nagrodzona. Słodka owieczko, wybacz, że będę musiał zburzyć twoją bajkę. I tak nigdy nie była prawdziwa.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać jasne kosmyki. Charlotta zadrżała, pisnęła niczym zapędzony w kąt szczeniak. Cornet, nie poluzniając uścisku, przesunął się na łóżko, przygniótł dziewczynę kolanami. Pojękiwała cicho, nie usiłując się bronić. Teraz mógł uwolnić rękę. Dziewczyna leżała pod nim sztywna z przerażenia. Sięgnął do kieszeni, wyjął niewielki składany nóż. Na ten widok Charlotta szarpnęła głowę. Wielkie niebieskie oczy zrobiły się szkliste z lęku.

- Nie chcę! - zapisała histerycznie. - Nie! Nie chcę!

Cornet podwinął rękaw, rozciął głęboko lewe przedramię, od nadgarstka do łokcia. Krew buchnęła natychmiast, barwiąc pościel w duże, ciemne plamy, jakby rozkwitły na niej maki, które tylko noc potrafi powołać do życia.

- Ja też nie chciałem - powiedział Cornet. - Ale nie pozostawiono mi wyboru.

Pochylił się nad Charlotta, siłą rozwarł jej szczęki. Długie rdzawe włosy muskały ramiona dziewczyny. Crux uniósł okrwawioną rękę, zatrzymał nad twarzą Charlotty. Strużki krwi ściekały po skórze, kapały w rozwarte usta.

- Pij, moja owieczko - szepnął Cornet. - Spróbuj przekłętej krwi.

Poczuł, jak dziewczyna zaczyna się miotać. Próbowwała krzyczeć, ale dławiła ją krew. Przetykała, żeby uniknąć uduszenia.

Szept Corneta brzmiał chrapliwie.

- Sykstus zrobił z ciebie kukłę, maleńka. Wierzyłaś mu we wszystkim. Ale czas się ocknąć. Przykro mi, skarbie. Wbrew temu, co mówi, żaden z nas nie jest dobry. I ja też nie mogę sobie na to pozwolić. Powodzenia na nowej drodze życia.

Cofnął ramię, wstał z łóżka i nie obejrzawszy się, wyszedł. Trzasnęły drzwi. Charlotta nie śmiała się poruszyć, jakby ciężar nienawiści Corneta nadal ją przygniatał, mimo iż napastnik już odszedł. Dopiero po chwili pojęła, że stało się coś nieodwracalnego. Poczucie krzywdy okazało się silniejsze niż szok, więc załkała, zwijając się w kłębek na zbrukanej pościeli. Szlochała, a dłonie, którymi próbowała otrzeć łzy, rozmazywały po twarzy krew.

\*\*\*

Cornet niespiesznie szedł ulicą. Było zimno. Mijający go przechodnie mieli podniesione kołnierze, dłonie wciśnięte w kieszenie. Większość spieszyła się do ciepłych domów, mieszkań czy biur. W powietrzu wisiała wilgoć, gotowa w każdej chwili przerodzić się w mżawkę.

Crux, obojętny na chłód, wędrował po mieście. Maleńkie kropelki osiadające na jego włosach w świetle latarń lśniły rudawo. Cornet myślał o Rdzy. Po opuszczeniu domu Sykstusa próbował ją dopaść, ale uciekła i schroniła się pod skrzydłami Kręgu. To nic. I tak ją dostanie. Najlepiej z całym bractwem. Krąg też jest mu coś winien. Skrzywił się na wspomnienie Rdzy. Umykała przed nim jak szczurzyca przed tyfusem. Była przerażona. Już nie potrafiła jednym gestem ręki wywołać u niego krwotoku. Ze swoją śmiertelną chorobą i mocą zdolną równać się z Kręgiem stał się podobny do widma starożytnego króla, który powrócił do świata żywych, by budzić lęk i wyrównywać rachunki.

Poczekaj, Alysio Maddox Dellvardan, Czarna Różo, suko Kręgu, upiór upomni się także o ciebie. Zatrzymał się przed wystawą dużego sklepu. Odbita w szybie spoglądała na niego twarz długowłosego, ponurego demona. Diabeł z lustra. Usta Corneta wykrzywiły się w grymasie gorzkiego uśmiechu. Prawda kryje się w starych zabobonach, w gładzeniu babek, w lęku przed ciemnością. Zło zawsze czai się blisko, na wyciągnięcie ręki. Nie sposób się z nim układać, oswajać go ani zmieniać. Kto wpatruje się w lustro, zobaczy oblicze diabła. Tylko często nie potrafi tego zauważyć, bo rozpoznaje w nim jedynie własne rysy.

*Przyznam szczerze, że lubię to opowiadanie. Powstało jako mój osobisty hołd dla wielkiego mistrza opowieści Raya Bradbury'ego. Jest jedyną historią, w której wykorzystałam doświadczenia z pracy w telewizji. Stary Josif istnieje naprawdę. Poznałam go przy okazji kręcenia reportażu o twórcach sztuki nieprofesjonalnej. Namalował liczącą 40 metrów „Apokalipsę” i mnóstwo innych ezoterycznych obrazów, pisał traktat o duszy ludzkiej, wielkimi okrągłymi literami w zeszycie w kratkę, w stodole budował maszynę latającą wg szkiców Leonarda da Vinci i nie pamiętał, ile ma dzieci. Kiedy spotkałam go pierwszy raz, czytał w oryginale pisma Alberta Einsteina i próbował mi wytłumaczyć, czemu nie zgadza się z teorią względności. Jest rolnikiem, mieszka od urodzenia na mazurskiej wsi. Imię konia pożyczyłam od Nicka Cave'a z piosenki „The Carny”. Przyznaję się na wszelki wypadek, żeby ktoś mi nie wypomniał.*



# Smutek

Smutek był naprawdę starym koniem. Łeb nosił nisko zwieszony, zapadnięty grzbiet przypominał kołyskę, a kolana przednich nóg zawsze pozostawały lekko ugięte, jakby zwierzak w każdej chwili szykował się uklęknąć. Tata mówił, że Smutek woli być przygotowany na spotkanie z Bogiem, ale dbał o konia. Ten zaś wbrew zaawansowanemu wiekowi prezentował dzięki temu całkiem niezłą formę. Na tyle dobrą, żeby unieść na grzbiecie drobnego jedenastolatka.

Matej podniósł głowę i spojrzał na Smutka. Duży kasztan pał się spokojnie kilka kroków dalej. Sierść miał ładną i lśniąca, gęsta jasna grzywa była starannie wyczesana, boki unosiły się w równym, głębokim oddechu, jak u zdrowego zwierzęcia, a mimo to chłopiec przyglądał się przyjacielowi z uczuciem dziwnego niepokoju w sercu. Tata już od jakiegoś czasu starał się przygotować go do nieuchronnego rozstania z koniem, nigdy jednak nie podejrzewał, że Matej sam znacznie wcześniej zauważy symptomy nadchodzącego końca. Ojciec nie mógł też wiedzieć, jakim lękiem napawa chłopca stan zdrowia Smutka. W końcu sam wychował się w wielodzietnej rodzinie, dorastał w towarzystwie licznej grupy rówieśników i chociaż dostał i pokochał Smutka, kiedy był sporo młodszy niż Matej dzisiaj, nie miał pojęcia, jak to jest tracić jedynego przyjaciela, który powoli przechodzi na stronę cienia, a jedyne, co można zrobić, to bezsilnie się temu przyglądać.

Matej dźwignął się na łokciach, wypluł długie, słodkie źdźbło trawy. Oczywiście, tata ani mama nie wiedzieli, ile Smutek znaczy w jego życiu, a chłopiec niejasno podejrzewał, że lepiej im tego nie uświadamiać. Mogliby się przestraszyć, uzmysłowiwszy sobie, że jedynym przyjacielem ich syna jest stary koń.

Chłopiec przeturlał się na brzuch, wsadził między zęby kolejne źdźbło trawy. Mogliby zacząć się zastanawiać, pomyślał. A tego z całą pewnością sobie nie życzył.

Daleko na horyzoncie, tam gdzie trawiasta równina stykała się z fioletem nieba, pojawiła się ciemna plamka. Pewnie stado żuwaków. Smutek nawet nie podniósł łba, spokojnie skubał słodkie źdźbła. Matej znów położył się na plecach, podparł rękami kark.

- Wiesz co? - zagadnął konia. - Jestem pewnie jedynym człowiekiem, który widuje żuwaki z tak bliska. Śmieszne, co? Może gdzieś jakiś przyrodnik zrobiłby nie wiem co, żeby podejść na taką odległość, a my po prostu sobie patrzymy. No wiesz, jeździmy, gdzie chcemy, leżymy i gryziemy trawę. Żuwaki uciekają od ludzi. Od koni i krów też. Tata nigdy w życiu nie widział żuwaka. Sam mi powiedział.

Koń machnął ogonem.

- Jej - burknął Matej. - Wcale się nie przechwalam. Pewnie, że ode mnie też uciekają, ale kilka razy podeszły całkiem blisko. Widziałem wyraźnie te, które szły na brzegu stada. Podobno w takim stadzie mogą ich być tysiące albo jeszcze więcej. Myślisz, że idą za nimi likanty?

W głosie chłopca dźwięczała nadzieja.

- Prawdziwe, wielkie likanty. Podkradają się cicho, stawiają kolce na grzbiecie, odsłaniają kły. A potem wybierają najsłabszą sztukę, starą albo chorą...

Koń odwrócił się tyłem.

- Ojej, Smutek! Czego się obraziłeś? - zawołał Matej. - Nie bój się likantów. Obronię cię. Nie parszaj pogardliwie. Jestem wielkim kolonistą, istotą ze szczytu drabiny pokarmowej. Tak mówiła panna Zola na biologii. A może to były schody pokarmowe? Chodź tu, nie złość się.

Koń podszedł powoli, trącił nosem wyciągniętą dłoń chłopca. Matej pogłaskał mięciutkie jak aksamit



chrapy.

Ogromny step szemrał cichym, kojącym głosem traw. Żdźbła czesane dłońmi wiatru gwarzyły z sobą tysiadcem głosów. Były tam szepty i śmiech, i szloch, wibrujące dziwną, dziką pieśnią. To była obca ziemia, szalona, groźna, słodka i kusząca, a chłopiec i koń, mimo że przyszedli tu na świat, byli tylko intruzami.

Matej czuł, jak pieśń trawy przenika przez niego, kształtuje na nowo i zmienia. Ogromne błękitnofioletkowe niebo spoglądało na ludzkiego niedorostka i starego konia niczym oko nieznanego boga.

Od słodkiego zapachu kręciło się w głowie, z ziemi bił ciężki, mdlący aromat rozkładu, woń żyznego gruntu. Matej czuł jednocześnie gorąco i chłód, głęboki niepokój pomieszany z niezwykłą ekscytacją. Słyszał, jak bije potężne, mroczne, kipiące życiem serce planety. Musiał się odezwać, musiał wypowiedzieć tajemnicze, ukryte imię, o którym tak bardzo pragnął zapomnieć, które wydawało się jedynie wymysłem wyobraźni, kiedy siedział spokojnie w domu z rodzicami i siostrą. Musiał, żeby nie oszaleć, nie utracić zupełnie kontaktu z rzeczywistością.

- Myślisz, że Ojciec Traw rozmawia tylko z nami? - spytał szeptem.

Po gładkiej brązowej skórze Smutka przebiegł dreszcz, w ciemnym oku zapłonęła i zgasła iskra lęku. A może tak się tylko chłopcu zdawało. Wstał, trzęsącymi się palcami uchwycił gęstą, szorstką grzywę konia.

- O rany, ale późno - powiedział piskliwym, łamiącym się głosem, który miał brzmieć beztrosko. - Chyba pojedziemy do domu, co, Smutek?

Koń rzucił łbem, błysnęło biało w pełnym strachu oku. Chłopiec błyskawicznie wskoczył na grzbiet wierzchowca, ścisnął ciepłe boki kolanami.

- Wracajmy do domu, koniku - szepnął trwożnie, pochyliwszy się nad kosmatym uchem. - Najszybciej jak dasz radę, dobra?

Smutek ruszył ciężkim kłusem.

\*\*\*

Ojciec doglądał krów na pastwisku i jeszcze nie zdążył wrócić do domu, co Matej przyjął z ulgą. Z pewnością robiłby chłopcu wymówki, że zmusił Smutka do zbyt forsownego biegu. Prawie całą drogę przebyli kłusem, a przez spory odcinek nawet galopem. Sierść konia pociemniała od potu. Matej zwolnił dopiero, gdy ujrzał na horyzoncie zabudowania fermy, a teraz wyrzucał sobie narażenie przyjaciela na zbyt duży wysiłek. Niedawny lęk znikł bez śladu. Chłopiec czuł nawet lekkie zawstydzenie, że dał się ponieść bezsensownej obawie. Wprowadził Smutka do stajni, starannie wytarł słomą spocone boki, przykrył grzbiet derką i postanowił nie poić wcześniej niż za pół godziny.

Umył ręce i twarz pod kranem na zewnątrz i wszedł do domu. Matka była w kuchni. Lepiła pierogi, podśpiewując pod nosem.

- No, jesteś wreszcie. Włóczęga z ciebie. - Uśmiechnęła się na jego widok. - Nie oddalałeś się za bardzo od domu, co?

Potrząsnął głową.

- No pewno! Uważaj, bo uwierzę - sarknęła, ale Matej wiedział, że jest w dobrym humorze. - Tata już wraca. Nigdzie nie przepadnij, zaraz będzie obiad. Idź nakarmić kurczaki. A po jedzeniu pójdziemy do ogródka pielic. Pomożesz mi. No co? Myślałeś, że robota sama się robi? Aha, i powiedz siostrze, że za chwilę siadamy do stołu.

- Tak, mammo - powiedział. - A gdzie ona jest?

Matka wzruszyła ramionami.

- Sam wiesz. Na plotach. Kiedyś terminal od tego pęknie.

Matej parsknął śmiechem. Faktycznie, Marika, odkąd skończyła czternaście lat, nieustannie wisiła w sieci, gędząc z przyjaciółkami i flirtując z chłopakami mieszkającymi często o kilka dni drogi od ich domu. Matej nie mógł pojąć, jak można nazywać te dziwne fantomy przyjaciółmi i co to za kumple, których nie widuje się częściej niż kilka razy w roku, ale Marika twardo powtarzała, że to on jest głupi i dziwny.

Matej właściwie nie lubił siostry. Nie pasowała do niego, mamy i taty. Wiecznie narzekała, skwaszona albo wkurzona. Skończyła szesnaście lat i nabrała przekonania, że jest jedyną wartościową osobą w domu. Potrafiła nie odzywać się całymi dniami, przewracać tylko oczami i pogardliwie wydymać wargi. Co nie przeszkadzało jej nieustannie trajlować z koleżankami i przymierzać holo-ciuchy z wirtualnych sklepów. W głębi duszy Matej nie miałby nic przeciw temu, żeby siostra znikła. Albo umarła zamiast Smutka. Nagle zestarzała się i zwiędła, a koń znów stał się pełnym wigoru żrebakiem. Odkąd wpadł na ten pomysł jakieś dwa lata temu, modlił się czasem o cudowną zamianę, choć nie umiał wyzbyć się pewnego poczucia winy. W końcu Marika była jego jedyną siostrą, a rodzice, nie wiedząc czemu, naprawdę ją kochali. Kiedyś, raz jedyny, gdy naprawdę go wkurzyła, zapragnął poprosić Ojca Traw, żeby zabrał jej życie i oddał Smutkowi, lecz nie ośmielił się wypowiedzieć życzenia. Pożałował tej myśli natychmiast, gdy przyszła mu do głowy, ale i tak się obawiał, że Ojciec Traw usłyszał. On wiele słyszał. I wiele wyczuwał. A dziwna czerwona lampka zapalająca się czasami w umyśle chłopca ostrzegała, że jest niebezpieczny. W kontaktach z Ojcem Traw należało ukrywać emocje i nigdy nie dopuszczać go zbyt blisko do swoich myśli. Co do tego Matej nie miał wątpliwości. Znacznie lepiej było zapomnieć o Ojcu Traw zaraz po przyjeździe do domu. Wyrzucić ze świadomości, wepchnąć w ramy dziecinnej fantazji i nigdy, pod żadnym pozorem, nie wspominać o nim nikomu. Zresztą w domu to stawało się niezwykle łatwe. Jeśli tylko nie znajdował się głęboko w stepie, chłopiec wcale nie potrafił przysiąc, czy kiedykolwiek rozmawiał z Ojcem Traw, czy to była tylko wyobraźnia.

Nakarmił kurczaki i wdrapał się na poddasze, do pokoju Mariki. Przez drzwi słyszał hałas, śmiechy, odgłosy muzyki. Wziął głęboki wdech i zastukał. Bez rezultatu. W sumie, nauczony doświadczeniem, nie spodziewał się żadnego efektu, ale wpajane mu przez matkę zasady grzeczności nakazywały zawsze pukać przed wejściem do cudzego pokoju. Uderzył w drzwi pięścią. Nic. Złapał za klamkę, szarpnął. Oczywiście, zamknięte.

- Marika! - zawołał więc, nie przestając szarpać klamki. - Mama woła na obiad.

Za drzwiami nic się nie wydarzyło.

- Marika, obiad! - powtórzył. - Tata pewnie już jest.

Dalej nic.

Rozzłoszczony kopnął we framugę.

- Marika! - wrzasnął ile sił w płucach. - Obiaaaaad!

W wąziutkiej szparze ukazała się blada z wściekłości twarz siostry.

- Wynocha, szczeniaku! Nie przeszkadzaj!

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

- Mama woła na obiad - powtórzył z uporem chłopiec.

Z pokoju dało się słyszeć gniewne: „Won!” i tyle. Matej zszedł do kuchni. Matka wycierała w ścierkę umączzone dłonie.

- Nakarmiłem kurczaki - oznajmił. - Marika nie chce zejść. Wyrzuciła mnie.

- Co za dziewczucha. No nic, sama pójdę. Umyj ręce. Tata już się przebiera.

Matej zobaczył w oczach matki lęk pomieszany z bezradnością. Dawno już zauważył, że rodzice nie wiedzą, jak postępować z córką. Matka z westchnieniem odłożyła ścierkę.

- Rozłóż talerze, ale szybko. Tata lubi mieć obiad na stole, jak wraca. Pierogi odcedź i wrzuc do tej dużej miski. A garnek z barszczem postaw na stole.

Skinął głową.

Matka poszła na górę. Przez chwilę słyszał jej podniesiony głos. Potem zapadła cisza.

- No, Matej! - Kuchenne drzwi otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął ojciec. - Teraz ty będziesz w domu gotował? Gdzie mama?

- Poszła na górę, po Marikę.

Brwi ojca zmarszczyły się lekko.

- Ach tak - mruknął. - Daleko dziś jeździłeś?

- Nie - skłamał chłopiec. - Trochę przewietrzyć Smutka.

Tata z zadowoleniem skinął głową.

- Dobrze. Nie trzeba go zbyt gonić. Oporządziłeś jak trzeba?

- Tak, tato.

- No! O żywe trzeba dbać. Tak mnie ojciec uczył. I dziadek. A teraz ja uczę ciebie, żebyś wyrósł na porządnego gospodarza. Nie takiego jak ten, na przykład, Osianko - machnął ręką.

Matej potakiwał, nie słuchając, przyzwyczajony do ojcowskich pouczeń.

Z góry zeszła matka. Tata uśmiechnął się na widok wchodzącej żony.

- A co tak pięknie pachnie? Jakieś pyszności?

Odpowiedziała uśmiechem.

- Zrobiłam pierogi. Mocno nabite, takie jak lubisz. Już podaję.

- No, w sam czas. Jestem głodny jak likant.

Matej wyciągnął szyję.

- Skąd tato wie, że likanty są głodne? - spytał.

Ojciec poczochrał mu włosy.

- Bo one są jak ziemskie wilki. A wilki nigdy się nie najadają do syta. Trudno im zagonić i zagryźć duże zwierzę, to i nażreć się nie mogą. Zwłaszcza zimą. Dawno temu, na Ziemi, podchodziły nocą pod chałupy, porywały bydło z obór.

- Likanty? - spytał Matej, zasłuchany we własne myśli.

- Nie, głuptaku! - roześmiał się ojciec. - Przecież mówię, że wilki. Likanty są za durne. Strachliwe jak baby. Boją się nawet krów, głupki. Nie atakują, nawet kiedy bydło stoi w zagrodach. Nawet nie podejdą.

- No, co tak gadasz! - Matka przeżegnała się trwożnie. - Jeszcze złe przywołasz! Wilków mu się zachciało, patrzcie go. Bogu dziękuj, że tu tak spokojnie. Jest czysta woda i czyste powietrze. I ziemia, co karmi i rodzi. To pierwsza taka planeta, co ją znaleźli, gdzie da się normalnie, spokojnie żyć. Nie pamiętasz, ile się naszukali ci wszyscy naukowcy? Wszędzie coś było nie tak. Za zimno, za gorąco, wody mało, powietrze trujące albo czort wie co jeszcze. A tu pięknie, ciepło, spokojnie, ziemi dużo, woda wszędzie. Istny dar Boży. To i dziękować trzeba, a nie głupoty opowiadać!

Ojciec rozsiadł się przy stole.

- Pewno, że dziękuję, matka. A chłopaka nie ma co straszyć. Złe tu żadne z Ziemi za nami nie przylezie. Za daleko.

- Ty już cicho siedź - parsknęła mama znad garnków. - Barszczu się lepiej napij, zanim wystygnie.

Trzeba, żeby dzieciak był ostrożny. Ostrożności nigdy za wiele. No, co ci tam w szkole mówili?  
- Nic. Mówią tylko o Ziemi - mruknął Matej, który wcale nie miał ochoty informować matki, że panna Zola, nauczycielka, nieustannie powtarza, żeby nie oddalać się od domu, nie dotykać obcych roślin, nie próbować podglądać zwierząt, a najlepiej nie wyściubiać nosa z pokoju i uczyć się matematyki.

- Tak trzeba, synu - powiedział ojciec mentorskim tonem. - Ucz się historii, biologii i tak dalej. Tutaj wiele rzeczy wygląda jak na Ziemi, Matej. Dlatego możemy tu mieszkać.

- Dziadek przyleciał z Ziemi, kiedy był bardzo mały, prawda? - zagadnął chłopiec, gotowy słuchać historii dziadka niczym znanej, ulubionej bajki.

Ojciec roześmiał się.

- Jakbyś nie wiedział! No, dość gadania. Siadaj do jedzenia.

- Pierogi gorące - powiedziała matka. - Nabierajcie.

- Marika nie będzie jadła? - Brwi ojca znów się zmarszczyły. - Co sobie wyobraża ta dziewczucha? Za nic ma rodzinę czy co?

- Zaraz zejdzie - w głosie matki brzmiała jednak nuta niepewności. - Dołożyć ci skwarek?

Tata burknął coś pod nosem.

Zdążyli wypić barszcz i nałożyć porcje pierogów na talerze, zanim usłyszeli skrzypienie schodów. Marika bez słowa zajęła miejsce za stołem. Nie odezwała się do końca obiadu, przeżuwając każdy kęs z wyrazem wzdorliwej wyniosłości na twarzy.

\*\*\*

Wieczorem Matej znów zagadnął ojca o likanty, ale nie dowiedział się wiele. Żyły w stadach, były drapieżnikami większymi od wilków, ale mniejszymi niż lamparty, polowały głównie na żuwaki. Bały się ludzi i chyba również przywiezionych z Ziemi zwierząt, bo nigdy nie napadały na krowy, chociaż zamknięte za ogrodzeniami pastwisk bydło stanowiło łatwą zdobycz. Mimo że mieszkali na odludziu, a ojciec wyjeżdżał czasem głęboko w interior doglądać pasących się krów, nigdy nie trafił na ślady likantów. Nigdy też nie zdołał dostrzec stada żuwaków. Miejscowe zwierzęta odeszły widocznie głębiej w step, ale żaden z hodowców nie miał zamiaru martwić się z tego powodu. W sumie dobrze się stało, bo likanty nie zagrażały bydłu, a żuwaki nie wyjadały trawy. Naukowcy też nie zawracali sobie głowy ucieczką miejscowej fauny. Obszary stepów były przecież wyjątkowo rozległe, ludzie eksploatowali zaledwie niewielką część, więc nie było się czym przejmować. I tak w ręce rolników, a zwłaszcza hodowców, dostały się ogromne tereny.

Rodzice Mateja utrzymywali się z hodowli bydła. Oboje urodzili się i wychowali na fermach leżących dalej na południe od miejsca, gdzie dziś mieszkali. Jednak na obszarach starszej kolonizacji, skąd pochodzili, gospodarstwa były mniejsze, a zaludnienie znacznie wyższe. Matej wiedział, że rodzice przez jakiś czas mieszkali w mieście, ale wyprowadzili się stamtąd, jak Marika miała kilka miesięcy. Oboje powtarzali, że marzyli o własnej fermie, odkąd się poznali. Tutaj byli naprawdę szczęśliwi. Ojciec wyjeżdżał doglądać maszyn pilnujących krów, programował „strategię optymalnego wypasu”, jak lubił nazywać kontrolę pastwisk, matka zajmowała się domem i gospodarstwem. Matej uczył się cztery dni w tygodniu w holo-szkole i włóczył się po stepie na grzbiecie Smutka. Kochali swój dom. Tylko Marika nienawidziła fermy. Miała nieustanny żal do rodziców, że wyprowadzili się z miasta. Właściwie miała nieustanny żal do całego świata. Matej spytał kiedyś, gdy był jeszcze mały, a Marika zgadzała się czasem łaskawie do niego odezwać, czy siostra wolałaby mieszkać na Ziemi. Z pogardliwym prychnięciem odpowiedziała, że jest przecież

Ziemianką.

Wtedy odpowiedź siostry wydała mu się głupia, ale z czasem zaczął się nad tym zastanawiać. Właściwie Marika miała rację. Ojciec, mama i wszyscy dorośli, których znał, czuli się i zachowywali jak Ziemianie. Wszystko porównywali z wydarzeniami i zjawiskami ze starej planety, chociaż nigdy nie widzieli jej na oczy. Matej uczył się w szkole o historii, geografii i biologii Ziemi zamiast o roślinach i zwierzętach świata, na którym się urodził. Wkuwał przemianę pokoleń u sporyszu, działy wód w Eurazji, ale nikt nie rozmawiał z nim o stepie, żuwakach, likantach i fioletowym niebie. Miał mgliste pojęcie, że na północy i głębokim południu rozciągają się lasy, a potem nieokreślone obszary „chłodnego klimatu”, jak mówiła panna Zola. Że mieszka na jednym z czterech kontynentów planety, ale tylko dwa są zamieszkane przez ludzi. Planeta została skolonizowana niezbyt dawno. Dopiero dwa pokolenia wstecz pojawili się na jej powierzchni masowi emigranci z Ziemi. Szkolnictwo i edukacja rozwijały się powoli, bazując głównie na programach przekazywanych z macierzystej planety. Gdzieś tam trwały co prawda intensywne badania, ale ich wyniki nie zdążyły jeszcze przeniknąć do szkolnych podręczników. W chwili gdy Matej nakładał na głowę hełm i przenosił się do wirtualnej klasy panny Zoli, zarówno on, jak i kilkunastu jego rówieśników znajdowali się w dziwnym, skostniałym świecie szkolnictwa. Równie niematerialnym jak nierealnym, gdzie nie byli ani prawdziwymi Ziemianami, ani kolonistami.

Dzień, w którym Matej uświadomił sobie, jak mało dorośli wiedzą, był straszny i wspaniały zarazem. Nastął pewnego ciepłego poranka, gdy zagadnięty o obyczaje żuwaków ojciec przyznał, że nigdy żadnego nie widział. Wtedy Matej poczuł się odkrywcą, bohaterem i wybrańcem. Niemal zrozumiał, dlaczego Ojciec Traw rozmawia właśnie z nim. Był to też dzień samotności, bo pojął, że z nikim nie podzieli się tym ciężarem. Cokolwiek się stanie.

\*\*\*

Rankiem następnego dnia ojciec wybierał się do miasteczka. Matej dopóty prosił i przekonywał, że szkołę ma dopiero jutro, aż tata zgodził się zabrać go z sobą. Przedzierałi się przez morze traw wąską, prostą drogą, obsadzoną przywiezionymi z macierzystej planety drzewkami jabłoni, które w obcym świecie przybierały dziwne, pokrzywione kształty, kwitły drobnymi jak kaszka kwiatkami i owocowały maleńkimi, intensywnie purpurowymi jabłuszkami o cierpkim smaku. Tak odmiennymi od ziemskich, że żadnemu przybyszowi ze starego świata nie przyszłoby do głowy nazywać ich jabłkami. Ale ani Matej, ani tata nie widzieli w tych drzewach nic dziwnego. Dla nich po prostu wyglądały jak jabłonie. A jabłonie należało wysadzać wzdłuż drogi, bo tak się zawsze robiło. Dziadek mówił, kiedy jeszcze żył. Dlatego gdy któreś z drzewek usychało, ojciec zabierał Mateja i razem dosadzali nowe. Tata lubił dbać o tradycję.

Po czterech godzinach jazdy dotarli do miasteczka. Ojciec zatrzymał się na chwilę w uliczce wiodącej do rynku i pozwolił chłopcu wysiąść.

- Tylko nie narozrabiaj - ostrzegł. - Muszę coś załatwić w urzędzie, a potem w sklepie rolnym. Pewno chcesz pójść do starego Josifa, co?

- A mogę, tato? - spytał chłopiec z nadzieją.

- Idź, idź. Tylko niech ci się w głowie nie poprzewraca od tych jego głupot.

- Pan Josif pozwala mi się bawić farbami - powiedział Matej, lekko naburmuszony. - I oglądać latającą maszynę, którą buduje.

- Tylko niczego nie zepsuj. - Ojciec zatrzasnął drzwi szoferki. - I zachowuj się porządnie. Nie chcę, żebyś narobił mnie i matce wstydu.

- Tak, tato.

Ojciec machnął ręką.

- No, leć już. Przyjadę po ciebie, jak wszystko załatwię.

- Dobrze, tato - krzyknął chłopiec i puścił się biegiem w dół ulicy.

Rozpierało go cudowne poczucie swobody. Pędem wbiegł na rynek i byłby go obiegł ze dwa razy z radości, niczym spuszczonego ze smyczy psiak, ale poczucie godności wzięło górę. Miał już jedenaście lat, nie mógł więc postępować jak szczeniak, który nie wie, jak się zachowywać w mieście. Zwolnił nieco kroku i podskakując od czasu do czasu, ruszył przez rynek.

Pośrodku, obok pompy, siedziała na ławce stara Latowa w towarzystwie kilku innych gospodyń, więc wrzasnął: „Dzień dobry!” ile sił w płucach, pomny ojcowskich nakazów w kwestii dobrego wychowania. Gdyby jej nie pozdrowił, wieczorem matka dałaby mu niezłe popalić. Spotykały się na sieciowych pogaduchach prawie każdego popołudnia, a Latowa była czepialską plotkarą i na pewno wypomniałaby matce brak manier u syna.

Zamachała do chłopca ręką i zagadnęła o zdrowie domowników.

- Dziękuję, wszyscy zdrowi, pani Latowa - odkrzyknął, ale się nie zatrzymał. Wcale nie miał ochoty, żeby stara plotkara zadrezczała go tysiącem pytań i marnowała cenny czas, który mógł spędzić na miejskich rozrywkach. Starał się mieć poważny i zaaferowany wyraz twarzy, jakby spieszył się załatwić ważną sprawę.

Pokręcił się trochę po miasteczku, spotkał dwóch kumpli ze szkoły, ale żaden nie miał czasu na zabawę, więc pogadał chwilę, a potem powędrował do cukierni. Wypił lemoniadę i kupił torebkę „trzapakowych łebków”. Te niemiłosiernie słodkie, kleiste pianki w kształcie obłych stożków pokrytych guzkami rzeczywiście przypominały główki trzapaków, małych żyjących pod ziemią stworzeń podobnych do kretów.

Matej wrócił na rynek, pojadając „łebki”. Żałował, że pora jarmarków i odpustów jeszcze się nie zaczęła. Minie trochę czasu, zanim w mieście pojawi się kościelny namiot, a wraz z nim przyjadą przekupnie. Proboszcz objeżdżał parafię przez cały rok, ale i tak nie zostawał w miasteczku dłużej niż kilka tygodni. Starej Latowej i miejscowym dewotkom musiały na razie wystarczać wirtualne nabożeństwa, chociaż większość uważała, że „sztuczna msza” nie ma tej siły odstraszenia zła co prawdziwa.

Ponieważ nic ciekawego się nie wydarzyło, Matej uznał, że pora odwiedzić pana Josifa.

Stary Josif mieszkał na skraju miasteczka, w stodole. Wiele lat temu żona wyrzuciła go z domu, ale on nic sobie z tego nie robił. Mieszkańcy osady i okoliczni farmerzy uważali, że stary jest stuknięty. Mieli go trochę za czubka, trochę za szamana, ale otaczali pewnego rodzaju szacunkiem jako ciekawostkę i swoisty talizman chroniący społeczność.

Dzieciaki na ogół wyśmiewały się z Josifa, a czasem trochę się bały, ale Matej go lubił. Dziwaczne rzeźby i maszyny na podwórzu przed stodołą fascynowały. Zwłaszcza że figury przedstawiały miejscową faunę. Wielkie, tęponose żuwaki z garbami na grzbietach, pomalowane w zwariowane kolory. Kolczaste likanty z wyszczerzonymi kłami. Wysokie, smukłe kulbowce o niezwykle giętkich szyjach. Krępe niedźwiaki, brzydkie, wielonogie stręgi. Wszystkie dziwaczne, przerysowane, pstrzące się kolorami, ale przez to jakby dziksze, bardziej prawdziwe niż jakiegokolwiek hologramy w podręcznikach.

Josif odnosił się do chłopca przyjaźnie, ale Matej nigdy nie miał pewności, czy stary naprawdę go poznaje. Blade niebieskie oczy były przejrzyste jak woda. I całkiem nieprzeniknione.

Nie znalazłszy Josifa na podwórzu, Matej uchylił nieśmiało drzwi i wsunął się do ciemnego wnętrza stodoły.

- Dzień dobry! - zawołał od progu. - To ja, Matej. Mogę wejść?

Nikt nie odpowiedział. Chłopiec zamknął za sobą drzwi. Cicho stąpał po podłodze zasłanej wiórami. Miął szkielet drewnianej maszyny latającej, konstruowanej na wzór skrzydeł i kadłuba pilgonia, przesuwał się między cielskami niedokończonych drewnianych, papierowych i plastikowych zwierząt.

Josif stał na rusztowaniu i poprawiał jedną z czterech twarzy dziwnego skrzydlatego potwora umieszczonego w rogu ogromnego malowidła, które było rozpięte na całej powierzchni jednej ze ścian stodoły.

- To Wielka Bestia, synu - powiedział, nie odwracając się, jakby rozmawiali od dawna. - Czyha. Wyczekuje na właściwy moment. I on niedługo nadejdzie, synu. Czuję to.

Chłopiec żywił nieraz przykre podejrzenie, że pan Josif wcale go nie zauważa i prowadzi swoją dziwną rozmowę przez cały czas, nawet gdy Mateja tu nie ma.

Jednak gdy stary człowiek odwrócił się od płótna i popatrzył chłopcu w twarz, spojrzenie było chłodne, przenikliwe i uważne.

- Widzisz, synu - ciągnął nieprzyjemnym, zgrzytliwym głosem. - Czeka. Złowrogi i potężny. Jest duszą tego świata. Siłą skrytą w pozornie łagodnej otoczce.

Matej wzdrygnął się mimowolnie. Ośmioro oczu stwora pałało nienawiścią.

- Kiedy zmusi mnie, żebym wypowiedział jego imię, nadejdzie czas przesilenia.

Stary nie spuszczał ciężkiego, pełnego napięcia wzroku z twarzy chłopca.

- Ty wiesz, prawda?

Matej nerwowo przełknął ślinę. Stary pan Josif czasem trochę go przerażał.

- Nie, proszę pana. Czy mogę pobawić się farbami?

Pomarszczona, sucha jak rzemień twarz natychmiast złagodniała.

- Chcesz malować, synu? Dobrze, dobrze. Zaraz znajdę ci farby i karton.

Josif zląkł z rusztowania, podszedł do chłopca i położył mu sękatą dłoń na ramieniu.

- Popatrz na to płótno, synu. - Ruchem podbródka wskazał rozpięty na ścianie obraz. - Maluję to już tyle lat. Sam nie pamiętam ile. Widzisz, to jest kosmos. Taki, jak jest naprawdę, a nie taki, o jakim piszą w uczonych książkach. Tamta niebieska kula to Ziemia, a ta fioletowa to nasz świat, o tam, w rogu.

Matej widział wielki obraz nie pierwszy raz, ale zawsze mógł się na niego gapić godzinami. Wpatrywał się zachwycony w plątaninę kresek, strzałek, przerywanych linii łączących wielkie i małe kule ognia lub kolorowego światła. Między nimi unosiły się w czerni tła niezliczone skrzydlate postacie. Fruwający ludzie, potwory, węże, zwierzęta, a nawet dyski z twarzami lub pyskami nieziemskich stworzeń.

- Kim są ci latający ludzie, panie Josif? - zapytał Matej chyba po raz setny.

Stary uśmiechnął się.

- To aniołowie i archaniołowie, synu. Mają po jednym, dwa albo trzy skrzydła. A tamci, widzisz, co mają cztery lub sześć, to cherubiny. Popatrz uważnie. - Wskazywał kościstym palcem. - Tam jest Bestia, tam Złoty, Wielki i Błękitny. Są jeszcze tacy, co mają więcej skrzydeł, ale ich boję się malować. Za potężni, synu.

- To oni tu są? Aniołowie?

- Pewnie, synu. I tu, i wszędzie. Zawsze byli.

- A jak pańska latająca maszyna? Kiedy będzie fruwać?

Josif uśmiechnął się i machnął ręką.

- Ech, nie mam czasu jej budować. Muszę malować i pisać traktat o naszej planecie. Pokazywałem ci

go?

Matej skinął głową.

- Tak, panie Josif. Ale ja chętnie obejrzę znowu.

- To chodź. - Stary był wyraźnie uradowany.

Chłopiec ruszył za nim do przeciwległego końca stodoły. Na podłodze i starym, odrapanym stole piętrzyły się stosy szkiców, dokończonych i niedokończonych malunków, zamazanych w pośpiechu kartek. Pod ścianami stały płótna, wielkie kartony i deski pokryte malowidłami. Spoglądały z nich twarze wieloskrzydłych aniołów, melancholijne, łzawe oczy kulbowców, wąskie ślepia likantów. Tryskały purpurowe strumienie, kwitły kwiaty rozciągające w uśmiechu wielobarwne usta, szumiały złote i niebieskie drzewa, w powietrzu śmigały ptaki podobne do jaszczurek. A może jaszczurki ze skrzydłami jak ptaki?

Z szuflady stołu stary człowiek wyciągnął duży, podniszczony zeszyt. Otworzył i zaczął kartkować. Strony były zapisane starannym, dzieciennym pismem. Co kilka kart pojawiał się kolorowy obrazek.

- Widzisz - mówił pan Josif. - To jest rozdział o materii. A to o drganiach. O duszach eterycznych. A to o przedludziach. Popatrz. Mieszkali tu kiedyś, ale teraz już ich nie ma. To o zwierzętach. I o nas, kolonistach. A tu o roślinach. I mglistych wodach. I o esencji. Ale to wszystko jeszcze nieskończone. Zamknął zeszyt.

Matej czuł dreszcz podniecenia. Z emocji aż się zadyszał.

- A... a teraz o czym pan pisze, panie Josif?

W bładych niebieskich oczach zamigotał błysk, jak refleks słońca na wodzie.

- O Bestii, synu. I o czasie przesilenia.

Nagle Matej poczuł się nieswojo.

- Ja... chyba już pójdę, proszę pana. Pewno przeszkadzam.

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Gdzie tam, synu. Wcale nie. Mieliśmy razem pomalować.

- No... - zawahał się Matej, który miał wielką ochotę na zabawę farbami, lecz niepokój jeszcze go nie opuścił. - Nie wiem, czy mogę... Może innym razem.

Josif wzruszył ramionami.

- Synu, malowanie to dar. Drzwi do innego świata. Ale jak chcesz.

W tej chwili drzwi do stodoły rozwarły się na oścież i do środka weszła żona Josifa.

- No, stary - zawołała. - Przyniosłam żarcie. Żeby ludzie nie gadali, że o chłopca nie dbam. Bóg pokarał chłopem, co ma we łbie krzywo, ale nic. Ja wszystko zniosę.

Josif nie dał po sobie poznać, że w ogóle zarejestrował nadejście kobiety.

- Zaraz znajdę dla ciebie karton - zwrócił się do chłopca i zaczął szperać w stercie papierów.

Josifowa bezceremonialnie deptała leżące na podłodze szkice. Podeszła do stołu, postawiła garnek. Zobaczyła Mateja i wzięła się pod boki.

- Patrzcie no - zawołała. - A ty tu czego? Chcesz zgłupieć tak jak on? Matka wie, że tu przyłazisz?

- Tata pozwolił - burknął chłopiec niechętnie.

Żona Josifa poprawiła chustkę na głowie.

- No to sam sobie będzie winny, jak mu syn zgłupieje. Nasłuchasz się tych jego bredni i Bóg wie co z ciebie wyrośnie. Zobacysz. Jak ten stary skończysz! On już całkiem o świecie nic nie wie. Nie pamięta imion własnych dzieci! Nawet nie wie, ile ich ma! Rozumiesz? Własnych dzieci nie pamięta!

- Mam. - Josif wyciągnął sztywny, czysty kawałek papieru i podał chłopcu, całkowicie ignorując pełną oburzenia tyradę małżonki. - Nada się. Zobacysz, jak dobrze przyjmuje farbę.

Kobieta ze złością machnęła ręką.



- Widzisz, co go obchodzi! Malowanki! Same durnoty. Dobrze, że chociaż synowie się w niego nie wdali, boby się jak nie gospodarka zmarnowała. Stary głupek.  
Odwróciła się i kołysząc biodrami jak kokosz, odeszła z godnością. Josif nawet na nią nie spojrzął.  
Matej dotknął ścianki garnka.  
- Niech pan zje, póki ciepłe - powiedział nieśmiało.  
Stary człowiek wzruszył ramionami.  
- Później. Teraz muszę pracować.  
Wlaził, stękając, na rusztowanie i zabrał się za skrzydła Bestii. Matej zanurzył pędzelek w słoiczku z farbą, czując przyjemne mrowienie w koniuszkach palców. Jeśli nie zostanie przyrodnikiem, pomyślał, będę malarzem. Albo oboma naraz.  
Zanim przyjechał ojciec, zdążył wymalować wcale udatnego likanta.

\*\*\*

Matej nie pamiętał, kiedy dokładnie Ojciec Traw zaczął do niego mówić. To nie był chyba żaden konkretny dzień. Po prostu jeździł na Smutku, zsiadał, leżał w trawie, przyglądał się źdźbłom, wypatrywał żuwaków i słuchał szmeru traw. Na początku żaden głos do niego nie mówił. Czasem coś niespodziewanego przychodziło mu do głowy, coś rozumiał, dowiadywał się o czymś, ale nie wiedział skąd. Potem w szumie traw zaczął słyszeć szepty, szlochy i śmiech, ale myślał, że to tylko wiatr. Później odezwał się wewnętrzny głos, jakby intuicja albo wymyślony przyjaciel. Dokładnie tak. Jakby rozmawiał z wymyślonym przyjacielem. A potem Ojciec Traw już był.  
Matej czuł, kiedy nadchodzi. Słońce stawało się nagle bardzo oslepiające i szybko przygasało. Zapadała głucha cisza, chociaż wiatr nadal szumił w trawach. A on słyszał w głowie głos Ojca Traw. Ciche nawoływanie, świszczący, przenikliwy szept.  
- Mattej, Mattej, Mattej...  
Wtedy odpowiadał.  
Na początku wcale się nie bał. No, może trochę. Taki dziwny, podniecający dreszcz emocji towarzyszący spotkaniu z nieznanym. Nie miał wrażenia, jakby rozmawiał z obcym, pozaziemską formą inteligencji. Raczej jakby przemawiał do niego duch planety, jej ożywiona dusza. Nie umiałby ubrać swoich myśli w słowa, ale tak właśnie to odczuwał.  
Dopiero później zaczął się bać. Wtedy, gdy poczuł zbliżającą się obecność Ojca Traw i zobaczył, jak spokojne do tej pory stado żuwaków ogarnia panika. Oszalałe zwierzęta uciekały w popłochu, w szalonym pędzie przemykały ledwie kilkanaście metrów od niego. Step drżał od głuchego tętentu. Żuwaki pędziły na oślep na chłopca i konia, ale zamiast ich stratować, skręcały pełne przerażenia, jakby Matej był tak samo straszny jak niematerialna istota, która spowodowała ich ucieczkę. Cud, że Smutek się nie spłoszył. Zaraz potem Ojciec Traw przybył.  
Matej nie chciał odpowiedzieć na wezwanie. Bał się. Lecz znacznie bardziej przestraszył się sekundę później, kiedy okazało się, że nie może odmówić.  
Step drgał i szumił, choć ponad trawami wisiała głucha cisza. Matej żuł słodkie źdźbło.  
Ojciec Traw śpiewał mu długą, rzewną pieśń bez słów. Pieśń o kulbowcach.  
Chłopiec zebrał się na odwagę i spytał:  
- Czy przed nami ktoś tu jeszcze mieszkał, Ojciec Traw?  
- Tu zawsze ktoś mieszka - zaszemrały źdźbła.  
- No, miałem na myśli kogoś podobnego do nas, do ludzi - ciągnął chłopiec, czując, że wkracza na niebezpieczne tematy. - Nie z wyglądu, ale w ogóle...

Urwał, zbity z tropu.

- Pan Josif mi pokazywał rozdział o przedludziach - wymamrotał. - Czy oni istnieli? Dlaczego już ich nie ma?

Niematerialna istota milczała przez dłuższą chwilę.

- Nadchodzi czas przesilenia - wyszeptał głos w głowie chłopca. - O, Mattej, Mattej, Mattej... tak, nadchodzi.

Serce chłopca zabiło gwałtownie. Smutek szarpnął łbem, zadrobił w miejscu przednimi nogami, ale tak samo jak Matej nie potrafił uciec.

- Czas przesilenia? - powtórzył chłopiec ze ściśniętym gardłem. - Pan Josif o tym mówił...

- Tak, tak - zaszumiał Ojciec Traw. - Ja dojrzewam. I ty dojrzewasz. Już niedługo.

- Co... co to znaczy? - szepnęła Matej.

- Kiełkowanie ziarna - zaśpiewały źdźbła. - Żyzna, żyzna ziemia.

- Nie... nie rozumiem.

- Nie trzeba - kojąco szemrał step. - Nic nie trzeba rozumieć.

Matej poczuł, że głęboko w samej istocie Ojca Traw zbudziła się wielka radość, i to odczucie zmroziło go lękiem. Ojciec Traw był niebezpieczny.

- Cykle - świszczał śpiewnie. - Powtarzalne cykle. Dzień po dniu, pora po porze, czas po czasie. Wielkie przesilenie, Mattej.

- Po co? - jęknął wystraszony chłopiec.

Ojciec Traw zdawał się go nie słyszeć, pogrążony w wielkiej radości.

- Zew. Usłyszycie zew. Już niedługo, Mattej. Już niedługo. Najpierw ludzie połowy. Nie dzieci, nie dorośli. Jest ich wielu, wielu... Usłyszą pierwsi. Pierwsi wyruszą. Kiełkujące ziarno. Mnóstwo, mnóstwo siły i żadnych korzeni. Oni wyruszą pierwsi. Mają gniew. Mają zmianę. I żadnych korzeni. O tak, żadnych korzeni. A ty jesteś głosem. Jesteś głosem, Mattej. Pójdą, kiedy usłyszą głos.

- Nie chcę! - Matej był bliski płaczu.

- Nie można nie chcieć - szumiał wiatr. - Nie można. Wszyscy usłyszycie. Zew, zew, zew, Mattej.

- Puść mnie! Pozwól mi odejść!

- Nie, nie, nie - zakołysał się step.

Ziemia pachniała słodko, mdląco. Zapach przyprawiał o zawrót głowy, odurzał.

- Nie, nie - mówiło niebo. - Teraz zaśpiewam ci pieśń o złowilcach.

Słońce rozjarzyło się złoto i przygasało.

\*\*\*

Od tej rozmowy Matej bał się opuszczać fermę. Ale, oczywiście, nie mógł odmówić. Przychodził na wezwanie Ojca Traw, żeby słuchać o niedźwiakach, likantach, stręgach i innych stworzeniach, których wcale nie znał. Ojciec Traw nie mówił już więcej o czasie przesilenia, ale chłopiec wiedział, że jest pełen radosnego wyczekiwania.

Raz Matej zebrał w sobie desperacką odwagę i ośmielając się przerwać pieśń o gnilcach, zapytał:

- Kim jesteś, Ojczy Traw?

Ale step, niebo i słońce tylko się roześmiały.

- Pięknie, pięknie dojrzewasz, Mattej - zaszemrały trawy. - Czas przesilenia zaraz się spełni. Och, zew, Mattej. Zew!

Potem przez długi czas Ojciec Traw nie wzywał chłopca. Zamiast tego zabrał Smutka.

Matej obudził się pewnej nocy zdrętwiały ze strachu. Stanie się coś złego, myślał gorączkowo. Coś

naprawdę złego. I wtedy usłyszał hałas. Głuche, miarowe uderzenia dobiegające od strony podwórza. Wskoczył z łóżka i podbiegł do okna akurat w chwili, gdy Smutek rozwalił kopytami ostatnie deski w drzwiach stajni. Matej trzęsącymi się rękami otworzył okno i już miał zawołać przyjaciela, próbować go uspokoić, gdy krzyk zamarł mu w gardle.

Noc rozpięta nad stepem była czysta, chłodna i bezchmurna, więc chłopiec widział konia bardzo wyraźnie w ostrym świetle dwóch księżyców. Sierść Smutka była zmierzwiona, mięśnie pyska ściągnięte w nienaturalnym grymasie odsłaniającym wyszczerzone żółte zęby, jakby koń się upiornie uśmiechał. Poruszył sztywno łbem, a wtedy promień księżycy załśnił na chwilę w oku. Białym i martwym niczym ugotowane białko jajka.

Matej wydał zduszony jęk, bo zrozumiał, że Smutek nie żyje. Widocznie umarł w ciągu nocy, a teraz Ojciec Traw zabiera to, co z niego zostało.

Martwy koń zaczął się kołysać, mechanicznie kiwając łbem i przestępując z nogi na nogę. Matej zaszlochał, zakrył twarz dłońmi. Osunął się na podłogę pod oknem. Nieżywe zwierzę kontynuowało swój koszmarny taniec w świetle księżyców.

- Proszę, chcę się obudzić, chcę się obudzić - szeptał Matej, chociaż doskonale wiedział, że nie śni. Nie rozumiał, czemu hałas nie zbudził rodziców, chociaż podświadomie czuł, że tak jest lepiej. Stałoby się coś przerażającego, nieodwracalnego, gdyby zobaczyli tańczącego Smutka. Skulony pod oknem Matej, choć za nic nie wyjrzałby przez okno, w jakiś sposób widział, co dzieje się na podwórzu. Poczul, że koń unosi łeb i węszy, wsparty na szeroko rozstawionych nogach. A potem zrywa się do galopu. Szalonego cwału, na który nie byłby się w stanie porwać nawet w najlepszych latach. Jednym susem przesadza bramę i pędzi przez step. Światło księżyców ślizga się po skórze, układa lśniący czaprak na zapadniętym grzbiecie, wplątuje wstążki blasku w zmierzwioną grzywę. Srebrzy się w białych, martwych oczach. Trawy szeleszczą słodko, łagodnie, zawodzą nocne pieśni stepu. Ale Smutek już ich nie słyszy. Odpowiada na zew.

Matej dźwignął się z podłogi zapłakany, dygoczący z przerażenia. Szlochając, starał się zmusić do wyjrzenia na podwórze. Stał przed oknem, zaciskając z całej siły powieki.

- Tam nic nie będzie - powtarzał sobie z uporem. - To tylko sen. Głupi, zwykły sen.

Drżące palce ścisnęły framugę. Chłopiec otworzył oczy.

Deski z rozbitych drzwi stajni wały się po obejściu. Pozostałe konie nerwowo przestępowały z nogi na nogę, słyszał ich zaniepokojone chrapanie. Wiatr w stepie szumiał szyderczym chichotem. Matej zacisnął dłoń w pięść, uderzył o parapet.

- Dlaczego go zabrałeś? - głos chłopca załamał się. - Jak mogłeś go zabrać!

Trawy odpowiedziały słodkim zaśpiewem, a wiatr zachichotał kpiąco.

Matej skulił się, zadygotał. Zatrzasnął okno i pobiegł do łóżka. Szlochał w poduszkę, okryty szczelnie kołdrą, bo od tej chwili został zupełnie sam.

\*\*\*

Rankiem, ledwie zaczęło świtać, do pokoju Mateja wszedł zafrasowany ojciec. Nie zauważył pobladłej twarzy i podkrążonych oczu syna.

- No, Matej, widzisz - wymamrotał niepewnie. - Smutek uciekł w nocy. Jadę go szukać. Pomyślałem, że pewno będziesz chciał jechać ze mną.

Matej poczul, jak do gardła podchodzi mu fala mdlącego, lodowatego przerażenia.

- Tak, tato - szepnęła jednak. - Musimy go szukać. Zaraz się ubiorę.

Modlił się w duchu, żeby ojciec nie zwrócił uwagi na jego apatię. Powinien przecież płakać,

dopytywać się, gorączkować. Ale sama myśl, że miałby znów zobaczyć upiora, który był kiedyś jego ukochanym koniem, paraliżowała ruchy, wywoływała atak obezwładniającego lęku. Wolałby umrzeć, niż ponownie ujrzeć istotę, w jaką przemienił się Smutek.

- Pójdę osiodłać konie - mruknął ojciec, nie zwracając uwagi na dziwne zachowanie syna.

Widocznie uznał, że chłopiec nie chce okazać emocji, które być może uważa za zbyt dziecinne. A może jest po prostu za bardzo zaspany, żeby zrozumieć, co się stało.

Ojciec wyszedł, a Matej drżącymi rękami zaczął naciągać ubranie.

- Boże, proszę cię, żebyśmy go nie znaleźli - powtarzał bezdźwięcznym szeptem. - Proszę, Panie Boże, proszę...

Ojciec czekał przy koniach. Sam wsiadł na wielkiego karego wałacha o dumnym imieniu Odys i nieprawdopodobnie poczciwym charakterze, a dla Mateja osiodłał kościstego, posłusznego Miśka. Chłopiec ucieszył się, że nie Gwiazdkę. Nie miał siły zмагаć się z chimeryczną, płochliwą kłaczą.

Wyjechali za bramę gospodarstwa i zaczęli zataczać coraz szersze koła. Ani śladu Smutka. Matej siedział sztywno w siodle, ręce kurczowo zaciskał na lęku. Przerażone oczy wgapiały się w horyzont, mamione upiornymi zwidami wyobraźni. Każda ciemniejsza plamka mogła okazać się ciałem martwego konia, które gdy tylko podjadą odpowiednio blisko, porwie się na nogi i zacznie swój obłąkany taniec. Z każdej rozkołysanej kępy traw mógł wyłonić się sztywnym krokiem wyszczerzony w trupim uśmiechu Smutek, ze zmierzwioną sierścią i bielmami na oczach.

Matej trząsł się ze strachu, ale ojciec widocznie wziął przerażenie syna za objawy tłumionej rozpaczki, bo przerwał ciężkie milczenie i zaczął opowiadać chłopcu o czasach spędzonych w gospodarstwie dziadka, wraz z dwiema siostrami i trzema braćmi. Wspominał noc, kiedy urodził się Smutek, i następny ranek, kiedy dziadek zaprowadził go do stajni i uroczyście powierzył mu opiekę nad źrebakiem.

- Twój dziadek uważał, że chłopak powinien mieć konia - powiedział. - I dbać o niego. Tak się nauczył od swego ojca, znaczy twego pradziadka. Pradziadek, jak tylko przyleciał na tę planetę, zaraz sobie sprawił dwa konie. Były z tym wtedy niezłe kłopoty, bo ludzie tylko krowy i krowy ściągali. Albo owce. A pradziadek uparł się, że konie. Ludzie gadali, że głupi. Na co mu konie, kiedy wszędzie są maszyny. A pradziadek wiedział swoje. Gospodarz bez koni to żaden gospodarz. Tak zawsze było w naszej rodzinie. O tradycję trzeba dbać. Tak jak o żywe. I ziemię, co jest twoja. Pierwszego konia, co go pradziadek dostał, nazwał Odys. Na pamiątkę statku, którym on, prababka i dzieci przylecieli z Ziemi. I teraz zawsze jeden koń, co go w gospodarce mamy, nazywa się Odys. Jak ten tu, kary.

Ojciec poklepał czarną, lśniącą szyję wierzchowca.

- Krowy to krowy. Durne są. A konie mają swój rozum. Sam wiesz, nie? Smutek, jak był źrebakiem, to pysk miał jakiś taki, jakby zmartwiony wiecznie. Tośmy go tak przezwali. I zostało. Potem wyrósł z tego pyska. Dorodny koń był z niego, kiedyś, w młodych latach. A teraz jest bardzo stary, Matej. Ma prawie trzydzieści lat. Pewnie mu zdychać przyszło i dlatego uciekł. Żeby jeszcze po trawie pobiegać, niebo zobaczyć. Koń swoje czuje, swoje rozumie. Już my go chyba żywego nie zobaczymy, synu.

Ojcowskie słowa kołły strach, ale potęgowały poczucie straty. Matej sam już nie wiedział, co zobaczył w nocy. Może tata miał rację. Smutek poczuł nadchodzący koniec i chciał odejść w samotności, na stepie, jak dziki, wolny koń. A wyglądał dziwnie, bo był po prostu bardzo, bardzo chory. Chłopcu zbierało się na płacz. Biedny Smutek. Nawet się z nim nie pożegnał. Wystraszył się i zostawił przyjaciela samego. Biedny, stary Smutek. Pewnie się na nim zawiódł.

Matej nie umiał dłużej powstrzymać łez i wybuchnął rozpaczliwym szlochem.

- No, nie rycz, mały, nie rycz - wymamrotał ojciec, który pluł sobie w brodę, że w ogóle podjął temat koni. - Smutek był już bardzo stary. Czas na niego przyszedł, żeby odejść. Dobrze życie miał, synu. Nie ma co tak płakać. No, jak chcesz, poszukamy jeszcze. Może żyje, stare konisko. Tylko poleciał gdzie w step. Może sam wróci. Wieczorem albo za kilka dni. No, nie rycz już, synku. Ojciec zdecydował się odwołać poszukiwania dopiero koło południa. W drodze powrotnej Matej cały czas płakał.

\*\*\*

Następnej nocy śnił mu się niepokojący sen. Ogromny, niekończący się ocean traw szumiał jak rozniewany tłum. Długie źdźbła falowały w różne strony, pokładały się, potrzasały kosmatymi grzywami turzyc. Po czarnej tafli nieba wiatr gonił poszarpane strzępy chmur, lecz żadna nie przesłaniała nawet na moment dwóch wielkich, lśniących fosforycznie tarcz księżyców. Pośrodku stepu, zanurzony niemal po pas w trawie, stał pan Josif. Światło księżyców padało wprost na niego, skupione w silne wiązki, jakby płynęło z gigantycznych reflektorów. Stary człowiek gestykulował rozpaczliwie, wymachując dużym, podniszczonym zeszytem.

- Panie Josif! - zawołał Matej. - Co się stało?

W odpowiedzi Josif wskazał na brulion i potrząsnął głową.

- Czy już czas? - zapytał chłopiec, czując dreszcz przerażenia przebiegający wzdłuż kręgosłupa. - Czy nadchodzi przesilenie?

Stary człowiek otworzył zeszyt, uniósł go w górę, żeby Matej mógł dobrze zobaczyć. Wszystkie kartki pokrywały zapisane rząd za rzędem jaskrawą czerwień słowa: Ojciec Traw, Ojciec Traw, Ojciec Traw...

Chłopiec patrzył ze zgrozą, jak litery spływają krwią. Wielkie krople padały na trawę niczym rubinowa rosa.

Źdźbła jęknęły śpiewnie, zaszemrały, skłoniły głowy do ziemi.

- Rozkwitam - szeptał step słodkim, upojnym głosem. - Rozkwitam, rozkwitam...

Morze traw drgało z radości i rozkoszy.

- Nie! - krzyknął Matej, zatykając uszy, żeby nie słyszeć straszego śpiewu. - NIE!

- Mattej! - wołała trawa. - Mattej, jesteś głosem. Dzięki tobie rozkwitam. Rozkwitam, Mattej!

Obudził się zlany potem, drżący. Naciągnął kołdrę na głowę i długo leżał, bojąc się ponownie zasnąć.

Nad domem, gospodarstwem i stepem lśniła czarna, bezchmurna noc.

\*\*\*

Smutek nie wrócił. Rodzice starali się być wyjątkowo wyrozumiali dla syna. Matka gotowała tylko takie potrawy, jakie najbardziej lubił, ojciec zabierał go na dalekie pastwiska i do miasteczka. Wieczorem śpiewali stare, piękne pieśni, które prababka przywiozła jeszcze z Ziemi. Oboje mieli piękne głosy, a Matej uwielbiał słuchać, jak śpiewają. Matka śmiała się, machała ręką i mówiła, że melodia nie brzmi jak należy, bo trzeba ją śpiewać na wiele głosów. Wtedy dźwięczy jak uderzenia dzwonów.

Siedzieli przy stole, jedli placek, który matka upiekła, pili bardzo słodką herbatę i śpiewali albo opowiadali stare historie. Nawet Marika czasem schodziła do kuchni. Gdyby nie utrata Smutka, Matej byłby naprawdę szczęśliwy.

Te ciche, sielskie chwile skończyły się wraz z dniem, kiedy zginęła Marika. Matka nie mogła dowołać się jej na śniadanie, więc rozzłoszczona wtargnęła do pokoju na poddaszu. Zobaczyła zmiętą pościel i ani śladu córki. Ubrania i rzeczy osobiste zostały nietknięte, więc nic nie wskazywało na ucieczkę z domu. Zresztą nie zginął żaden pojazd, a konie spokojnie pasły się za domem. Porwanie też nie wchodziło w grę, bo nie było żadnych śladów szamotaniny, żadnych uszkodzeń na drzwiach, pozamykane okna.

Matka wpadła w panikę, modliła się, szlochała i bezradnie biegała wokół domu, nawołując córkę, więc to Matej zawiadomił ojca, który natychmiast zawrócił z drogi na pastwisko. Uspokoił nieco szlochającą żonę i natychmiast wyruszył na poszukiwania. Nie zgodził się, żeby zawiadomić posterunek policyjny w miasteczku i zwołać sąsiadów.

- Na to będzie jeszcze czas, matka - powiedział krótko. - Może mała polazła gdzieś zaszyć się w trawie i wyplakać jakieś babskie sprawy. Sama wiesz. Jest w durnym wieku. Szczeniackim. Głupoty ma w głowie. Może jej który chłopak co powiedział albo jaka złośliwa koleżanka. Jak jej nie znajdziemy albo sama nie wróci za dwie, trzy godziny, zawołamy policję. A tak tylko sobie narobimy wstydu, że nie umiemy dziewczuchy upilnować. Porządku we własnej chałupie utrzymać. Siedź w domu i pilnuj, czy nie wróci.

- Matko Święta, córuchna moja! - zawodziła matka. - A jak ją kto porwał, biedactwo kochane!

- Pewno. Przez komin - rzucił z przekąsem ojciec i odpalił terenówkę.

- Matej, siodłaj konia i jedź szukać siostry! - zawołał od bramy.

Mama załamała rękę.

- Zostań lepiej! Może tam co złego!

Ale chłopiec już ruszył biegiem do stajni.

\*\*\*

Znalazł siostrę po niecałej godzinie. Leżała skulona w trawie, w samej nocnej koszuli i boso. Chyba spała. Skórę miała chłodną, lecz z całą pewnością żyła. Matej wyciągnął rękę, ostrożnie dotknął ramienia Mariki. Dziewczyna poruszyła się, wymamrotała coś niezrozumiałego. Na szyi, dłoniach i kostkach miała dziwne plecionki z trawy. Na głowie ogromny, starannie wykonany wieniec, czy raczej czepiec z roślin, długie źdźbła fantazyjnie wplecione we włosy.

Zawiadomił ojca, który kazał mu czekać przy siostrze i nigdzie się nie ruszać. A niby gdzie miałby pójść? Marika spała głębokim snem. Twarz i ręce miała pobrudzone ziemią, ale wyglądała na zupełnie zdrową. Chłopiec patrzył na nią, jakby była kimś obcym. Dziwaczną rusalką, południcą związaną zaklęciem. To on ją zawołał, pomyślał przelotnie, ale nie bardzo potrafił uwierzyć. Marika, wiecznie plotkująca z koleżankami, wiecznie zakochana w jakimś chłopaku, zajęta ciuchami i marzeniami o mieście, miałyby słyszeć zew Ojca Trawy? Zresztą od czasu odejścia Smutka Matej sam już nie wiedział, czy kiedykolwiek spotkał widmowego ducha planety. Może panna Zola miała rację, zabraniając uczniom samotnych wycieczek w step? Może nie było żadnej obcej istoty, tylko trujące trawy, na których Matej leżał i które lubił pogryzać. Sprawily, że uwierzył w fantastycznego stwora, wytwór dziecięcej wyobraźni, otruły Smutka, który zwariował i uciekł, a teraz uśpiły Marikę. W stepie panował zupełny spokój. Źdźbła szeleściły cicho, swojsko, po prostu jak łąka. Ogromna zielona łąka pod fiołkowym okiem wysokiego, czystego nieba. A Marika wyszła sobie na spacer i zwyczajnie zasnęła w ciepłych promieniach słońca.

- Marika. - Matej chciał obudzić siostrę, potrząsnąć za ramię, ale zamiast tego musnął tylko jej skórę końcami palców, nie ośmielił się głośniej odezwać.

Podświadomie, głęboko w duszy, wiedział, że spokój jest pozorny. On czeka. Obserwuje i czeka. Marika leżała bez ruchu, w dziwnym wieńcu na głowie, ze źdźbłami wplecionymi we włosy. Oddychała głęboko, ale wyglądała jak martwa. Jak złożona w ofierze dziwnemu, okrutnemu bogu. A trawy pachniały tak słodko. Matej poczuł, że znów ogarnia go lęk.

- Marika - wyszeptał przez ściśnięte gardło - proszę, obudź się. Wsiądziemy na Miśka i zabiorę cię do domu. Marika, proszę!

Dziewczyna nawet nie drgnęła, pogrążona w głębokiej śpiączce. Ocknęła się dopiero, gdy przyjechał ojciec, wezwany przez Mateja. Otworzyła oczy i rozejrzała się niepewnym, przestraszonym wzrokiem.

- Tata? - szepnęła.

Wyciągnęła do ojca ramiona i zaniósła się bezradnym, dziecięcym płaczem. Tata wziął ją na ręce i z pomocą Mateja wpełchnął do szoferki terenówki.

- Pojadę szybciej - zwrócił się do syna. - Trafisz do domu?

- Pewnie - powiedział Matej.

Tata zatrzasnął drzwi i odjechał na pełnym gazie. Chłopiec wdrapał się na siodło. Pojazd ojca szybko zniknął mu z oczu. Chociaż nie czuł żadnej obecności, nie słyszał głosów, popędził Miśka galopem. Uciekał, chociaż wiedział, że to nic nie da. Czas przesilenia właśnie się rozpoczynał.

\*\*\*

Marika nie potrafiła wytłumaczyć, jak znalazła się na stepie. Musiała wyjść w nocy z domu i ruszyć przed siebie w lunatycznym śnie. Matka bardzo się przestraszyła, przez kilka nocy spała w pokoju razem z córką. Upierała się nawet, żeby zawieźć Marikę do lekarza, ale ojciec uważał, że nie ma potrzeby.

- Młoda jest, dorasta, to czasem jej się coś w głowie pokręci - uspokajał. - Nic w tym dziwnego.

Ponieważ atak się nie powtórzył, skończyło się na kilku świętych obrazkach, które matka powiesiła w sypialni dziewczyny.

Marika przez kilka dni po wypadku wydawała się nieco oszołomiona, jakby cichsza i trochę wystraszona, lecz szybko wróciła do normy. Po raz pierwszy rodzice zdawali się zadowoleni, że bez przerwy wisi w wirtualu, flirtując z chłopakami i obgadując z rówieśnicami koleżanki.

Przez kilka tygodni nie zdarzyło się nic szczególnego. Aż do dnia, gdy ojciec przyniósł z miasteczka szokującą wieść.

Matej musiał zostać w domu, bo akurat miał szkołę. Schodził właśnie po skończonych zajęciach do kuchni, gdy usłyszał dochodzące z dołu ściszone głosy rodziców. Wiedziony jakimś dziwnym instynktem podkraść się cicho pod drzwi kuchni, przyłożył oko do szpary między skrzydłem a framugą.

Matka załamała ręce.

- No, no, kto by pomyślał. A tak dobrze się trzymał. Chociaż wstyd to powiedzieć, żona i dzieciaki pewno odetchną z ulgą.

Ojciec wzruszył ramionami. W oczach miał niespotykany u niego niepokój.

- Ano, chyba nie - mruknął. - Stary Josif nie umarł zwyczajnie.

- Święta Matko! - zawołała mama ze zgrozą. - Powiesił się?! A przecież Matej ciągle do niego latał! Że też mu pozwalałeś. Stary dureń mógł zrobić dzieciakowi krzywdę! Dobrze, że Bóg uchronił.

Przeżegnała się pospiesznie. Ojciec machnął ręką.

- Gadasz swoje, babo, a wcale nie wiesz o czym. Wcale się nie powiesił. Wygląda na to, że ktoś go

zabił. Straszna jatka była. Wszędzie krew.

Oczy matki zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Zasłoniła usta dłonią.

- Jezu miłosierny! - wyszeptała wstrząśnięta. - Ale kto? Czemu?

Ojciec pokręcił głową.

- A bo to kto wie? Wszyscy zachodzą w głowę. Stary był dziwak, ale ludzie go lubili. Wrogów nie miał. I żeby coś takiego?

- Święta Matko! Może by jakąś świecę zapalić, pomodlić się?

- Nie zaszkodzi - powiedział ojciec cicho. - Bo wiesz, tam się coś dziwnego stało.

- Co może być dziwniejszego, niż pozbawić człowieka życia! - obruszyła się matka.

Tata westchnął.

- Wszędzie, na ścianach, na każdej kartce, każdym obrazku, każdym świstku, był taki sam napis. Podobno zrobiony krwią.

- Jaki, Boże kochany? - wyszeptała matka, której cała historia powoli przestawała się mieścić w głowie.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Dziwny jakiś. Podobno: Ojciec Traw.

Matej nie słuchał dłużej. Wycofał się do swego pokoju z bijącym sercem i spotniałymi dłońmi. Zaczęło się, pomyślał.

Nie pomylił się. Na trzeci dzień od morderstwa Josifa Marika znowu zniknęła. Szukali jej tak jak poprzednio na stepie, ale nie znaleźli. Kiedy ojciec zdecydował się wezwać pomoc z miasteczka, okazało się, że nie tylko Marika zaginęła. Znikły wszystkie dzieci między czternastym a osiemnastym rokiem życia.

Rodzice odwieźli Mateja do domu i zostawili, przykazując, żeby pod żadnym pozorem nie ruszył się za próg. Miał ich natychmiast zawiadomić, gdyby siostra wróciła. Sami pojechali do sąsiedniego gospodarstwa organizować akcję poszukiwawczą wraz z sąsiadami.

Do późnego wieczora Matej siedział sam w domu. Nigdy budynek nie wydawał mu się taki wielki i taki pusty. Próbował czytać, uczyć się, a nawet modlić, lecz nie potrafił. Dygocząc ze strachu, czekał na powrót rodziców. Pojawili się w domu późnym wieczorem, po długich, bezowocnych poszukiwaniach. Marika nie wróciła.

Matej leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Za oknem po czarnym aksamicie nieba wspinały się mozolnie oba księżyce. Kiedy stanęły na wprost okna, chłopiec zauważył, że oba osiągnęły idealną pełnię. Długo patrzył w blade, surowe oblicza na niebie i prosił, sam nie wiedział kogo, Boga, Ojca Traw, obcą planetę, która stała się ich domem, żeby Marika wróciła i wszystko było jak dawniej. W końcu zmęczony zasnął.

\*\*\*

Obudziło go wściekłe szczekanie Burka. Wyjrzał przez okno, lecz nie dostrzegł niczego dziwnego. Może Marika wróciła, pomyślał przelotnie. Ale pewnie nie, przecież pies by nie szczekał. Już miał się położyć do łóżka, gdy zobaczył jakiś cień przemykający pod ścianą stodoły. Złodziej? Serce zabiło mu mocniej. Niemożliwe. Kto by miał ich okraść w tej głuszy? Z czego? Wszyscy farmerzy trzymali pieniądze w bankach, tak zabezpieczone, że nie mogli dokonać transakcji wykraczającej poza określony przez nich niewysoki limit bez udania się do filii. Niezbędne rzeczy zamawiali przez Sieć. Złodziej? Przecież tu żyło się praktycznie bez pieniędzy.

Gdy Matej nabrał pewności, że coś mu się przywidziało, zobaczył drugi cień. I trzeci. I wiele innych,



kryjących się w ciemności. Jeden przebiegł długimi susami między stodołą i stajnią. W ostrym świetle pełni jego sylwetka odcinała się wyraźnie, srebrnoczarna, jak narysowana twardym ołówkiem. To był chłopak, piętnasto-, może szesnastoletni, całkiem nagi, jeśli nie liczyć plecionki z traw zawiązanej w pasie i na kostkach nóg. Unosił głowę, wężąc jak zwierzę. Blask pełnego księżyca na chwilę oświetlił podniesioną twarz, oczy załśniły mydłanie, białym bielmem. Matej wydał stłumiony okrzyk, chwycił się framugi, żeby nie upaść.

- To sen - powiedział na głos.

Szczekanie psa urwało się raptownie. Niemal w tym samym momencie drzwi do domu otworzyły się z trzaskiem i na ganku stanął tata. W ręce trzymał strzelbę.

- Kto tam?! - zawołał ostro. - Marika, to ty?

A potem Matej nie miał już żadnych wątpliwości, że śni. Z ciemności skoczyło na ojca dwóch nagich, przybranych w trawy chłopaków. Nie poruszali się jak ludzie. Wykonywali jakieś zwierzęce skoki. Obnażone we wściekłym grymasie zęby wyglądały jak kły. Ojciec zachwiał się, krzyknął, upadł obalony impetem ataku. Strzelba huknęła, a w kłębowisko ciał skoczyły następne dwa cienie, dziewczyna i chłopak. Broń, odrzucona przybraną w plecionkę ręką, upadła daleko na podwórze, zgnieciona jak blaszana zabawka. Atakujący musieli mieć niespotykaną siłę. Ojciec szamotał się, krzycząc, a jego przekleństwa szybko zmieniły się w rozpaczliwe wrzaski. Twarze i ciała napastników spływały czymś gęstym i lepkiem. To krew, pomyślał Matej zupełnie spokojnie. Przecież śpi i roją mu się dziwaczne koszmary. Zaciskał dłonie na framudze okna. Patrzył.

Na ganek wypadła matka. W dłoniach ścisnęła nóż. Zanim zdążyła rzucić się ojcu na pomoc, skoczyły na nią dwie gibkie, zwinne dziewczyny. Poruszały się z jakąś chorą, nieludzką gracją. Ich ślepe oczy lświły mleczną bielą. Wysoki, ostry krzyk matki mieszał się z jękami ojca.

Chłopiec stojący w oknie na poddaszu przyglądał się, jak w jego potwornym śnie dzieci Ojca Traw rozrywają jego rodziców na strzępy.

Likanty są wiecznie głodne, pomyślał bez związku, kiedy już ciała matki i ojca znieruchomiały. Dwie dziewczyny i chłopak szarpali je jeszcze zajadle zębami, cali umazani posoką, ale pozostali wtargnęli już do domu. Matej słyszał, jak wężą, warczą i przewracają meble w kuchni, a potem w sypialni na dole.

Zaraz tu wejdą, przebiegło mu przez myśl. Nie czuł żadnego lęku, jak to bywa w snach, które stają się zbyt okropne. Czekał przy oknie niczym sparaliżowany.

Drzwi otwarły się wywalone kopnięciem. Do pokoju wpadło dwóch chłopców. Jednego Matej mgliście sobie przypominał. Mieszkał w miasteczku i kiedyś okropnie się podobał Marice. Teraz obnażał w groźnym grymasie ostre białe zęby. Jego włosy i skórę pokrywały wilgotne, lepkie plamy krwi. Drugi chłopak warknął gniewnie, sprężył się do skoku. Matej zamarł, lecz napastnik nie zaatakował. Obydwaj wojownicy Ojca Traw wpatrywali się w chłopca martwymi ślepiami, warcząc, ale coś ich powstrzymywało przed atakiem. Obaj ostro cuchnęli posoką i potem.

Wtem przez rozbite drzwi wpadła na poddasze naga dziewczyna w ogromnym, szalonym wieńcu na głowie. Jej długie włosy wydawały się poprzetykane szkarłatnymi wstążkami, smugami świeżej krwi.

- Marika - szepnął Matej z niedowierzaniem.

Dziewczyna poderwała się jak smagnięta biczem. Obróciła ku niemu umazaną czerwienią twarz, z oczami bielejącymi niczym opale.

- Głos - wycharczała. - Oto głos!

Dwaj chłopcy natychmiast upadli na kolana, pochyłili kornie karki. Marika uklękła, złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Głos! - krzyknęła donośnie, chrapliwie jak zwierzę.

Natychmiast na poddasze zaczęły się zbiegać pozostałe dzieci Ojca Traw. Powarkowały i szemrały do siebie, wyraźnie poruszone. Wszystkie zginały się w pokłonie, niektóre padały na twarz. Te na schodach, które nie zmieściły się w pokoju, skomlały jak szczenięta i przepychały się siłą do przodu. Kiedy jakaś dziewczyna przypełzła i próbowała polizać jego stopę, Matej nie wytrzymał.

- Wynoście się! - wrzasnął rozpaczliwie.

Prysnęli natychmiast. Za parę sekund już ich nie było.

Matej podszedł sztywno do okna. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak opuszczają gospodarstwo i nikną wielkimi susami w trawach stepu.

- Marika - szepnął niemal bezgłośnie. Broda mu się zatrzęsała. Chciał się rozplakać, ale nie mógł.

Jeszcze raz podniósł wzrok i zobaczył, że w bramie stoi duży likant.

- Mattej - usłyszał w głowie - chodź do mnie.

Nie chciał usłuchać, ale nie miał wyjścia. Zszedł na dół, minął to, co zostało z mamy i ojca, i wyszedł na podwórze. O mało nie zwymiotował, kiedy potknął się w kałuży krwi i byłby upadł na poszarpane ciało taty.

Likant podszedł blisko. Śmierdział dzikością i strachem. Ponad wielkim, pełnym zębów pyskiem świeciły żółte oczy.

- Czego chcesz? - warknął.

Widok posłańca od Ojca Traw wzbudził w nim gniew.

- W ciele ssaka lepiej rozmawiać, Mattej - powiedział drapieźnik, nie otwierając pyska. - Znacznie wygodniej niż przez trawy. Więcej zrozumiesz. Poza tym zawsze chciałeś zobaczyć likanta, Mattej.

- Już nie chcę - rzucił twardo.

- To bez znaczenia, Mattej. Przyszedłem wyjaśnić. Musisz zrozumieć, Mattej. Musisz wiedzieć.

- Co zrozumieć?! Zabiłeś moich rodziców - krzyknął, czując, jak rodzi się w nim furia. - Jesteś potworem! Jesteś zły!

- Nie, nie, Mattej! - odpowiedział likant. - Jestem strażnikiem. A wy nie jesteście wybrańcami.

- Zabiję cię!

- Nie, nie. - Żółte ślepia były tylko oczami bezrozumnego zwierzęcia, ale głos należał do Ojca Traw.

- Nie rozumiesz. Ja zabiję was. To mój obowiązek.

- Idź sobie - szepnął chłopiec. - Nienawidzę cię.

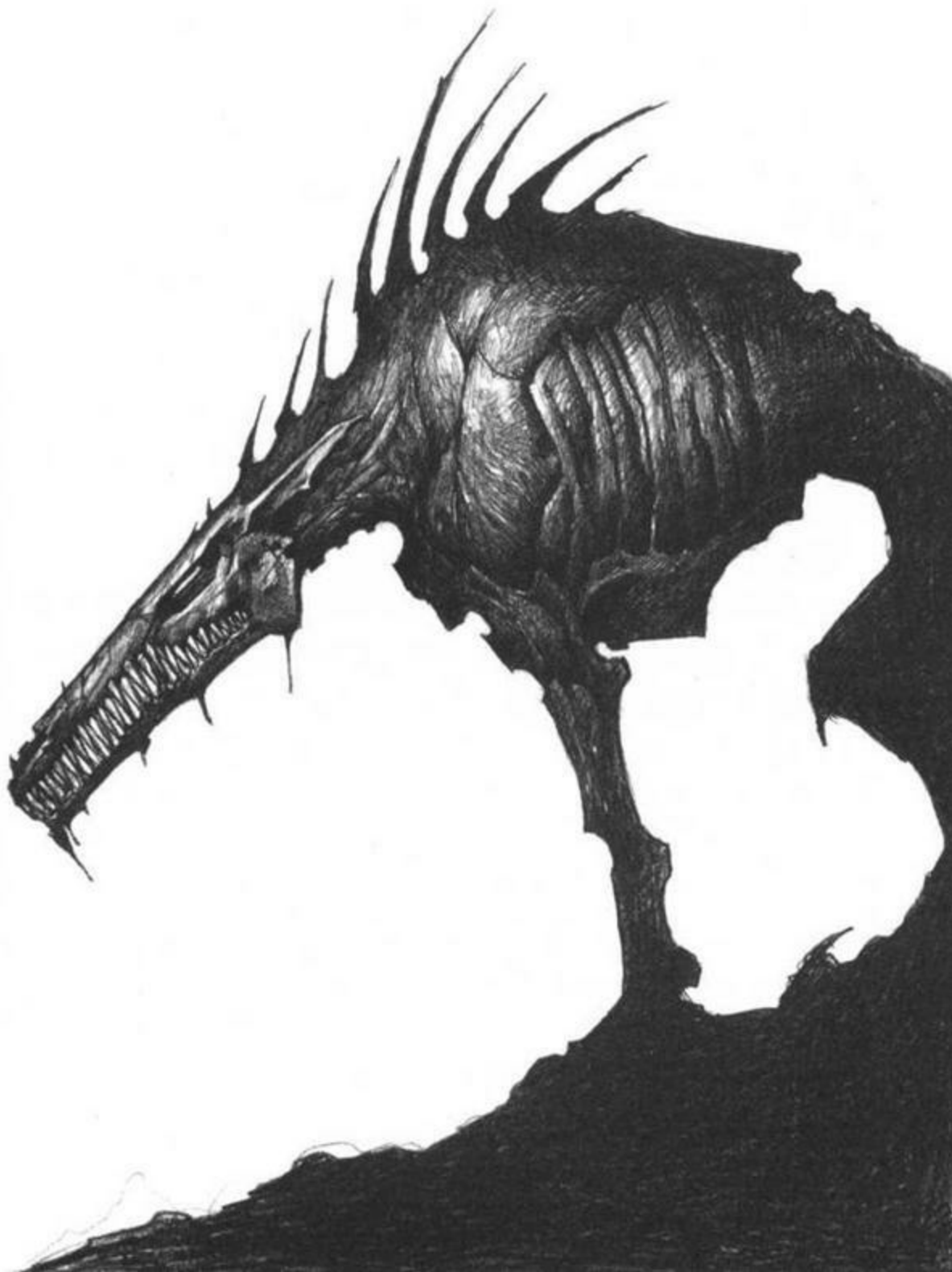
- Ta planeta jest piękna, Mattej. Spokojna. Tylko woda, rośliny i zwierzęta. I tak musi być, dopóki nie przybędą wybrani. Ona na nich czeka, Mattej. Dla nich została stworzona. To raj, Mattej. A ja jestem strażnikiem raj.

- Raj? - wargi chłopca poruszyły się ledwo dostrzegalnie.

- Nagroda, Mattej. Królestwo sprawiedliwych. Ono czeka, czeka, Mattej. Aż przybędą. Patrz, jak tu pięknie, jak spokojnie. Drapieźniki tej ziemi uciekają przed wami. Rośliny są słodkie, pachną upojnie. Powietrze jest rześkie, woda czysta. Gleba żyzna i płodna. Klimat łagodny i stały. Raj oczekuje na wybrańców. Nie na intruzów. Przybyliście tu nieproszeni. Czekałem, ale nie chcieliście odejść. Nie, nie. Nie odeszliście. Mnożycie się. Przybywa was więcej i więcej. A nie jesteście wybrańcami. Musicie zginąć. Jestem strażnikiem, Mattej. Muszę pilnować raj. Znalezliście go przypadkiem. Przypadki bywają smutną koniecznością, Mattej. Teraz was zabiję.

- A przedludzie? - wyszeptał chłopiec przez łyzy. - Ich też zabiłeś.

- Tak, tak, Mattej. - Likant wyszczerzył lodowo lśniące kły. - Dawno temu. Oni też szukali nowego miejsca. I doczekali się swego czasu przesilenia. Tak musi być. To jest domena wybranych. A oni jeszcze nie przybyli.



Chłopiec patrzył w oczy likanta i drżał.

- Dlaczego mnie nie zabili? - spytał cicho. Zwierzę zakołysało łbem.

- Byłeś moimi oczami, Mattej. Moim głosem. Potrzebowałem cię. Dzięki tobie poznawałem was, słuchałem, uczyłem się wami manipulować. Dojrzywałem, Mattej. Obudziłeś mnie, a potem usłyszałeś moje wołanie. Masz w sobie cząstkę mnie. Dzieci-likanty wyczuły ją, Mattej.

Matěj zacisnął pięści, przełknął ślinę.

- W takim razie sam się zabiję. Zaraz.

Głos Ojca Traw brzmiał łagodnie, spokojnie i cicho.

- Dobrze, Mattej. Ale to już nic nie da. Za późno. Czas przesilenia trwa. Twoja śmierć nic nie zmieni.

Nie martw się. I tak umrzesz. Nie teraz, Mattej. Nie, nie. Potem, na końcu. To przywilej tego, który był głosem.

Chłopiec skulił się, zgiął kolana, ukląkł. Ogarnęła go fala rozpaczy i strachu. Miał tylko jedenaście lat i chciał się wreszcie obudzić. Okropne, koszmarnie sny nie mogą trwać tak długo. To niesprawiedliwe.

- Chcę do mamyyyy! - zaszlochał. - I tatyyy!

- Później, Mattej - powiedział likant. - Zabiję cię później, a wtedy pójdziesz tam, gdzie ci przeznaczono.

- Oddaj moją mamę! Oddaj wszystko!

- Nie, nie, Mattej. - Pysk likanta drgał, zwierzę węszyło niespokojnie. - Odnależliście raj, a nie jesteście wybrańcami. Musicie odejść. Żegnaj, Mattej. Jestem strażnikiem, muszę spełnić obowiązek. Żegnaj, Mattej. Potem, potem po ciebie przyjdę.

Chłopiec już go nie słyszał. Pogрузzył się w rozpaczy i strasznym, głębokim smutku.

Przez ciało drapieznika przebiegł dreszcz. Kolce na karku najeżyły się, łapy wyprężyły. Likant zaskomlał, podkulił ogon. Przez chwilę rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem, a potem ze skowytym rzucił się do ucieczki. W żółtych ślepiach płonął szaleńczy strach.

Matej został sam. Lśniące twarze dwóch księżyców przypatrywały mu się z nieba obojętnie.

\*\*\*

Przykleił nos do szyby. To podwórko było o wiele mniejsze niż jego. I straszliwie, boleśnie wręcz schludne. Nowa mama kochała porządek. Czasem miał wrażenie, że to jedyne, co potrafi kochać. Nowy tata nigdy dużo nie mówił. Był cichy i jakiś zgaszony. Chyba bał się nowej mamy, ale czasem brał w obronę Mateja, kiedy złościła się, że nie umie utrzymać porządku ani dyscypliny.

Matej słyszał wtedy łagodny, niepewny głos nowego ojca, który przypominał, że chłopiec doznał strasznego szoku.

- Jako jedyny ocalał z potwornej masakry, Marto - mówił nowy tata. - Widział śmierć swoich rodziców, szaleństwo siostry. Oprócz niego nie przeżył nikt z całego miasteczka i wszystkich okolicznych gospodarstw. Ci opętani nastolatki zamordowali wszystkich, a rankiem pozabijali się nawzajem. Policja znalazła w stepie ich ciała. On ma dopiero jedenaście lat, Marto. To mały chłopiec. Zdobądź się na trochę wyrozumiałości.

A oschły głos nowej matki sarkał, że chyba nie można okazać więcej wyrozumiałości, niż już się okazało, przyjmując takie dziecko pod swój dach. A potem, niezmiennie, ten sam ostry, wstrętny głos opowiadał same złe rzeczy o mamie i tacie. Że niewychowani, prostacy i ciemni. Że dziecko zanedbane, źle wychowane, bez manier, bez podstawowych zasad, bez dyscypliny. Że Bóg wie co się dzieje w takich osadach zamieszkałych przez emigrantów najgorszego sortu. Że ciemnota i zabobon. Że sami sobie winni.

Wtedy Matej mocno zaciskał powieki i wyobrażał sobie, jak ten głos przechodzi w opętańczy wrzask, kiedy dzieci-likanty wbijają ostre kły w wyszorowane, odkażone, praktycznie przyodziane ciało nowej matki.

Nowi bracia chyba się go bali, siostra była za mała, żeby cokolwiek rozumieć, a Ojciec Traw już się nie odezwał, ale Matej nauczył się być sam. Brakowało mu tylko szerokiego stepu i gadania wiatru w czuprynach turzyc. Tu wszystko wydawało się małe i ciasne. Nawet jego pokój. Chodził teraz do zwykłej, nie wirtualnej szkoły, która mieściła się w niskim, ponurym baraku pośrodku osady. Nowa matka wciąż wymyślała mu jakieś zajęcia, kazała nieustannie rozwiązywać głupie zadania. Nawet

bawić się nie mógł sam. Musiał grać z braćmi w piłkę albo gdy padał deszcz, w nudne gry „rozwijające umysł”.

Sam zostawał tylko nocą. Sypiał mało. Czekał. Wiedział, że niedługo usłyszy na podwórzu dziwny hałas i zobaczy tańczącego w świetle księżyców Smutka.

Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego Ojciec Traw zatrzymał go przy życiu. Może skłamał, kiedy powiedział, że śmierć Mateja nic już nie zmieni? Ale wcale nie jest łatwo popełnić samobójstwo, kiedy ma się dopiero jedenaście lat. Zresztą odkąd zaczął mieszkać u nowej matki, czuł jakąś dziwną, złą zaciekłość. Niedługo zobaczą. Niedługo się przekonają, że wcale nie są lepsi. Nie są wybrańcami. Dla nich też nie będzie raj.

Wiedział. Przecież był głosem. Musiał zanieść zew innym ludziom. Do większych skupisk, na tereny najstarszej kolonizacji. Tutaj.

Ojciec Traw tak postanowił. Wszyscy muszą usłyszeć zew, bo czas przesilenia trwa. Tylko pozornie w tym nudnym, czystym osiedlu, położonym na przedmieściach prawdziwego wielkiego miasta, o którym tak marzyła Marika, panuje spokój i porządek. Przecież już dziewczyny z miasteczka bezwiednie plotą przepaski z traw na ręce i kostki nóg. Niektóre zakładają wianki, biegną daleko, na skraj osady, żeby zobaczyć łąki i ciemniejący w oddali pas lasu. Wkładają swoim chłopcom na szyje splecione z traw naszyjniki, okręcają ich nadgarstki kosmatymi źdźbłami turzyc. Nocą podchodzą do okien, tęsknie wpatrują się w niebo. A światło księżyców lśni w ich oczach mlecznym, opalizującym blaskiem.

Wczoraj w Sieci Matej znalazł rozpaczliwy apel jakichś rodziców, którym zaginęła nastoletnia córka. Dziś były jeszcze dwa podobne ogłoszenia. Z domu wyszedł nocą szesnastoletni chłopak. Przepadła piętnastolatka. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie.

Ja wiem, myśli Matej. Ja, głos. Nosiciel zewu. Nowa matka, nowy ojciec i wszyscy, którzy tu mieszkają, nie są wybrańcami. I już wkrótce dowiedzą się o tym.

Niedługo. Niedługo martwy koń z bielmem na oczach zatańczy na ich wychuchanym podwórzu. A wtedy Matej wsiądzie na jego grzbiet i poniesie zew Ojca Traw, bo przecież jest głosem. Zew zagłady. Już niedługo. Niech tylko wzejdzie podwójna pełnia.

*Ballada „Więzy krwi” powstała na zamówienie do antologii lovecraftowskiej, której wydanie nigdy nie doszło do skutku. Być może, gdybym pisała te historie sama dla siebie, nie miałyby elementów inspirowanych twórczością Mrocznego Mistrza. Nie wiem tylko, czy wtedy nie zmieniłaby się w zupełnie inną opowieść.*

*Tak jest w pewnym sensie ukłonem w stronę pisarza, który wymyślił takie cuda jak „odrażające przysmaki” i „błuznierczą architekturę”.*

*Główny bohater zrodził się z inspiracji pewnym prawdziwym artystą plastykiem, który w różnych galeriach wystawia bardzo charakterystyczne kolorowe potworki.*

*W sumie powstało jedno z moich ulubionych opowiadań.*







# Więzy krwi

Dobra, przyznaję. Odkąd umarłem po raz trzeci, przestałem kogokolwiek kochać. Moje potwory gapią się na mnie przekrwionymi gałami, ale one też stały się tylko narzędziem. Już nie potrafię z nimi rozmawiać, nadawać im imion i czerpać przyjemności z przebywania w ich towarzystwie. Szczerze mówiąc, wszystkie są niedoskonałe. Nie mogą mnie bawić, bo zdaję sobie z tego sprawę. Przestały być moimi przyjaciółmi, chociaż wina nie leży po ich stronie. Czasem mam wrażenie, że na szpetnych pyskach maluje się smutek, a ślepia potrafią zalśnić wilgotnie, jakby pojawiał się w nich wyrzut. Nie bardzo umiem się tym przejąć. Przykro mi, chłopaki. Straciłem zbyt wiele, żeby rozpaczać, że nie mam już do was serca. Po pierwsze, straciłem azyl. Siedzę w pracowni zastawionej półkami pełnymi figurek, przesyconej zapachem lakierów i różnych mas plastycznych, pełnej narzędzi i poniewierających się wszędzie szkiców, ale to już nie jest moja magiczna kraina. Raczej miejsce ciągłych prób i porażek. Niewyobrażalne. Nigdy nie przypuszczałem, że pracownia może stać się miejscem przesyconym frustracją. Teraz niemal słyszę, jak każda ściana wrzeszczy. Każda kolejna figurka to klęska. Długo walczyłem o swój własny kawałek świata, więc ciężko mi patrzeć, jak spokój i zadowolenie uciekają stąd z krzykiem przez drzwi brutalnie wywalone kopniakiem.

W porządku, wyrażam się w sposób egzaltowany, ale mam do tego pewne prawa. Jestem artystą. To mnie w jakiś sposób tłumaczy. To mnie od razu określa w oczach świata. Co więcej, dla większości trzeźwo myślących ludzi jestem artystą niespełnionym, ponieważ wylali mnie z uczelni. Odkąd przestałem być dzieckiem, wiedziałem, co chcę w życiu robić.

Ku zmartwieniu i przerażeniu bliższej rodziny wcale nie zamierzałem zostać lekarzem, adwokatem, przedsiębiorcą ani bankowcem. O zgrozo, nie wyrażałem zainteresowania nawet marketingiem i zarządzaniem. Nie tylko nie chciałem nikim zarządzać, ale z całą świadomością starałem się nie dopuścić do sytuacji, w której ktoś zarządzałby mną, a to, oczywiście, wyklucza wszelką uczciwą pracę. Miałem zamiar zostać rzeźbiarzem.

Pierwsze lata na uczelni okazały się cholernym rozczarowaniem. Babrałem się w glinie, wykonując niezliczone studia gipsowych głów, a jedyną rozrywkę stanowiły idiotyczne performance. Grono pedagogiczne przypatrywało się z uznaniem lub pobłażliwym uśmiechem, jak studenci oblewają się farbami, tarzają po ziemi, wydając nieartykułowane dźwięki godne psa, któremu ktoś przytrzymał ogon, albo wożą przed sobą na taczkach przyprawione monstrualne genitalia. Cholera, poszedłem tam zajmować się rzeźbą, a nie uczestniczyć w terapii zajęciowej w zakładzie dla beznadziejnych świrów. Ale nic, zacisnąłem zęby i postanowiłem wytrwać.

Boże, co to była za banda porąbów! Po korytarzach snuły się spowite w bure szaty laski, podobne w tych strojach do tłumoków ze szmat, wywracające oczami i opowiadające o wizjach. Mamroczący pod nosem kolesie, o odpowiednio artystycznych fryzurach, też co chwila zatrącali o wizje. W ogóle wizje były bardzo modne. Wszystkie rozmowy kręciły się wokół nich, a także wzajemnych zapewnień, jak bardzo sztuka ma pobudzać, szokować i otwierać oczy na współczesne problemy ludzkości. A ja, cholera, chciałem po prostu być dobrym rzeźbiarzem. Gdybym postawił sobie za cel otwieranie oczu, zostałbym pieprzonym okulistą.

*Grandę finale* zdarzyło się pod koniec trzeciego roku. Na specjalne zaproszenie przyjechała do szkoły sławna rzeźbiarka z Japonii. Wystąpiła tylko raz, w jednej z bardziej szacownych galerii. Przyodziana w przepisowe bure szaty, z powagą wysypała na podłogę zawartość dwunastu

woreczków. W jednym był piasek, w innym żwir, a w pozostałych zwykła ziemia. I tyle. Cała rzeźba. Wszyscy rzucili się z zachwytem podziwiać dzieło. Bardzo odkrywczе i bardzo ekologiczne. Sztuka Ziemi. Wtedy spytałem, kto to, kurwa, posprząta. Skandal był naprawdę międzynarodowy. Powiedzieli, że wylewają mnie za brak postępów i niewłaściwą postawę. Dzięki ci, Boże, że uchroniłeś mnie od właściwej.

Łapałem się różnych zleceń. Malowałem mieszkania, wyklejałem okolicznościowe pocztówki, trochę projektowałem wnętrza. Kiedyś znajoma spytała, czy nie ulepiłbym paru świątecznych figurek przedstawiających aniołki. Wyszły paskudnie. Pyski miały jak banda pijaków, ale cudem chwyciły. Właśnie dlatego, że były takie brzydkie. Właścicielka sklepu oznajmiła, że są nowatorskie i nietypowe. Zamówiła następne figurki, tylko już niezwiązane ze świętami. I tak narodziły się potwory. Szły jak ciepłe bułeczki. Wyrobiłem sobie pozycję, a z czasem zacząłem zarabiać tyle, żeby móc się utrzymać na przyzwoitym poziomie. Żadnych luksusów, ale to mi wystarczało. Najważniejsze, że znalazłem właściwą drogę. Lepiłem figurki i żadne zajęcie nie przynosiło mi nigdy większej satysfakcji. Odnalazłem spełnienie.

W porządku, przyznaję, to nie są jakieś wiekopomne dzieła, ale dawały mi radość. W pewien sposób jednak rzeźbiłem, przynajmniej we własnym mniemaniu. Kiedy patrzę wstecz, widzę, że okres, który spędziłem samotnie, wymyślając pierwsze potwory, był najszczęśliwszy w moim życiu. We wspomnieniach towarzyszy mi błogie poczucie, że świat jest otwarty, przyjazny i oferuje wiele możliwości.

W takim stanie ducha i finansów poznałem Margot. Święty Boże, jaka ona była śliczna, z buzią laleczki, wielkimi ciemnymi oczami, króciutką czarną fryzurką i miękkim, z francuska wymawianym „r”. Maleńka, wręcz filigranowa, miała doskonałą figurę klepsydry i ładne nogi. A przy tym wdzięk bibelotu. Wyglądała, jakby uciekła z pozytywki. Wydawało mi się, że bez trudu mógłbym zamknąć ją w dłoniach. Zakochałem się natychmiast, ufnie i bezmyślnie. Zachwyciłem się wszystkim. Szczebiotem i chichotem. Sposobem, w jaki się śmiała, odsłaniając drobne, równe zęby. Pazurkami umalowanymi na kolor intensywnego szkarłatu, jakby przed chwilą rozszarpała nimi upolowaną ofiarę. Niezliczonymi kokardkami i piórkami, które na sobie uczepiała. Zalotnymi spojrzeniami i nienagannym makijażem, jaki nadawał jej wygląd porcelanowej figurki. Małymi i większymi kaprysami, zawsze podbarwionymi odrobiną snobizmu, żeby przypomnieć wszystkim, że wychowała się we Francji.

Zawsze kręciło się koło niej kilku facetów, a ona przyjmowała ich hołdy i fascynację za coś należącego z góry. Popadała nawet w lekki niepokój, gdy mężczyzn u jej boku robiło się mniej niż trzech. Lawirowała między nimi z maestrią wytrawnego tresera, każdego obdarzając odpowiednio dużą ilością uśmiechów, żeby podtrzymać w nim nadzieję, i odpowiednio małą, żeby nie czuł się wyróżniony. Margot Krecia Fryzurka. Wirowałem wokół niej jako jeden z odleglejszych satelitów, właściwie bez widoków na sukces. Być może tak by się wszystko skończyło, gdyby nie moje potwory. Tego sezonu zaczęły się sprzedawać lepiej niż dobrze. Niespodziewanie zrobiły się modne. Po zamówienia zwróciły się do mnie renomowane galerie i drogie sklepy. Kilka kupiła jakaś gwiazdka telewizyjna, kilka popularny sportowiec. Ktoś zrobił ze mną wywiad do kolorowej gazety, jedna z galerii reklamowała się moim nazwiskiem. W tym czasie powoli z nieszkodliwego świra, jakim do tej pory byłem dla Margot, przemieniłem się w interesującego artystę. Interesującego na tyle, że warto było się ze mną pokazywać. Wprawiła mnie tym w taką euforię, że chętnie wycalałbym po pyskach wszystkie potwory, którym zawdzięczałem jej łaskawość. Margot Krecia Fryzurka zwróciła na mnie uwagę! Czy miałem prawo oczekiwać czegoś więcej?

Zaczęliśmy się spotykać, lecz z początku nigdy sam na sam. Bywaliśmy razem w knajpach, zawsze w

większym towarzystwie. Na imprezach w gronie znajomych wyraźnie mnie faworyzowała, chociaż nadskakiwali jej inni faceci. Mówiła dużo o potrzebie zrozumienia niezwyklej duszy artysty, żartowała i uśmiechała się filuternie, a ja miałem wrażenie, że wokół mojej głowy fruwały anioły z harfami i czarami kadzidła. Nie wierzyłem w swoje szczęście.

Tymczasem potwory sprzedawały się coraz lepiej, a my wśród znajomych zaczęliśmy uchodzić za parę. Margot wcale nie spieszyła się zaprzeczać. Nie przeszkadzało jej to widywać się z innymi. Nie, dzisiaj nie ma dla mnie czasu, bo jest już umówiona. Zżerała mnie zazdrość. Czasem ośmielałem się wtrącić jakąś uwagę, ale wówczas wydymała usteczka i zarzucała mi, że ograniczam jej wolność. Moja zaborczość ją rani, bo cóż w tym złego, że ma przyjaciół? Czy chcę, żeby spędzała życie w klatce? Oczywiście nie chciałem. Jakie miałem prawo, żeby ją osaczać swoją nieufnością? Oczywiście żadnego. Czy kobieta musi zawsze znosić tyranie partnera? Jezu, nie miałem zamiaru jej tyranizować! Wycofywałem się przerażony, że mogę ją stracić. Ale i tak zawsze kończyło się na westchnieniach i spojrzeniach pełnych wyrzutu.

Kiedyś w trakcie jednej z takich rozmów popatrzyła mi głęboko w oczy i oznajmiła, że nie mogę zatrzymać w objęciach wiatru. Przysięgam, powiedziała ten pretensjonalny banał. Ale dla mnie brzmiał poetycko, świadcząc o wielkiej wrażliwości i niezbadanej kobiecej naturze. Wzruszyłem się nawet. Cholera, czego można się było po mnie spodziewać? Byłem śmiertelnie zakochanym gówniarzem. W konkluzji Margot wychodziła, a ja pocieszałem się wspomnieniem cudownego dnia, kiedy po raz pierwszy poszła ze mną do łóżka. Prawdę mówiąc, nie był aż tak cudowny, jak przedstawiałem sobie w marzeniach, bo to ja wykazywałem większość entuzjazmu. Królewna Margot zachowywała się trochę, jakby była Śnieżką w czasie śpiączki, ale ja roiłem sobie piękne wizje, jak budzę ją do życia pocałunkami, chociaż za cholere nie potrafiłem ujrzyć się w roli księcia. Czułem się raczej jak szewczyk, który cudem dostał swoje pół królestwa, prostak z wielkimi łapami, ciągle upapranymi farbą, papierosem w ustach i nienawiścią do krawatów. Margot natychmiast podchwyciła tę grę. Widziałem, że sprawia jej przyjemność. Maleńka wróżka oswoiła sobie coś pośredniego między dzikim smolarzem, niedźwiedziem i świrem z duszą artysty.

Do reguł zabawy należało również zachwywanie się spotykanymi współczesnymi książętami, tymi śliskimi dupkami w nienagannie skrojonych garniturach, którzy błyskają bielą zębów, wachlują się pakietami kart kredytowych i tańczą tak, jakby mieli w środku sprężynę nakręcaną kluczykiem. Na widok takiego stwora w źrenicach Margot zapalały się dziwne ognie, głos przeradzał się w gruchanie z wibrującym, uroczym „r”, a ruchy stawały mdlejące. Słowem, całkowity zachwyt i uległość. Na szczęście nie spotykała ich na swojej drodze zbyt często, a w razie czego i tak wracała do mnie.

Żartowała, że sama nie rozumie, dlaczego rezygnuje z takiego pięknego światowca na rzecz prywatnego czarnego luda. Czyżbym rzucił na nią urok? Naprawdę było całkiem odwrotnie. Ona rzuciła zaklęcie na mnie. Zrozumiałem, że chcę, żeby została ze mną na zawsze, kiedy wyjechała na całe wakacje do Francji, do jakiejś dalekiej rodziny. Oczywiście, w żadnym razie do pracy. Opalać się, kąpać, zwiedzać i zawiązywać znajomości.

Dni mijały, Margot nie było, a ja biegałem po pracowni jak wściekły tygrys na samą myśl o znajomościach, jakie zawiera z bandami smagłych, czarnoookich, wypomadowanych Francuzów, przyplływających po nią jachtami lub zajeżdżających jaguarami. Im dłużej jej nie było, tym bardziej nie wyobrażałem sobie przyszłości bez niej. W końcu wróciła, opalona, rozszczebiotana, opowiadająca na lewo i prawo historie swoich podbojów. Jeden milioner tak się na nią zagapił, że wpadł do basenu, a pewien szejk arabski chciał za nią oddać cały szyb naftowy, czy to nie urocze? Pewnie, że urocze, jak każdy gest, minka, uśmieszek, jak to, że wróciła. Wodziłem za nią maślanymi oczami z głupawym uśmiechem przyklejonym nieustannie do ust i jakoś nie przychodziło mi do głowy

zdziwić się, czemu nie została we Francji szczęśliwą panią milionerową. Grunt, że była. Przyjechała z powrotem, do mnie.

Po kilku nieprzespanych nocach, pełnych wizji potentatów komputerowych w basenie i arabskich bogaczy uwożących porwaną Margot w głąb pustyni, postanowiłem, że dłużej nie zniosę niepewności. Potwory sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, więc wyciągnąłem z konta oszczędności, kupiłem pierścionek z brylantem, małym, bo małym, ale prawdziwym, bukiet róż tak ogromny, że mogłaby się w nim schować, i grzotnąłem przed nią na kolana. Nie wydawała się wzruszona. Raczej zaskoczona i odrobinę ubawiona. Na pierścionek popatrzyła z pobłażaniem, jakby dawała do zrozumienia, że niczego lepszego nie mogła się spodziewać po kimś tak kiepsko znającym się na biżuterii, ale przyjęła go. Na Boga, przyjęła! Miałem ochotę ryczeć ze szczęścia, nosić na rękach cały świat, ucałować każdego przechodnia i kupić rower każdemu dzieciakowi na podwórku. Margot Krecia Fryzurka zostanie moją żoną!

Została, choć nie mogłem w to uwierzyć. Oczywiście, przeprowadziła się do mnie, zwalniając wynajęty pokój. W podróż poślubną chciałem ją zabrać na Lazurowe Wybrzeże, ale nie miała ochoty. Za dużo wspomnień, powiedziała. W porządku, pojechaliśmy na włoską Riwierę.

Leżąc na piasku w zasięgu chichoczących, łaszących się fal, wyglądała jak córka samego Posejdona. Ofiarowała mi dwa szczęśliwe tygodnie, chociaż już wtedy podświadomie wyczuwałem, że związek z Margot nie będzie wyglądał tak, jak sobie wymarzyłem. Spychałem wątpliwości na bok, ale szybko okazało się, że moja dziewczynka nie ma najmniejszej ochoty zostać najbliższą mi osobą na świecie, przyjaciółką, partnerką, podporą i kochanką. Została natomiast nieustającą nagrodą, obiektem ciągłych hołdów, zachwyków i westchnień. Dzień za dniem musiałem na nią zasłużyć na nowo, wyręczyć we wszystkim, zdobyć względy. Starąłem się, ale, szczerze mówiąc, wszystko rozłaziło mi się w palcach.

Czasami dochodziłem do wniosku, że choćbym, zgodnie z jej życzeniem, wypruł sobie flaki i porozwieszał na okolicznych choinkach, skrzywi tylko pyszczek i oznajmi, że lepiej to miało wyglądać. Słowem, nie układało nam się.

Księżniczka leżała na kanapie i kaprysiła, a ja trzaskałem drzwiami od pracowni i siedziałem tam do późnej nocy. To był mój azyl, obwarowana twierdza, gdzie nikt nie miał mi za złe bałaganu, smrodu papierosów, powycieranych spodni i braku zaangażowania.

W dodatku potwory przestały uchodzić za hit sezonu. Wiedziałem, że tak się stanie, i wcale nie ubolewałem z tego powodu. Szczerze mówiąc, odetchnąłem nieco. Szum się skończył, a ja pozostałem na rynku, z dochodami wystarczającymi, żeby nas utrzymać. Ale nie było już rozgłosu, wywiadów w pisemkach i migawek w telewizji, co dla mojej pięknej żony urastało do rangi narodowej tragedii.

Poniosłem sromotną klęskę, zaprzepaściłem karierę, a ją, nieszczęsną, sprowadziłem na manowce. Jak teraz zapewnię królowie odpowiednie warunki, skoro nie mam porządnej pracy? Po co się ze mną zadawała? Ja też nie potrafiłem pojąć. Nie było chyba na świecie mężczyzny, który mniej odpowiadałby jej ideałom.

Minęły prawie dwa lata, odkąd ochrzciłem Margot gorzkim, tajemnym imieniem Śnieżki, bo od początku naszego małżeństwa była oziębła i niemrawa jak katatoniczka. Zresztą czemu się dziwić? Jak można iść do łóżka z bezmyślnym brutalem, który nie rozumie subtelnej kobiecej duszy? Wcale nie można, rzecz jasna.

Zatem odwracamy się noskiem do ściany, wzdychamy boleśnie i demonstrujemy całemu światu naszą niebывałą wrażliwość i samotność.

Miałem tego dość tak bardzo, że wiele razy pragnąłem po prostu wyjść z domu, trzasnąwszy

drzwiami, i nigdy nie wrócić. Zaciągnąć się na morze, uciec w las wypalać węgiel, zamieszkać na dworcu, wyplatać w głuszy koszyki, nieważne. Byle dalej stąd. Ale wciąż bardzo kochałem Margot i miałem nadzieję, że się zmieni, przyzwyczai, zrozumie.

Zmieniła się, a jakże. Zupełnie niespodziewanie, ale wcale nie tak, jak pragnąłem. Wyjechała na dwa tygodnie do koleżanki, żeby choć na chwilę uciec od problemów. Jakich, do cholery, nie wyjaśniła. Powróciła z głębokim przekonaniem, że natychmiast chce urodzić dziecko. Koleżanka właśnie jedno miała i odnalazła spełnienie, radość prawdziwej kobiecości, a zatem Margot życzy sobie także. Przeraziłem się trochę, bo nie czułem się przygotowany do roli ojca, a moja Krecia Fryzurka nijak nie wyglądała mi na mamusię. Próbowałem tłumaczyć, żebyśmy pożyli jeszcze trochę sami, nacieszyli się sobą, poczekali. Na nic. Zostałem obwołany bezdusznym potworem, ohydny egoistą, oszustem, który podstępnie ją omotał, a teraz odmawia jej jedynej radości, odziera z prawdziwej rodziny. Starłem się być twardy, ale poty się bzdyczyła, płakała, histeryzowała, wściekała i obrażała, aż pękłem.

Fundowaliśmy sobie zatem kobiece spełnienie dla Margot. Wtedy gorliwie ciągnęła mnie do łóżka, ale wytęskniony seks nie dawał mi przyjemności. Zdawało się, że moja żona wykonuje zestaw nieprzyjemnych, lecz koniecznych ćwiczeń, aby otrzymać upragnione maleństwo.

W jej oczach nie widziałem śladu pożądania, tylko święty ogień macierzyństwa. Czułem się jak ogromny irygator, maszyna do produkcji nasienia i, szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czy bardziej chce mi się płakać, czy rzygać.

Po upływie kilku nerwowych miesięcy Margot otrzymała łaskę. Dziewczęca twarz promieniała takim zadowoleniem, aż poczułem skurcz bólu, bo mnie nigdy nie udało się uczynić jej podobnie szczęśliwą. Ale starałem się cieszyć razem z nią, chociaż natychmiast odsunęła mnie od łoża. Przecież coś się może stać dziecku! (Egoisto, egoisto, potworze, ohydny, ohydny). Oczekiwanie na maleństwo przypominało czekanie na Mesjasza, a dla mnie stało się jednym z paskudniejszych momentów w życiu. Straciłem bowiem Margot bezpowrotnie. Z chwilą gdy dziecko się urodziło, musiałem sobie uświadomić, że nie ma dla mnie miejsca we własnym domu ani w życiu żony.

Zmieniono mnie w automat do posług i dostarczania kasy. Margot i dziecko stanowiły oddzielną, spójną planetę, gdzie mnie obowiązywał zakaz wstępu. Doczekaliśmy się córeczki, którą Margot uparcie nazywała Perełką. Uważała, że to bardzo dowcipne. Małgorzata znaczy przecież perła, a maleństwo będzie jej zminiaturyzowaną kopią. Perełka. Jezu, brzmiało jak imię dla pudła. Ale jako podły brutal i tak musiałem trzymać mordę w kubek.

Pewnie pogodziłbym się z tym, że Margot i jej dziwna, pokrzykująca larwa wcale mnie nie potrzebują, gdyby okazało się, że kapitulacja wystarczy. Odszedłem, potwór, między swoje potwory, gdzie moje miejsce. Wygrzebałem jamę, w której zaległem, wyłażąc, kiedy tylko księżniczka sobie życzyła. Przez resztę czasu schodziłem jej z oczu, zamknięty w pracowni.

Niestety, to nie wystarczyło. Margot postanowiła mnie zmienić. Perełka musi mieć przecież porządnego ojca, dostarczyciela wszelakiego dobra, osobnika w krawacie i na poziomie. Rozpoczęło się natarcie na wszystkich frontach. Dlaczego nie chcę znaleźć przyzwoitej pracy i zarabiać prawdziwych pieniędzy? Za co Perełka pójdzie do przedszkola z językiem francuskim i zajęciami z tańca? Za co opłacę jej prywatną szkołę? Czy chcę, żeby moje dziecko trafiło między plebs i element, bezpowrotnie tracąc szansę na dobre wykształcenie? Czy z powodu mego uporu i egoizmu Perełka musi zaprzepaścić swoją przyszłość? Czy można wychować zdrowe, normalne dziecko w domu pełnym maszkar? Będzie dorastać. Czy wyobrażam sobie, co powie, kiedy ktoś ją zapyta, czym zajmuje się ojciec? Lepi potworki? Jaki to będzie dla niej wstyd, jaki stres. Gdyby wcześniej wiedziała, że jestem draniem bez serca! Gdyby wiedziała! Wszystko mogłoby wyglądać inaczej, a

życie Perełki i jej samej nie byłoby bezpowrotnie złamane. Szloch. Spazmy. Histeria.

Szybko i sprawnie zrobiła ze mnie psychopatę znęcającego się nad własnym dzieckiem w imię egoizmu i miałkich rojeń o karierze rzeźbiarza. Połknąłem i to. Ostatnio wszystko połykałem, jak posłuszny wąż boa. Ale nie ustąpiłem. Zaciąłem się w sobie i postanowiłem wytrwać. Margot wyszła za kolesia, który lepi figurki. Zdecydowała się na ten krok świadomie, jak sądzę, i w stanie poczytalności. Więc teraz ma go za męża. Żadnych firm, garniturów, posągowych min i szarych samochodów. Nigdy. Oczywiście, wybuchła wojna.

Brudna, podjazdowa, wyniszczająca partyzantka, oparta głównie na atakach terrorystycznych.

Nie uległem. Widziałem natomiast niedowierzanie i wściekłość na twarzy mojej żony. Ośmieliłem się sprzeciwić królowi. Ośmieliłem się przeciwstawić Margot! Musiałem, do diabła! To była walka o przetrwanie. Inaczej po prostu bym umarł. Nie wiem, skąd w kobietach bierze się to głęboko zakorzenione przeświadczenie, że każdego, a zwłaszcza mężczyznę, można, a nawet trzeba zmienić. Ugnieść faceta jak plastelinę, przefasonować, wymalować pysk na nowo i proszę! Całkiem inny! Święta Matko! Dlaczego?! Nie lepiej od razu poszukać sobie lepszego, a tamtego obejść szerokim łukiem? Widać nie. Może nie byłoby tak zabawnie. Nie wiem. W każdym razie nie pękłem. Gniewny, nabuzowany, ponury lepiłem najszkaradniejsze stwory jakie potrafiłem, a ściany pracowni wibrowały codzienną dawką wściekłości. Gdybym pozwolił się zmienić, przestałbym żyć.

\*\*\*

Sądy człowieka są naiwne. Wiedza o sobie samym i ogląd wydarzeń ograniczone. I tak umarłem. Tego dnia, kiedy zadzwonił telefon od Samanty. Z początku wyglądało to na zwykłe zlecenie. Potem, kiedy ze słuchawką przyklejoną do ucha słuchałem rzeczowego kobiecego głosu, na długo wyczekiwany, niespodziewany cud. W końcu, gdy przerwała połączenie, a ja zostałem z bucącym głucho telefonem, nabrałem przekonania, że ktoś zrobił mi głupi żart.

No bo pomyślmy realnie. Czy w dzisiejszych czasach, w naszej rzeczywistości, zdarzają się ekscentryczni milionerzy, którzy proponują plastikowi wytwarzającemu figurki z mas plastycznych, że kupią za niesłychaną cenę wszystko, cokolwiek zrobi? Każdego cholernego potworka. Musiałbym za to przerwać współpracę ze wszystkimi innymi galeriami i sklepami, słowem, dać mu wyłączność. Oczywiście, to niełatwa decyzja, ale cena powinna ją zrekompensować. Mój Boże, dawał trzy razy tyle co najlepsi nabywcy. Taka cena zrekompensowałaby mi pracę w oparach chlorowodoru. A w oczach Margot znów stałbym się interesującym artystą. Artystą o wrażliwej duszy i grubym portfelu. Jasne, że nie uwierzyłem. Jednak postanowiłem spotkać się z dziewczyną, która dzwoniła. Miała na imię Samanta, zajmowała się wystrojem wnętrz i właśnie projektowała pub czy klub dla szalonego miłośnika potworów. Umówiła się ze mną po południu w kawiarni. Godziny dłużyły mi się jak seriale Margot. Dowcip czy kontrakt życia? Za dziesięć szósta wysiadłem z autobusu spocony jak mysz, z przeświadczeniem, że w kawiarnianym ogródku zobaczę roześmiane gęby kilku kumpli, którzy w głupi sposób postanowili wyciągnąć mnie na piwo.

Zobaczyłem długowłosą, smukłą dziewczynę przeglądającą grubą, oprawną w skórę księgę. I umarłem. W ułamku sekundy. Poczulem coś jak ból, jak skurcz, zalało mnie oślepiające błękitne światło, niby uderzenie błyskawicy. Nogi się pode mną ugięły, chwyciłem się kurczowo słupka znaku drogowego. Wokół wirował wiatr, gęsty, ciągnący za sobą snop iskier. Miał srebrny kolor. Ludzie i samochody znieruchomieli w oka mgnieniu. Zamrożone rzeźby z lodu. Nic się nie poruszało. Nawet czas. Tylko dziewczyna o kasztanowych włosach spokojnie odwróciła kartkę książki. Zdawała się nie dostrzegać niczego niezwykłego. Lodowe, oślepiające niebo nade mną pękło. Ze szczeliny lało

się białe światło. Głos.

*Ona jest jedną z nas.*

Niespodziewanie, drząc i kurczowo obejmując słupek, poczułem, że to prawda. Jedna krew, rozumiałem. Płynie w nas jedna krew.

Szklany świat, zbudowany z lodu i szronu, mienił się odblaskami diamentu. Widziałem ludzkie serca w przezroczystych piersiach. Pulsowały stłumionym niebieskim światłem. Lód śpiewał i dźwięczał niczym potrącone przypadkiem naczynie z kryształu. Wiedziałem, że za chwilę wszystko rozprysnie się na tysiące odłamków. Tylko że tutaj nie było chwil.

Samanta podniosła do ust widmo szklanki, wypięła łyk srebrnej ciemności. Niebo lśniło oszalałym blaskiem. Na jego tle, niczym hologram, zawisła wyolbrzymiona sylwetka dziewczyny. W kawiarnianym ogródku między stalagmitami stolików Samanta nadal przeglądała książkę, podczas gdy w przestworzach jej cień szybował z rozpostartymi ramionami i aureolą rozpuszczonych włosów. Upiorny anioł otworzył usta, ale głos wydobywał się ze szczeliny w niebie.

*Samanta jest bramą. A ty kluczem, synu. Pamiętaj o krwi.*

Nie rozumiałem ani słowa. Widmowa twarz Samanty obróciła się ku mnie. Oczy o źrenicach z wirujących galaktyk płonęły błękitem. Niebo śpiewało wysokie, wibrujące dźwięki układające się w monotonną pieśń.

- Życie. Sen - powiedział cień dziewczyny.

Poszybowałem w górę. Płynąłem z rozpostartymi ramionami ku źrenicom jak galaktyki. Umierałem. Przed oczami niczym film przewijało się całe moje życie. Seria obrazów. Brzydkich. Karykaturalnych. Głupcy wygłaszający banały, podli nauczyciele, nadęci wykładowcy, ukrywający pod płaszczykiem naukowego żargonu swoją małość, snobizm i nędzę intelektualną. Próżne, złośliwe, puste dziewczyny, zazdrośni lub irytująco głupkowaci koledzy i Margot. Moja Margot. Minoderyjna, chciwa, wyrachowana drobnomieszczanka, pretensjonalna idiotka o duszy sknery i cwaniaczki, przeświadczona o własnej doskonałości. Nic. Zero. Księżniczka w jednej chwili przemieniona na powrót w żabę. I ja ją miałem za słodką? Za cudowną? Za piękną? Małą, krępą, krótkonogą pokrakę, wlokącą za sobą wydęty odwłok? Zobaczyłem w niej kopię jej matki, starej ropuchy o wiecznie niezadowolonym pysku. Moja perła okazała się kupką zgniłego śluzu. Nie czułem żalu. Przecież umarłem i byłem wolny. Może gniew. Oczywiście. Wielki, wszechogarniający gniew. Chcą mnie zniszczyć. Stłamsić. Upodlić. Są moimi wrogami. Wszyscy wokoło. Każda z tych istot. Bo płynie w nich *obca krew*, powiedział głos z nieba.

*Pamiętaj o krwi, synu.*

Film z mojego życia kręcił się jak oszalały. Obrazy migwały przed oczami, zamazane, wirując we wściekłym korowodzie. Złały się w jeden świetlisty błysk, w ogłuszającą eksplozję. Oślepiłem. W uszach słyszałem wysoki, natarczywy gwizd. Głos w mojej głowie brzęczał głucho.

*Ona jest jedną z nas.*

Spadłem na ziemię, a właściwie poczułem się tak, jakbym wpadł z impetem do własnego ciała. Dobrze, że nie tyłem naprzód, pomyślałem oszołomiony. Lodowy świat rozprysnął się na kawałki, a ja byłem prawie pewien, że dostrzegłem moment, w którym zamrożona rzeczywistość ruszyła do przodu.

Wciąż ścisnąłem słupek ze znakiem drogowym. Serce tłukło mi jak kafar, kolana zrobiły się dziwnie miękkie, ale i tak czułem się zdumiewająco dobrze. Nie, nie pomyślałem, że jestem wariatem. Wiem, że powinienem, lecz taka myśl wcale nie powstała mi w głowie. Dotknąłem nieznanego, spotkałem się z nadprzyrodzonym, wrażenie było piorunujące, ale w jakiś dziwaczny sposób podobało mi się. Zdarzyło się coś, co rozbiło nudną, beznadziejną powszedniość. Coś, wobec czego histerie na temat

zarobków, niezapłaconych rachunków i przyszłości Perełki traciły znaczenie, blakły jak wytarty jeans. Życie wyciągnęło do mnie ramiona, postanowiło przypomnieć, że w zanadrzu ma jeszcze wiele możliwości. Przyszłość nie jest przesądzona, śpiewało moje serce. Nie skończy się na księżycu w związku z Margot po sam gorzki koniec, aż za mymi plecami stanie zgorzkniała, przepełniona rozczarowaniami starość. Nie skończy się. Tyle wiedziałem na pewno.

Przyznaję, porządnie mną potrzepało. Miałem dreszcze, przez jezdnię przelazłem na trzęsących się nogach. W końcu nie tak łatwo się pozbierać, kiedy umierasz, a w następnej chwili zostajesz wskrzeszony. Trochę wyrozumiałości, panowie.

Wreszcie udało mi się dobić do bezpiecznej przystani kawiarnianego ogródka. Podeszedłem do stolika Samanty. Uśmiechnęła się do mnie i wstała, żeby podać mi rękę.

- Cześć - powiedziała.

Miała melodyjny, niski głos, tak że od razu chciałoby się posłuchać, jak śpiewa bluesy.

Uśmiechnąłem się także. Podniosła na mnie oczy szarozielonej barwy, które nie przypominały już galaktyk, tylko przywodziły na myśl rozległe, dalekie krainy, gdzie zawsze panuje spokój. Mogły rozbudzić tęsknotę za tymi tajemniczymi miejscami w niejednym facecie. We mnie rozbudziły natychmiast.

Odsunąłem krzesło, żeby usiąść.

- Cieszę się, że pan przyszedł - rzuciła.

Ja też się cieszyłem. Bardzo.

- Nie zamówiłam panu piwa, bo byłam prawie pewna, że musiałabym wypić je sama.

- Nie dałaby pani rady? - spytałem.

Znow uśmiech i figlarny błysk w morskich przestrzeniach oczu.

- Pan mnie nie docenia. Drugie piwo to nie przeciwnik. Nie dla kobiety obracającej się w kręgach bohemy wprost z architektury wnętrza. Chodzi o reputację. Samotnie można wypić jedno piwo, nie więcej.

- Teraz może już pani zamówić drugie - powiedziałem.

Skinęła głową.

- Pewnie dojdzie i do tego. Zastanowił się pan nad propozycją?

Odchyliłem się na krześle.

- Trudno się nie zastanawiać. Jest kusząca jak oferta rodem z piekła. Co mam oddać w zamian? Duszę?

Uniosła brwi.

- Z tego, co wiem, na razie tylko ręce. Ale współpraca może się rozwinąć. Proszę uważnie czytać papiery. Pewnego dnia będzie między nimi cyrograf.

- Pani już taki podpisała?

- Niestety. Dostałam jedynie standardową umowę. On dba tylko o pańską duszę.

Mrugnęła do mnie.

- Kontrahent - spytałem - czy smagły dżentelmen pachnący siarką?

- Nasz Lord Nabab - mruknęła. - Przyszły właściciel szalonego pubu w stylu gotyckiego horroru. Nie, źle mówię. To nie ma być gotycki horror, ale spełnienie jego dziwaczkowych wizji. Czepia się każdego szczegółu, drobiazgów. Wszystko musi wyglądać tak, jak zaplanował. Ciężko się z nim pracuje, zobaczy pan.

- To nie brzmi zbyt zachęcająco - wtrąciłem.

- Faktycznie, niezbyt - przyznała. - Ale za to płaci doskonale, zawsze w terminie. Jeśli jest zadowolony, dorzuca ekstra premie.



Pochyliłem się ku niej.

- Dlaczego nie skontaktował się ze mną osobiście? Wzruszyła ramionami.

- Bo jest dziwakiem. Pracowników traktuje trochę jak swoją własność. Uważa, że może mnie obarczać przeróżnymi zadaniami, jeśli już zgodziłam się coś dla niego robić. Mam być teraz pośrednikiem między nim a panem. Na osobiste spotkanie przyjdzie czas, jak powiedział.

Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby ten czas nadszedł możliwie późno. Towarzystwo Samanty odpowiadało mi o wiele bardziej niż współpraca z ekscentrycznym, pryncypialnym staruszkiem, jak wyobrażałem sobie kontrahenta.

- A ja myślałem, że w tym kraju nie zdarzają się bogaci szaleńcy obdarzeni wizjami.

Uśmiechnęła się.

- On z pewnością nie pochodzi z naszego kraju. Z Europy też chyba nie. To jakiś Arab czy inny mieszkaniec Orientu. Najprędzej Lewantyńczyk.

- Lewantyńczyk? - zdziwiłem się.

Zrobiła ruch dłonią.

- Och, wie pan. Oliwkowa cera, sucha orla twarz, płonące oczy i szopa siwych włosów. Mówi prawie bez akcentu, ale jakoś gardłowo.

- Niemożliwe - powiedziałem. - Takich facetów nie ma. Może w filmach klasy B.

- Do licha, prawie zapomniałam. Kazał dać panu książkę. Proszę.

Podsunęła ku mnie oprawny w skórę manuskrypt. Musiał być bardzo stary. Tłoczone na skórze wzory niemal się zatarły. Księga nie miała tytułu. Osłupiały przewróciłem kilka stron. Pergamin, nie papier. Pokryty gęsto rzędami zdumiewających znaków, które nie przypominały żadnego znanego mi pisma.

- Po co to? - wyjąkałem.

- Nie mam pojęcia - powiedziała. - Na pewno nie dla inspiracji plastycznej. W książce nie ma żadnych obrazków.

Poczułem nieprzyjemny chłód w żołądku na myśl, że tomiszcze może być kradzione.

- Nie mogę jej wziąć - zaprotestowałem. - Pewnie jest cenna, a ja nie wiem, co z nią zrobić.

Samanta westchnęła.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć. Musi pan ją zabrać. I starannie przejrzeć. To warunek współpracy.

- Zaraz, to absurd!

- Wiem. - Skinęła głową. - Ale pan Fahrad tak zarządził. Z nim nie ma dyskusji.

W spokojnych krainach zielonych oczu pojawił się dziwny wyraz. Czyżby lęk? Bezwiednie wodziłem palcami po wytartych żłobieniach okładki.

- Mogła pani spokojnie zostawić tę cegłę w domu albo nawet wyrzucić do śmieci. Czego się pani boi? Że Lewantyńczyk by się dowiedział, wróżąc z fusów po kawie?

- Może - szepnęła, odwróciwszy wzrok. - A może chce być po prostu ucziwa. Zależało mu, żeby dostał pan książkę. Proszę ją przejrzeć.

- W porządku - mruknąłem. - Wygląda na to, że jeśli przyjmę tę pracę, będę się musiał przyzwycząić do dziwactw.

Uśmiechnęła się trochę kwaśno.

- Próbowałam to panu od początku powiedzieć.

- Więc ile figurek chce ode mnie magik z Orientu? Dziesięć? Dwadzieścia?

Podniosła do ust szklankę.

- Tyle, ile zdoła pan zrobić.

- A jeśli to będą dwie setki?

- Ucieszy się i da panu premię. Ale figurki muszą być staranne. I możliwie różnorodne.

Otworzyłem manuskrypt w przypadkowym miejscu i gapiłem się na niezwykle znaki. Wydały się tak obce i złowróbne, aż po plecach przebiegł mi dreszcz. Mistyczne doświadczenie przy znaku drogowym zdawało się odległe jak wspomnienie minionego snu. Nie byłem wcale pewny, czy rzeczywiście je przeżyłem.

- Co za historia - powiedziałem cicho.

Tym razem uśmiech Samanty był cieplejszy.

- Faktycznie - zgodziła się. - Co za historia! Ale przynajmniej jakaś przygoda, prawda? Teraz ludzie zdają się nie rozumieć, co to słowo znaczy. Kto marzy o przemierzaniu dżungli lub sawanny ze sztucerem na ramieniu, o odkrywaniu tajemniczych świątyń czy starożytnych grobów, o podróżach z karawanami wielbłądów, o tragarzach niosących kufry i namioty, o statkach kołyszących się na redzie egzotycznych portów? Prawdziwa przygoda pachnie morzem, dymem cygar, skórą, drewnem i aromatem roślin, które nigdy nie wyrosną na twoim podwórku.

Urwała nagle speszona, a ja wolałbym nadal patrzeć, jak ożywienie rozjaśnia śliczną twarz w kształcie serca, na błysk w rozszerzonych źrenicach, lekki rumieniec na policzkach. Po raz pierwszy od wielu lat poczułem, że chcę zatrzymać ten obraz, utrwalić go natychmiast w glinie, w serii spiesnych szkiców, załączków prawdziwego portretu. Nagle przypomniałem sobie, dlaczego chciałem rzeźbić, jak wyglądała tamta dawna przemożna potrzeba z wczesnej młodości, konieczność dotykania i kształtowania gliny tak silna, aż niemal bolały od niej palce.

Samanta milczała zakłopotana.

- Do licha, zachowuję się jak chłopiec wychowany pięćdziesiąt lat temu na książkach po dziadku - powiedziała wreszcie.

- Dobrze, że nie jak nowoczesna kobieta, której zależy tylko na forsie i przywilejach - mruknąłem.

Uśmiechnęła się.

- Jak widać, forszą nie pogardziłam. Nie rzuciłam jeszcze z trzaskiem roboty u Lewantyńczyka, chociaż, szczerze mówiąc, ma kaprysy jak primadonna. Przynajmniej praca jest ciekawa. No i jak? Wchodzi pan w skład załogi?

Skinąłem głową.

- Spróbuję. W końcu hurtowi miłośnicy potworów nie zlatują z nieba co chwila.

- Doskonale. - Wstała i wyciągnęła rękę. - Pędzę przekazać radosną wiadomość Lordowi Nababowi. Ucieszy się. Bardzo mu zależało na współpracy z panem. Zadzwoń, kiedy będą gotowe umowy i reszta papierów. Proszę przeczytać książkę.

- Dobrze, ale skąd mam wiedzieć, czy nie czytam do góry nogami? - spytałem.

- Zasada jest prosta. Zielonym do góry. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Do zobaczenia.

Nie obejrzała się, odchodząc, za to ja się gapiłem na jej idealne nogi i smukłą sylwetkę, aż znikła za rogami. Zdawało mi się, że na tle innych ludzi lśni jak gwiazda wieczornego nieba. Zresztą może to nie było tylko złudzenie.

Niewielu rzeczy tak naprawdę żałuję. Załedwie dwóch. Aż dwóch. Nie myślę o prostych życiowych błędach, jak związek z Margot albo smutek, że nie zostałem współczesnym Rodinem. Mówię o prawdziwym, strasznym żalu, który każe wdrapywać się nocą na dach i wyć do księżyca. Nie potrafię odżałować, że nie poszedłem do łóżka z Samantą i nie zrobiłem jej portretu. Nie zdążyłem. To takie bolesne. Zmarnowałem tyle momentów, tyle chwil. Wiem, obiecano mi, że wszystko odzyskam. Przyjdzie czas na naprawę, na nagrodę. Ale czasami nie potrafię uwierzyć. We wszystko inne tak, prędzej. Lecz nie w to, że odzyskam Samantę. Wciąż mam nadzieję, żyję nadzieją, jednak wiary mi brakuje.

Czekam. Wściekły, pełen frustracji, z dnia na dzień gorszej. Lepiej potwory, legiony, hordy potworów

o paszczach pełnych zębów i ślepiach pełnych piekła, chociaż daleki jestem od sukcesu. Najgorsze, że praca mi nie idzie. A przecież ona jest kluczem. Ja stałem się kluczem, bez którego nie sposób otworzyć bramy.

Samanta. Opowiadam o niej potworom, które słuchają obojętnie. Są przecież martwe. Boję się, że wkrótce zacznę ich nienawidzić, chociaż wina leży po mojej stronie. Jestem felernym kluczem i nie umiem stać się bodaj wytrychem.

Spotykałem się z Samantą regularnie. Dostarczałem jej gotowe figurki, wypytywałem o szczegóły wystroju pubu. Byłem cholernie ciekaw, jak wygląda projekt. Nigdy nie chciała pokazać. Kiedy marudziłem, że muszę wiedzieć, do jakiego wnętrza przeznaczam potwory, żeby je odpowiednio dobrać, kręciła tylko głową. Pan Fhrad nie chce, żebym się czymkolwiek sugerował. Mam robić figurki po swojemu. I tak zrobię po swojemu, przekonywałem. Nic. Nie pozwoliła mi nawet obejrzeć miejsca, w którym powstanie lokal. Lewantyńczyk sobie nie życzy. Zaczynałem czuć do sukinsyna szczerą niechęć, choć bez niego nie poznałbym Samanty.

Przyszły pub pozostawał więc tajemnicą. Wiedziałem jedynie, że to stara hala fabryczna czy opuszczony magazyn, w każdym razie wielkie industrialne wnętrza, które zmieni się w magiczne miejsce. Długo była twarda jak głaz, ale kiedy przyznała, że ma zamiar nadzorować wykonanie i osobiście pracować nad większością elementów plastycznych, podniosłem wrzask, którego nie wytrzymała. Pokazała mi szkice. Zobaczyłem dziwną, mroczną krainę, szaleństwo w odcieniach zieleni i czerni, zbudowane z kolumnad, schodów i omszałych bloków skalnych. Zatopione królestwo smutku, obcą, zimną planetę na gorszym końcu wszechświata. Upiorna Atlantyda w niczym nie przypominała łagodnych podmorskich równin oczu Samanty. Nie wiem, kto chciałby bawić się w takim wnętrzu. Chyba świry i desperaci.

Szkice były narysowane bardzo sprawnie, pewną, wyrobioną ręką, lecz patrząc na nie, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak z perspektywą. Przeanalizowałem linie. Wszystkie przebiegały prawidłowo. Jednak dziwne odczucie nie mijało.

Spojrzałem na Samantę. Uciekła wzrokiem, wyraźnie zdenerwowana. W nagłym przebłysku zrozumiałem, jak wiele ją kosztuje odkrycie szkiców. Jakby wstydziła się własnego projektu, a może nawet bała. W gardle poczułem ucisk dziwnego wzruszenia. Zaufała mi bardziej, niż mogłem przypuszczać.

- Niesamowite - powiedziałem szczerze. - Nigdy nie widziałem podobnych rozwiązań. A klimat...

- Daj! - Wyszarpnęła mi z ręki rysunki.

Delikatnie przytrzymałem jej dłoń. Wciąż nie patrzyła mi w oczy.

- Szkice są niezwykle, Samanto - powiedziałem. - Nie kłamię. Moje potwory mogą się przy nich schować. Wyglądają jak zwykła tandeta.

- Wcale nie - burknęła.

- Wiem, co mówię. Ten pub będzie wyglądał jak kawałek obcej planety. Strasznej i mrocznej, ale przecież o to chodziło, prawda? Zobacz, dostałem gęsiej skórki od samego widoku, chociaż sam produkuję koszmarki rodem ze złych snów. Nie tak łatwo mnie przestraszyć.

- Zrobiłam to wszystko dokładnie tak, jak chciałeś! - wybuchła. - Szczegół po szczególe. On ma to w głowie. Jak dane zapisane na twardym dysku. Ja tylko przerysowałam jego wizję. Boże, czuję się, jakbym zaprojektowała piekło według wskazówek Lucyfera!

Chciałem ją objąć, przytulić, ale zabrakło mi odwagi. Bałem się, że mnie odtrąci, że stracę ją na zawsze. Dureń! Kolejna chwila do kolekcji zmarnowanych szans.

- Daj spokój - powiedziałem łagodnie. - Projekt jest twój. Ty go stworzyłaś. Wybudowałaś z własnego talentu. Nawet jeśli ktoś się do tego wtrącał, nie potrafiłby cię zastąpić.

- W porządku - mruknęła.

Z trudem powstrzymywała łzy.

- Co się naprawdę dzieje? - zaryzykowałem pytanie.

Westchnęła. Wyglądała jakoś blado i krucho, aż poczułem ucisk w sercu.

- Nie wiem - powiedziała bezradnie. - Nie lubię tego pubu.

Postanowiłem rzucić się na głęboką wodę.

- Jesteś przepracowana - zawyrokowałem. - Wiesz co? Dajmy sobie jutro spokój z pracą. Do diabła, należy nam się odpoczynek. Chodźmy gdzieś. Ja zapraszam.

- Dokąd? - Uniosła brwi zdziwiona.

Jedno wiedziałem. Nic banalnego. Żadne kino, żadne drogie knajpy.

- Na przykład do zoo.

Uśmiechnęła się.

- Dlaczego nie? Ze sto lat tam nie byłam.

Głęboko w pudełeczku z kryształu wyłożonym aksamitem mieszka wspomnienie tego dnia. Proste obrazki. Chodzimy, śmiejemy się, szkicujemy zwierzęta, jemy lody. Kupuję jej balonik wypełniony helem, bo przyznała się, że chciała mieć taki przez całe dzieciństwo. To mała szkatułka, skarb pirata ukryty na bezludnej wyspie. Proste obrazki, a ten stary, beznogi szaleniec z przepaską na oku gotów jest ich bronić za cenę życia.

Czas upływał mi na lepieniu potworów i spotkaniach z Samantą. O Margot właściwie nie myślałem. Oddawałem jej pieniądze, żyliśmy obok siebie, ale nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Nasze drogi rozchodziły się w przeciwne strony. Nawet nie zauważyłem, że mimo wyraźnej poprawy sytuacji materialnej stosunek mojej żony do mnie wcale się nie zmienił. Nadal byłem nieudacznikiem, egoistą i całą bandą wrednych typów, w zależności od kaprysu Margot. Nie przejąłbym się, nawet gdyby obwołała mnie Herodem i Charlesem Mansonem w jednym. Wybacz, Śnieżko. Zimna, oschła i nieprzystępna przestałaś być dla mnie w jakimkolwiek stopniu atrakcyjna. Zmieniłaś się w kawałek mrożonej krwi.

Nie pamiętam, ile potworów posłałem w paszczę Lewantyńczyka. Pewnie całe kontenery. Żyjąc pomiędzy pracownią i spotkaniami z Samantą, byłem niemal szczęśliwy. Bałem się tylko upływu czasu. Kiedy kontrakt się skończy, skończą się także preteksty do kontaktów z kobietą, która wypełniała mi świat. Powinienem działać, ale tak bardzo bałem się porażki. Lęk przyprawiał mnie o paraliż. Niestety, przede wszystkim mózgu.

Tymczasem projekt wkroczył w fazę realizacji. Samanta zrobiła się nerwowa, zmęczona, jakby smutna. Wyglądała blado i mizernie. Bardzo dużo pracowała. Chciałem jej pomagać, ale powiedziała, że zleceniodawca stanowczo zabronił. Miałem w dupie te zakazy, jednak Samanta przywiązywała do nich wagę, więc odpuściłem.

Pracowałem dużo, lecz nigdy nie usłyszałem od pracodawcy żadnych krytycznych uwag. Brał wszystko na pniu i płacił jak za zboże. Książka leżała u mnie na biurku, pokrywając się kurzem. Owszem, przejrzałem kilka stron dziwnych znaków, podobnych do śladów zostawionych przez zmoczonego w atramencie owada, ale szybko mnie znużyły. Straciły swój złowróżbny charakter i nigdy już nie poczułem dreszczu niepokoju, otwierając manuskrypt.

Czasem śniłem natomiast o wnętrzu zaprojektowanym przez Samantę. Błądziłem wśród wielkich, oślizgłych kolumnad, wdychając wszechobecną woń mułu i rozkładu. Czyściłem i odczytywałem na głos inskrypcje na omszałych głazach, niekończące się inwokacje w gardłowym, niezrozumiałym języku. Spadałem głową w dół ze stromych schodów, wbitych w serce mroku, aby szybować bez końca pomiędzy zimnymi latarniami gwiazd. Krzyczałem w ciemności, a wyolbrzymione twarze

potworów zwracały ku mnie pełne współczucia ślepiec.

Nie przywiązywałem specjalnej wagi do tych snów, przypisując paskudne wizje przepracowaniu. Ktoś, kto poświęca dwanaście godzin dziennie na wymyślanie i lepienie potworków, powinien przyjmować koszmary z odpowiednią dawką wyrozumiałości.

O niezwykłym doznaniu poprzedzającym spotkanie z Samantą zapomniałem gładko i całkowicie. Po prostu wyparłem wszystko ze świadomości. Natomiast samo pojawienie się dziewczyny w moim życiu odczytywałem niemal na poziomie mistycznym. Tęskniłem do niej jak cholera. Wstawałem w nocy, obracałem w dłoniach słuchawkę telefonu, używając całej siły woli i racjonalnych argumentów, żeby nie wybrać numeru. Nie obawiałem się reakcji Margot, bo od dawna, odkąd zaszła w ciążę, kazała mi sypiać w pracowni. Nie sądzę, żeby cokolwiek podejrzewała. Uważała mnie za zbyt nieapetyczny kąsek dla najpaskudniejszej nawet kobiety. Osobisty czarny lud na zawsze nosi wypalone piętno niewolnika. Głupi, tchórzliwi, służalczy niewolnicy nie uciekają. Tako rzecze królowa Margot.

W sumie nic mnie już nie obchodziły sądy panny Nabzdyczona Mina. Martwiłem się o Samantę. Wyglądała kiepsko. Nie na żarty przestraszyłem się jednak dopiero po historii ze zdjęciami. Zadzwoiła niespodziewanie późnym wieczorem, prosząc o natychmiastowe spotkanie. Pędziłem do małego, zawałonego obrazami i projektami mieszkanka na poddaszu, łamiąc wszelkie przepisy drogowe. W głosie Samanty brzmiały jakieś niedobre, desperackie tony.

Otworzyła drzwi, zanim zdążyłem zapukać. Widocznie wyczekiwała na korytarzu odgłosu kroków. Była bardzo blada, ciemne półkola sińców rysowały się wyraźnie pod szarą zielenią oczu. W krainie tajemnego spokoju zbierało się na katastrofę.

- Czy coś się stało? - spytałem głupio, walcząc z przemożną chęcią, żeby ją objąć i uspokoić.

Pokręciła głową.

- I tak, i nie. Chcesz kawy? A może herbaty?

- Na litość boską - wybuchłem. - Nie pytaj o takie banalne głupstwa! Co się stało?! Wyglądasz, jakbyś zobaczyła śmierć.

Nerwowo przeczesła palcami włosy.

- Przepraszam. Nie powinnam wywoływać cię z domu o takiej późnej porze. W ogóle nie powinnam zawracać ci głowy. Zachowałam się jak idiotka.

Żachnąłem się.

- Daj spokój! Przyjechałbym z końca świata. Co jest grane? Mów.

Zagryzła wargę. W oczach miała smutek. I lęk. I zmęczenie.

- Chyba zwariowałam - wykrztusiła z trudem. - Chyba... Jezu święty, to już nie przygoda. To psychiatryk.

Ścisnęła palcami skronie. Dłonie drżały. Milczałem, uznawszy, że tak będzie najlepiej.

- Nie rób więcej figurek. Rzuć tę robotę. Natychmiast - powiedziała śmiertelnie poważnie.

Drgnąłem zaskoczony.

- Nie mogę. Za dobrze płaci. W życiu nie miałem takiego zbytu.

- Musisz. Dla własnego dobra!

- Dlaczego? Fährad ma powiązania z mafią? Dowiedziałaś się, że to terrorysta? Groził ci? Nie bój się, zajmę się wszystkim. Zawiadomimy specjalne służby, policję. Będę cię chronił. Wszystko się dobrze skończy, zobaczysz.

Zaśmiała się nerwowo.

- Boże, nie! To nie tak! On... sama nie wiem. Chcę rzucić tę pracę. Nie mam już siły. To złe miejsce, zły projekt...

- Wcale nie - zaprotestowałem. - Jest doskonały.

- Nie rozumiesz. - Machnęła ręką. - Chodzi mi o prawdziwe zło. Coś strasznego, nie z tej rzeczywistości.

- O rany - stęknąłem.

- Widzisz. - Uśmiechnęła się krzywo. - Mówiłam, że psychiatryk.

- Zaraz, ale o co chodzi?

Nabrała głęboko powietrza.

- O zdjęcia - powiedziała.

Nadal nic nie rozumiałem.

- Zrobiłam zdjęcia wykończonej części pubu - wyjaśniła. - One żyją.

- Kto? - wybełkotałem, nieźle przerażony.

- No, zdjęcia. A dokładniej, rzeczywistość, którą przedstawiają. Zmieniają się. Przesuwają, pokazują miejsca, jakich nie ma w pubie. W dodatku prawdziwe.

- Jak to prawdziwe? - przerwałem.

Zrobiła nieokreślony ruch ręką.

- Nie mają nic wspólnego z dekoracją wewnątrz. Widać przez nie inną rzeczywistość, jakieś miasto, ale obce. Nie pochodzące z Ziemi. Jakbyś patrzył przez okno, rozumiesz? Nie umiem wytłumaczyć.

Przełknąłem ślinę. Z trudem.

- Widać obcą planetę? - spytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba tak. I coś, co tam żyje. Stwory. Uchwytne tylko kątem oka. Nigdy nie zobaczyłam żadnego dokładnie. I wcale nie chcę. One kryją się w cieniu. Boże, jak to brzmi! Musisz mnie brać za wariatkę.

Dziwny ze mnie facet. To nie żaden narcyzm, ale fakty. Oczywiście, powinienem uznać, że oszalała. Jednak zamiast pójść prostą drogą, przypomniałem sobie mistyczne widzenie przed kawiarnianym ogródkiem. Zrobiło mi się zimno. I bardzo nieprzyjemnie. Nie uwierzyłem Samancie bez zastrzeżeń. Uznałem, że miała halucynację podobną do mojej, sen, który potraktowała zbyt rzeczywiście, zły dzień, chwilowe zamroczenie, ale wcale nie wykluczyłem spotkania z nadprzyrodzonym. W każdym razie wiedziałem, że zetknęła się z czymś niezwykłym.

- Spokojnie - powiedziałem. - Damy sobie radę także z kosmitami. Pokaż te zdjęcia.

Odruchowo tarła skronie.

- Pokażę. Ale one nie zawsze tak wyglądają. Zazwyczaj to zwykłe fotografie.

Podeszła do biurka, wyjęła z szuflady dużą szarą kopertę. Wziąłem ją w ręce i wyciągnąłem ze środka gładkie, lśniące kartki. Faktycznie. To były zwykłe fotografie.

Samanta westchnęła.

- Mówiłam? Nic specjalnego.

Odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej widziała to samo co ja. Przyglądałem się zdjęciom, jakbym chciał wywiercić wzrokiem dziurę w kartonie. Nic się nie działo.

- Wyrzuć je, proszę - szepnęła Samanta. - Ja... nie chcę ich dotykać.

- Dobrze, wyrzucę - zgodziłem się, wpychając fotografie z powrotem do koperty. - Zostać z tobą?

- Nie, nie. Nie trzeba - wymamrotała. - Jak przyjdą widma, wygonię je miotłą.

Sama wyglądała jak widmo. Bałem się, że zasłabnie.

- Zostanę - zdecydowałem. - Poczytam twoje książki, a ty się położysz i spróbujesz zasnąć. Dobra?

- Dziękuję - szepnęła.

Nie wiem, dlaczego nie zaniósłem jej na rękach do łóżka. Prawdopodobnie dlatego, że jestem idiotą.

Była tak zmęczona, że szybko zasnęła. Siedziałem przy niej do rana, a kiedy blade palce świtu zastukały w okna, wyszedłem, żeby nie czuła się potem skrępowana. Zdjęcia zabrałem. Samanta spotkała się ze mną następnego dnia. Była w lepszej formie, żartowaliśmy nawet. Do sprawy fotografii żadne z nas nie wracało. Kilka razy przejrzałem zdjęcia, ale zawsze okazywały się martwe. Może ożywały wyłącznie w obecności Samanty.

*Ona jest bramą, synu.*

\*\*\*

Praca nad pubem dobiegała końca. Spokój powrócił do szarzielonych krain. Czasem miałem wrażenie, że Samanta wyczekuje końca robót jak więzień ostatniego dnia odsiadki. Nie martwiłem się już o utratę kontaktu z dziewczyną. Staliśmy się sobie zbyt bliscy, zbyt potrzebni.

Druga śmierć dopadła mnie niespodziewanie. Tym razem też zaczęło się od telefonu. Samanta pojechała do pubu zobaczyć się z Fahrenem i ustalić ostatnie poprawki. Siedziałem w pracowni, lepiąc kolejną szkaradę, a z głośnika magnetofonu zawadiacko darli się Clashe. Dzwonek zakrzyczał jak alarm, a ja po prostu wiedziałem, że zdarzyło się coś strasznego. Poderwałem się, żeby odebrać. Podnosząc słuchawkę, zauważyłem rozrzucone po stole zdjęcia. Nie było ich przedtem. Leżały spokojnie w szufladzie. Teraz pokazały wreszcie prawdziwe oblicze. Mroczną głębię pełną kamiennych budowli wzniesionych wbrew regułom rozsądku i fizyki. Nie miałem jednak czasu, żeby się przyglądać, bo w słuchawce brzęczał przerażony, histeryczny głos Samanty.

- O Boże! Ten sukinsyn to zrobił! Przed chwilą! Na moich oczach! Przysięgam, że zrobił! I co teraz?! Co teraz?

- Co zrobił? - wrzasnąłem. - Skrzywdził cię? Samanta! Na Boga! Co tam się dzieje?!

- Zrobił to! - powtórzyła.

Musiała być w szoku.

- Co, na litość boską?!

- Zastrzelił się! - krzyknęła. - Rozmawialiśmy, a on nagle wyjął broń i odstrzelił sobie pół głowy! Leży tu teraz, a wszędzie jest pełno krwi i mózgu... o Boże!

Głos załamał się nagle w autentycznym przerażeniu.

- Co się stało?! - zawołałem. - Halo! Słyszysz mnie? Samanta! Co się stało?!

- Święty Boże - powiedziała wyraźnie, choć niemal szeptem. - Nie wierzę.

W słuchawce rozległ się dziwny, głuchy dźwięk, jakby grzmot spod ziemi, seria gwałtownych trzasków i przeszywający kobiecy krzyk. Krzyk Samanty.

Minuty spędzone w samochodzie w drodze do pubu są moim osobistym piekłem. Znałem adres, bo wymogłem go kiedyś na Samancie. Nie pamiętam żadnej rzeczy, która zdarzyła się w drodze. Strzępy wspomnień, uliczne światła, wrzaski oburzonych klaksonów, pisk hamulców. Nie pamiętam też, jak znalazłem pub. Migają mi poszarpane obrazy, stare hale fabryczne, betonowe płyty na ziemi, chwasty. Widzę te detale z fotograficzną dokładnością, ale nie układają się w logiczną całość. Przypominam sobie mgliście samego siebie we wnętrzu pubu, biegnącego, otwierającego jakieś drzwi. Obrazy ze snu. I tylko jedna przerażająco rzeczywista wizja. Ciało Samanty leżące na pokrytej nieregularnym brukiem posadzce, otwarte od szyi aż po brzuch, jak torba z rozsuniętym suwakiem. Krew miała czarny kolor i zapach czarniejszy od śmierci. Pozlepiała kasztanowe włosy w strąki. W szarej zieleni oczu nie było już spokoju. Podmorskie równiny wyschły wyjałowione. W źrenicach Samanty mieszkała teraz martwa pustka.

Krzyczałem, wyłem, płakałem, umazałem twarz i ubranie krzepnącą krwią. Wołałem imię

dziewczyny, jakbym mógł ją zawrócić. Ale przecież nie odeszła z własnej woli. Nie mogłaby wrócić, nawet gdyby chciała. Przy jej ciele umarłem po raz drugi w życiu. Coś pękło i nie zrosło się już nigdy. Nie było żadnej przygody, żadnej mistyki. Tylko tandetny, ponury klub w opuszczonej fabryce. Do bólu materialny, banalny, prawdziwy. I ciało zamordowanej dziewczyny. Młodej projektantki wewnątrz, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia, bardziej niż samego siebie.

Zabrano mi ją. Zabrano nam życie, lata, jakie spędzilibyśmy razem, prostą wspólnotę kobiety i mężczyzny. Jakiś szalony porąb, zwykły świr, zamordował Samantę. I mnie zamordował niejako przy okazji, bo co go obchodziło, że wyznaczała cały mój świat. Ot, cała historia.

Szlochalem, ale to były suche, nerwowe spazmy, podobne do kaszlu, które nie przynosiły najmniejszej ulgi. Podniosłem głowę na odgłos kroków raczej odruchowo, bo nie potrafiłem uwierzyć, że ten skurwysyn miałby czelność tu zostać.

Wysoka sylwetka, szopa siwych włosów, ciemna twarz. Zerwałem się z kolan, otwierając bezgłośnie usta, bo czerwona fala nienawiści i gniewu wtłoczyła mi oddech z powrotem do płuc.

- M...morderco! - wychrypiałem. - Skurwysynu! Zabiję cię! Umrzesz! Umrzesz! Za...zabiję!

Wrzeszczałem, darłem się do ochrypnięcia, jękając się, opluwając, płacząc, a on czekał, aż zauważy. Zamilkłem nagle ogłupiały.

Fahrad już dawno nie żył. Uśmiechał się z pobłażliwością, a mnie przebiegło przez myśl, że Samanta nie przesadziła. Nie miał połowy głowy. W lewej skroni ziała osmalona dziura, zaś znaczna część prawej i kawał czaszki z tyłu po prostu nie istniały. Widziałem bielejącą kość i ślady mózgu, jakąś krwawą miazgę, fragmenty porwanych naczyń krwionośnych.

Przestałem krzyczeć, bo groźenie śmiercią trupowi wydało mi się dziwnie nie na miejscu.

- Synu - powiedział gardłowo - nie sądź po tym, co widzisz. Nie zabiłbym nikogo z nas. Pozostało zbyt niewiele. Zrozum, ona jest bramą. Spójrz, udało się. Powstało przejście. Popatrz za siebie, dziecko mojej krwi.

Obejrzałem się, czując lodowaty dreszcz grozy wzdłuż kręgosłupa. Nie było pubu. Zniknęły opustoszałe magazyny, puste hale fabryczne. Przede mną stało miasto, ogromne, nieludzkie i czarne. Budowle, wzniesione niczym szalone fraktale z powtarzających się w nieskończoność tożsamyh elementów, tworzyły sieć podobną do kłębowiska szczepionych ze sobą skorpionów. Sterczące w niebo iglice, masywne przypory, wielościennie, nieregularne bryły sprawiały wrażenie, że miasto narastało powoli niczym chorobliwy nowotwór. Perspektywa zdawała się zaburzona, ciągi ulic czy tuneli wykrzywiały się, rosły, malały i rozszerzały nienaturalnie. Dolne partie budynków tonęły w morzu, rozciągającym się po horyzont przestworze atramentowej cieczy gęstej jak ropa. Cuchnęło zgnilizną i rozkładem. Słodki trupi zapach zdawał się emanować nawet z kamieni, które służyły za budulec niższych partii ścian. Wyższe, pełne wybrzuszeń, narośli i wypustek, wydawały się zlepione z jakiejś organicznej substancji przyrastającej nieregularnie w miarę upływu czasu. Miałem wrażenie, że patrzę na potwornego polipa, coś w rodzaju upiornej kolonii koralowców. Ponad wszystkim wisiało czarne niebo poznaczone liszajami purpurowych, nieustannie wirujących mgławic. Poczulem zawrót głowy i mdłości.

Staliśmy na czymś w rodzaju balkonu, postrzępionego mostka kapitańskiego, a raczej macki, którą wypuszczał budynek, żeby szczepić się z sąsiednim. Fahrad zwrócił na mnie ciemne, płonące oczy.

- Chodź, synu. Musisz coś zobaczyć.

Wnętrze przypominało brzuch Lewiatana. Poskręcane węzlaste kolumny podtrzymywały wydęty, upstrzony brodawkami narośli strop. Nie było mebli. Z cienia wysunęli się cicho trzej rośli mężczyźni o identycznych, całkowicie obojętnych twarzach. Jeden z nich przyklęknął, rozwinął bure zawiniątko złożone u stóp najbliższej kolumny. Błysnął jaskrawy chabrowy błękit krzyczący kolorem



wśród czerni, zgniłych zieleni i brązów wnętrza. Poczulem nagły skurcz łąku. Obróciłem się do Fahrada. Sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego.

- Nie bój się - powiedział. - Musisz się przekonać. Poznać własną krew.

Mężczyźni wciągnęli przez głowy niebieskie tuniki. W ciemnej hali zdawali się płonąć błękitnym ogniem. Wszyscy uklękli, sięgnęli po płaskie miseczki pełne tłustego, krwistoczerwonego barwnika. Z powagą, starannie malowali sobie twarze i dłonie, aż przemienili się w demoniczne manekiny, wielkie marionety z upiornego teatru.

- Co? - wyjąkałem przez ściśnięte gardło.

Strach zamienił mi nogi w galarete, serce miałem ciężkie jak kowadło. Fhrad tylko pokręcił głową.

Mężczyźni powstali, milcząc, podszli ku mnie. Chciałem uciekać, ale ciało nie zareagowało. Stałem bez ruchu, patrząc na zbliżających się oprawców. Sprawnie przewrócili mnie na podłogę, rozciągnęli. Jeden przytrzymał moje wyciągnięte nad głowę ręce, drugi usiadł na nogach. Broniełem się, ale równie dobrze mogłem walczyć ze stadem słoń. Każdy z chabrowych katów mógłby złamać mi kręgosłup tak łatwo, jak łamie się wykałaczkę.

- Fhrad! - wrzasnąłem. - Ratunku! Odwołaj ich!

Lewantyńczyk uśmiechnął się, położył palec na ustach.

Przez chwilę patrzyłem na pokryty purchlami sufit, potem zawisł nade mną krwawy księżyc obojętnej, poważnej twarzy. Poczulem, jak mocarne palce drą materiał koszulki, którą miałem na sobie. Zacząłem krzyczeć, a wtedy zagłębił dłonie w środek klatki piersiowej i rozdarł mnie na pół. Wrzeszczałem, wyłem z bólu i przerażenia, miotałem się w drgawkach agonii zalewany strugami gorącej krwi, a błękitno-czerwoni oprawcy nie zwalniali uścisku. Słabłem, krzyk przerodził się w jęk, potem w rżenie, oczy zasnuwała mgła, przez ręce i nogi płynęło do wnętrza ołowiane zimno. Oddech stał się ciężki, charkotliwy, zamierał. Ktoś zaciągnął kurtynę cienia i umarłem. Ból natychmiast ustał, odzyskałem ostrość widzenia, chwyciłem hausty powietrza jak biegacz, który przemierzył ogromny dystans. Oprawcy wstali, uklonili się głęboko i odeszli. Usiadłem w kałuży krwi. Porządnie roztrzęsiony, nie ma co ukrywać. Cały byłem umazany posoką. Drżałem. Powoli opuściłem wzrok, żeby zbadać klatkę piersiową i brzuch. Na skórze biegła jak namalowana cienka czerwona linia.

- Witaj, synu - powiedział Fhrad. W jego głosie brzmiało ukryte wzruszenie. - Teraz zrozumiałeś.

- Nie bardzo - mruknąłem.

Wyciągnął do mnie rękę, pomógł wstać.

- Chodź - nakazał.

Spełniłem polecenie. Nie czułem żadnej słabości, żadnych zawrotów głowy. Minał też strach. Zaczynałem czuć dziwne uniesienie, jakbym miał się stać bohaterem podniosłego wydarzenia.

Fhrad ustawił mnie między dwiema kolumnami i nagle pojąłem, że wróciliśmy do pubu. Staliśmy przed wielkim lustrem.

- Synu, przesun lewą dłonią wzdłuż szramy.

Ledwo musnąłem palcami skórę, zaczęła się otwierać. Oniemiałem. Jakże piękny i doskonały był splot macek wewnątrz. Pulsujące lekko srebrzyste węże, pokryte opalizującą tęczowo łuską. Cudowna istota, którą kryłem w środku. Którą sam byłem.

Spojrzałem na Fahrada. Po policzkach płynęły mi łzy. Wiedziałem już. Poczulem wspólnotę krwi. Potężną, tajemniczą więź.

- Ojczy - wyszeptałem - co za radość.

- Wiem.

- Dlaczego nie mogę zostać w domu? Czemu sprowadziłeś mnie z powrotem? - spytałem, bo nie

wiedziałem, czy zdołam tu teraz żyć z przemożną tęsknotą za moim miastem, za czarnym brylantem naszej planety.

- Wkrótce zrozumiesz. Musisz spełnić zadanie. Jesteś kluczem.

- Samanta! - zawołałem. - Chcę ją zobaczyć!

Pokręcił przecząco głową.

- Nie teraz, synu. Powróciła do miasta. Wykonała swoją pracę. Czeka tam na ciebie, aby się z tobą na zawsze połączyć i spłodzić twoje potomstwo.

Spojrzałem w taflę lustra. Przez moment zdawało mi się, że widzę zarysy budynków, czarne niebo ze strzępami galaktyk i widmową twarz Samanty zawieszoną na tle gwiazd. Uśmiechała się do mnie. Rozwiane włosy były ogniem, a w otwartej piersi srebrzyły się pulsujące, splecione węzły strun. Wizja zgasła szybko, pozostawiając smutek.

- Jesteś tu, żeby ostatecznie otworzyć przejście - powiedział ojciec. Nie spłodził mnie, ale wiedziałem, że jestem jego synem, tak samo jak dzieckiem wszystkich starszych tej samej krwi. - Wiem, jak trudne przypadło ci zadanie. Chylę przed tobą czoła. Wygnaniec, zawsze obcy, zawsze odmienny. Czego doświadczyłeś od ludzi prócz krzywd? Przypomnij sobie życie, które pokazaliśmy ci w chwili odnalezienia bramy. Współczuję ci i zazdroszczę zadania. Spełnij je, synu. Niegdyś byliśmy wszędzie. Władaliśmy Ziemią. Mieliśmy światy u stóp. Wyparli nas podstępnie, wygnali. Bogowie zasnęli martwym snem. My zostaliśmy wygnani z powrotem na mroczną gwiazdę, dawny dom. Już nie rządymy światami. Ale te chwile wrócą. Dzięki takim jak ty. Jest was więcej, w różnych punktach Ziemi. Walczycie, pracujecie, poświęćcie życie i szczęście, aby zbudzić bogów. Masz klucz w dłoniach, synu. Sam jesteś kluczem. Stoisz tak blisko sukcesu, aż boję się mówić. Musisz odnaleźć prawdziwe oblicza bogów. Stworzyć ich wizerunki i umieścić w przejściu uczynionym przez tę, którą poznałeś pod imieniem Samanta. Będiesz wiedział, kiedy zobaczysz światłość Przedwiecznych w oczach wizerunku. Odnajdź dusze wszystkich Wielkich, a wówczas powstaną z letargu i upomną się o panowanie. O utracone dziedzictwo.

Płakałem.

- Ojczy, nie podołam - szepnąłem.

- Walcz. - Oparł ręce na moich ramionach. Czarne oczy lśniły. - Musisz. Niektórzy z innych też są bliscy sukcesu. Jeśli kilka przejść otworzy się równocześnie...

Urwał, obawiając się dalej mówić. Lęk, nadzieja i radość szalały w moim umyśle jak tornado.

- Masz potomka na Ziemi. Córkę.

Skinąłem z roztargnieniem głową.

- Tak, ale...

Uniósł w górę palec, nakazując ciszę.

- Nie lekceważ jej. Jeśli przekazałeś dziecku dziedzictwo krwi, może okazać się potężniejsza, niż zdołasz przypuszczać.

Spuściłem wzrok.

- Tak, ojczy.

- Sprawdź - nakazał. - Wiesz, jak to uczynić?

Wiedziałem.

- Idź - powiedział. - Nie wolno ci tracić czasu.

Nie pytałem, czy go jeszcze zobaczę. To byłoby dziecinne pytanie. Przyszłość szybuje wśród gwiazd, w uśpionych umysłach bogów.

Wróciłem do pracowni. Świt rozmazał już różowy krem po nocnym niebie. Chciałem od razu zabrać się do pracy, ale nie mogłem. Ręce mi się trzęsły, dygotałem z emocji. Otworzyłem starą szafę, w której trzymałem szpargały. Lustro po wewnętrznej stronie drzwi było wyblakłe, matowe, ale spore. Zdjąłem podarty T-shirt, opłukałem się w umywalce. Struna na skórze znikła, lecz czułem, że jest tam nadal. Podeszedłem do lustra, przesunąłem dłonią po piersi i brzuchu. Idealna istota wewnątrz mnie ożywiła się, poruszyła. Nie mogłem oderwać wzroku od gładkich srebrnych splotów. Uśmiechałem się ze szczęścia. Ruchem ręki zasklepiłem szczelinę. Pozostawało coś ważnego do zrobienia. Coś, na co miałem szczególną ochotę.

Zza drzwi pracowni pilnie nasłuchiwałem, czy Margot już wstała. Cisza, szelest, odgłos kroków. Fantastycznie!

Suka tam była. W kuchni. Słyszałem ją. Odsłoniłem zęby w wilczym uśmiechu. Teraz, za moment, porozmawiamy o krwi. Obejrzymy ją. Powąchamy. Przekonamy się, kto należy do klubu.

Otworzyłem drzwi pracowni. Odwróciła się zaskoczona. Nigdy nie przerywałem pracy o tej porze. Ale właśnie nadszedł czas nowych rytuałów. Które nie będą już odprawiane na cześć królowej. O nie! Władczyni zostanie zdetronizowana i zdemaskowana.

- Co tu robisz? - spytała ostro. W orzechowych oczach pełno było niechęci.

Paskudny uśmiech wilka nie schodził mi z twarzy. Orzechowa niechęć przerodziła się w zaniepokojenie.

- O co chodzi? Zachowujesz się dziwnie.

Jak zwykle. Dla niej zawsze zachowywałem się dziwnie. Niewłaściwie. Źle. Powinna przywyknąć przez te parę lat. Gdyby zwracała na mnie uwagę.

Milczałem. Wilczy uśmiech, wilcze ślepie. Potwór wylazł z nory.

Odstawiła filiżankę na blat.

- Przesuń się - sarknęła. - Stoisz jak kołek. Nie widzisz, że nie mam gdzie postawić herbaty? Oczywiście, ty nigdy nie zainteresujesz się moją wygodą. Mogę pić herbatę na podłodze, ale ty się nie odsuniesz. Mógłbyś zachowywać się uprzejmie. To nic nie kosztuje, wiesz? Odrobina dobrych manier i szacunku okazanego kobiecie. Ale oczywiście nie da rady. Nie z tobą. Ty zawsze będziesz się zachowywał, jakbyś właśnie wlaźł do obory. Takie wzorce chcesz przekazać dziecku? Przy każdej okazji wychodzi z ciebie nieokrzesany samolub.

- Nie - powiedziałem.

Uniosła brwi.

- Nie co?

- Wszystko.

Wzruszyła ramionami.

- Wybacz, nie zrozumiałam subtelności. Dlaczego nie pracujesz? Raz trafił ci się przyzwoity kontrakt, chcesz go stracić? Nie znajdziesz kolejnego frajera, który kupi te twoje idiotyczne wylepianki. Mówiłam, odsuń się. Muszę zagrzać Perelce zupę. Ciebie oczywiście nic nie obchodzi, że twoje dziecko płacze z głodu...

Urwała, zamarła z rozdziawionymi ustami. Warto było zobaczyć wyraz zaskoczenia w orzechowej niechęci oczu. Rzadki moment, kiedy przez chwilę siedziała cicho.

- Co ty robisz? - wykrztusiła. - Po co ci ten nóż?

Uśmiechnąłem się. Żeby cię zdetronizować, królowo.

Trochę czasu minęło, zanim pojęła. Z rozumem u ciebie jak zwykle ciężiej niż z gadaniem, ślicznotko. Pisnęła histerycznie, próbując rzucić się do ucieczki. Złapałem ją w pół, obaliłem na podłogę.

Orzechowa niechęć przerodziła się w panikę. Wywrócona filiżanka spadła z blatu. Widziałem krople herbaty kapiące na posadzkę.

Królowa wrywała się, gryzła, kopała powietrze w nieudolnych próbach zrobienia mi krzywdy. Nogi wierzgały, różowe burdelowe kapcioszki ozdobione piórkami przefrunęły przez kuchnię niczym egzotyczne ptaki. Długie szkarłatne paznokcie połamały się, zanim sięgnęły mojej twarzy. Nie zdołały wydrapać oczu. Nie potrafiły, tak jak stopy nie umiały zadać celnego kopniaka ani białe, szczotkowane trzy razy dziennie zębki nie miały siły porządnie ukąsić. Tak bardzo się starała, a wysiłki okazywały się nieskuteczne. Gdyby intencje mogły zabijać, już bym nie żył. Niestety, Śnieżko. Zabić może tylko nóż. A ty zostałeś stworzona do miłości. Do miłości. Śmiałem się. Wilkołak, potwór. I dobrze. Przekonaj się teraz, słoneczko, że nie masz nad nim żadnej władzy. Może i oswoiłaś stwora, ale za często używałaś bata. Teraz zwierzę ma dość. Zwierzę, kudłate wilczysko, potwór.

Dyszała pode mną, śliniła się, panika wykrzywiła rysy porcelanowej lalki, makijaż spływał po twarzy jak czarne łzy. Za późno, za późno na wszystko.

Zawyla, kiedy zdzierałem jej ubranie. Przerazona, że zechcę drogiego lalczego ciała. Ja, mąż. Potwór. Nie, Śnieżko. Dziękuję bardzo. Nie mam ochoty na mrożone mięso.

Wbiłem nóż z rozmachem, pociągnąłem w dół, od mostka aż za pępek. Krzyk. Wrzask. Drgawki. I czerwień. Czerwień. Czerwień.

W otwartej rozpadlinie brzucha lepkie, śliskie wnętrzności. Obrzydliwe. Cuchnące. Zachichotałem. Oto twoje prawdziwe wnętrze, księżniczko. Odśloniłem tajemnicę. Okazała się paskudna i śmierdząca. Wsadziłem w nią głęboko ręce, wyrzucałem na podłogę smutne, wiotkie węże jelit. Rzuciła się jeszcze, wrzask przechodził w ochryple rżenie. Wybałuszone, przerażone oczy nie rozumiały. Chyba nigdy nie grzeszyłaś rozumem, moja droga. Odpowiedz, gdzie jest teraz twoja sekretna dusza, Krecia Fryzurko? Gdzie te wszystkie niebywałe cudowności? Zalutują kloaką! Śmiałem się, klaskałem w lepkie od czerwieni dłonie. Co za niespodzianka! Masz w środku kupę zgnilizny, ślicznotko. A gdzie perła? Gdzie drogie klejnot? Nie ma? Niebywałe! Chichotałem zachwycony. Wiedziałem, byłem pewien, że nie jest z naszej krwi.

Margot już się nie ruszała. Skończyły się nawet konwulsyjne drgawki. Oczy z wywalonymi białkami gapiły się w sufit bezmyślnie. Otwarte usta, śluz, krew, paskudna, bezlitośnie odsłonięta cielesność. Zły chłopiec zepsuł lalkę. Ale pomyślmy, czy nie czas skończyć z zabawą lalkami? Nie czas ostro zareagować, kiedy lalki zaczynają bawić się ludźmi?

Kłęczałem w kałuży krwi, a srebrny sierp noża uśmiechał się do mnie. Przyjacielu, gdyby Margot widziała, jak wygląda kuchnia! Nie wyobrażasz sobie afery. Zaraz, chyba zostało coś jeszcze do sprawdzenia. Jakość perły. Nie znam się na biżuterii, ale z pewnością potrafię ocenić, czy jest prawdziwa.

Zabrałem milczącego, srebrnego pod warstwą krwi przyjaciela ze sobą. Idąc, znaczyliśmy trop ciężkimi kroplami szkarłatu. Pochyliłem się nad łóżeczkiem. Moja córka spała. Słodki bobasek z mięciutką chmurką niemowlęcych włosów nad czołem.

- Hej - szepnąłem. - Kim jesteś? Jedną z nas?

Otworzyła oczy. Niebieskie, nie orzechowe. Moje. Wpatrywały się we mnie uważnie, długo. Wreszcie na usta zaczął jej wypełzać uśmiech. Porozumiewawcze, łotrowskie skrzywienie warg, wcale nie dziecięce. Mrugnęła do mnie i zachichotała. Ostry, nieprzyjemny dźwięk przypominał grzechotanie.

Nagle zaczęła się przeistaczać. Patrzyłem zafascynowany, jak wydłuża się głowa, przybierając kształt obłego grotu, powiększają oczy, czerwieniejące niczym dwa olbrzymie rubiny, nos przemienia się w

rogowy grzebień, a usta w szeroką szramę skrywającą ostre jak igły zęby. Ciało wydłużyło się także, porosło delikatną, mieniącą się złotem i czerwienią łuską, wykształciło zwężający się ku końcowi ogon zwieńczony kostną maczugą z hakiem przypominającym żądło. Ręce i nogi mego pięknego dziecka wywinęły się nienaturalnie do tyłu, jakby zamierzało zrobić mostek, odsadziły się na sztywnych stawach od tułowia, uniosły ciało w górę. Dłonie i stopy miały krótkie palce, zakończone potężnymi, zakrzywionymi szponami. Moja córka wysliznęła się z cudowną zwinnością z pieluch i kołdry, a wtedy stwierdziłem z zachwytem, że jej pierś i brzuch stały się teraz grzbietem ozdobionym rzędem



kostnych wypustek. Głowa jednak wciąż zwrócona była twarzą do góry, czerwone oczy mrugały do mnie, a pozbawiona warg paszcza kłapała igłami zębów tuż przed karkiem. Miejsce, gdzie dawniej znajdowało się ciemę, stanowiło teraz koniec grotowatego łba, wzmocniony twardymi, zachodzącymi na siebie łuskami. Była taka piękna! Zwinna, szybka, zwrotna, niczym język płomienia. Patrzyłem na nią z zachwytem i lękiem w sercu. Nigdy w życiu nie czułem takiej dumy. Moje dziecko,

moja córka. Jakże mnie przerastała. Jej doskonałość nie miała skazy. Ze szramy ust nieustannie wydobywał się chichot. Czerwone oczy płonęły.

Nie śmiałem się odezwać. Buszowała w łóżeczku między pościelą, zręczna i gibka. Wtem spojrzała mi prosto w oczy, mrugnęła ponownie i błyskawicznie wspięła się po prętach łóżka, aby zbiec na podłogę, głową w dół, czepiając się drewnianej konstrukcji szponami dłoni i stóp oraz hakiem ogona. Śmignęła w głąb mieszkania, z chichotem i chrobotem pazurów o podłogę.

Czułem straszny wstyd, że śmiałem zważyć w czystość jej krwi. Była przecież najwyższej próby, idealna. Przepraszałem w myślach moje doskonałe, potężne dziecko, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że nie zna takich słów jak przebaczenie czy przywiązanie. Nigdy nie stanę się godny roli, jaką mi przydzielono. Wszystko, co mogę zrobić dla przyszłości córki, to wywiązać się z zadania.

\*\*\*

Wróciłem do pracowni. Siedzę tam nieprzerwanie, sam nie wiem, godziny, dni? Ręce mam brunatne od skrzące krwi. Lepię figurki. Tworzę potwory. Moich braci, moje dzieci. Czasami dopada mnie rozpacz. Krzyczę wtedy, niszczę zrobione wcześniej modele, zabijam te dzieci, które są kalekie. Nie ma miejsca na niedoskonałości. Potem płaczę, rozmazuję łzy i smarki palcami pokrytymi skorupą krwi. Wtedy, na krótko, krew Margot znowu ożywa intensywną czerwienią. Żeby się uspokoić, czytam księgę. Święte znaki Przedwiecznych. Imiona, atrybuty, zaklęcia. Wodzę palcami po wyłobieniach tłoczonych skóry, wspominając Samantę.

Czasem popadam w zniechęcenie. Tracę nadzieję, gapię się w ślepie stworów, które nigdy nie staną się idealne. Jesteś kluczem, powtarzam sobie, ale nie mam już siły. Wtedy siadam i nasłuchuję. Słyszę ciężkie, nieporadne szuranie w kuchni i monotony szep. To moja żona obija się o meble, upuszcza bez przerwy butelkę z pokarmem dla Perełki, w beznadziejnych, wciąż ponawianych próbach zagrania dziecięcej zupki. Biedaczka, straciła na urodzie, przysięgam wam. Gdyby mogła się teraz zobaczyć, umarłaby ze wstydu.

Ale nie ją pragnę usłyszeć. Czekam na chrobot zakrzywionych pazurów i wysoki, zgrzytliwy chichot. Jest. Dobiega z salonu. Cichy odgłos skrobienia, kiedy smuga złota i czerwieni wdrapuje się na ściany, buszuje w kredensie. Otworzę świat dla ciebie, moje dziecko.

Niedługo, wiem. Mam chwile załamania, ale robię postępy. Pracuję bez przerwy. Wiem, że niebawem ujrzę światłość Przedwiecznych w ślepiach jakiejś szkaradnej, tandetnej figurki z modeliny.

Boicie się? Powinniście. To już niedługo. Może zaraz, może nawet w tej chwili. A wtedy świat będzie należał do bogów i do cudownych, gibkich istot, które nie wiedzą, co to litość czy miłosierdzie.

Poczekajcie. Trochę. Tak jak ja. To już niedługo. Wiem. Czekam. Czekam. Czekam.

*To było wyzwanie. Kawalek do antologii o katach. Ponura sprawa. Kat, rzecz jasna, musi katować. Więc krew, pot i łzy, ciemne lochy, okropne maszyny i wrzaski torturowanych. Chciałam tego za wszelką cenę uniknąć, po trosze z powodu ponurości tematu, po trosze z przekory. W ten sposób powstał mistrz Ambrosius, dandys, bękart, mistrz fechtunku, utalentowany rysownik i*



*kat-psychopompos.*



# Spokój Szarej Wody

Miecz uniesiony wysoko w górę lśnił jak ostry, cienki sopel na tle bezchmurnego nieba. Mistrz Arseniusz trwał w bezruchu, doskonale skoncentrowany. Na suchej, ascetycznej twarzy zastygł wyraz skupienia. Zamknięte powieki nawet nie drgnęły. Wyglądał jak posąg z białego marmuru.

Tłum na dziedzińcu zamarł w oczekiwaniu, nieruchomy i cichy, jakby czas nagle się zatrzymał zamarznęty na końcu wzniesionego ostrza. Trybuny, szare kamienne mury dworu, ciemne plamy drzew w ogrodzie wydawały się nienaturalnie płaskie i bezbarwne, jak sztych wyrzuty sprawną ręką na błękitnej tafli nieba.

Nawet skazana na ścięcie kobieta klęczała bez ruchu, zupełnie spokojna, jakby bała się niestosownym zachowaniem zakłócić misterium.

- Niech powróci spokój. Niech zapanuje prawda.

Poważny głos Arseniusza zabrzmiał w ciszy dziedzińca przejmująco i mocno. Srebrny sopel opadł ze świstem na obnażony kark klęczącej. Pomocnik mistrza natychmiast schylił się po głowę, błyskawicznie uniósł ją za włosy i umieścił w srebrnym stojaku ustawionym naprzeciw pnia w taki sposób, by twarz była zwrócona w stronę zdekapitowanego ciała. Przez tłum przebiegło westchnienie. Struga czerwonej, gorącej krwi buchała prosto do srebrnej wanny, nie rozpryskując się na deskach szafotu.

Mistrz Arseniusz oparł czubek miecza o podłogę podestu, wsparł na rękojeści lewą dłoń. Pomocnik szybko usunął się za plecy swego chlebodawcy. Arseniusz czekał skupiony i spokojny.

Krew tryskająca z przeciętej szyi trupa zaczęła czernieć. W srebrnej wannie zakipiały bąble szkarłatnej cieczy, która spieniła się i momentalnie zmieniła barwę na atramentową czerń. Przez tłum przebiegło kolejne westchnienie.

Siedzący pośrodku trybuny Gwalbert, pan Szarej Wody i okolicznych włości, odwrócił wzrok od szafotu. W milczeniu przyglądał się własnym palcom. Twarz miał kamienną, jakby wyciosaną z bryły granitu, na pozór pozbawioną wyrazu, lecz drobne skrzywienie ust i cienie wokół oczu znamionowały z trudem skrywany smutek.

Młoda kobieta siedząca po jego lewej ręce, ubrana w kosztowną, sztywną suknię, wydawała się pozbawioną życia lalką. Wyprostowane plecy przylegały do oparcia fotela, dłonie białe i nieruchome jak martwe gołębie spoczywały na kolanach. Złote włosy zaplecione w kunsztowny kok wyglądały niczym osobliwa korona. Piękna, owalna twarz o regularnych rysach odznaczała się chorobliwą bladością za sprawą grubo nałożonego makijażu. Rzęsy i powieki starannie pomalowano na czarno, a małe usta lśniły jaskrawą czerwienią niczym kropla świeżej krwi. Tylko żółte oczy pani Sulpicji, małżonki Gwalberta, płonęły życiem, wpatrzone w scenę na szafocie.

Krew w srebrnej waniencie wrzała. Ponad naczyniem unosił się i gęstniał szarawy opar, powoli przybierając kształt ludzkiej postaci. Kobiety o rozwianych włosach i ślepiach białych jak gotowane kurze jaja.

Mistrz Arseniusz wyciągnął przed siebie prawą rękę. Upiór wyszczerzył kły i zawył. Potrząsał ramionami, zaciskając pięści, ale nie ośmielił się rzucić na kata.

- Nelo! - zawołał Arseniusz. - Ukój swój gniew. Stała się sprawiedliwość. Teraz niech zapanuje spokój.

Widmo wydało z siebie przejmujący wizz. Otworło pysk pełen ostrych zębów, ale wciąż nie miało odwagi zaatakować.

- Krew za krew, a śmierć za śmierć - powiedział Arseniusz.

Upiór zadrżał, skulił się w sobie. Czarna ciecz w naczyniu zabulgotała, podniosła się i wystąpiła z brzegów. Gęste strugi popłynęły na deski szafotu, z głośnym sykiem stykały się z drewnem. Ponad wanną znów zawisł opar szary jak dym. Zawirował i zaczął przemieniać się w dwa kolejne widma. Zwalistego mężczyzny o twarzy wykrzywionej wściekłością i młodzieńca z ponuro zaciśniętymi ustami.

Zgromadzeni przy egzekucji gapie cofnęli się odruchowo. Przez tłum przebiegały strwożone szepty i okrzyki strachu. Pan Gwalbert ucisnął palcami kąciki oczu. Usta wykrzywił mu grymas cierpienia. Nie patrzył na szafot.

Upiór straconej kobiety wydał głuchy jęk, zamachał rozpaczliwie ramionami. Dwie nowe zjawy wyciągnęły ku niemu szpony, rozdziawiły zębate pyski, wydając nieludzki wrzask pełen gniewu i nienawiści. Dwie pary czerwonych ślepiów płonęły żądzą zemsty. Zdawało się, że za moment rzuca się na widmo kobiety, zniszczą je potęgą swego gniewu, a potem spłyną na zgromadzonych wokół ludzi i nikomu nie pozwolą ujść z życiem.

- Spokój i prawda! - krzyknął Arseniusz dobitnie.

Upiory zamarły w bezruchu. Kat wyciągnął ku nim wskazujący palec.

- Zapomnienie - rzekł. - Cisza i spokój.

Wokół zjaw zawirowała srebrna mgiełka. Upiorne pyski z wolna zmieniały się w zwykłe ludzkie twarze. Szpony znikwały, kły kurczyły się do rozmiarów ludzkich zębów, w oczach gasł gniew, pojawiała się za to głęboka melancholia śmierci. Trzy srebrzyste teraz, drżące w powietrzu postaci spoglądały na siebie ze zdumieniem i ciekawością. Widma już nie interesowały się zgromadzonymi wokół ludźmi, całą uwagę koncentrując na sobie nawzajem. Ujęły się za ręce, tworząc krąg, zawirowały i rozpląnęły się w srebrną, niknącą szybko poświatę. Mężczyzna, kobieta i chłopiec zniknęli na zawsze.

Ciecz w wannie przestała bulgotać, zmieniła kolor z czarnego na srebrny, aby po chwili stać się zwykłą ludzką krwią. Misterium dobiegło końca.

Wśród widzów egzekucji dało się odczuć zwyczajowe poruszenie. Odezwały się pierwsze głosy, nieśmiałe śmiechy. Wszyscy czuli się oczyszczeni, spokojni i bezpieczni. W zwykłych okolicznościach zgromadzenie przerodziłoby się szybko w zabawę z tańcami, śpiewem i ogniskami na błoniach, ale z powodu panującej na dworze żałoby uczestnicy wydarzenia zaczęli rozchodzić się niechętnie do domów.

Pan Gwalbert pospiesznie opuścił trybunę, za nim podążyła milcząca, chłodna Sulpicja.

Mistrz Arseniusz stał wsparty na mieczu. Czuł zmęczenie i pustkę. Perfekcyjnie przeprowadzona egzekucja jemu nie przyniosła ukojenia.

Pomocnicy sprawnie zajęli się ciałem, a potem opróżnili i zaczęli szorować wannę. Arseniusz miał wielką ochotę oddać któremuś z nich miecz z prośbą o oczyszczenie, ale nigdy jeszcze nie postąpił wbrew zwyczajom bractwa. Teraz też nie zamierzał tego uczynić. Nawet jeśli zawiódł o stokroć gorzej, nie mogąc sprostać zadaniu. A może szczególnie wtedy.

Westchnął i zszedł ze stopni szafotu, dźwigając na ramieniu miecz.

\*\*\*

Przez okna sączyła się do pokoju ciemność, rozpraszana mdłym blaskiem stojącej na stole lampy. Na dźwięk pukania Arseniusz odłożył rysik i odsunął brulion.

- Proszę - zawołał, a w jego głosie wyraźnie dawało się słyszeć znużenie.

W szparze drzwi pokazała się twarz pomocnika.

- Mistrzynie Lucylla do ciebie, mistrzu.

Arseniusz zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Wprowadź - nakazał.

Drzwi otwarły się i smukła postać w białej szacie wkroczyła do pokoju.

- Witaj, Arseniuszu. Widziałam dzisiejszą egzekucję. Perfekcyjna.

Kat uśmiechnął się gorzko.

- Nie rań mojej dumy, Lucyllo. Nie chwał, proszę, prostych, rutynowych zabiegów, które mogłyby wykonać byle czeladnik. - Wydał pogardliwie usta. - Egzekucja wiejskiej trucicielki, która dla zdobycia spadku zamordowała męża i pasierba. Jakiego trzeba kunsztu, żeby uspokoić ich dusze!

Ciemnowłosa kobieta usiadła za stołem, serdecznym ruchem ujęła dłoń Arseniusza.

- Nie zapominaj, że ja także jestem bezradna. Tak samo jak Rufus.

Spojrzał w czarne, pełne współczucia oczy Lucylli.

- Schodziłaś do lochów? - spytał.

Drgnęła.

- Nie. Nie mogę się na to zdobyć. Ogarnia mnie lęk. To dopiero można nazwać brakiem profesjonalizmu, co?

- Nie mów tak - szepnął Arseniusz. - Po prostu zadanie przerasta nas wszystkich. Potrzebny jest ktoś wyjątkowy, ktoś obdarzony wielkim talentem.

Lucylla westchnęła.

- Myślałam o tym - przyznała. - Zwróciłeś dziś uwagę na pana Gwalberta? Z trudem ukrywał cierpienie. Przedłużanie tego musi być dla niego torturą.

Arseniusz przesunął ręką po twarzy.

- Wiem - powiedział z bólem. - Gwalbert jest człowiekiem wielkiej dobroci i szlachetności.

Doprawdy nie zasłużył na taki los.

Lucylla podparła dłonią brodę.

- Stracił ukochaną żonę, a gdy ożenił się po raz wtóry, zamordowano mu pierworodnego syna, a potem córkę z drugiego małżeństwa. A zbrodniarz wciąż pozostaje nieukarany.

- Nie zapominaj, że próbował też zabić panią Sulpicję - wtrącił Arseniusz.

Lucylla skrzywiła się lekko.

- No ale mu się nie udało.

- Na szczęście - westchnął Arseniusz, który nie usłyszał sarkazmu w głosie mistrzyni.

- Niebawem przyjdzie Rufus - odezwała się po chwili Lucylla. - Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

Arseniusz masował palcami skronie.

- Poprosić bractwo o pomoc. Sama wiesz, że nie poradzimy sobie nawet we trójkę.

Mistrzynie skinęła głową.

Znów rozległo się stukanie do drzwi. Pojawił się pomocnik z wieścią o przybyciu mistrza Rufusa. Chwilę po nim do pokoju wkroczył sam Rufus, postawny, czarnowłosy i jak zwykle ponury. Przywitał się z przyjaciółmi i ciężko opadł na krzesło.

- Odwiedziłem lochy - mruknął. - To beznadziejne.

- No coś takiego! - burknął Arseniusz.

Rufus niezrażony ciągnął dalej.

- Wiem, że chcecie poprosić o pomoc bractwo. To prawdopodobnie jedyne wyjście. Ale nie zapominajcie, że należymy do grona najlepszych. Skoro we trójkę nie jesteśmy w stanie podołać zadaniu, kolejny mistrz przysłany przez bractwo niewiele nam pomoże. Nie wierzę, że czterech czy

nawet pięciu da sobie radę tam, gdzie my zawiedliśmy.

Lucylla uniosła głowę.

- Więc co radzisz? Zbrodniarz musi ponieść karę!

- Oczywiście - zgodził się Rufus. - Ale w tym celu bractwo powinno nam przysłać najlepszego kata.

- Nie myślisz chyba...? - zaczął i urwał Arseniusz.

Rufus z ponurą miną pokiwał głową.

- Jest tylko jeden taki. Mistrz Ambrosius.

W pokoju zaległa cisza. Trójka katów w milczeniu patrzyła na siebie.

- Rufus ma rację - powiedziała wreszcie Lucylla. - Musimy poprosić o pomoc mistrza Ambrosiusa.

\*\*\*

Zapadł zmrok. W pokojach, klatkach schodowych i korytarzach dworu Szarej Wody kładła się ciemność. Wszędzie panowała nienaturalna cisza. Służba przemykała pod ścianami, starając się jak najszybciej przemierzać puste pomieszczenia. Choć do domu wkradła się śmierć, pan Gwalbert nie zezwolił na zwyczajowe ceremonialne obchodzenie żałoby, które pozwoliłoby zamienić nieszczęście w szumne, doskonale oswojone teatrum. Nie odprawiono żalów, nie zapłonęły świece, nie odwrócono luster, nie zakryto portretów czarnymi draperiami. Tylko przygnębienie i lęk wisiały gęstym kirem nad domostwem Gwalberta.

Matea, stara gospodyni, posapując z wysiłku, truchtała korytarzem drugiego piętra. Ścisnęła kurczowo lampę, lękliwie rozglądając się na boki. Wiele by dała, żeby znajdować się teraz w bezpiecznej, jasno oświetlonej, pełnej gwaru kuchni. Każdy cień, każdy załom muru sprawiał, że serce kobiety wpadało w histeryczny galop. Pod schludnie upiętym czepkiem włosy lepiły się od zimnego potu.

Chłodny powiew zerwał się nie wiadomo skąd, zatrzepotał szeroką spódnicą staruszki. Lampa w dłoniach Matei zadrżała. Gospodyni zatrzymała się, rzuciła trwożne spojrzenie w głąb korytarza.

Chłopiec po prostu wyszedł ze ściany. Był blady. W migotliwym świetle lampy wydawał się niemal przezroczysty, choć wszystkie szczegóły postaci pozostawały doskonale widoczne. Plamy krwi na brązowym aksamitnym ubranku lśniły oleistą, gęstą czernią. Ciemne włosy poruszały się leniwie wokół głowy, jakby chłopiec znajdował się głęboko pod wodą. Bładą twarz znaczyły sine plamy. Zaciśnięte usta tworzyły ledwo widoczną kreskę, ale tuż pod podbródkiem otwierała się szeroka krwawa wyrwa podobna do rozwartego pyska bestii. Jednak najgorsze były oczy. Nieruchome, nakrapiane złotymi cętkami, całkowicie nieludzkie oczy o źrenicach czerwonych niczym płomień.

Zjawa wyciągnęła ręce.

Lęk chwycił Mateę za gardło, nie pozwalał oddychać.

- Panicz! - wychrypiała ledwo dosłyszalnym szeptem.

Widmo przybliżyło się niezgrabnie, lecz jednocześnie nadspodziewanie szybko. Oszołomionej Matei wydało się, że wcale nie porusza nogami. Nie potrafiła oderwać wzroku od złotopłomiennych oczu. Zamarła, zeszywniała z lęku gdzieś na granicy szaleństwa i zdrowych zmysłów.

Martwy chłopiec stał, wyciągając ramiona, jakby dopominał się pieśzcot i pocałunków. Kiedy uniósł głowę, wpatrując się szkarłatnymi źrenicami w twarz starej kobiety, poderżnięte gardło rozdziawiło się obrzydliwie, jakoś niemal lubieżnie. Na krawędzi rany wykwitł i pękł krwawy bąbel.

Matea zachwiała się jak pod ciosem. Lampa wysunęła się z bezwładnych palców. Histeryczny, wysoki krzyk urwał się na najwyższej nucie i gospodyni upadła zemdlona na podłogę.

\*\*\*

Zamknięty w swojej sypialni, pogrążony w rozmyślaniach Gwalbert na echo krzyku lekko uniósł głowę. Po chwili usłyszał tupot nóg, stłumione, pełne przestachu głosy i rozpaczliwy szloch Matei. Jednak nie otworzył drzwi, nie wyszedł na korytarz. Wiedział, że powinien, ale nie czuł się na siłach. Również nikt ze służby nie ośmielił się go niepokoić.

Pan Szarej Wody skulił się i ukrył twarz w dłoniach. Nawet gdyby próbował zapłakać, nie potrafiłby znaleźć łez. Sam sobie wydawał się martwy i uschły, niczym ciała własnych przodków spoczywające w dworskiej krypcie.

\*\*\*

Arseniusz obracał list w długich, smukłych palcach. Trzeba przyznać, że bractwo zareagowało szybko, pomyślał. A mistrz Ambrosius jeszcze prędzej. Odłożył ozdobione pieczęciami i emblematem stowarzyszenia pismo, sięgnął po niewielką kartkę i ponownie odczytał skreśloną pospiesznym pismem wiadomość.

*Do wielce szanownego Arseniusza, mistrza Bractwa Sprawiedliwości i Prawdy.*

*Przybyłem niezwłocznie, ledwie otrzymałem nakaz bractwa. Żywię nadzieję, że nie musieliście długo czekać. Zatrzymałem się w gospodzie „Pod Tłustym Cyckiem”. W każdej chwili jestem gotów służyć swa skromne osoba.*

*Ambrosius.*

Arseniusz zmarszczył czoło. „Pod Tłustym Cyckiem”, pomyślał zdziwiony. Kto słyszał, żeby mistrz, i to mistrz tej klasy, zatrzymywał się w podobnie podłej speluncie. Czyżby Ambrosius był do tego stopnia uduchowiony, że nie zdawał sobie sprawy z niestosowności swego zachowania? Czemu od razu nie zajechał do dworu?

Wtem Arseniusz doznał tak nagłego olśnienia, aż kartka wypadła mu z dłoni. To oczywiste, wykrzyknął w myślach. Szlachetny mistrz Ambrosius śpieszył się tak bardzo, żeby wypełnić polecenie bractwa, że opadł z sił skutkiem morderczej podróży i musiał zatrzymać się w pierwszym z brzegu zajeździe. A pech postawił na jego drodze ten nieszczęsny „Tłusty Cycek”. Wycięczenie tłumaczy też ów dziwny list, pozbawiony zwyczajowych formuł i tytułów.

Biedny starzec, pomyślał Arseniusz ze współczuciem. Co za podziwu godna gorliwość. Co za wspaniała postawa!

Postanowił niezwłocznie wyruszyć do gospody i wybawić Ambrosiusa z przykrego położenia. Gościnną sypialnia i gabinet we dworze czekają przecież przygotowane już od czterech dni.

Jak bardzo muszą mu zazdrościć Lucylla i Rufus, przebiegło jeszcze przez myśl Arseniusza. Oboje musieli, niestety, powrócić do swoich okręgów, aby wypełniać obowiązki. W końcu tylko Arseniusz pełnił funkcję kata w majątku Szarej Wody. Wiedział jednak dobrze, że przyjaciele nie zmarzną okazji i staną na głowie, żeby przybyć na egzekucję odprawianą przez samego mistrza Ambrosiusa. Ale tylko jemu przypadnie zaszczyt opiekowania się słynnym gościem.

Uśmiechnął się do siebie i pospiesznie opuścił pokój.

\*\*\*

Gospoda „Pod Tłustym Cyckiem” była obszerną chałupą, nakrytą nisko spadającym dachem. Ze

środka dochodził gwar, śmiechy i pijackie śpiewy. Przez niewielkie okna bił wesoły blask licznych lamp i świec. Przed samym wejściem rozciągała się rozległa kałuża, na której skraju spał snem sprawiedliwego jakiś pijak. Mistrz Arseniusz z obrzydzeniem stąpał po błocie, starając się nie ubrudzić białej szaty znamionującej przynależność do bractwa.

Śpieszył się tak bardzo, by uwolnić szacownego Ambrosiusa od konieczności przebywania w okropnej speluncie, że potracił nogą śpiącego opoja, ale ten wydał tylko nieartykułowany pomruk. Twarz Arseniusza wykrzywił grymas wstrętu. Zdecydowanym ruchem popchnął drzwi.

Gospoda była przepelniona. Za długimi stołami siedzieli na ławach goście zajęci podszczypywaniem karczarek, grą w kości i opróżnianiem kielichów, a w niektórych przypadkach także żołądków. Śmierdziało potem, skwaśniałym winem i wymiocinami. Arseniuszowi zrobiło się mdło, ale klienci gospody wyraźnie bawili się w najlepsze, nie bacząc na atmosferę czy okoliczności. Przybycie kata pozostało właściwie niezauważone, jeśli nie liczyć kilku bardziej trzeźwych gości siedzących blisko drzwi, którzy obrzucili mistrza ponurymi spojrzeniami.

Arseniusz rozejrzał się uważnie, ale nigdzie nie zauważył samotnej postaci w białej szacie. Nic dziwnego, pomyślał. Mistrz zapewne odpoczywa na górze, w wynajętym pokoju. Nie spodziewał się ujrzeć Ambrosiusa pośród tego motłochu. Przepchnął się do szynkwasu. Ludzie ustępowali mu z drogi gorliwie, choć w oczach mieli niechęć i strach. Strój i postawa kata budziły szacunek, lecz podszyty nieufnością. Gospoda „Pod Tłustym Cyckiem” rzadko gościła takie osoby. Arseniusz stanął wreszcie twarzą w twarz z karczmarzem.

- Gdzie znajdę mistrza Ambrosiusa z Bractwa Sprawiedliwości i Prawdy? - spytał.

Gospodarz wytrzeszczył oczy.

- Nie wiem, panie - wymamrotał zmieszany. - Nie znam takiego.

- Pytam o dostojnego starca, który zatrzymał się dzisiaj w gospodzie. - Arseniusz pomyślał, że mistrz widocznie nie chciał zdradzać swej tożsamości w tak podejrzanym miejscu.

- Żaden starzec się u nas nie zatrzymał. - Karczmarz podrapał się w łysinę. - Chyba że tamten cieśla, pijanica, jakich mało, ale tylko dlatego, że zwałił się jak kłoda i nie mógł wrócić do domu.

Ruchem podbródka wskazał na chrapiącego w kącie brudnego starucha.

Arseniusz się zirytował.

- Czemu kłamiesz, głupcze? - warknął. - Wiem dobrze, że się tu zatrzymał. Jeśli go okradliście lub skrzywdziliście, jeśli choć włos spadł mu z głowy, zgnijesz w lochu!

Szynkarz pobladł gwałtownie.

- Nic nie wiem, panie! - wyjąkał. - Zlitujcie się! U nas nikt taki się nie zatrzymał. Tylko ten młody kawaler, który kończy teraz pieczoną kaczkę przy stole w rogu. Przysięgam, tylko on!

- Co mnie obchodzi twój kawaler! - krzyknął Arseniusz, teraz już na dobre przestraszony, że szacownego gościa spotkało coś złego. - Pytam, gdzie jest mistrz Ambrosius?! Gdzie mistrz, psi synu?

Spocony, biały jak ściana karczmarz zdawał się bliski płaczu.

- Nie wiem, panie! Przysięgam! Zlitowania, panie!

Chuda, brudna rączka pociągnęła Arseniusza za rękaw. Spojrzał w dół i zobaczył umorusaną buzię małego pomocnika z kuchni.

- Mistrz Ambrosius zaprasza do swego stołu, panie - powiedział chłopiec. - Na pasztet, pieczoną kaczkę i wino.

- Dokąd? - zdziwił się Arseniusz.

Mała rączka pociągnęła go za sobą.

- Tam w rogu, panie. Poprowadzę.



Po chwili Arseniusz znalazł się przy niewielkim stole zastawionym resztkami kolacji. Na ławach wokół siedziały trzy osoby, z których żadna nie mogła być mistrzem Ambrosiusem. Za to jedna, stosunkowo młoda i niebrzydka, z pewnością trudniła się nierządem. Siedziała na kolanach ubranego w błękitny kaftan kawalera, obejmowała go czule za szyję i chichotała, próbując schwycić zębami kacze udko, które mężczyzna podsuwał jej do ust, aby w ostatniej chwili zręcznie cofnąć dłoń z przysmakiem. Trzecim uczestnikiem kolacji był odziany na czarno żołnierz w średnim wieku, sądząc po ubiorze i broni, najemnik.

- Co to za żarty? - spytał Arseniusz ostro. Kawaler w błękitach uniósł głowę i uśmiechnął się. Ladacznica wykorzystała chwilę jego nieuwagi, żeby wbić zęby w udko. Gryzła je teraz pospiesznie, zaśmiewając się jednocześnie, bliska zakrzuszenia. Młody człowiek zepchnął ją bezceremonialnie z kolan i wstał.

- Mistrz Ambrosius z Bractwa Sprawiedliwości i Prawdy - rzekł i ukłonił się dwornie. - Do usług. A ty, szanowny panie, musisz być nadwornym katem Szarej Wody, prawda? Mistrz Arseniusz, czy tak? Nadworny kat Szarej Wody nigdy jeszcze nie był tak zbity z tropu. Z rozdziawionymi ustami przyglądał się mówiącemu. Wciąż nie mógł uwierzyć, że nie padł ofiarą jakiegoś żartu. Domniemany Ambrosius nie odznaczał się szczególnie wysokim wzrostem, był szczupły i drobny. Miał pociągłą twarz o bardzo jasnych, przenikliwych oczach i niezbyt urodziwych rysach. Rudawe włosy nosił związane w zgrabny warkoczyk. Widocznie nie zwykł używać peruki. Błękitny kaftan i biała koszula z koronkowymi mankietami były niegdyś niezwykle wytworne, ale czasy ich świetności dawno minęły. Materiał, choć szlachetny, miejscami był niezłe wytarty. U boku mężczyzny wisiała szpada. Arseniusz nie mógł wykrztusić słowa, ale niezrażony kawaler w błękitach ani na chwilę nie stracił rezonu.

- Wybaczcie, drodzy przyjaciele - zwrócił się do ladaczniczki i żołnierza. - Pani, szanowny oficerze! Musimy się na chwilę pożegnać. Dziękuję za miłe towarzystwo, ale sami rozumiecie, obowiązki. Skłonił się uprzejmie i zdecydowanym ruchem pokazał towarzyszom, że mają opuścić ławy. Arseniusz spodziewał się protestów, zwłaszcza ze strony najemnika, lecz ten wstał bez szemrania, wypiwszy na odchodnym resztę wina ze swego kielicha. Dziwka robiła przez chwilę nadąsaną minę, ale Ambrosius klepnął ją mocno w tyłek, nadając jej pożądany kierunek.

- Uciekaj - powiedział z uśmiechem. - Dość tego dobrego! Może potem po ciebie poślę. Tylko nie strugaj obrażonej damy, bo tego nie lubię.

Ladacznica momentalnie się rozpogodziła, mrugnęła zalotnie do Arseniusza i kręcąc biodrami, ruszyła przez salę.

- A więc, szanowny mistrzu - zagadnął Ambrosius. - Zechcesz zjeść ze mną kolację? Obawiam się, że z kaczką zostały same kości, ale już zamówiłem drugą. Może masz ochotę skosztować pasztetu?

- Dziękuję - wykrztusił Arseniusz przez zaciśnięte gardło. - Nie jestem głodny.

Młody mężczyzna usiadł.

- Więc napijesz się wina. Nie jest specjalnie wyborne, ale ujdzie. Nie stój, mistrzu. Siadaj, proszę - powiedział uprzejmie, lecz jakoś tak twardo, że Arseniusz mimowolnie usłuchał.

Ambrosius zaklaskał i mały pomocnik kucharza wyrósł jak spod ziemi przy stole.

- Rusz się, chłopcze - popędził go niezwykle mistrz katowski. - Zabieraj te resztki. Nie będę konwersować z tak szanownym gościem w towarzystwie ogryzionej kaczką! Pasztet też możesz zabrać. Aha, przynieś wina i tamtej czosnkowej kiełbasy, co wisi nad szynkwasem.

Mrugnął porozumiewawczo do małego.

Buzia dzieciaka rozpromieniła się. Sprawnie zwinął półmiski i jeszcze w drodze do kuchni rzucił się na resztki, zaczynając od wpakowania do ust nadgryzionego plastra pasztetu.

Zmieszany Arseniusz wpatrywał się w blat stołu, czując na sobie przenikliwe spojrzenie towarzysza. Kiedy wreszcie odważył się podnieść wzrok, napotkał dwoje jasnych, przejrzystych jak woda, nieugiętych oczu.

Ambrosius uśmiechnął się.

- Cóż, mistrzu - rzekł - spodziewałeś się pewnie kogoś innego.

- Och - bąknął Arseniusz. - Wpatrywałem kogoś w szatach bractwa i eee... nieco starszym wieku.

Ambrosius pokręcił głową, wyraźnie rozbawiony.

- Nie wiedziałem, że w tych wszystkich bujdach, które rozpowiadają, zrobiono ze mnie starca.

- No nie. Niezupełnie - plątał się Arseniusz. - Myślałem tylko, że... mistrz z waszym doświadczeniem... musi być, eee... doświadczony... Wiele o was słyszałem. Czy mógłbym, eee... obejrzeć wasz miecz?

Ambrosius rozparł się wygodnie. Na wąskich ustach pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Oczywiście, że nie, drogi mistrzu Arseniuszu. To wbrew obyczajom bractwa. Ale jeśli nadal uważasz, że ograbiłem i zamordowałem prawdziwego Ambrosiusa, chodźmy na górę, gdzie pokażę ci listy, patenty, nakaz egzekucyjny i wyjawię kilka nieznanym laikom tajemnic naszego stowarzyszenia, wymienię skład Wielkiej Rady i chętnie podyskutuję o technicznych szczegółach naszego zawodu. Kielbasę i wino zaniósł nam na górę.

Arseniusz poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- To niekonieczne - bąknął.

Ambrosius wstał.

- Ależ tak. Będzie nam znacznie wygodniej. I tak chciałem spytać cię, mistrzu, o kilka ważnych spraw. A o ważnych sprawach łatwiej mówić bez świadków.

Wspięli się na poddasze po wąskich jak drabina schodach. Izdebka, którą wynajmował Ambrosius, była mała i nędzna. Za całe urządzenie służyło wąskie łóżko i stół z dwoma zydlami. W powietrzu panował zaduch i wszechobecny zapach pleśni.

Porządny, choć nieco sfatygowany kufer podróżny mistrza katowskiego zajmował prawie jedną czwartą pomieszczenia. Papiery i glejty bractwa leżały niedbale ciśnięte na łóżku, ale Arseniusz natychmiast zauważył, że miecz ukryty w pięknej czarnej pochwie został starannie powieszony na kołku.

Przyniesiono wino i drugą kaczkę, a Ambrosius wbrew protestom swego gościa wyrecytował skład Rady, podał tajne hasła i opowiedział kilka historyjek, które nigdy nie dotarły do uszu laików. Potem, oparłszy łokcie na stole, pochylił się ku Arseniuszowi.

- Teraz, gdy już cię przekonałem o swojej tożsamości, drogi mistrzu, zechciej opowiedzieć mi nieco więcej na temat sprawy, dla której mnie wezwano. Nakaz egzekucyjny oferuje bardzo skąpą ilość szczegółów. Wiem tylko, że troje doświadczonych mistrzów katowskich nie podjęło się zadania. Dlaczego?

Arseniusz westchnął.

- To skomplikowany przypadek, zakrawający na tajemnicze fatum. Spróbuję zacząć od początku. Gwalbert, pan Szarej Wody, miał cnotliwą i kochającą małżonkę, która powiła mu pierworodnego syna. Niestety chciało, że gdy chłopiec dobiegał trzeciego roku życia, pani Blanka umarła. Gwalbert, choć bardzo nad tym bolał, wkrótce ożenił się powtórnie, aby dziecko nie wychowywało się bez kobiecej opieki. Wkrótce nowa małżonka, pani Sulpicja, urodziła dziewczynkę, a kilka miesięcy temu chłopca. Niestety, radość z narodzin drugiego syna nie trwała na dworze długo. Ledwie pani Sulpicja wstała z połogu, wydarzyła się tragedia. Kawaler Sydoniusz, daleki kuzyn pani, oszalał. Zamordował podstępnie najstarszego chłopca, syna Gwalberta i Blanki, a następnie

jego przyrodnią siostrę. Próbował też zabić panią Sulpicję i prawdopodobnie knuł również mordercze plany w stosunku do noworodka.

- W jaki sposób schwytano mordercę? - spytał Ambrosius.

Starszy kat rozłożył ręce.

- Na gorącym uczynku, w sypialni pani Sulpicji.

Ambrosius w zamyśleniu pocierał podbródek.

- W sypialni - powtórzył. - Ale w jaki sposób? Czy pani krzyczała, uderzyła czymś napastnika, próbowała go obezwładnić?

- Och, nie! - Mistrz Arseniusz pokręcił głową. - Pani Sulpicja jest niesłychanie delikatna. Cierpiała wielce po stracie córki i pasierba, więc na widok napastnika padła zemdlona. Na szczęście pan Gwalbert, zatroskany o zdrowie żony, akurat w krytycznym momencie postanowił ją odwiedzić. Został w sypialni leżącą bez zmysłów Sulpicję i uzbrojonego w nóż Sydoniusza. Mało brakowało, a zatłukłby mordercę na miejscu jak psa, ale zdołał się opanować. Pan Gwalbert to człowiek żelaznych zasad i wielkiego serca. Nie zabiłby człowieka bez sądu i sprawiedliwego wyroku.

Ambrosius splótł palce.

- Więc Sydoniusz nie skrzywdził ani Sulpicji, ani noworodka, czy tak?

- Dziecka nie było w sypialni matki - wyjaśnił Arseniusz. - Sulpicja przeżyła tak ciężkie załamanie, że nie była w stanie opiekować się niemowlęciem. Małym paniczem zajmowała się mamka i ochmistrzyni.

Ambrosius uniósł brwi.

- Hmm - mruknął. - Wciąż nie wiem, dlaczego zbrodniarz jeszcze nie został ścięty.

Arseniusz spuścił wzrok.

- Mówiłem, jest szalony. Bije od niego tak potężna nienawiść, tak straszliwa siła, że żadne z nas, ani Lucylla, ani Rufus, ani ja, nie podjęłoby się ukoić jego ducha. Nawet we trójkę ryzykowalibyśmy za dużo. Przypuśćmy, że zdecydowałbym się odprawić egzekucję, ale dusza zbrodniarza okazałaby się dla mnie za potężna. Byłbym całkowicie odpowiedzialny za sprowadzenie na niewinnych ludzi upióra, który zabijałby mieszkańców Szarej Wody wedle woli i kaprysu. Kto potrafiłby potem schwycić i zniszczyć takiego potwora, gdyby raz wyrwał się na wolność? Dla czezej pychy któryś z nas miałby ryzykować życiem i zdrowiem niewinnych? Dlatego, szanowny mistrzu Ambrosiusie, kawaler Sydoniusz wciąż czeka w lochach na egzekucję.

- Znam obowiązki i prawa naszego rzemiosła, Arseniuszu - powiedział Ambrosius spokojnie. - Do głowy by mi nie przyszło winić ciebie lub twoich przyjaciół za ten stan rzeczy. Po prostu chciałbym znać jak najwięcej szczegółów. Mogą się przydać, gdy stanę do walki z tak groźnym przeciwnikiem.

Arseniusz nabrał głęboko powietrza.

- Wybacz, mistrzu. Niepotrzebnie się uniosłem. Ta sprawa bardzo mnie przygnębia. Nieszczęsny pan Gwalbert jest u kresu sił, nie mówiąc już o Sulpicji.

- Widma ofiar dopominają się sprawiedliwości, prawda?

Arseniusz przesunął ręką po twarzy.

- Oczywiście. Widział je chyba cały dwór.

- Pan Gwalbert też?

Arseniusz skinął głową.

- To potworne oglądać widma swoich zamordowanych dzieci. Gwalbert nie zasłużył na taki los. To dobry człowiek. Sprawiedliwy, hojny, miłosierny. Mieszkańcy Szarej Wody kochają go jak ojca. Taki pan jest na wagę złota.

Ambrosius zamyślił się.

- Czy pojawia się też upiór pierwszej żony?
- Nie. Pani Blanka umarła w sposób naturalny, skutkiem choroby.
- A Sulpicja, czy jest podobna do Blanki?
- Zupełnie inna. Pani Blanka była pełna życia, wesoła i śmiała. Sulpicja zaś to wzór skromności i nieśmiałości. Omal nie umarła, gdy zobaczyła, jak widma dzieci wyciągają do niej ręce. Ambrosius ściągnął brwi.
- Wyciągają ręce?- powtórzył. Arseniusz skinął głową.
- Wtedy pojawiły się po raz pierwszy. Na krużganku. Gwalbert i dworzanie wracali z pogrzebu małej. Ale dzieci patrzyły tylko na matkę. Wyciągały ramiona, jakby chciały, żeby je objęła. To było takie smutne.

Dziwny grymas wykrzywił na moment usta Ambrosiusa.

- Dziękuję, mistrzu - powiedział. - Bardzo mi pomogłeś. Muszę cię jeszcze prosić o drobną przysługę. Nie informuj na razie pana Gwalberta o moim przybyciu. Widząc zdumioną minę Arseniusza, zrobił uspokajający ruch ręką.
- Tylko do jutra. Chcę najpierw odwiedzić więźnia w lochu i sprawdzić, czy zadanie nie przerasta także moich sił. Nie chciałbym robić panu Gwalbertowi fałszywych nadziei.
- We dworze czekają na ciebie gościnne pokoje, mistrzu - powiedział Arseniusz trochę sztywno. Ambrosius uśmiechnął się lekko.
- Dziękuję. Chętnie z nich skorzystam, ale dopiero jutro. Dzisiejszy wieczór obiecałem damie, czyżbyś zapomniał?

Mistrz Arseniusz poczuł, że pąsowieją mu policzki.

- Oczywiście - bąknął. - Przyślę po ciebie jutro rano. Dobrej nocy, mistrzu.
- Dobrej nocy - odpowiedział Ambrosius.

Gdy tylko za Arseniuszem zamknęły się drzwi, Ambrosius zdjął ze ściany miecz, wysunął go z pochwy i wodząc palcami po głowni, zamyślił się głęboko.

\*\*\*

Mistrz Arseniusz nie zdziwił się, gdy rankiem ujrzał Ambrosiusa odzianego w zielony kaftan. W końcu kat chciał zachować anonimowość.

- Jesteś gotów, mistrzu? - zagadnął. - Czy może chciałbyś najpierw zjeść śniadanie?
- Ambrosius skłonił się lekko.
- Dziękuję - powiedział. - Jadłem w gospodzie.
- A jak spędziłeś noc? - Arseniusz nie mógł się powstrzymać od lekkiej złośliwości. Ambrosius uśmiechnął się uprzejmie.
- Doskonale, mistrzu.

Schodzili po krętych kamiennych schodach do podziemi. W lochach panował półmrok, czuć było lekki piwniczny zapach, ale nie ten zwykle spotykany w więzieniach smród zgnilizny, potu i łajna. Cele były schludne, w każdej stała prycza, czasem jeszcze niewielki stół. Wszystkie były puste. Ambrosius rozglądał się ze zdziwieniem.

- Niezwykłe - powiedział. - Żeby wszędzie tak dbano o czystość jak tutaj.

Arseniusz zdobył się na lekki uśmiech.

- Pan Gwalbert nie pozwala trzymać ludzi w złych warunkach. Twierdzi, że z brudu i smrodu lęgną się tylko choroby i ciemnota. Dwór jest miejscem sądu i sprawiedliwości, ale też oświaty. Zresztą tu nigdy nie ma wielu więźniów.

- A zatem nie masz zbyt wiele roboty, mistrzu?

- Różnie. Ludzie nie są święci. Skazańców nigdy nie trzymamy długo w lochach, żeby nie przedłużać ich męki.

- Z wyjątkiem Sydoniusza - mruknął młody mistrz cicho, a Arseniusz udawał, że nie słyszy.

Doszli do ciężkich, okutych drzwi na końcu korytarza. Arseniusz pobladł wyraźnie i stracił rezon.

- Tu są klucze. - Wręczył towarzyszowi cały pęk. - Ten największy otwiera drzwi. Za nimi znajduje się cela mordercy. Wybacz, mistrzu, ale nie czuję się na siłach wchodzić tam z tobą.

- Nie śmiałybym cię prosić - odpowiedział uprzejmie Ambrosius. - Zaczekaj tutaj, jeśli łaska. Nie chcę, żeby uznano mnie za intruza kręcącego się po lochu z kluczami do cel w garści.

- Zaczekam - zgodził się Arseniusz.

Młody człowiek przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi. Znalazł się w wąskim korytarzyku zamkniętym grubą, potężną kratą. Za nim mieściła się niewielka cela.

Zmrużył oczy. Przez wąskie okienko u samego sufitu do mrocznego pomieszczenia wpadało nieco światła. W kącie celi na wąskiej prycy kulila się jakaś postać.

Ambrosius zbliżył twarz do kraty, zacisnął palce na prętach.

- Sydoniuszu? - zagadnął cicho.

Skazaniec wydał zduszony warkot.

- Podejdź do mnie - powiedział kat.

Więzień poruszył się nerwowo i znów warknął. Dźwięk nie brzmiał, jakby wydobywał się z ludzkiego gardła. Przypominał głos psa.

Ambrosius zmarszczył brwi. W zadumie przygryzł wargę.

- Sydoniuszu - odezwał się po chwili rozkazującym tonem - chodź do mnie!

Postać na prycy znów drgnęła nerwowo i zaskomlała.

- Chodź, Sydoniuszu! - powtórzył Ambrosius ostro.

Skazaniec zląkł z prycy i na czworakach zaczął się czołgać w kierunku kraty. Ambrosius zwilżył wyschnięte wargi. Starszy mistrz miał rację, od więźnia biła potężna wroga moc. Zupełnie nieludzka, pomyślał kat.

Istota, która niegdyś była młodym szlachcicem, wykrzywiła pysk, odsłaniając zęby w ostrzegawczym grymasie. Cuchnęła strachem i agresją, a jednocześnie nie potrafiła oprzeć się rozkazującemu głosowi człowieka. Ambrosius patrzył przez chwilę w zasnutę bielmem oczy niegdyśszego kawalera Sydoniusza.

- No i jak ja mam cię zabić - mruknął do siebie. - Skoro ty już od dawna nie żyjesz, nieszczęśniku.

Obrócił się i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi. Na zewnątrz oczekiwał go blady, zdenerwowany Arseniusz.

- Podejmiesz się zadania, mistrzu? - spytał na widok Ambrosiusa.

- Jakim człowiekiem był kiedyś Sydoniusz? - zagadnął Ambrosius, jakby nie usłyszał pytania.

Arseniusz wzruszył ramionami.

- Bardzo ambitnym. Nieco ponurym. Otaczała go sława doskonałego żołnierza.

- Czy pani Sulpicja darzyła go szczególnymi względami? Był ponoć jej kuzynem.

- Dalekim. Nic mi nie wiadomo o ich zażyłości. Raczej nie widywali się zbyt często. Podobno Sulpicja wyjednała mu posadę na dworze Gwalberta na prośbę jego matki.

- Czy pośredniczyła w tym także matka Sulpicji?

- Rodzice naszej pani nie żyją. - Arseniusz nie potrafił ukryć irytacji. - W rodzinnym majątku pozostał jej brat z małżonką. Wybacz, mistrzu, ale co mają do rzeczy rodzinne koligacje pani Sulpicji?

Ambrosius rozłożył ręce.

- Prawdopodobnie nic - stwierdził z rozbrajającym uśmiechem. - Zaspokajają moją ciekawość.  
- Przeprowadzisz egzekucję, Ambrosiusie? - Nadworny kat Szarej Wody miał ściągniętą, pełną napięcia twarz. - Potrafisz uspokoić ducha Sydoniusza?  
- Tak - powiedział z namysłem Ambrosius. - Sądzę, że tak. Ale potrzebuję trochę czasu. Egzekucja może się odbyć za siedem dni. Zechciej zawiadomić pana Gwalberta, że jestem do jego usług.

\*\*\*

Arseniusz pofatygował się osobiście „Pod Tłusty Cycek”, żeby zanieść Ambrosiusowi oficjalne zaproszenie ze dworu. Do tego stopnia nie ufał dziwacznemu mistrzowi, którego przysłało bractwo, że obawiał się, czy słynny kat nie uciekł po kryjomu, przytłoczony czekającym go zadaniem. Nie zastał Ambrosiusa w gospodzie, ale z ulgą stwierdził, że miecz i kufer nadal pozostają na swoim miejscu w wynajętej izbie.

Przed południem w karczmie nie było zbyt wielu gości. Arseniusz usiadł przy najczystszych stole, jaki znalazł, zamówił wino i owoce i postanowił zaczekać na młodszego kata. Tym razem nie miał zamiaru mu odpuścić. Sprowadzi szanownego mistrza do dworu i będzie miał na niego oko.

Ambrosius wkroczył do karczmy parę chwil później.

- Witaj ponownie, mistrzu - powiedział.

Arseniusz wręczył mu zaproszenie. Ledwie Ambrosius zdążył złamać pieczęcie, od stołu przy drzwiach zerwał się jakiś młody człowiek odziany w ognisty szkarłat.

- Panie - zawołał z gniewem - przechodząc, podeptałeś mój płaszcz!

- Wybacz - odpowiedział Ambrosius spokojnie. - Widocznie go nie zauważyłem.

Na policzki młodzieńca wystąpiły ceglaste plamy.

- Nie zauważyłeś mojego płaszcza?!

- Prawdopodobnie, bo celowo bym go nie nadepnął - wyjaśnił Ambrosius.

- Co za bezczelność! - wrzasnął czerwonolicy młodzian. - Z pewnością zrobiłeś to celowo!

- Nie zwykłem przechadzać się po cudzym przyodziewku, panie - tłumaczył Ambrosius cierpliwie. - Lecz jeśli odniosłeś takie wrażenie, stukrotnie przepraszam.

- Kpisz, łotrze! - ryknął szkarłatny i wyciągnął szpadę.

- Uważaj, panie - szepnął karczmarz, przysuwając się do Ambrosiusa. - To doskonały szermierz i wielki narwaniec.

Goście gospody zaciekawieni wyciągali szyje. Umilkły rozmowy. Krzyki zwabiły grupkę przechodniów z ulicy. Wszyscy wyraźnie liczyli na darmowe widowisko.

- Stawaj! - krzyczał tymczasem właściciel nadepnętego płaszcza. - Walcz, tchórze!

Zaniepokojony Arseniusz wstał z miejsca.

- Ten człowiek jest pod opieką pana Gwalberta! - zawołał.

Młodzian zaśmiał się szyderczo.

- Każdy tchórz może tak powiedzieć. Walcz, psie nasienie, albo nadzieję cię na moją szpadę jak prosię na rozeń!

Przyskoczył do Ambrosiusa i machał mu szpadą przed nosem.

- Odpuść - powiedział kat. - Przecież przeprosiłem.

- Przeprosiłem! - wykrzywił się szkarłatny. - I co z tego? Mnie to nie wystarczy. Zaszlachtuję cię jak świnie, nawet jeśli będziesz skamlał i lizał mi buty. Wiesz dlaczego? Bo nie podoba mi się twoja wredna gęba!

W oczach Ambrosiusa zapłonęły dziwne błyski.

- Jak chcesz - rzucił, wysunawszy szpadę z pochwy. - Ale pamiętaj, że ostrzegałem.

- Ha! - ryknął kawaler w czerwieni. - Grozisz, psi synu! Zaraz będziesz inaczej śpiewał! Rozsunąć stoły! Żywo!

Gapie, żadni rozrywki, szybko zabrali się do dzieła.

- Nie narażaj się, mistrzu. - Arseniusz szarpnął Ambrosiusa za rękaw. - Nie możesz się teraz pojedynkować.

- Nie martw się - powiedział spokojnie Ambrosius. - To nie potrwa długo.

Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Rosły młodzian górował nad Ambrosiusem o głowę. Zaraz też natarł z furją, ale kat usunął się zręcznie. Szkarłatny ponowił atak. Ambrosius znów odsunął się z wdziękiem. Wkrótce pojedynek zaczął przypominać osobliwy dworski taniec. Chłopak atakował, Ambrosius się wywijał. Szkarłatny, dysząc, skakał wokół spokojnie czekającego przeciwnika. Ale każdy sztych napotykał pustkę, po każdym ataku szpada kawalera w czerwieni ześlizgiwała się po ostrzu zręcznie podstawionej szpady kata. Młodzik dyszał ze złości i wysiłku, a Ambrosius sprawiał wrażenie, jakby się nudził. W końcu stracił cierpliwość i wykonał na pozór niedbały ruch ręką. Młody człowiek wrzasnął, upuścił szpadę i złapał się za skaleczoną dłoń.

Kat skłonił się uprzejmie.

- Sądzę, panie, że jesteśmy kwita.

Twarz młodzika wykrzywił gniew.

- Nigdy w życiu! Stawaj, tchórze!

Ambrosius westchnął.

- Nie narzucaj się, chłopcze. Udowodniłeś swoją odwagę i determinację, ale bądź łaskaw nie przesadzać.

- Walcz! - zapał młodzieniec. - Walcz, bękarcie!

- Odsuść, głupcze, bo będę musiał cię zabić - w głosie Ambrosiusa zabrzmiała twarda nuta.

- Tchórze! Bękart! Nasienie dziwki! - zapluł się młodzian. - Stawaj albo obiję kijem jak psa!

Rzucił się gwałtownie do przodu, mierząc tam, gdzie spodziewał się dosięgnąć Ambrosiusa. Ale szpada dźgnęła powietrze. Młodzieniec potknął się, lecz błyskawicznie wykonał zwrot, próbując ruszyć do ponownego ataku. Wtedy świsnęła szpada Ambrosiusa i pobladła z wysiłku twarz chłopaka stała się nagle tak samo czerwona jak jego kaftan. Młodzik upuścił broń, przycisnął dłoń do rozharatanego policzka. Oczy miał okrągłe, pełne niedowierzania.

- No i co? - spytał kat. - Dosyć teraz? Zadowolony?

Chłopak wolno skinął głową. Ambrosius wykonał salut szpadą i ukłonił się dwornie.

- I po wszystkim. - Odwrócił się do Arseniusza. - O której pan Gwalbert raczy mnie przyjąć?

- Koło południa - rzekł kat z Szarej Wody i nim zdążył krzyknąć: „Uważaj!”, naprawdę było po wszystkim.

Chłopak sięgnął po szpadę i podstępnie spróbował przebić odwróconego doń plecami kata. Ale Ambrosius, jakby dysponował dodatkowym zmysłem, nie obracając się i nie celując, wyprowadził spod pachy błyskawiczne pchnięcie. Młodzik zatoczył się, dłonie czerwone od krwi ześlizgnęły się po rękawie i połach kaftana kata. Bezwładne ciało ciężko upadło na podłogę. Rozszerzone ze zdumienia oczy gapiły się w przestrzeń, a na ustach pękały bąble świeżej czerwieni.

Gapie przyskoczyli bliżej. Ktoś podtrzymywał opadającą głowę, ktoś próbował tamować krew ściągniętą z szynkwasu ścierką. Ktoś inny wołał o medyka. Ale Arseniusz, który znał się na śmierci, wiedział, że medyk nic tu nie pomoże.

- No i ducha tego głupka też przyszło mi uspokoić - powiedział Ambrosius z goryczą. - Choć starałem się tego uniknąć.

Wydawał się przygnębiony.

- Niebawem! - zawołał Arseniusz. - Gdzie nauczyłeś się tak fechtować, mistrzu?

Ambrosius wzruszył ramionami.

- W dzisiejszych niebezpiecznych czasach to umiejętność wręcz niezbędna.

- Ale ten kunszt! Coś podobnego! Co za sztuch!

- Naprawdę nic wielkiego - mruknął Ambrosius, próbując obejrzeć poły kaftana.

- Nie bądź zbyt skromny, mistrzu - Arseniusz nie dał się łatwo zbyć. - Takie umiejętności wymagają lat ćwiczeń!

- No nie! - prychnął zirytowany Ambrosius. - Mój najlepszy kaftan zupełnie zniszczony. Tych plam nie oczyszczę tak łatwo. Do diabła, w czym się pokażę na dworze! Wybacz, mistrzu. Muszę opuścić cię na chwilę, żeby się przebrać. Założę mój codzienny kaftan.

- Nie zrozum mnie źle, mistrzu Ambrosiusie - powiedział zgorzony Arseniusz. - Ale czy nie byłoby lepiej, gdybyś na oficjalne spotkanie z panem Gwalbertem przyoblekł się w szatę naszego bractwa?

W twarzy Ambrosiusa nie drgnął żaden mięsień.

- Zapewne, drogi przyjacielu - odrzekł. - Gdybym tylko do tego bractwa należał.

- Jak to?! - stęknął Arseniusz. - Więc jednak nie jesteś katem?

- Oczywiście, że jestem. W uznaniu dla mojej skromnej osoby, a raczej pewnego daru, którym dysponuję, uczyniono wyjątek. Pozwolono mi zostać pełnoprawnym mistrzem, choć nie należę do wspólnoty. Jak wiesz, drogi Arseniuszu, do bractwa mogą należeć tylko urodzeni z prawego łoża.

Nadworny kat Szarej Wody zmieszał się straszliwie i po raz kolejny w obecności Ambrosiusa oblał się purpurą.

- Wybacz, panie... to jest mistrzu, nie chciałem cię urazić.

- Ależ skąd - rzekł niezrażony Ambrosius, starając się usunąć chusteczką plamy krwi z ubrania. - Nie uraziłeś mnie. Cóż, wypadki się zdarzają. Moja szanowna matka, znudzona długą nieobecnością małżonka, gościła u siebie pewnego zanego kawalera. Niestety, pozostawił on po sobie kłopotliwy prezent. Oczywiście, w tej sytuacji nie sposób żywić do niej urazy, że starała się usilnie, żebym nie rzucał się w oczy ani jej, ani szanownemu małżonkowi, prawda?

- Cóż, oczywiście - bąknął Arseniusz i spuścił wzrok pod ostrym spojrzeniem jasnych, nieugiętych oczu.

Na ustach Ambrosiusa pojawił się krzywy uśmiezek.

- Zechciej poczekać moment, przyjacielu. Jednak zmienię ubranie.

\*\*\*

Pan Gwalbert przyjął katów w swoim gabinecie. Wydawał się blady i znużony. Chyba się nie zdziwił na widok cywilnego ubrania Ambrosiusa.

- Twoje przybycie, mistrzu, przyjmuję z wdzięcznością i prawdziwą ulgą - powiedział szczerze. - Wielce mi już ciążyła ta tragedia. Pragnę, aby nieszczęsne dusze mych dzieci jak najszybciej znalazły ukojenie. Kiedy możesz przeprowadzić egzekucję?

- Za siedem dni - odpowiedział Ambrosius.

- No cóż - westchnął Gwalbert. - Liczyłem, że niezwłocznie.

- To trudna sprawa, panie. Uwierz, że nie zmarnuję tego czasu.

- Dobrze, niech i tak będzie. - Gwalbert zrobił nieokreślony ruch dłonią. - Czekałem tak długo, że zniosę i te siedem dni. Powiedz, mistrzu, czego oczekujesz? Czy jesteś zadowolony z pokojów? Czy potrzebujesz czegoś?



- Chcę cię prosić o pewną łaskę, panie - rzekł Ambrosius. - Zezwól, abym mógł swobodnie przemieszczać się po dworze, ogrodach i zabudowaniach gospodarskich, oddając się czynnościom, które pomagają mi osiągnąć koncentrację niezbędną podczas egzekucji.
- Zależy, jakie czynności masz na myśli, mistrzu - rzekł Gwalbert obojętnie.
- Będę rysował.
- Doprawdy? - po raz pierwszy w głosie pana Szarej Wody pojawił się ton zainteresowania.
- Kartony i niezbędne narzędzia mam ze sobą. Zrobię kilka rysunków architektury i krajobrazu. Liczę, że nie będziesz miał nic przeciw, panie? Zawsze tak postępuję w trudnych sprawach. To element mojej osobistej metody.
- Sławnej, skądinąd - dorzucił Gwalbert. - Oczywiście, że możesz rysować do woli, mistrzu. Byleby egzekucja odbyła się za tydzień.
- Ambrosius ukłonił się głęboko.
- Gwarantuję to słowem, panie.

\*\*\*

Na ziemi, wsie i dwór Szarej Wody spłynęła głęboka ciemność nocy. Domostwo pana Gwalberta zdawało się pogrążone w uśpieniu. Wszędzie panowała cisza i spokój. Żłudny spokój, pomyślał Ambrosius.

Dzięki swemu dziwnemu talentowi, który uczynił z niego najlepszego kata wszechczasów, czuł niespokojną obecność dwojga zamordowanych dzieci. Wiedział, że widma, przerażone, skrzywdzone i zawiedzione, krążą po komnatach i korytarzach dworu, szukając ukojenia. Wyczuwał też zwierzęcą, podszytą strachem agresję Sydoniusza. Instykt podpowiadał mu, że gdzieś w domu znajduje się źródło mrocznej, złej potęgi, przy której szaleństwo Sydoniusza jest niewinną igraszką, ale nie potrafił go zlokalizować.

Westchnął i pogładził nieskazitelną, chłodną w dotyku pościel. Gościenna sypialnia, choć urządzone skromnie jak na dworskie warunki, oferowała o niebo więcej luksusu niż wyrko w izbie „Pod Tłustym Cyckiem”.

Mimo późnej pory Ambrosius był całkowicie ubrany i na razie nie zamierzał kłaść się spać. Cekał go nocny obchód po dworze. Wstał, przeciągnął się jak kot.

Ciekawe przypadki spotykają mieszkańców i gości Szarej Wody, pomyślał. Od rana zastanawiała go dziwaczna zaczepka młodziana w szkarłacie i jego uparte dążenie do pojedynku. W uszach wciąż brzmiał mu szept karczmarza: „To doskonały szermierz i wielki narwaniec”. Więc pewnie nie miałby nic przeciw temu, żeby pod głupim pretekstem wyzwać na pojedynek i zabić jakiegoś przyjeźdnego, gdyby ktoś dobrze mu zapłacił za przysługę. Prawdopodobnie ktoś znaczny, kto obiecał, że konsekwencji nie będzie. Czasu miał dość. Już poprzedniego wieczoru cała gospoda wiedziała, że do Szarej Wody przybył nowy mistrz katowski. Ambrosius w zamyśleniu potarł policzek.

- Przekonamy się później - mruknął do siebie. - Teraz pora odwiedzić świadków.

Otworzył cicho drzwi pokoju i wyszedł na spowity mrokiem korytarz.

Przemierzał puste, ciemne komnaty, oświetlone mdłym światłem księżyca. W niektórych pokojach zatrzymywał się na chwilę, inne mijał obojętnie. Szeroką, kręconą klatką schodową dostał się na krużganek. Z dziedzińca wiało chłodem. Przy każdym oddechu z ust wydobywał się blady obłoczek pary.

Jest stanowczo za zimno, jak na tę porę roku, pomyślał Ambrosius. Uśmiechnął się leciutko. Był skłonny się założyć, że niżej, na dziedzińcu, jest o wiele cieplej. Oparł się o balustradę i czekał.

Nagły, ostry powiew załopotał połami kaftana kata. Ambrosius zmrużonymi oczami wpatrywał się w mrok. Od ściany odkleiły się dwie drobne dziecięce postaci. Stały w oddali, trzymając się za ręce. Chłopiec mógł mieć jakieś siedem lat, dziewczynka pewnie ze trzy. W ciemności lśniły tylko ich złote jak płomień oczy.

Ambrosius przełknął ślinę.

- Przyszedłem wam pomóc - zaszemrał niemal bezgłośnie. - Przyszedłem was wysłuchać.

Widma zadrgały, jakby miały rozpuścić się w powietrzu, i w ułamku sekundy znalazły się obok kata.

Ambrosiusa przeszedł mimowolny dreszcz.

Chłopiec stał nieruchomo, ale dziewczynka z nienaturalnie przekręconą głową i ustami, z których nieustannie sączyła się krew, obróciła się i wskazała coś w ciemności krużganka.

- Dobrze - szepnął kat. - Pójdę za wami. Zobaczą to, co pragniecie mi pokazać.

Widma zawirowały i błyskawicznie zaczęły się oddalać. Żeby za nimi nadażyć, Ambrosius musiał biec. Kilka razy potknął się w ciemności, raz o mało nie spadł ze schodów, ale uparcie trzymał się swoich upiornych przewodników. Zjawy lśniły bladą poświatą niby dogasające lampiony. Serce kata waliło w przyspieszonym rytmie, nie tylko z wysiłku. Szybko stracił orientację w przestrzeni. Miał niejasne wrażenie, że znajdują się w części domu zajętej przez prywatne apartamenty państwa.

Dwoje nieżywych dzieci zatrzymało się raptownie w eleganckim, pięknie urządzonym korytarzu przed wysokimi białymi drzwiami. Zdyszany Ambrosius z trudem łapał oddech.

Widma wykazywały ogromne zdenerwowanie. Zamykały i otwierały usta, wyciągały ręce, kołysały się lub wirowały wokół własnej osi. Zdawało się, że chcą sforsować jakąś niewidzialną barierę.

Wtem obróciły wykrzywione rozpaczą twarze w stronę Ambrosiusa. Dwie pary czerwonych źrenic wpatrywały się w oczy kata z głębokim napięciem.

Ambrosius poczuł na skórze lodowaty pot. Serce ścisnął mu lęk, oddech ze świstem wydobywał się zza zaciśniętych zębów.

Upiory rozchyliły wargi i wydały wysoki, straszny krzyk słyszalny tylko w głowie kata. Ambrosius zachwiał się, oparł plecami o ścianę. Duchy zamknęły oczy, z jękiem potrzęsły wyciągniętymi ramionami i rozpuściły się w powietrzu, jakby nie były dłużej w stanie pozostać w tym miejscu.

Ambrosius przesunął drżącymi dłońmi po twarzy.

- A więc to tak! - szepnął bezgłośnie.

\*\*\*

Późnym popołudniem Arseniusz zastał Ambrosiusa w ogrodzie. Kat siedział przed rozłożonymi sztalugami, obok leżała skrzyneczka z przyborami do rysowania i teczka pełna grubych czystych kartonów. W skrzyneczce oprócz rysików, prasowanego węgla i flaszeczek z tuszem spoczywała niewielka luneta.

- Witaj, mistrzu - powiedział Arseniusz. - Czy mogę zerknąć?

- Oczywiście - zgodził się tamten z uśmiechem.

Na kartce widniał piękny, nieomal skończony rysunek zachodniej fasady dworu. Uderzała lekkość i perfekcja nakreślonych linii, pewność ręki i staranność wykonania. Starszy



kat wpatrywał się w karton dłuższą chwilę. Chmury, drzewa, nawet cegły w murze wydawały się niesłychanie rzeczywiste. Jednak całość sprawiała dziwnie niepokojące wrażenie. Arseniusz nie umiał wytłumaczyć dlaczego. Zastanawiał się usilnie, aż wreszcie wydało mu się, że zrozumiał czemu. Na obrazku nie było żadnego żywego stworzenia, nie tylko człowieka, ale choćby zwierzęcia czy ptaka.

- Doskonałe dzieło - pochwalił. - Widzę, mistrzu, że opatrność obdarzyła cię wieloma talentami.

- Och, to tylko amatorskie próby. - Młody człowiek machnął lekceważąco ręką.

- Nigdy nie rysujesz ludzi? Twoje portrety byłyby zapewne niesłychanie wierne.

- Rzadko czuję taką potrzebę.

- Naprawdę rysunki pomagają ci uprawiać rzemiosło? - zagadnął Arseniusz.

Ambrosius skinął głową.

- Tak. Uczą mnie patrzeć.

- Patrzeć? - zdziwił się kat Szarej Wody.

- Dostrzegać szczegóły i łączyć je w całość. Wydobywać prawdziwy obraz z plątaniny linii i plam.

- Wybacz - zachnął się Arseniusz. - Ale osąd zbrodniarzy nie należy do nas. Tym zajmuje się sąd.

Członkowie naszego bractwa tylko dokonują aktu sprawiedliwości i doprowadzają do tego, by z gruntu zła dusza nikczemnego mordercy i żadne zemsty duchy ofiar odeszły z tego świata w spokoju i nie dręczyły żyjących.

- Oczywiście, mistrzu - przytaknął Ambrosius. - Ale w jaki sposób to osiągnąć?

- Uspokajając dusze wedle prawideł naszego rzemiosła. Tobie, mistrzu, z pewnością nie trzeba tego tłumaczyć.

Ambrosius patrzył na Arseniusza spod zmrużonych powiek.

- Ależ chętnie posłucham, na czym polega twoja metoda. Moja, jak zapewne słyszałeś, odrobinę się różni od zwykle stosowanych.

Arseniusz westchnął.

- W chwili gdy głowa spada z karku skazańca, jego dusza wyrwa się na wolność. Jest wtedy przerażona, wściekła i opętana żądzą czynienia zła. W chwilę później wyczuwają jej obecność dusze zamordowanych i przybywają. One także pełne są nienawiści i przepełnione potrzebą zemsty. Kat musi sprawić, żeby wyzbyły się gniewu, zapomniały o drastycznych przeżyciach. Trzeba zmienić ich wspomnienia, sprawić, że znów staną się kochającymi małżonkami, serdecznymi przyjaciółmi lub obcymi sobie ludźmi, którzy nie znają się nawet, więc nie żywią ku sobie żadnych negatywnych uczuć.

- Ale to oszustwo - mruknął Ambrosius.

- Szlachetne oszustwo - poprawił go Arseniusz z naciskiem. - Które pozwala tym nieszczęśnikom opuścić ziemski padół, znaleźć drogę do zaświatów, a ludzi uwolnić od swej dręczącej obecności.

- Tylko że twoja metoda nie zawsze jest skuteczna, mistrzu. Na szczęście doświadczony kat zwykle z góry potrafi ocenić, która dusza nie da się omamić fałszywymi wspomnieniami - rzekł Ambrosius z uprzejmym uśmiechem. - Tak jak w przypadku Sydoniusza, prawda?

- No cóż - odparł Arseniusz sztywno. - Widać moje umiejętności nie są tu wystarczające. Czy zechcesz zatem oświecić mnie i opowiedzieć o swojej metodzie?

- W sumie jest bardzo prosta i logiczna. - Ambrosius wciąż uśmiechał się pogodnie. - Nie skłaniam dusz, aby przyjęły fałszywe wspomnienia. Pozwalam im zobaczyć prawdę i pogodzić się z nią.

Arseniusz wzruszył ramionami.

- Co za dziwactwo! Cóż to znaczy prawdę?

- Rzeczywisty przebieg wydarzeń - wyjaśnił Ambrosius. - Skazańcy muszą zrozumieć, że zadano im sprawiedliwą śmierć, ponieważ uczynili zło. Muszą pogodzić się z tym i przekonać, że ziemskie sprawy nie są już dla nich ważne, że zostawiają je za sobą, strząsają jak pył, aby podążyć do innego świata. Podobnie z ofiarami. Zależy im głównie na tym, żeby ich wysłuchać, dowiedzieć się, co przeszły, jak wielka dotknęła je niesprawiedliwość. Gdy przekonają się, że wszyscy zgromadzeni rozumieją to i współczują, a winowajca poniósł zasłużoną karę, mogą odejść spokojnie.

- Więc co ma tu do roboty kat! - parsknął Arseniusz. - Po prostu ściąć łeb i tyle? To potrafi pierwszy z brzegu rzeźnik!

- Nie słuchałeś mnie, mistrzu. - Ambrosius potrząsnął głową. - Kat jest niezbędny. Musi przekonać dusze, że umarły i powinny porzucić ziemskie sprawy, bo te, jak wszystko, co wiąże się z tym światem, są błahe i nieważne w obliczu wieczności, ku której podążają. Że odbędą teraz podróż ku gwiazdom, odwiedzą krainy, wobec których ziemia jest jak pył na wietrze. Nie warto więc zajmować się takimi drobiazgami jak zemsta czy nienawiść.

- Ciekawe - burknął Arseniusz cierpko. - I wszystko to znajdujesz w wizerunkach domów i ogrodów?

Ambrosius potrząsnął głową.

- Nie. Tam znajduję historię. Prawdziwą historię.

- Zadziwiające - skrzywił się Arseniusz. - Zatem nie przeszkadzam ci, mistrzu. Szukaj swojej historii. Mam tylko nadzieję, że uda ci się ją odnaleźć w przeciągu najbliższych sześciu dni.

- Wiele na to wskazuje - zawołał Ambrosius za odchodzącym katem Szarej Wody.

Ujął w dłoń rysik i wrócił do rysowania. Lecz ledwo nakreślił kilka linii, przerwał. W zamyśleniu dotknął czubkiem palca maleńkiej, ledwo dostrzegalnej postaci stojącej w jednym z okien na piętrze. Mikroskopijna twarzyczka dziewczynki tchnęła smutkiem.

Kat uśmiechnął się kącikami ust. Rzecz jasna, Arseniusz jej nie zauważył.

- Wcale nie nauczyłeś się patrzeć, mistrzu - powiedział Ambrosius cicho.

\*\*\*

Mijały dni. Pięć pięknych, perfekcyjnych rysunków spoczywało w teczce Ambrosiusa. Z pozoru wyglądały jak zwykłe widoki domostwa i ogrodu, lecz uważny obserwator potrafiłby dopatrzeć się dziwnych, niepokojących detali. Małej dziewczynki spoglądającej smutno z okna zachodniej fasady. Cieni dwóch postaci, męskiej i kobiecej, na podłodze krużganka, sugerujących postawą i gestami, że stojący za węgłem pogrążeni są w gwałtownej wymianie zdań. Leciutko uchylonych drzwi, zza których widać błysk świecących w ciemności oczu. Chusteczki poznaczonej ciemnymi plamami, upuszczonej na ogrodowej ścieżce. Maleńkiego flakonika na parapecie okna i sztyletu wbitego we framugę. Ale żaden uważny obserwator nie oglądał dzieł Ambrosiusa.

Przedostatniego ranka poprzedzającego egzekucję mistrz znów rozstawił sztalugi w ogrodzie. Tym razem interesowała go fontanna i fragment południowego skrzydła. Pogrążony w pracy, usłyszał odgłos kroków na żwirowej ścieżce, dopiero gdy rozbrzmiał tuż za nim. Odgłosom stąpania towarzyszył cichy szelest sukien.

Ambrosius uniósł głowę. Tuż przed nim stała pani Sulpicja.

- Wybacz, jeśli niepokoję cię, panie - odezwała się dźwięcznym, starannie modulowanym głosem.

- Wyświadczasz mi wielki zaszczyt, pani. - Ambrosius wstał od sztalug i uklonił się głęboko.

Sulpicja miała na twarzy wyraz wystudiowanego smutku, ale wprawne oko kata z miejsca wychwyciło kilka drobnych szczegółów, które niezbyt przystały bolejącej nad stratą dzieci matce. Staranny makijaż. Króciutkie zalotne zerknięcia spod rzęs. Lekko rozchylone usta pomalowane szminką o barwie świeżej krwi. Zbyt głęboki dekolt. Rozsznurowane, niby przypadkiem, tasiemki gorsetu.

- Usiądź, mistrzu - poprosiła Sulpicja słodko. - I wyświadcz mi, proszę, drobną przysługę. Pozwól popatrzeć, jak rysujesz. W niczym ostatnio nie znajduję ukojenia, a twoje dzieło jest takie piękne. Przyglądanie się twoim sprawnym dłoniom przy pracy z pewnością przyniesie ulgę w mojej boleści. Istotnie, moje dłonie przy pracy są w stanie przynosić ulgę, szacowna damo, pomyślał Ambrosius.

Ale tylko na szafocie. Jednak usiadł posłusznie i ujął rysik w palce.

Sulpicja stanęła za plecami kata i pochyliła się, niby naturalnym gestem, żeby lepiej przyjrzeć się rysunkowi, a w rzeczywistości po to, by otrzeć się o ramię rysownika i musnąć włosami jego policzek. Ambrosius nawet nie drgnął. Przez chwilę owiewał go ciężki korzenny zapach perfum, a potem ucisk na barkach i plecach zelżał. Sulpicja odsunęła się.

- Czy pozwolisz mi przejrzeć gotowe rysunki? - spytała, wyciągnąwszy rękę po teczkę.

Ambrosius szybko przycisnął kartony dłonią.

- Och, nie! Nigdy nie pozwolę, abys oglądała te okropne bohomazy! Nie są godne oczu tak szlachetnej damy! Wybacz, ale chyba spaliłbym się ze wstydu.

Niechętnie cofnęła dłoń. Przygryzła lekko wargę, wyraźnie niezadowolona.

- Jesteś zbyt skromny, mistrzu - rzuciła kwaśno.

- Zapewniam cię, pani, że wiem, co mówię.

Na chwilę zapadła krępująca cisza. Ambrosius rysował, czując na plecach ciężki wzrok Sulpicji. W pewnej chwili poczuł, że pani Szarej Wody kładzie mu dłoń na ramieniu. Znów owionął go zapach perfum. Sulpicja pochyliła się nisko.

- Mistrzu - szepnęła - jesteś człowiekiem bez serca!

Ambrosius odwrócił się od sztalug, unosząc brwi w grymasie zdziwienia. Choć zwykle doskonale panował nad emocjami malującymi się na własnej twarzy, przez chwilę miał wątpliwości, czy mina wypadła naturalnie. Uważaj, ostrzegł się w myślach. Sulpicja jest groźnym przeciwnikiem.

- Czyżbym uraził cię czymś, pani? - spytał z troską w głosie. - Racz wybaczyć biednemu, nieokrzesanemu prostakowi. Nigdy nie żywiłem podobnego zamiaru! Uchybić kobiecie tak wysokiego rodzaju i licznych cnót to byłaby zbrodnia.

Sulpicja patrzyła badawczo spod ciężkich, pomalowanych czernią powiek.

- Przybyłeś i zażądałeś aż siedmiu dni, całego tygodnia zwłoki! Jakbyś nie wiedział, czym jest dla mnie i mego małżonka świadomość, że dusze naszych dzieci błakają się, samotne i nieszczęśliwe, nocami po zakątkach domu. Niepomuszczone nie mogą zaznać spokoju. Nie potrafią odejść w zaświaty i zapomnieć o strasznej krzywdzie, jaka je spotkała.

W kącikach żółtych oczu zaszklily się łzy.

- A ty spokojnie oddajesz się studiom nad krajobrazem - szepnęła małżonka Gwalberta z rozpaczą.

Ambrosius wstał.

- Wybacz, pani - powiedział z naciskiem. - To konieczny element mego rzemiosła. Muszę zebrać siły, aby stawić czoła Sydoniuszowi. Ten zbrodniarz i szaleniec to istny potwór. Jutro na szafocie stoczę z nim prawdziwą walkę. Potrzebuję całkowitej kontroli nad umysłem i głębokiej koncentracji, żeby zwyciężyć. Rysowanie pomaga mi osiągnąć równowagę ducha.

Sulpicja zakryła dłonią oczy, zachwiała się, jakby miała paść zemdlona, ale Ambrosius jej nie podtrzymał.

- Jestem słaba i chora ze smutku, mistrzu - wyszemrała tchnieniem słabym jak zefir. - Straszne wspomnienia stają mi zbyt żywo przed oczami. Imię... zbrodniarza... które wymieniłeś... Nie, nie mogę mówić dalej. Dziękuję za rozmowę, mistrzu. Muszę... muszę oddalić się... położyć.

- Czy odprowadzić cię, pani? - zapytał kat.

Wykonała omdlewający gest dłonią.

- Och, nie. Chcę być sama. Wybacz.

Odeszła spiesznie, ze spuszczoną głową i zgarbionymi ramionami. Nieco zbyt spiesznie, jak na kogoś bliskiego utraty zmysłów, pomyślał Ambrosius. W zamyśleniu postukał końcem rysika o zęby.

- Nie będzie łatwo - powiedział cicho.

\*\*\*

Nie miał wątpliwości, że sypialnia i gabinet zostały przeszukane, chociaż intruz nie zostawił prawie żadnych śladów. Kilka drobiazgów nie znajdowało się na swoich miejscach. Koszula, pozornie niedbale rzucona na wierzch podróżnej skrzyni, leżała inaczej, niż ją zostawił. Podeszedł do kufra, otworzył wieko i z ulgą stwierdził, że sekretny schowek pozostał nienaruszony. Wydobył niewielką teczkę zawierającą rysunki, nad którymi trudił się nocami. Przejrzał szybko portrety. Arseniusz, Gwalbert, Sulpicja, Sydoniusz, zamordowane dzieci. Żadnego nie brakowało.

Nadworny kat Szarej Wody nie pomylił się. Wizerunki były uderzająco podobne.

Ambrosius wybrał rysunek przedstawiający małżonkę Gwalberta, położył na stole i długą chwilę wpatrywał się w niego, marszcząc czoło. Potem sięgnął po rysik i zaczął ostrożnie poprawiać portret.

\*\*\*

Noc ukryła gwiazdy pod szalem chmur. Ulice opustoszały. Ambrosius kulił się w podmuchach chłodnego wiatru. Nadchodzi jesień, pomyślał. Wcześniej w tym roku. Wraciał właśnie spod „Cycka”, gdzie pił wino, pogadywał z ludźmi i słuchał. O panu Gwalbercie, pani Blance i Sulpicji. O morderstwach, Sydoniuszu i mistrzu Arseniuszu. O życiu w majątku Szarej Wody. Było już dobrze po północy, gdy trunek zamroczył umysły ostatnim rozmówcom. Ambrosius uznał, że nie dowie się już niczego ciekawego, i postanowił wracać do dworu.

Szedł właśnie wzdłuż muru okalającego ogrody, gdy z cienia wysunęła się jakaś postać. A za nią dwie następne. I jeszcze jedna. Głupcy, pomyślał Ambrosius. Powinni poczekać w ciemności, aż przejdę, żeby ustawić kogoś za moimi plecami. Wydobył szpadę z pochwy. O tej porze na pustej drodze nie spodziewał się ani żebraków, ani chętnych do wypitki kompanów.

Czterech zbirów podeszło bliżej. Wielki, zwalisty bandzior bez przednich zębów wykrzywił pysk w paskudnym uśmiechu. W dłoniach dzierżył pałkę. Drobnny chudzielec kryjący się za jego plecami miał nóż. Dwaj pozostali byli uzbrojeni w zwykłe kije.

Ambrosius mocno ujął rękojeść szpady i oparł się plecami o mur. Zbóje zaszemrali, zwolnili kroku. Wyraźnie nie spodziewali się, że napadnięty będzie stawiał opór. Chudzielec z nożem schylił się przedko i w powietrzu świsnął kamień. Gdyby Ambrosius uskoczył o ułamek sekundy później, pocisk zamiast w mur trafiłby go w głowę. Jak na umówiony sygnał napastnicy rzucili się na kata. Wszyscy naraz, nieźbornie, blokując się nawzajem. Ambrosius smyrnął w bok, wyprowadzając zręczny sztych, który utkwiał głęboko w brzuchu najbardziej nieporadnego zbira. Bandzior upuścił kij, zakwilił cienko. Zwalisty z pałką warknął krótko jak pies i zamachnął się potężnie. Kat wywinął się, przemknął pod pachą napastnika, wbijając mu ostrze między żebra. W tej samej chwili poczuł, jak nóż chudzielca rozdziera mu rękaw i ramię. Uderzył nisko w tył, z półobrotu. Miał dużo szczęścia, że dosięgnął celu, bo chudy nożownik był bardzo zwinny. Jednak potknął się o ciało swego bezzębnego towarzysza, który charczał na bruku, dławiąc się krwią z przedziurawionych płuc, i chyba tylko to uratowało Ambrosiusa przed nożem wbitym w splot słoneczny. Kat nie pozwolił chudzielcowi odzyskać równowagi, przebił go błyskawicznym, pewnym sztychem. Dysząc lekko, rozejrzał się za ostatnim bandziorem, ale ten dawno już uciekł, pozostawiając martwych lub dogorywających towarzyszy własnemu losowi.

Ambrosius opuścił szpadę, pomagając sobie zębami, oddarł kawał koronkowego mankietu i zacisnął

powyżej rany prowizoryczny opatrunek. Krew zdążyła już przesączyć się przez rękaw, czerwone sznureczki ciekły po dłoni. Ambrosius wsunął ramię za pazuchę kaftana i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Waląc rękojeścią szpady w bramę, szybko przekonał zaspanego odźwiernego, żeby go wpuścił do środka.

- Mówiłem, że nie będzie łatwo - mruknął do siebie, gdy już znalazł się bezpiecznie w sypialni. - Mało brakowało.

Krzywiąc się z bólu, ściągnął kaftan i koszulę. Rana wciąż krwawiła, ale nie była tak głęboka, jak się obawiał. Główny impet ciosu wziął na siebie gruby rękaw kaftana. Zimna woda i bandaż wydobyty z kufra wkrótce pozwoliły opanować sytuację. Ambrosius machnął na próbę ręką, żeby sprawdzić, czy sprostą jutrzejszej egzekucji. Ramię bolało, ale było zupełnie sprawne.

Kat, zdjęwszy resztę odzienia, zdmuchnął lampę i wsunął się do łóżka.

\*\*\*

Dzień wstał pochmurny. Niebo było szare jak dno cynowej miski. Na dziedzińcu od wczorajszego wieczora stał już szafot i trybuna dla co znaczniejszych widzów. Tłum żądny widowiska kłębił się na podwórku od wczesnego ranka. Najlepsze miejsca były dawno zajęte. Kilku wyrostków próbowało wspiąć się na mury, ale gwardziści Gwalberta natychmiast ich przepędzili.

Panowała atmosfera wyczekiwania. Zgromadzeni przestępowali z nogi na nogę, szemrali. Ci, którzy przybyli jeszcze o świcie, pozasiadali na ziemi. Najmniej znaczni mieszkańcy Szarej Wody, zepchnięci do ostatnich rzędów, wyciągali szyje, żeby zobaczyć choć skrawek szafotu i trybun.

Kiedy wreszcie na dziedzińcu pojawił się pan Gwalbert z orszakiem, w tłumie podniosły się okrzyki podniecenia i radości. Widowisko się rozpoczynało. Gapie natarli na szpaler gwardzistów ochraniających szafot i trybuna. Każdy chciał zobaczyć pana Gwalberta, podtrzymującego bladą, słaniającą się na nogach małżonkę, i trójkę dostojnych katów odzianych w szaty bractwa.

Kolejny szmer i okrzyki podniosły się, gdy Arseniusz, Lucylla i Rufus zajęli miejsca na trybunach po lewicy pana Szarej Wody. Podniecenie tłumu rosło z każdą chwilą. Wszyscy oczekiwali przybycia słynnego mistrza.

Na razie pojawili się pomocnicy niosący srebrną wannę na krew, stojak i rynnę, po której powinna stoczyć się głowa, oraz dwa drewniane kozły i długą deskę zakrytą ciemną materią.

Lucylla dotknęła ramienia Arseniusza.

- Co to jest? - szepnęła zdziwiona.

Arseniusz poczuł nagle ukłucie niepokoju.

- Nie wiem - odpowiedział. - Sądzę, że to jest związane z osobliwą metodą mistrza Ambrosiusa.

Pomocnicy oparli deskę na kozłach, a potem odsunęli się z szacunkiem, żeby przepuścić kogoś na szafot. Gapie przez chwilę nie mogli zrozumieć, co tam robi ten drobny mężczyzna w zwyczajnym ubraniu, ale gdy Ambrosius wysunął z pochwy miecz i uniósł go wysoko w górę, w tłumie zawrzało.

Okrzyki: „To on! To on!” i „Niemożliwe!” mieszały się ze sobą. Ambrosius opuścił miecz i spokojnie zajął miejsce przy pniu. Wtem drzwi do lochów rozwarły się z łoskotem i wszelkie okrzyki umilkły natychmiast. Gawiedź struchlała. Ucichły nawet szept. Gwardziści Gwalberta prowadzili na szafot kawalera Sydoniusza.

Skazaniec szedł sztywno, niezgrabnie, nawet jak na człowieka skutego łańcuchami. Ale nie miał w sobie śladu nieporadności ślepego czy kaleki. Stawiał kroki mechanicznie, równo, ale jakoś zupełnie bez udziału świadomości. Na jego twarzy malował się wyraz całkowitej obojętności. Nie apatii czy



rezygnacji, ale wręcz bezmyślności.

Sydoniusz wkroczył na stopnie szafotu i ukląkł przed pniem tak samo posłusznie i beznamiętnie. Ambrosius spojrział mu w oczy i dostrzegł, że są rozszerzone, nieruchome i mętne. Pomocnicy ułożyli odpowiednio głowę, aby mogła sprawnie zsunąć się do naczynia. Przypięli ciało pasami, żeby się nie obsunęło, a krew trysnęła prosto do wanny. Potem odsunęli się za plecy mistrza.

Ambrosius uniósł miecz. Zranione ramię odezwało się ostrym bólem, ale kat był pewien, że potrafi uderzyć mocno i celnie.

- Niech powróci spokój. Niech zapanuje prawda - wygłosił zwyczajową formułę.

Szybkim ruchem spuścił miecz na kark skazańca. Głowa Sydoniusza stoczyła się prosto do wanny. Pomocnik pochwycił ją natychmiast, umieścił w stojaku. Tułów tkwił przypięty pasami do pnia. Ale z odsłoniętej szyi nie popłynęła krew. Wysączyła się tylko odrobina ciemnej, gęstej cieczy.

Świadkowie egzekucji zamarli w zdumieniu. Odezwały się nieliczne okrzyki przestachu i grozy. Pan Gwalbert zerwał się z miejsca, ale szok odebrał mu mowę. Lucylla ścisnęła Arseniusza za rękę.

- Co się dzieje? - szepnęła trwożnie.

- Nie wiem! - wymamrotał Arseniusz.

Spośród wszystkich zgromadzonych na dziedzińcu ludzi tylko Ambrosius zachował spokój. Uniósł dłoń uspokajającym gestem.

- Narzędzie zbrodni zostało unicestwione - powiedział donośnie. - Ale prawdziwy morderca wciąż pozostaje na wolności.

W tłumie zawrzało.

- Co to ma znaczyć?! - wychrypiał Gwalbert.

Ambrosius szybkim ruchem zerwał zasłonę z deski stojącej na kozłach. Oczom zgromadzonych ukazał się rząd portretów.

Serce Ambrosiusa waliło w piersi jak młot, kiedy pełnym głosem zawołał:

- Paniczu Euzebiuszu! Panienko Idalio! Przybądźcie zaświadczyć o prawdzie!

Podmuch zimnego wichru uderzył w dziedziniec. Powietrze zawirowało. Osłupiali ludzie stali jak zahipnotyzowani, nie mogąc poruszyć się z miejsc. Pan Gwalbert opadł z powrotem na ławę.

Nienaturalny szary opar wzniósł się nad szafotem. Portret pani Sulpicji zerwał się nagle z deski, pofrunął w górę. Wtem niewidzialna ręka zmięła go w kulę, cisnęła do srebrnej wanny. Naczynie natychmiast wypełniło się krwią. Posoka zawrzała, wykypiała, pienistymi strugami lała się na deski szafotu.

Wicher świstał jak szalony, targał ubrania ludzi, oślepiał poderwanym z ziemi kurzem. Ponad pełną krwi wanną unosiły się w powietrzu dwa widma. Ich złote, ogniste ślepie nieruchomo wpatrywały się w trybuny.

- Pokażcie wszystkim, co się wydarzyło! - zawołał Ambrosius. - Niech się dowiedzą! Niech dowie się wasz ojciec!

Na moment zapadła ciemność. I nagle w jednym jasnym rozbłysku we mgle stojącej nad szafotem poczęły z błyskawiczną szybkością przesuwać się obrazy. Zgromadzeni ludzie chłonęli je oczami, umysłem i sercem. Czuli, rozumieli, odkrywali tajemnice. Sulpicja i Sydoniusz. Razem w łożu. Szarpanina na krużganku, gniewne, pełne rozpaczony słowa odtraconego kochanka. Znów w łożu. Śpiący Sydoniusz i Sulpicja odmierzająca z flakonu krople, nasączająca białą koronkową chustkę cuchnącą ciemną cieczą. Sydoniusz leżący z chustką na twarzy, potem rzucający się w drgawkach na posłaniu w swojej kwaterze. Kielich, do którego padają gęste brunatne krople. Sydoniusz wstrząsany torsjami, nieruchomiejący na podłodze. Martwe oczy wpatrzone w sufit. Sulpicja wciskająca mu w rękę nóż. Przepelniona żądzą władzy, bezwzględna, zimna jak stal. Sydoniusz z wielkimi

nieruchomymi źrenicami w dziecięcym pokoju. Strach. Łzy. Ból. Mnóstwo krwi. Sulpicja nad swym bezwolnym martwym kochankiem. Trzask drzwi. Błada, przerażona twarz Gwalberta. Sulpicja osuwająca się na łożo. Lochy. Zwierzęcy strach, agresja. Pustka. Pustka. Gasnące światło. Opar rozwiął się. Ludzie budzili się z koszmaru pełni grozy i przerażenia. Wszystkie twarze zwracały się w stronę trybun, wszystkie oczy obracały na nieruchomą, białą jak papier Sulpicję. Gwalbert powstał. Rysy miał ściągnięte, straszne.

- Sulpicjo! - powiedział. - Żono! Jak mogłaś zamordować własną córkę? Po co?

- To kłamstwo! - krzyknęła, wskazując wyciągniętą dłonią Ambrosiusa. - On kłamie! To czarownik!

- Nie wierzę - powiedział Gwalbert cicho. - Wszyscy widzieliśmy. Wszyscy czuliśmy. To ty jesteś czarownicą. Zawładnęłaś duszą Sydoniusza, żeby pozbyć się mego prawowitego następcy, mego pierworodnego syna. A nieszczęsna Idalia, twoje własne dziecko, zginęła tylko po to, żeby odwrócić od ciebie podejrzenia. Bo która matka zabiłaby swą córkę. Ja miałem być następny, czy tak?

Sulpicja powstała z ławy. Już wiedziała, że nie zdoła uciec. Jej usta wykrzywił paskudny uśmiech.

- Tak, głupcze! - syknęła. - Ale na nieszczęście musiałeś przyleźć, właśnie w chwili gdy połam Sydoniusza kolejną porcją driakwi.

- Dlaczego? - wyszeptał Gwalbert. - Dla czezej żądzy władzy?

- Ty miałaś wszystko! - krzyknęła. - A ja nic! Musiałam odgrywać cnotliwą małżonkę, słodką panią Szarej Wody. Bez ciebie, bez twego małego bękarta byłabym naprawdę kimś. Panią. Władczynią. Królową samej siebie. Rządziłabym w zastępstwie małego Fabiana, a gdyby dorósł i zaczął sprawiać kłopoty, znalazłabym sposób, żeby i jego się pozbyć!

- Jesteś potworem. - Wstrząśnięty Gwalbert odsunął się od żony ze wstrętem. - Zaslugujesz na śmierć!

- Jeśli mam odejść, ciebie zabiorę ze sobą - wrzasnęła, wyciągając sztylet z fałdów sukni. Ambrosius nie czekał. Wyrwał nóż zza pasa stojącego obok osłupiałego pomocnika i cisnął w stronę trybun.

- Niech zapanuje spokój! - krzyknął. - Niech się dokona sprawiedliwość!

Sulpicja nie wydała najcichszego nawet dźwięku. Osunęła się na ławę, z niedowierzaniem zaciskając palce na rękojeści wbitego w piersi noża. Na usta wypłynęła jej odrobina krwi, barwiąc wargi szkarłatem. Żółte oczy, rozwarłe szeroko, jakby w zdumieniu, znieruchomiały wpatrzony w blade jak płótno oblicze Gwalberta.

Plama krwi na piersi wyglądała jak przypięty do sukni kwiat. Płynął z niej jasny, perłowy blask.

- Odejdź, Sulpicjo! - powiedział Ambrosius. - Odejdź! Wszystko się skończyło. Tu nie masz już czego szukać. Odejdź i znajdź wreszcie spokój.

Poświata przybrała kształt wrzeciona, rozbłysła i wzniosła się w górę. Po chwili dołączyły do niej trzy jasne, drżące światełka. Zawirowały w powietrzu i znikły.

- Żegnajcie - szepnął Ambrosius.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

\*\*\*

Pakował właśnie kufel, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział, choć nie miał ochoty przyjmować żadnych gości.

Do pokoju wsunął się Arseniusz.

- Pewnie ci przeszkadzam, mistrzu, prawda? Wolałbyś być teraz sam.

Ambrosius uśmiechnął się ze znużeniem.

- Nie. Obawiałem się tylko, że to posłaniec od pana Gwalberta.

Arseniusz odpowiedział uśmiechem.

- On z pewnością też chce być teraz sam.

- Trudno się dziwić - mruknął Ambrosius. Arseniusz wzruszył ramionami.

- Wszyscy jego bliscy odeszli.

- Ma jeszcze syna - przypomniał Ambrosius.

- Skazonego krwią Sulpicji.

Ambrosius włożył do kufra starannie złożoną koszulę.

- To się tak nie przekłada. - Potrząsnął głową. - Z pewnością nie odziedziczy szaleństwa Sulpicji. Pan Gwalbert to mądry i szlachetny człowiek. Wkrótce to zrozumie. Nie wątpię, że będzie wiedział, jak wychować syna, aby stał się taki sam.

- Ambrosiusie - zaczął cicho Arseniusz - chciałbym cię przeprosić. Nie zachowywałem się w stosunku do ciebie właściwie. Wiele mnie nauczyłeś. Bardzo wiele.

Ambrosius uśmiechnął się.

- Patrzeć też?

- Mam nadzieję, że tak. Czy mógłbym... - zawahał się. - Czy mógłbym zachować twoje rysunki? Na pamiątkę.

Ambrosius podał mu teczkę.

- Proszę, mistrzu.

Arseniusz spojrzał w jasne, przejrzyste jak woda oczy młodego mistrza.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedział. - Jesteś niezwykłym człowiekiem.

- Ty także, Arseniuszu. Żegnaj. Kto wie, może się jeszcze spotkamy?

Kat z Szarej Wody w milczeniu skłonił się i wyszedł.

Ambrosius sięgnął po leżący na krześle podarty i poplamiony krwią kaftan. Zwinął go starannie, włożył do kufra i zatrzasnął wieko.

*Opowiadanie to powstało do antologii o II wojnie światowej. Zostało oparte na prawdziwych wydarzeniach. Pewien dzielny porucznik amerykańskiej marynarki wojennej rzeczywiście walczył samotnie ponad miesiąc z przeważającymi siłami japońskimi, którym zadał poważne straty. Przedtem przeżył katastrofę swego okrętu noszącego nazwę „Strong” i odniósł poważne obrażenia na skutek wybuchów bomb głębinowych. Nazywał się bodajże Miller. W końcu został uratowany przez tubylców.*

*Postanowiłam wykorzystać motywy z tej historii w swoim opowiadaniu, nie ośmieliłam się jednak zadedykować go temu niezwykłemu, odważnemu żołnierzowi.*

*Wybrałam ten teatr działań wojennych, bo jest mi niezłe znany, a poza tym wydawał mi się oryginalniejszy od europejskiego czy nawet afrykańskiego.*





# Szkarłatna fala

Trzask pękającego metalu oznaczał, że koniec właśnie nadszedł. Los okrętu był przesądzony. Uderzenie japońskiej torpedy rozerwało kadłub na pół. Jasny, srebrzysty ślad torowy migotał jeszcze na wodzie, gdy śmiertelnie ugodzony okręt zmienił się nagle w dwie ogromne, bezkształtne bryły metalu. Niszczyciel „Storm” tonął.

Już nie wyglądał jak smukła maszyna stworzona, żeby walczyć. Stał się wielką trumną, gotową zanieść na dno ludzi, którym jeszcze przed chwilą wiernie służył.

Marynarze, którzy zdołali opuścić wrak, miotali się bezradnie w wodzie. Kołyszące się na falach czarnego, połyskliwego morza tratwy wyglądały jak zabawki. Nielicznym udało się uchwycić płytkich metalowych burt i dostać się do wnętrza. Próbowali więc ratować rannych, wiele rąk wyciągało się, żeby pomóc kolegom wdrapać się do środka, ale bezgwiezdna tropikalna noc wisiała nad rozbitkami jak kir. Ciemność utrudniała jakąkolwiek akcję ratunkową.

Po powierzchni morza rozlewała się brunatna plama ropy, jakby tonący okręt krwawił. Podporucznik Josh Talbot z całej siły uczepił się długiej, rozszczepionej deski. Oblepione ropą palce ślizgały się bezradnie, tańczący na fali kawałek drewna wrywał się z rąk jak ryba. W prawym boku Talbota odzywał się nieznośny ból, ostry niczym dźgnięcie sztyletem. Oddech wiązał w gardle, ślina miała smak krwi.

Złamane żebro, pomyślał. Chyba przebiło płuco. Jezu, kiepsko to wygląda.

Daleko majaczące na tle nocnego nieba niczym cienie niszczyciele „Raven” i „Spencer” zawracały, żeby podjąć rozbitków. W oczach Talbota wyglądały jak okręty widma. Prąd zepchnął go daleko za rufę konającego „Storma”. Nie miał szans na ratunek, nawet gdyby mógł sprawnie pływać. A nie mógł. Ból w boku wzmagał się z każdym oddechem, w głowie szumiało. Sól osiadająca na wargach mieszała się z krwią dającą paskudny metaliczny posmak w ustach.

Huk eksplozji ozwał się nagle, potężny i głęboki. Za nim natychmiast rozległy się następne, jakby po dnie kroczył niewidzialny olbrzym. To plunęły ogniem japońskie baterie brzegowe. Te, których według rozpoznania wcale tam nie było.

Żebyście wszyscy zdechli, pieprzone japońskie świny, pomyślał rozpaczliwie Talbot.

Pozostawało jedynie patrzeć, jak „Raven” i „Spencer” manewrują, żeby nie oberwać, zbierając na pokład tyłu rozbitków, ilu tylko dają radę w tej sytuacji. I pogodzić się z myślą, że tym razem zabrakło szczęścia. Los na loterii życia dostał ktoś inny.

Josh z trudem odwrócił głowę i zobaczył, że „Storm” prawie zupełnie pogrzyżył się w wodzie. Wyczuł ledwie zauważalne drgnięcie pod powierzchnią, jakby cień fali, która jeszcze nie zdążyła się rozejść. I wtedy zrozumiał.

- Święty Jezu! - szepnął. - Bomby głębinowe!

Potężne tąpnięcie, jakby sam Bóg trzasnął pięścią w dno morza, wstrząsnęło światem. Talbot poczuł, jak impet uderza w niego, wydziera mu z ramion deskę, zgniata niczym świstek papieru. Zalała go cuchnąca ropą woda.

A więc tak się umiera, zdążył pomyśleć, zanim ogarnął go mrok.

\*\*\*

- Panie poruczniku? - rozpoznał chropawy irlandzki akcent MacKinneya. - Żyje pan?

Z trudem przełknął ślinę. Wciąż miała smak krwi. Ołowiane, chmurne niebo wyglądało jak cholerne wieko trumny. Spróbował się odezwać, ale natychmiast wstrząsnął nim atak głuchego, rozdzierającego płuca kaszlu. W boku bolało tak, jakby ktoś dźgał go sięgającym niemal do serca bagnetem. Z trudem uspokoił oddech i splunął. Nie chciał patrzeć. I tak wiedział, jaki kolor ma wydzielina.

- Ktoś jeszcze przeżył? - wyszeptał.

- Tak, sir - odezwał się marynarz nazwiskiem Williams. - Jeszcze ja. I Johnson. Ale jest w bardzo kiepskim stanie. Nie wiemy, czy przetrzyma do wieczora, sir.

Talbot z trudem uniósł głowę. Johnson leżał obok. Twarz miał woskowo bladą, rysy wyostrzone i ściągnięte. Klatka piersiowa podnosiła się w urywanym, chrapliwym oddechu. Nie miał żadnych widocznych ran, ale wydawał się bliski przekroczenia granicy śmierci.

Obrażenia wewnętrzne, pomyślał Talbot. Z pewnością nie przeżyje nocy. Już wygląda jak trup. Oberwał przy wybuchu bomb głębinowych. Tak jak ja.

- Długo jesteśmy na wodzie? - spytał ochrypłym szeptem.

- Całą noc, sir - mruknął MacKinney. - Od świtu minęła może z godzina.

Josh oblizał wargi.

- Domyślcie się, dokąd nas niesie?

Marynarz wzruszył ramionami.

- Gdzieś między Nową Georgią a Kolombangarą, sir. Spycha nas na południowy wschód.

Pięknie, pomyślał Talbot. Prosto na Japońców. Sądząc z wyrazu twarzy, MacKinney też o tym wiedział. Williams wbijał ponury wzrok w horyzont.

- Jak wyglądamy z zaopatrzeniem? - spytał Talbot.

- Nie najlepiej, sir. Mamy racje żywnościowe na jakieś trzy dni i właściwie tyle. Bierzemy wodę, chociaż na razie sytuacja jest pod kontrolą. Gorzej, że diabli wzięli wiosła. Tratwa bardzo oberwała. Nie wytrzyma długo, sir.

Josh patrzył na szare niebo nad głową. Niewiele więcej mógł zrobić. Nie pozostało nic prócz oczekiwania. Dryfowali po spienionym, nieprzyjemnie rozkołysanym morzu. Czterech ludzi zdanych całkowicie na łaskę losu. Niezbyt ciekawa perspektywa, bo los bywa kapryśny jak marcowa pogoda. Talbot zapadał co chwila w trans na granicy jawy i snu. Czas przestał płynąć, świat skurczył się do dwóch szarych płaszczyzn. Tej na górze i tej poniżej. Josh trwał w odrętwieniu.

Ocuciło go ciepło. Promienie słońca padające prosto na twarz. Mimo straszliwego osłabienia od razu wyczuł, że zaszła jakaś zmiana.

Tratwa się nie kołysze, pomyślał. Nie słyszę fal. Z trudem poruszył palcami. Wyczuł drobne, szorstkie grudki. Piasek. Leżał na piasku.

Spróbował odemknąć powieki. Wielkie błękitne niebo wznosiło się ponad nim, przebite lśniącym ćwiekiem słońca. Chciał się poruszyć, usiąść, ale tylko zakaszłał chrapliwie.

- Niech pan leży spokojnie, sir. - Zobaczył pochyloną nad sobą końską twarz Williamsa. - Wyrzuciło nas na brzeg.

- Wiem - wyszeptał z wysiłkiem. - Johnson?

- Nie żyje - powiedział Williams. - Umarł od razu, ledwo wyciągnęliśmy go na piasek.

Przed oczami Talbota eksplodowały złote błyski. Zatrokana twarz Williamsa zmalala, zasnęła się mgłą. Źle, zrozumiał Josh. Nie wywinę się. To koniec. Przynajmniej umrę na lądzie, patrząc w niebieskie niebo. Zawsze coś.

Świat nagle pociemniał i Talbot znów stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zobaczył pochylonego nad sobą MacKinneya. W oczach marynarza dostrzegł troskę i dziwne zakłopotanie.



Boże, pomyślał, zastanawiają się, co zrobić. Nie chcą mnie zostawić, a nieść przecież nie mogą. No dobra, Talbot. Czas nadszedł. Trzeba się zachować jak mężczyzna.

- Jak się pan czuje, poruczniku? - usłyszał.

Zdobył się na blady uśmiech.

- Tak jak wyglądam, MacKinney - wymamrotał bardzo cicho.

Mówienie sprawiało mu ból. Tak jak wszelkie przejawy istnienia.

- Słuchaj - wychrypiał. - Musicie mnie zostawić. Idźcie w dżunglę i starajcie się znaleźć krajowców.

Są do nas przychylnie nastawieni. Pomogą...

Zabrakło mu oddechu i rozkaszał się gwałtownie. Marynarz zbladł.

- Nie ma mowy, panie poruczniku. Nie zostawimy pana...

Talbot uciszył go niemrawym ruchem ręki.

- To rozkaz, MacKinney - szepnął. - Nie utrudniaj, dobra? Weź Williama i idź. Zabierzcie wszystko, co zostało. Zostawcie mi tylko trochę żarcia i nóż. Ten wyszczerbiony. Słyszysz?

Marynarz głęboko wciągnął powietrze.

- Panie poruczniku, nie może pan...

Talbot poczuł, że ogarnia go gniew.

- Mogę, MacKinney - warknął. - Wydałem rozkaz. Zabieraj graty i ruszaj. Rozumiesz?!

Marynarz opuścił głowę.

- Tak jest - powiedział niechętnie. - Za pozwoleniem. Chciałbym tylko wiedzieć, czy pan porucznik na pewno się dobrze zastanowił?

Talbot zamknął oczy.

Jasne, pomyślał. Mało rzeczy tak starannie przemyślałem. Uwierz mi, MacKinney.

- Wiem, co mówię - szepnął, nie otwierając oczu. - Idźcie już. Dacie sobie radę.

Marynarz wstał. Rozglądał się niepewnie. Talbot wciągnął głęboko powietrze, starając się powstrzymać kaszel.

- Nie dajcie się dorwać Japsom - powiedział. - A teraz wynoście się.

MacKinney stał chwilę bez ruchu.

- Powodzenia, sir - mruknął w końcu.

Talbot nie odpowiedział.

Idź już wreszcie, pomyślał. Niech los ci sprzyja bardziej niż mnie.

Nie patrzył za odchodzącymi. Z zamkniętymi oczami leżał na piasku, ciesząc się ciepłem słonecznych promieni.

\*\*\*

Zapadał w krótkie drzemki, a może omdlenia. Budził się i wpatrywał w błękitną kopułę nieba. Już nie czuł bólu. Ogarnął go spokój, rozległy i leniwy jak fale oceanu.

Nie takie straszne to umieranie, pomyślał i osunął się w kolejną pozbawioną marzeń drzemkę.

\*\*\*

Fala przyboju jest czerwona jak krew. To nie odbłask zachodzącego słońca, tylko głęboki, niepojęty szkarłat w głębinie, widoczny na powierzchni niczym ścieżka wiodąca wprost ku zapadającej za horyzont pomarańczowej kuli światła. Kusi, żeby na nią wstąpić.

Dałbym radę, gdyby nie to uporczywe łomotanie bębnow. Słyszę je nieustannie. Oszałeć można od

przemożnego, ogłuszającego terkotu. Widzę strzelające iskrami ogniska, sylwetki krążących wokół istot. Ludzkie cienie tańczą. Powtarzają słowa, w których jest żądanie, jest prośba, jest moc. Chcą czegoś ode mnie. A ja muszę odejść szkarłatną ścieżką.

Nie pozwalają mi. Przywołują. Czuję ból i wściekłość. Wszystko zabarwia się kolorem gniewu, barwą krwi. Ściskam rękami skronie i tarzam się po piasku, żeby uciec od tego cholernego, pieprzonego hałasu. Tancerze są coraz bliżej, zacieśniają krąg. Brązowa skóra połyskuje w świetle płomieni jak miedź. A piekielne kołatki huczają gorzej niż nurkujące bombowce.

Jestem zbyt słaby, żeby się obronić. Zapadam się w piasek, czarny jak noc, lepki i gęsty. Pograżam się w mroku, w ciemności pełnej szklanych odłamków gwiazd.

\*\*\*

Mylłem się. To nie gwiazdy, tylko oczy. Tysiące błyskających w mroku białek oczu, którymi wyłożone są ściany i podłoga chaty. Patrzą na mnie. To nieprzyjazne spojrzenia. Znaczące, gniewne łypnięcia posyłane intruzom. Jestem obcy. Czuję, że nie mam prawa przebywać w chacie. Stać pod ciężkimi, groźnymi spojrzeniami przodków o innej niż moja krew. Nie rozpoznają jej zapachu. Nie znają smaku.

- Obcy - mówią wyraźnie i gniewnie.

Zewsząd padają pytania. O klany, totemy, imiona zmarłych ojców i dziadów. O chwalebne czyny i zwycięstwa. Nie mam im nic do opowiedzenia.

- Obcy! - wołają oskarżycielsko. - Wróg!

- Nie - szepczę. - Nie wróg. Walczę przeciw Japończykom.

I nagle uświadamiam sobie, że nienawidzę Japończyków. Za bestialskie torturowanie jeńców. Za strzelanie do bezbronnych pilotów, którzy zdołali wyskoczyć z uszkodzonych maszyn. Za marynarza Ralpha Simpsona, któremu japoński rozbitek wpakował nóż w brzuch, kiedy ten podawał mu filiżankę kawy. Za zaciekle nieludzkie oczy, wąskie ślepie diabłów.

To wróg, z którym walczę, myślę. Wróg z pustą twarzą i bezmyślnym okrucieństwem w źrenicach. Jak owad, a nie człowiek. Każdy japoński żołnierz jest identyczny, jakby zabijany wciąż powstawał z martwych. Chcę zniszczyć każdego z tych fanatycznych szaleńców, którzy wtargnęli na cudzą ziemię, żeby podpalić świat.

Cienie w chacie ogarnia wzburzenie. Rozumieją mnie. Podzielają mój gniew. To nasz wspólny klan, wspólny totem. Nienawiść wobec wroga.

- Zabij! - wołają. - Oromatua! Oromatua!

Słowa zlewają się w szum. Bliski, przenikający wszystko śpiew morza. Przyplływ?

Stoję na ścieżce. Jest wąska, pełna zdradliwych rozpadlin. Wysoka, stroma skała zamyka świat niczym mur. W dole gniewa się morze. Uderza ze złością w głazy na brzegu, fala za falą. Słyszę jego niski, głęboki ryk.

Na ścieżkę pada ogromny cień. Podrywam głowę, ale jest za późno na ucieczkę. Topór dzierzony w dłoni olbrzyma opada nieubłaganie. Uderzenie miażdży mnie, wgniata w czarną, bezgwiazdną noc. I zostaje tylko ciemność.

\*\*\*

Niebo nabrało intensywnego odcienia błękitu, niczym susząca się na sznurze dziewczęca sukienka. Słońce przyjemnie grzało skórę. Talbot chłonał ciepło. Dobrze, życiodajne ciepło, które leczyło i

przynosiło nadzieję.

Poruszył się ostrożnie. Ból w boku odezwał się natychmiast, ale obezwładniające poczucie słabości znikło. Ustał też krwotok z ust. Talbot czuł się nadspodziewanie dobrze. Wciąż był osłabiony i wycieńczony po dwóch dobach spędzonych w wodzie, ale gorączka i zawroty głowy ustąpiły. Kostucha odeszła. Zniknął jej mroczny, zimny cień, który spowijał go od chwili wylądowania na wyspie.

Żyję, pomyślał. Kto by uwierzył?

Mglisto przypominał sobie jakieś nieprzyjemne zwidy, dziwne wrażenia, których doznawał, leżąc bez przytomności. Był tam olbrzym z toporem, tańczące dzikusy i ogniska na plaży. Majaki rodem z awanturnicznych powieści, jakie czytywał, będąc dzieckiem.

Wiedział, że znajduje się w kiepskiej i niebezpiecznej sytuacji, lecz w tej chwili rozsądek żołnierza musiał ustąpić radości ocalonego Robinsona. Nie martwił się, że nie ma zapasów i schronienia, że wokół kręci się pełno wrogów, a on poza wyszczerbionym nożem nie ma żadnej broni. Żył. To na razie było najważniejsze.

Rozejrzał się. Wąski pasek plaży omywały fale spokojnego morza. Na horyzoncie majaczył odległy siny kształt sąsiedniej wyspy. Kolombangara, pomyślał Talbot i poczuł leciutkie ukłucie niepokoju. Tu wszędzie jest pełno pieprzonych Japsów. Więcej sukinsynów niż mrówek.

Ściana tropikalnego lasu zaczynała się tuż na granicy plaży. Wydawała się równa i gęsta niczym żywopłot. Po prawej widniała łąka piasku zamknięta potężnym zwałiskiem skalnym, wdzierającym się wąskim klinem w morze. A tuż obok kołysał się łagodnie poruszany dłońmi wiatru kokosowy zagajnik.

- Jak w raj - mruknął Josh. - Gdyby tylko dobry Bóg zechciał stworzyć Ewę podobną do Rity Hayworth i sprzątnął tych wszystkich Japońców.

Ale na horyzoncie majaczył spowity mgiełką zarys Kolombangary. Talbot westchnął.

- Coś mi się zdaje - szepnął do siebie - że nici z Ewy. A Japsów będę musiał pozbyć się sam.

\*\*\*

Dżungla przypomina katedrę. U góry ciemne, zielone sklepienie z liści i gałęzi podparte niekończącymi się kolumnami pni. Wiązki grubych jak męskie udo korzeni wyrastają z nich niczym przypory. Na dole goła, wilgotna ziemia. A raczej błoto. Jest wszędzie. Czasem czuję, jakby wżerało mi się w skórę, tworząc osobliwy tatuaż. Pokrywa ciało lepka, śliska warstewką, maluje bure półksiężycy za paznokciami, maże się nieustannie.

Dżungla ocieka wilgocią. Jest tak parno, że chyba nauczyłem się oddychać wodą, nie powietrzem. W zielonym mroku dżungli naprawdę czuję się, jakbym nurkował. To dziwny świat. Tu wszystko, co pragnie przeżyć, pnie się w górę, ku słońcu. Ptaki, zwierzęta kłębią się w gąszczu liści nad moją głową. A ja swoją szansę na życie znalazłem na ziemi, w korzeniach wysokiego jak maszt drzewa. Najpierw zobaczyłem koc. Przypominał szary łachman. Był w całkiem dobrym stanie, tylko brudny. Nie spleśniał ani nie zetlał. Dziwne. W lesie każda rzecz zaraz nasiąka wodą i gnije.

Były właściciel pledu leżał nieopodal, ubrany w resztki munduru piechura. Śmierdział paskudnie, ale postanowiłem mu wybaczyć. W końcu okazał się moim dobroczyńcą. Oddał mi to, co miał najcenniejszego. Racje żywnościowe, bagnet i pięć ślicznych, eleganckich granatów. Ważę je w dłoniach i nie mogę się nacieszyć. Dobrze znów mieć broń.

Dokuczają mi tylko złamane zębro. Musiałem ścisnąć pierś paskiem, żeby zmniejszyć ból i swobodniej oddychać. A tak przecież byłem pewien, że się przekręcę. Widocznie jestem silniejszy, niż myślałem.

Piję deszczówkę, babrzę się w błocie, żrą mnie wszechobecne, niezniszczalne komary, jednak nie choruję, chociaż od dnia przybycia na wyspę nie widziałem na oczy słynnych gorzkich i mdlących pastylek przeciw malarii.

Ciekawe, co się stało z Wiliamsem i MacKinneyem? Nawet jeśli wyszli cało, nie ma co liczyć, że sprowadzą pomoc. Są pewnie przekonani, że nie przeżyłem.

Jem ryż i suszone ryby, które jakimś cudem nie zgniły. Mają dziwaczny smak, ale nie powinienem narzekać. Otrzymałem prawdziwe skarby. Wytwory wprost z samego serca Imperium Wschodzącego Słońca. Dzięki, wielki cesarzu. Zjadam twoje ryby z intencją, żebyś się jak najszybciej przekreślił. Razem ze swoją płaskonosą, wąskooką armią.

Na razie nie natrafiłem na żadnego żywego Japońca. Ale teraz, z pięcioma wybuchowymi kumplami u boku, będę mógł go godnie powitać.

\*\*\*

Deszcz spadł bez uprzedzenia. Po prostu ociekających z liści i gałęzi kropel robiło się coraz więcej, aż zagęściły się w prawdziwą ulewę. Woda szemrała monotennie, jakby próbowała opowiedzieć zawiłą i niesłychanie nudną historię.

W dżungli w czasie deszczu nie ma się gdzie schować. Talbot siedział oparty plecami o pień drzewa. Patrzył, jak wielkie, ciężkie krople uderzają w ziemię. Niedługo przestanie padać, pomyślał.

Uczył się dżungli zdumiewająco szybko. Niemal tak szybko, jak zapominał o domu. Ameryka przestała istnieć. Zastąpił ją gąszcz splątanej, ociekającej wilgocią zieleni.

Deszcz ustawał powoli. Spływał łagodnie po liściach, jakby chciał je ukołysać do snu. Zrobiło się niemiłosiernie parno. Mgła przyszła niespodziewanie. Jeszcze przed chwilą unosiła się tuż nad ziemią lekkim, zwiewnym oparem, a teraz rozlała się szeroko, topiąc pnie drzew w mlecznej bieli.

Poczuł przebiegający wzdłuż krzyża dreszcz. Mgła nie przybyła sama. Przyprowadziła z sobą niepokój. Irracjonalne, zwierzęce poczucie zagrożenia.

Josh obliznął wargi. Próbował wsłuchać się w odgłosy lasu, ale mgła tłumiała dźwięki. Ruszył ostrożnie przed siebie, starając się czynić jak najmniej hałasu. W lepkiej od potu dłoni ścisnął granat. Ciała leżały na ziemi pokryte warstwą wszechobecnego błota. Spowite mlecznym oparem niczym całunem niemal całkowicie zniknęły w poszyciu dżungli. Mało brakowało, żeby Talbot potknął się o wyciągniętą sękatą jak korzeń rękę.

To nie Japończycy, pomyślał. Tubylcy.

Trupów było kilka. Sześć, a może siedem, jeśli leżący w korzeniach drzewa kształt też był ciałem, a nie zwalonym, przysypanym ziemią konarem.

Talbot obliznął usta. Raz po raz po plecach przebiegały mu dreszcze. W lesie panowała dziwna głucha cisza. Powietrze zrobiło się gęste od wilgoci, parne niczym w saunie, ale Josh byłby w stanie przysiąc, że mgła jest lodowato zimna. Jakby na potwierdzenie, jego ramiona i kark pokryły się gęsią skórką.

Coś jest nie tak! - krzyknął ostrzegawczy głos w głowie. Coś jest cholernie nie tak, stary!

Talbot przymrużył oczy.

W bladej mlecznej bieli między korzeniami wielkiego drzewa, tam gdzie leżał trup, który jednak nie okazał się gałęzią, poruszały się jakieś kształty. Skulone, przykucnięte cienie, zdecydowanie człekokształtne.

Mamrotały do siebie niskimi, monotonnymi głosami podobnymi do pomruku zwierzęcia. Pochylały się nisko nad ciałem, a wtedy Talbot słyszał wyraźnie, że szeptom towarzyszą jeszcze inne dźwięki.

Miękkie, paskudne młasnienica, jakieś zgrzyty, trzask, jakby łamanych kości, i odgłos żucia. Przełknął gęstą, lepłą ślinę i właściwie bez udziału woli ruszył do przodu. Granat ślizgał się w mokrej od potu dłoni.

Trzy wychudzone, skupione wokół ciała postaci nie zwracały na niego uwagi. Talbot stał nie dalej niż pięć metrów od miejsca uczyty. Oddychał płytko, w skroniach słyszał łomotanie krwi.

- Nie wierzę - szepnął. - Boże, nie wierzę.

Stwory żarły zapamiętałe. Widział, jak odrywają zębami kawały napuchłego, mocno już nadgniętego mięsa. Wokół unosił się smród rozkładu.

Talbot poczuł podchodzącą do ust gorzką falę mdłości. Znów z trudem przełknął ślinę, za wszelką cenę starając się nie zwymiotować. Sytuacja, w której w każdej chwili można zostać zaatakowanym przez trójkę nagich, wyraźnie oszalałych kanibali, nie jest najlepszym momentem na rzyganie.

Wtem jeden ze stworów uniósł głowę. Z nienaturalnie szerokich ust pełnych grubych jak pocisk karabinowy ostrych kłów zwisał płat oderwanej ze zwłok skóry.

Talbot cofnął się odruchowo.

Potwór patrzył na niego wąskimi, bystrymi oczami. Lśniły zielono w ciemności jak ślepia kota. Wąską, trójkątną twarz okalały brudne, zlepione w strąki kudły.

Teraz oba pozostałe też przestały jeść, podniosły głowy i gapiły się na Talbota. Nagle ten bliższy syknął przeciągle jak rozwścieczona puma.

- Atua! - warknął.

Josh drgnął.

- Atua! - podchwycił drugi. - Ty Oromatua! Niewolnik Samulayo!

Nie mówił po angielsku, ale Talbot go zrozumiał.

- Pieprzeni kanibale! - krzyknął wściekle. - Potwory! Trupożercy!

Stwory obnażyły kły.

- Oromatua! - zasyczały gniewnie. - Obcy!

Zakołysały się, jakby zamierzały rzucić się na Talbota, ale zamiast zaatakować, odwróciły się i błyskawicznie zniknęły we mgle.

Josh poczuł, że uginają się pod nim kolana. Oblał się lodowatym potem. W uszach mu szumiało, w skroniach waliło tętno. Spróbował uspokoić oddech.

- Pieprzeni kanibale - powtórzył już do siebie. - Jezu Chryste, żarli na pół zgniłego trupa.

Przesunął ręką po twarzy. Dłoń drżała wyraźnie.

Wysoko, w zielonym sklepieniu gałęzi, odezwał się pojedynczy ptak, lecz zaraz zamilkł, jakby spłoszony.

Talbot poczuł, że musi wyjść na słońce, musi odetchnąć świeżym powietrzem, a nie wilgotnym, przesyconym wonią rozkładu odorem dżungli, bo inaczej się udusi. Zawrócił i niemal biegiem puścił się przez gęstwinę niskich krzaków i młodych drzewek. Byle do plaży, do morza.

Pędził, nie odwracając się za siebie, żegnany przeciągłym, smętnym lamentem ukrytego w gałęziach ptaka.

\*\*\*

Dobrze zrobiłem, wracając na plażę. Inaczej pewnie nie ja zdybałbym tych Japońców, a oni mnie. Łazili jakoś tak bezradnie, jakby czegoś szukali. Może tego piechura z kocem? Było ich czterech. Trzech żołnierzy i jeden kapral, sztywny jak kawał kija. Wydierał się cały czas w



tym swoim przypominającym szczekanie języku. Przyciłem się na skałach pewien, że mnie zauważą. Do diabła, musieli mnie zauważyć. Ale nie. Patrzyli w moją stronę, praktycznie prosto w oczy, lecz nic nie wskazywało, że mnie widzą. Nieudacznicy jacyś. Serce mi waliło, rozsądek podpowiadał, żeby przeczekać. Jednak pięciu śmiercionośnych przyjaciół

dopominało się uwagi. Poczulem, że powinienem wysłuchać ich argumentów. Podczołgałem się bliżej. Mogłem stąd widzieć wyraźnie płaskie, świecące od potu twarze wrogów. A oni wciąż mnie nie dostrzegali.

Rzuciłem pierwszy granat. Prosto pod nogi sadzącego się kaprała. Rany, co to był za piękny wybuch. Wyrwało go w powietrze i cisnęło o piach. Wszyscy pozostali też upadli. Nie czekałem. Posłałem im kolejne granaty w nadziei, że przeniosą sukinsynów do wieczności.

Dwóch, w tym nadęty kaprał, zginęło od razu. Jeden rzeził, próbując wepchnąć z powrotem do brzucha wyrwane wnętrzności. Minąłem go i rzuciłem się biegiem za ostatnim, który uciekał chwiejnym krokiem. Dopadłem żółtka bez trudu. Musiał być nieźle przygłuszony i poturbowany, bo krew ciekła mu z nosa i uszu. Chlasnąłem go nożem po gardle. Upadł z charkotem, zalewając się lepkiem, gorącym szkarłatem. Leżał na ziemi, wywałając na mnie wytrzeszczone ze strachu oczy. Jego ciałem wstrząsały drgawki.

Gotów, pomyślałem i wróciłem do żółtka z flakami na wierzchu. Żył jeszcze, więc pochyliłem się, żeby i jego potraktować nożem.

- Obakemono! - jęknął z przerażeniem, próbując zasłonić się ręką.

- Jasne. - Wyszczrzyłem zęby. - Już po tobie, żółtku.

Przejechałem mu po gardle, zanim zdążył zrozumieć, co się dzieje. Zadygotał i charcząc, starał się złapać oddech.

- Za późno, stary - zanuciłem. - Żegnaj, moje słoneczko. Zdychasz!

Zwycięstwo wprawiło mnie w euforię. Chciało mi się śmiać i tańczyć. Krew wrogów pachniała ostro, pobudzająco. Wymierzyłem potężnego kopniaka nieruchomemu kapralowi.

- Trzeba było się rozglądać, zamiast wrzeszczeć - powiedziałem serdecznie.

Przekręciłem go na wznak i przez chwilę wpatrywałem się w martwą twarz. Nieżywy nieprzyjaciel. Piękny widok.

Teraz siedzę, żuję sprasowane śliwki, przyglądam się trupom i liczę zyski. Zapas żarcia, ręczne granaty, karabiny, amunicja. Niezły arsenał.

Doskonały zapas, żeby wyruszyć na wojnę. Moją małą, prywatną krucjatę przeciw żółtkom o płaskich pyskach.

\*\*\*

Słońce miało się ku zachodowi, ale Talbot postanowił nie opuszczać plaży. Między skałami, w małej, płytko sklepionej jaskini, znalazł sobie tymczasową kryjówkę.

Wokoło było tak spokojnie. Morze szumiało, fale cicho kładły się na brzegu. Strzępiaste głowy kokosowych palm chyliły się łagodnie głaskane podmuchami wiatru.

Jak w raj, pomyślał Josh.

Siedział na skale, wpatrując się w horyzont. Niebo fioletowiało, nadchodził szybki tropikalny zmierzch. Powietrze zrobiło się rześkie, upał zelżał znacząco. Tylko woda przybrała nagle dziwny czerwony odcień. Szkarłatna kreska biegła jakby tuż pod powierzchnią morza w stronę zachodzącego słońca.

Dziwny jakiś ten refleks, zastanowił się Talbot. Chyba nie będzie w nocy deszczu, powiedział sobie i wtedy kątem oka zauważył ruch. Odwrócił głowę.

Daleko po lewej krajowcy ciągnęli po piasku czółno. Widział wyraźnie trzy prawie nagie postaci popychające łódź. A za nimi podążali Williams i MacKinney!

Talbot poderwał się na nogi.

Dzięki ci, Jezu! - myślał gorączkowo. Ratunek przybywa!  
Wdrapał się na szczyt skały i zamachał gwałtownie rękami.  
- Hej! - krzyknął ile sił w płucach. - MacKinney! Williams! Tu jestem! Poczekajcie!  
Nie zareagowali. Widocznie nie usłyszeli wołania. Poruszali się powoli, nienaturalnie sztywno.  
Widocznie są ranni albo wycieńczeni, pomyślał Talbot.  
- Hej! - wrzasnął jeszcze raz. - To ja! Talbot! Słyszycie?!

Nie słyszeli. Podążali za czołnem ze wzrokiem wbitym w horyzont. Krajowcy też nie zwracali na krzyki najmniejszej uwagi.  
Cholerne łamagi, pomyślał Josh i zaczął pospiesznie zlaźić ze skały. Zeskoczył zwinnie na piasek i wciąż pokrzykując, puścił się biegiem w stronę towarzyszy.  
Starucha zjawiała się chyba znikąd. Zabiegła mu drogę, wywijając sękatym kijem i wyrzucając potok gniewnych, niezrozumiałych słów. Wiatr od morza szarpał jej łachmanami, na szyi dzwoniły sznury muszelek i dziwacznych paciorków zrobionych z kości. Oklapłe, pomarszczone piersi wyglądały jak dwa puste woreczki.  
- Nie wiem, o co chodzi, ale nie mam czasu! - zawołał Josh, starając się ominąć kobietę. - Muszę się dostać do łodzi!

Krzyknęła coś wściekle i podniosła na niego zagniewaną twarz. Promienie słońca zaślniły matowo w sinych, pozbawionych tęczówek i źrenic oczach.  
Jest ślepa jak kret, pomyślał Talbot ze zdumieniem. Jakim cudem tak sprawnie się porusza?  
Daleko na plaży krajowcy spychali czołno na wodę. Josh poczuł, że ogarnia go rozpacz.  
- Williams! - wrzasnął najgłośniej jak mógł. - MacKinney! Ogłuchliście, cholera?!

Marynarze maszerowali sztywno przed siebie. Żaden nawet nie odwrócił głowy.  
Talbot poczuł napływającą falę złości. Przecież nie mogli nie słyszeć! Rzucił się do biegu, ale ślepa starucha złapała go sękatą, twardą dłonią za nadgarstek. Wykrzykiwała coś wściekle, aż na wąskich, wyschłych jak rzemień ustach pojawiła się piana.  
Talbot szarpnął się, ale uścisk nie zelżał. Spojrzał w pomarszczoną, wykrzywioną gniewem twarz. Malowało się na niej jawne oburzenie.  
- Oromatua! - zaskrzeczała kobieta gniewnie. - Oromatua!

Przecież nie mogę uderzyć niewidomej staruszki, pomyślał. Ale, do diabła, czy mam inne wyjście?  
MacKinney wsiadał właśnie do łodzi. Williams stał nieruchomo, gapiąc się w przestrzeń.  
- Williams!!! - ryknął Talbot ze złością. - Williams, cholerny sukinyu!!!  
Marynarz nawet nie drgnął.  
Josh szarpnął wściekle i wyrwał ramię z palców staruchy. Straciła równowagę i niechybnie upadła, ale Talbot już na nią nie patrzył. Pędził w kierunku łodzi, wymachując rękami.  
- MacKinney! - krzyczał. - Poczekajcie!

Williams wsiadał właśnie do czołna. Zamarł na chwilę i odwrócił się. Na jego obojętnej dotąd, bladej twarzy pojawił się cień zdziwienia.  
Nareszcie, pomyślał Talbot. Zobaczył mnie, pieprzony głuchman!  
Oczy marynarza wpatrywały się w sylwetkę biegnącego dowódcy z głębokim niedowierzaniem.  
Williams przekrzywił głowę niczym zadziwiony pies.  
- Williams, to ja! - krzyknął Josh. - Talbot!

Teraz i MacKinney się odwrócił. Gapił się na Talbota jak na niezwykle zjawisko.  
- Co jest?! - wrzasnął podporucznik, który znajdował się już tak blisko, że nie mógł pozostać nierozpoznany. - Powariowaliście?!  
Wtedy usłyszał świst przelatującego kamienia i w jednej chwili świat zapadł się w ciemność.



Ocknąłem się twarzą w mokrym piachu i z eleganckim guzem na czerepie. Po czólnie i moich ludziach, oczywiście, ani śladu. Cudownie. A w dowództwie cały czas nawijali, jak to tubylcy nas kochają. Widocznie nie mieli na myśli starych bab. Cholerna, pieprzona starucha. Czego chciała, do diabła? Wariatka czy jak? Niezła była jak na ślepa, nie ma co. Gwizdnęła mnie kamieniem aż miło. Od razu straciłem przytomność.

Nie rozumiem, co się stało z MacKinneyem i Wiliamsem. Przecież musieli mnie rozpoznać. Może byli chorzy? Mieli takie dziwne, puste spojrzenia. I poruszali się jakoś sztywno. Pewnie malaria albo inne tropikalne diabelstwo. Widocznie myśleli, że mającą.

Co za pieprzony pech. Szczerze mówiąc, płakać mi się chce. To szokujące, nie? Podporucznik marynarki nie powinien się załamywać. Nie wolno. Gówno prawda. Zresztą wcale się nie załamuję. Będę siedział na tej cholерnej wyspie, póki nie zdechnę, i załatwię każdego Japońca, jakiego zobaczę.

Po prostu diabelnie mi żal straconej okazji.

Wróciłem do dżungli. Plaża mnie przygnębia. Ostatnio nie czuję się najlepiej. Chyba w końcu dostałem malarii. Mam dreszcze, całe ciało mnie swędzi. Straciłem apetyt. Zdaje się, że coś dziwnego dzieje się z moją twarzą. Pali jak spieczona słońcem, chociaż cały czas siedzę w cieniu. Wyczuwam na skórze jakieś dziwne zgrubienia, jakby linie. I broda mi wcale nie rośnie. Utkwiłem tu chyba ponad tydzień temu, a policzki mam gładkie, pokryte zaledwie dwudniową szczecina. Pewnie od błota. Musiałem się zarazić jakąś skórną chorobą.

Prawdopodobnie mam też gorączkę. Boję się, że mój stan jest poważny. Są takie momenty w ciągu dnia, których nie jestem sobie w stanie przypomnieć. Dziwne uderzenia gorąca, jakieś urywane, poplątane sceny i mgliste wspomnienia potem. Być może to skutki malarii. A może urazu głowy. Pamiątka po miłej starszej pani z oczami jak gotowane jajka. Nie wiem. Zresztą czy to ważne? Choruję i tyle.

Męczą mnie koszmarne sny. Bardzo wyraziste, choć urywane, jak poszczególne klatki z filmu. Zabijam w nich Japończyków. Szczerze mówiąc, robię koszmarne rzeczy, jak Superman, który oszalał. Łamię karki, odrywam głowy, miażdżę butami klatki piersiowe, wrywam ręce i nogi. Nie imają się mnie kule, a raczej trafiają we mnie, owszem, ale nie szkodzą bardziej niż uządlenie pszczoły. Patrzą w te przerażone, wytrzeszczone oczy, na wykrzywione lekkiem twarze i czuję radość. Potężną, głęboką euforię. Oto wypełniam misję. Po to zostałem powołany. Po to przybyłem. Cały mażę się gorącą, słodko pachnącą krwią i tańczę. Cudowne uczucie. Ale całkiem chore, wiem.

Te majaki są przypuszczalnie skutkiem choroby i przemęczenia. W końcu żyję w ciągłym napięciu. Tak naprawdę zabiłem pięciu żołtków. Trzech ustrzeliłem na ścieżce, którą znalazłem. Ukryłem się i czekałem, aż będą szli. Nie mieli szansy. Wszyscy zginęli na miejscu. Na szczęście nie musiałem ich dobijać. Nie powiem, że bym się szczególnie wzdragał, ale nie lubię tego robić. Dwóch załatwiłem bagnetem. Pierwszy nie przynosi mi chwały. Wlazł w krzaki i wstyd powiedzieć, co zamierzał robić. Wystarczyło rozplatać mu gardło jak kurczakowi. Drugiego zabiłem, kiedy odpoczywał. Jadł te swoje suszone ryby i niczego się nie spodziewał. Ale to była naprawdę niezła akcja. Oddział liczył pewnie z piętnastu chłopów. Wystawili wartowników, ale równie dobrze mogliby sobie darować. Są okropnie nieudolni. Prześlizguję się obok, tak blisko, że mógłbym im napluć na buty, a i tak mnie nie widzą. Nie wiem, jak to się dzieje. Naprawdę powinni mnie zobaczyć. Żyjąc w lesie, zacząłem wyczuwać dżunglę. Rozumiem ją, słucham, poznaję. Jest mi bardzo przychylna. Udziela schronienia,

maskuje przed wzrokiem nieprzyjaciół, karmi i hołubi. Polubiliśmy się. Jesteśmy jednej krwi. Czuję jednak, że Japońców nie darzy podobnym uczuciem. Odślania mi ich, podaje na widelcu, a jedyne, co mi pozostaje, to sprawnie użyć noża. Tak jak w wypadku tamtego żółtka. Miał pecha, bo usiadł na skraju obozowiska w pewnej odległości od reszty. Dlatego dżungla go wybrała. Podczołgałem się cicho i wbiłem mu nóż pionowo pod brodę, trochę z boku. Nawet nie stęknął. Oparł się tylko o drzewo i zmarł z kawałkiem cuchnącej suszonej ryby w ustach. Z trudem pohamowałem śmiech. Pięknie się zaprezentuje w swoich żółtych zaświatach. Odczołgałem się spokojnie i cicho. Nikt mnie nie dostrzegł. Nie bałem się nawet przez moment. W końcu dżungla mnie strzeże. To dobra opiekunka. Hojna i serdeczna. Gdybym umiał, napisałbym dla niej wiersz w podzięcie. Ale nie umiem, więc poświęcam jej każdą kroplę nieprzyjacielskiej krwi, która za moją sprawą wsiąka w poszycie lasu. I wiem, że ta ofiara przypada jej do gustu.

Wyrzynam kolejny karb na patyku, na którym zaznaczam zabitych Japońców. Głęboki, wyraźny karb. Jestem zadowolony. Słucham powolnego kapania kropel ściekających z liści i jestem pewien, że dżungla też odczuwa radość.

\*\*\*

To nie bezładna kupa gnijących gałęzi, jak mogłoby się zdawać. To bunkier. Czuję go. Dżungla mnie tu przyprowadziła nie bez powodu. Mam zniszczyć ten parszywy wrzód, tę cuchnącą żółtkami norę. Uśmiecham się ostro, drapieźnie. Nic przyjemniejszego nie mogło mnie spotkać.

Czaję się przez chwilę w krzakach, podchodzę jak najbliżej i obserwuję. Siedzą w środku niczym robaki toczące przegniły pień. Jest ich czterech. Szczerzę w uśmiechu zęby. Szkoda, że tak niewielu. Dżungla czeka. Czuję na karku jej gorący, przyspieszony oddech. Jest podniecona. Namawia mnie, żebym uderzył. Słyszę jej ponaglenia w głosach ptaków, szumie liści, poruszeniach gałązek.

Zaraz, moja piękna. Zaraz. Zaczekaj jeszcze chwilę.

Teraz!

Rzucam granat. Szybkuje w powietrzu i wpada w sam środek szczeliny strzelniczej. Śmieję się cicho. Niezły jestem, co?

Wybuch wywala w powietrze błoto, gałęzie i nadgniłe belki. Słyszę wrzask i szamotaninę wewnątrz. I już pędzę, a adrenalina gotuje się w moich żyłach.

- Oromatua! Zabij! - woła za mną wilgotna zieleń.

Jestem w bunkrze. Widzę przerażone płaskie twarze, czuję zapach krwi. Żółtek strzela do mnie, ale ja się usuwam, prześlizguję między kulami. Nie wierzy. Gapi się pełnymi lęku oczami, a wtedy dopadam go i jednym ruchem wyginam lufę tego jego żałosnego karabinu. Wtedy zaczyna wrzeszczeć.

- Ko - we! Ko - we! Obakemono! Obake...!

Łapię go za głowę i jednym ruchem skręcam kark. Japoniec opada jak szmaciana kukła.

Słyszę, że drugi żółtek cały czas strzela, ale, oczywiście, nie może mnie trafić. Odwracam się do niego z karabinem w rękach, ale nie zadaję sobie trudu naciskania spustu. Walę kolbą w okrągły, pokryty gładkimi czarnymi włosami łeb. Trzaska jak arbuz. Czerwień bluzga na ściany bunkra.

Słyszę wysoki, szaleńczy pisk. Kolejny Japoniec rzuca się na mnie. Czarne oczy płoną wściekłością i niedowierzaniem. To sam pan kapral. Proszę, co za zaszczyt. Mundur ma podarty, poplamiony krwią. Widać oberwał podczas wybuchu granatu. Uśmiecham się paskudnie. Myślę, że należy mu się specjalne traktowanie. Sięgam po karabin maszynowy, z łatwością wrywam go ze stanowiska. Bojowy pisk zamiera na wargach kaprala, a ja zamierzam się i z rozmachem rozwalam mu łeb ciężkim kawałem metalu. Rozpęka się jak rozdeptana pomarańcza. Czerwona pomarańcza, rzecz

jasna.

Co za piękne przedstawienie. Oddycham głęboko, radośnie. I wtedy sobie przypominam. Był jeszcze jeden.

Wyciągam bagnet. Dżungla lubi mój nóż. Poświęcone tylko jej narzędzie ofiarne. Zaraz napijesz się krwi, przyjaciółko. Tylko znajdę tego żółtka.

Gdzie jesteś, gołąbku? Gdzie się ukrywasz?

Ach, tam! No proszę.

Leży na ziemi, skulony, przykryty kocem. I myśli, że go nie zobaczę. Naiwniak.

Podchodzę cicho z bagnetem w dłoni. Uśmiecham się cały czas. Piękny, szeroki uśmiech po prostu nie schodzi mi z twarzy.

Jednym ruchem odrzucam koc. Wiecie, że strach cuchnie? Paskudnie, jakoś piżmowo. A ja nie lubię nieprzyjemnych zapachów. Wprawiają mnie w zły humor.

Patrzę w spoconą, wykrzywioną przerażeniem twarz. Wygląda brzydko, niemal nieludzko. Japoniec cały się trzęsie. Żałosny strzęp życia.

- Obake... - jęczy słabo. - Obakemono!

- Ależ tak - mówię - masz rację, stary.

Pochylam się. W mojej ręce lśni bagnet. Japończyk wydaje stłumione stęknienie i przestaje drżeć. Zapach strachu miesza się z wonią krwi.

Unoszę bagnet i pozwalam, żeby czerwone krople ściekały na ziemię.

- To dla ciebie, opiekunko i przyjaciółko - szepczę. Czy mi się zdaje, czy zieleń ma dziś naprawdę głęboki odcień?

\*\*\*

Dżungla jest moim domem. Moją katedrą. Patrzę na sklepienie wysoko gałęzie i odczuwam spokój. Płynne szmaragdowe światło przenika przez liście jak przez witraże. Smukłe kolumny drzew stoją obok siebie, strzeliste i dumne. Las jest pełen piękna i niezwykłego majestatu. Wsłuchuję się w jego głos. Odwieczny, nieustający szept ściekających po liściach kropel, krzyki ptaków wysoko w gęstwinie, szum wiatru. Staram się zrozumieć tę mowę, pojąć dżunglę i zrozumieć, czego ode mnie oczekuje.

Każdy ma w życiu jakieś miejsce. Ten las czekał na moje przybycie. Należę do niego. Zostałem stworzony, przywołany, aby tu pozostać. I muszę bronić swojej ziemi. A w zamian ona daje mi siłę.

Obserwuję wrogów, cichy i nieuchwytny jak cień. Są tacy nieporadni. Poruszają się niezgrabnie, tupiąc buciorami. Nie potrafią patrzeć. Nie chcą nauczyć się lasu. Gubią drogę, nie umieją rozpoznawać najprostszyc znaków, grzęzną w błocie, drżą na deszczu, lękają się ciemności. Są beznadziejni. Walczą z drzewami, z lianami, wycinają krzewy, ale na nic ich wysiłki. Las jest wieczny.

A ja stoję w cieniu, zawsze za ich plecami. Obserwuję i czekam.

Wsłuchuję się w słowa lasu.

Niedługo znów zabrzmia. Niedługo w szeleście liści usłyszę szept:

- Oromatua. Zabij.

I podążę wypełnić rozkaz.

Spełnić swoją misję.

Już niedługo.

Kapitan Hidachi ubrany w czysty, elegancki mundur krążył wokół stołu sprężystym krokiem. Na twarzy miał wyraz niechęci przemieszanej z lekką pogardą. Widać, że jest tu nowy. Widać gołym okiem, pomyślał porucznik Yachira.

Wizyta przełożonego nie zapowiadała niczego dobrego. Yachira poczuł nagle falę głębokiego znużenia. Domyślał się, czego będzie dotyczyła rozmowa.

Chciałbym mieć to za sobą, pomyślał.

Kapitan Hidachi zatrzymał się tuż przed podwładnym i zmierzył go srogim spojrzeniem. Kołysał się przy tym nieznacznie na piętach, jakby sądził, że przyda mu to godności.

- Otrzymałem wieści, że na wyspie wylądowały potajemnie oddziały nieprzyjaciela. Zadają naszym żołnierzom dotkliwe straty. Czy to prawda, Yachira? - spytał ostro.

Porucznik z trudem stłumił westchnienie.

- Nie wiem, panie kapitanie.

Brwi przełożonego uniosły się w górę, nadając twarzy komiczny wyraz.

- Co to ma znaczyć, Yachira? Jak to pan nie wie?!

Porucznik uniósł wzrok i wytrzymał spojrzenie Hidachiego.

- To prawda, że ktoś morduje naszych żołnierzy. Jednak żaden oddział nieprzyjacielski nie przedostał się na wyspę. Podejrzewam, że za straty odpowiedzialni są krajowcy.

Kapitan parsknął gniewnie.

- Niech pan nie udaje głupca, Yachira. Dzicy krajowcy nie mieliby szans w starciu z armią cesarza! To muszą być dywersyjne działania wroga!

Porucznik opuścił głowę.

Przypomniał sobie trupy. Ludzi z roztrzaskanymi czaszkami, połamanymi kończynami, skreconymi karkami. Amerykanie zabijali inaczej. Ta rzeźnia w ogóle nie wyglądała na dzieło ludzkich rąk. Podobno jedna z ofiar żyła jeszcze, gdy do bunkra dotarł oddział rozpoznawczy zaniepokojony milczeniem kaprała Okori, który nie zgłaszał się przez radio. Ludzie powtarzali potem z lękiem ostatnie słowa konającego. Obakemono. Demon.

Yachira spojrział na przełożonego.

- Podobno to nie żaden oddział, ale jeden człowiek - powiedział ostrożnie.

Kapitan zbladł. Jego okrągła, pokryta potem twarz dosłownie skamieniała z oburzenia.

- Co to za kpiny, Yachira?! Jeden człowiek! Czy pan próbuje znaleźć absurdalne wytłumaczenie dla własnej nieudolności? Jak jeden żołnierz wroga mógłby zadać naszym oddziałom tak znaczne straty?

Tym razem porucznik westchnął.

- Ludzie mówią, że to demon - stwierdził cicho.

Hidachi stał przez chwilę osłupiały, a potem wybuchnął śmiechem.

- To jakieś szaleństwo, Yachira. Szkodliwy zabobon, z którym trzeba definitywnie skończyć! Wyślemy natychmiast grupę poszukiwawczą, która nie spocznie, póki nie odnajdzie tego Amerykanina i nie dowiedzie, że to człowiek z krwi i kości.

Yachira milczał.

Kapitan zmierzył go pełnym niedowierzania spojrzeniem.

- Chyba nie wierzy pan w te brednie, Yachira?

Porucznik zwilżył wargi.

Sam już nie wiem, w co wierzę, pomyślał.

- Oczywiście, że nie, kapitanie Hidachi - zaprzeczył głośno.

Na ustach przełożonego pojawił się uśmiech zadowolenia.

- Więc zorganizuje pan oddział. Natychmiast. W ciągu trzech dni Amerykanin ma być martwy. Jeśli jest jakiś pojedynczy Amerykanin. Moim zdaniem, to cała dywersyjna grupa, którą trzeba jak najszybciej unieszkodliwić. Niech pan pamięta, Yachira. Trzy dni.

- Tak jest, kapitanie Hidachi - powiedział porucznik.

Mam trzy dni na schwytanie demona, pomyślał. Jakże pełen buty to rozkaz.

Talbot ukryty w gęstwinie krzaków obserwował Japończyków. Mijał właśnie trzeci dzień akcji. Akcji, która od początku przebiegała inaczej, niż zaplanowano. Gotów był się założyć, że żółci nie przewidywali specjalnych problemów. No bo czy tak trudno zabić samotnego rozbitka? Josh uśmiechał się szeroko. Bawiło go, jak cholernie się pomylili.

Trzeba bardzo uważać, żeby z tropiciela nie stać się zwierzyną, pomyślał.

Japońscy żołnierze szli z wyraźną niechęcią, starając się trzymać jak najbliżej siebie. Na ich twarzach malowało się napięcie. W kącikach oczu mieszkał niepokój.

Pachnieli strachem.

Po wąskiej, bagnistej ścieżce nie mogli poruszać się inaczej niż gęsiego. Ci, którym przyszło maszerować na końcu, zdradzali oznaki największego zdenerwowania. Często przełykali ślinę, wzdrygali się na każdy dźwięk, rozglądali się nieustannie, jakby mieli głowy osadzone na drucie.

Talbot ukryty między wielkimi, wilgotnymi liśćmi bezszelestnie przesuwał się równolegle z oddziałem.

Czekał. Nie na jakąś sprzyjającą okazję. Takie zdarzały się właściwie co chwila. Chciał, żeby napięcie wśród Japończyków stało się nie do zniesienia. Miał zamiar pokonać żółtków ich własnym strachem.

Do tej pory udało mu się zgarnąć trzech. Dwóch wartowników - jednego nocą, a kolejnego tuż przed samym świtem. Nie zdążyli nawet zauważyć, że umierają. Tak jakby Talbot stał się niewidzialny. Czasem myślał, że naprawdę tak jest. Wrogowie nie mogą go dostrzec, bo znajduje się pod opieką dżungli. Ona pozwala mu wtapiać się w tło, znajdować schronienie w każdej gęstwinie, każdym wykrocie.

Trzeciego załatwił naprawdę koncertowo. Ściągnął go po prostu ze ścieżki, jak w starych filmach o Indianach. Pod nosem wszystkich pozostałych. Japoniec nie zdążył nawet zaskomleć. Szedł sobie ostatni, kręcąc się ze strachu, jakby miał osę w dupie, a potem już leżał z rozplatanym gardłem. A wokół była tylko ściana wrogiej, ociekającej kroplami deszczu zieleni.

Dżungla znów napila się krwi.

Talbot otarł pot z czoła. Cholernie parno dzisiaj, pomyślał.

Nie czuł się najlepiej. Co chwila oblewały go fale gorąca. Niekiedy miał wrażenie, że czas płynie dziwnie wolno. Żółtki poruszali się wręcz majestatycznie, każdy ruch wydłużał się nienaturalnie. Jak na zwolnionym filmie.

W głowie Talbota huczał wtedy rój, w skroniach krew waliła jak młot.

A parny, przesycony wilgocią las szeptał ponaglająco. - Oromatua! Oromatua! Zabij!

\*\*\*

Zrywam się i biegnę. Jest tak nieznośnie gorąco, że nie mogę oddychać. Rzucam granaty. Wybuchy podrywają w górę fontanny błota. Wyglądają jak rozkwitające nagle bure kwiaty. Rozpryskują się tak powoli. Ciała wrogów okręcają się od uderzeń odłamków, wolno jak płatki wiśni opadają na ścieżkę. Biegnę, strzelając. Oni strzelają także. Widzę każdą przelatującą kulę. Są przeraźliwie

powolne. Mogę je bez trudu ominąć. Albo odbić ręką w razie potrzeby. Nie są w stanie bardziej mi zaszkodzić niż rzucone dłonią dziecka pestki śliwek.

Wrogowie krzyczą. W ich głosach słyszę przerażenie. Wpadam między nich jak jastrząb w stado kur. Jednym ciosem strącam głowę z karku najbliższego żółtka. Drugiego chlastam nożem po szyi.

Krzyki zmieniają się w jeden wysoki, histeryczny wrzask. Słyszę go gdzieś w głębi umysłu, bo w uszach mam tylko szum. Już nie strzelają. Uciekają w popłochu. Wolno. Bardzo wolno.

- Obakemono! - wołają. - Obakemono!

Świst w powietrzu. Srebrzysty błysk opada w dół, ale nie tak szybko, żebym nie zdążył go schwycić. Łapię szablę w locie i jednym ruchem przełamuję na pół. Widzę wytrzeszczone, pełne przerażenia oczy Japońca. Nie może uwierzyć w to, co się stało. Gapi się na kikut szabli, jakby to była odcięta ludzka ręka.

Uśmiecham się szeroko.

Japończyk próbuje się cofnąć, ale nie jest dość szybki.

- Proszę, proszę, sam pan oficer. To wielki zaszczyt zabić szanownego pana - mówię i wyprowadzam piękny, czysty cios.

Żółtek łapie się z charkotem za gardło. Krew płynie gorącą, buzującą strugą. Japoniec przewraca się, miota przez chwilę w drgawkach i nieruchomieje.

Kolejny karb na moim patyku.

Rozglądam się, żeby ocenić sytuację. Wrogowie uciekają. Jakoś brakuje chętnych, żeby stawić mi czoła. Jednemu człowiekowi z nożem. Wstyd. Co by cesarz powiedział?

Uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Wypełniam misję, a to zawsze jest źródłem radości.

Być może nie zdołam zabić wszystkich. Część pewnie ucieknie. Ale i tak jestem zadowolony.

Dopadam ich bez trudu. Jednego po drugim, metodycznie. Próbują uchylić się przed moim nożem, ale on uderza jak błyskawica. Próbują wyrwać się z uścisku, lecz równie dobrze mysz mogłaby usiłować

wyplatać się ze splotów pytona. Odrzucam martwe ciało wroga i równocześnie chwytam za ramię kolejnego, przebiegającego obok. Słyszę paskudny dźwięk, jakby trzask łamiącego się kija, i ręka Japończyka odrywa się od tułowia.

Wrzask dosłownie kaleczy uszy. Upuszczam wyszarpane ramię. Cały jestem ubabrany krwią. Ostro, cudownie pachnącą krwią nieprzyjaciół.

Dżungla oddycha gorącem. Boże, jak parno. Dyszę ciężko, niczym zwierzę. Przed oczami widzę złote rozbłyski, w uszach mi szumi.

Liście szepczą do mnie czule:

- Oromatua! Zabijaj!

Słucham ich głosu. Przecież przybyłem tu niszczyć wrogów.

Uciekają w popłochu. Przewracają się o martwe ciała towarzyszy. W oczach mają tylko bezmyślny, zwierzęcy strach.

- Oromatua - mówi dżungla. - Zabij.

Więc zabijam.

\*\*\*

Talbot obudził się ze snu obolały i rozbity. Przeciągnął się ze stęknieniem. Całą noc dręczyły go koszmary. Okrutne majaki, w których zabijał Japończyków. Wytłukł gołymi rękami cały oddział.

Potrząsnął głową.

- Wariujesz, stary - mruknął.

W ustach czuł niemiły, gorzki posmak. Splunął pod nogi.  
Napiłbym się mleka, pomyślał.  
Niedościgłe marzenie. Na wyspie żyły tylko zdiczące świnie, jaszczurki i robactwo. Wtedy przypomniał sobie o kokosach. Świeży miąższ przyjemnie orzeźwiało. I z pewnością zawierał mnóstwo pożytecznych składników.  
Czas urozmaicić dietę, powiedział sobie. Wróci na plażę, do kokosowego zagajnika. A jeśli będzie spokojnie, wykąpie się w morzu.  
Perspektywa kąpieli, zmycia z siebie potu i błota, wyprania munduru, a raczej tych strzępów, które z niego zostały, była niezwykle kusząca.  
Talbot wstał, przeciągnął się jeszcze raz i ruszył przed siebie.  
Przedzierał się przez zarośla, gdy powiew wiatru przyniósł nieprzyjemny zapach. Paskudny, ciężki odór rozkładającej się w upale krwi. I woń nieświeżego mięsa. Ostrożnie rozgarnął liście.  
Serce zabiło mu gwałtownie, ścisnęło się dziwnym lękiem.  
Postąpił kilka kroków i znalazł się na ścieżce.  
Wciągnął ze świstem powietrze i zmarł w bezruchu.  
Ciała martwych Japończyków wyglądały groteskowo, jak porzucone kukły z tunelu strachów. Talbot patrzył na wykrzywione lękiem, stężałe twarze, na wyszczerzone w śmiertelnym grymasie zęby. Niektóre trupy były pozbawione głów, które leżały nieopodal na ścieżce ułożone w zgrabny stosik jak piłki. Wyrwane ramiona i nogi poniewierały się obok, podobne do uschłych gałęzi. Rozchlastane gardła uśmiechały się szeroko, jakoś obrzydliwie lubieżnie.  
Obok ciał przykucnęły wychudłe stwory o długich, skłębionych włosach. Wąchały krew, ale zaraz odsuwały się z jawnym obrzydzeniem. Jeden odwrócił się i spojrzał na Talbota płonącymi zielonkawymi ślepiami. Obnażył kły i prychnął ostrzegawczo.  
Josh poczuł, że zbiera mu się na mdłości.  
To niemożliwe, pomyślał. To majaki wywołane gorączką.  
Ale głęboko w sercu obudził się nagle lęk. Bo cała ta jatka wyglądała zupełnie jak w koszmarze, który śnił zeszłej nocy. Zupełnie tak samo.  
Zadrżał.  
Zielonooki stwór oblizwał wargi długim sinym językiem. Wydał chrapliwy skrzek, a jego towarzysze odpowiedzieli krótkimi szczęknięciami.  
Odchodzą, pomyślał Josh. Pożerają tylko ciała tubylców, żeby dusze nie mogły powrócić i pozostały na zawsze w swoich klanowych wioskach na Zachodniej Wyspie. Obcy nie mają tam wstępu. Muszą się błąkać między zaświatami a ziemią. Na zawsze.  
Nie miał pojęcia, skąd o tym wie.  
Nie miał też pojęcia, kim jest i co się z nim dzieje.  
- Mój Boże - szepnął. - Chyba oszalałem.  
Zapragnął wydostać się natychmiast z dżungli. Przestać oddychać parnym, przesyconym wilgocią powietrzem. Zanurzyć się w wodzie, umyć twarz, leżeć na słońcu i zapomnieć o tym koszmarze. O potwornym śnie, z którego nie może się obudzić.  
Ruszył przed siebie biegiem, słysząc za plecami ostre poszczekiwanie atua - demonów, które pożerają trupy.

\*\*\*

Woda była cudownie chłodna, przejrzysta jak kryształ. Talbot parsknął, nacierał się piaskiem,

zanurzał i nurkował, czując, jak kąpiel przywraca mu siły. W słońcu na rajskim, spokojnym wybrzeżu duszne koszmary dżungli blakły i rozwiewały się niczym mgła.

Josh znów myślał trzeźwo.

To tylko gorączka, powtarzał sobie. Cholerna bagienna gorączka. Japońców na pewno załatwili krajowcy. Przecież nienawidzą ich jak zarazy za wszystkie okrucieństwa, jakich od nich doznali. A te demony to jedynie przywidzenie. Wytwór wycieńzonego malarią umysłu. Może mały albo zwykła gra cieni w zielonej, parnej martwocie lasu.

Kąpał się długo, a gdy wreszcie wyszedł z wody, usiadł na kamieniu, żeby obeschnąć. Otworzył nożem kokos i zaczął wydłubywać koprę. Pokrzepiony wyrzucił pustą skorupę i dotknął rozłożonego do suszenia munduru. Był leciutko wilgotny, więc Josh uznał, że może się ubrać.

Naciągnął spodnie i koszulę, otrzepał stopy z piasku i założył buty.

Dość tego, postanowił. Nie mogę dłużej tkwić na tej cholernej wyspie. Muszę odszukać tubylców i skłonić ich, żeby przerzucili mnie do swoich albo chociaż zawiadomili kogoś, że tu utknąłem. Jeśli dłużej będę siedział w dżungli jak zwierzę, oszaleję albo przekręcę się na malarię.

Podniósł się i wtedy spostrzegł Japończyka.

Żółtek gramolił się na skałę niedaleko wylotu jaskini, która służyła Talbotowi za kryjówkę. Nie miał broni, chyba że nóż, ale z tej odległości Josh nie był w stanie ocenić.

Poczuł nagłą suchość w gardle, serce zerwało się do gwałtownego galopu.

Chryste Panie, pomyślał. Jeśli znajdzie ukryty między skałami arsenał, będzie po mnie.

Skulony, żeby jak najmniej rzucać się w oczy, ruszył biegiem, starając się przeciąć Japońcowi drogę. Przeskakiwał po kamieniach u stóp skalnego złomu z nadzieją, że w głębokim cieniu nie będzie widoczny, zanim nie zbliży się znacznie do przeciwnika.

Jednak został dostrzeżony wcześniej. Twarz Japończyka wykrzywiła się ze strachu. Krzyknął coś piskliwie i ruszył szparko pod górę.

Talbot zaklął i też zaczął się wspinać. Ostre krawędzie skał kaleczyły mu dłonie, a żółtek skakał zwinnie jak kozica.

Dokąd tak pędzi, kretyn? - zdumiał się Josh. Wspinanie się na skałę nie miało sensu. Tamten dawno już minął wylot jaskini z ukrytą bronią, ale brnął dalej w górę.

Pewnie ma gdzieś własną kryjówkę, pomyślał Talbot i oblał się zimnym potem. Chciał zaryzykować, zboczyć do grotty i zabrać stamtąd karabin, ale wtedy Japończyk mógłby zdążyć dotrzeć do swego arsenału i powitać go paroma kulkami.

Jezu, co za idiota ze mnie, jęknął w duchu. Dlaczego nie zabrałem karabinu albo chociaż kilku granatów? Kretyn. Jak ten Japoniec mnie zabije, będę sam sobie winny. Wszystko przez tę pieprzoną malarię. Mąci mi w głowie.

Postanowił, że dopadnie przeciwnika, zanim ten dotrze do swojej kryjówki. Żółtek wyglądał na wycieńzonego. Na jego koszuli czerwieniły się ślady krwi. Wspinał się dzielnie, ale wyraźnie słabł. Talbot zacisnął zęby i przyspieszył. Sapał z wysiłku, ale był już naprawdę blisko wroga. Tuż nad jego głową majaczył szczyt skały. Gdzie ten sukinsyn ma broń? - myślał gorączkowo. Na wierzchołku? Po drugiej stronie, od morza?

Przed nosem widział teraz buty i chude łydki przeciwnika wystające z postrzępionych spodni. Wyciągnął rękę, żeby złapać za kostkę. Japończyk pisnął histerycznie.

- Obakemono! - wrzasnął. - Ko - we! Ko - we!

Na jego twarzy malowało się nieklamane przerażenie.

Co za pieprzony tchórz, pomyślał Talbot z gniewem. Japoniec zerwał się do ostatecznego wysiłku i stanął na szczycie skały. Balansował przez chwilę, żeby złapać równowagę, a potem rzucił się do



ucieczki. Nawet nie próbował podjąć walki czy strącić Talbota ze skały, wykorzystując chwilową przewagę.

Josh poczuł, że ogarnia go wściekłość. Chciał dorwać tego tchórzliwego żółtka, skończyć z nim i wreszcie mieć spokój. Wdrapał się na szczyt i puścił w pogoń za uciekinierem. Ostre krawędzie skały były śliskie i zdradliwe. Kamienie osuwały się spod nóg, buty co chwila wpadały w głębokie rozpadliny, co groziło złamaniem kostki lub gorzej, runięciem w dół urwiska. Daleko u stóp kamiennego urwiska niebieskie, gładkie jak obrus morze obmywało kamienne złomy.

W pewnym momencie Japończyk potknął się i upadł. Rozczapierzone palce uchwyciły się skały, nogi znalazły w ostatniej chwili oparcie. Ale ta chwila zwłoki wystarczyła, żeby Talbot go dopadł. Szarpnął za mundur na karku i poderwał w górę.

Twarz Azjaty, blada, złana potem, wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

- Obake! - syknął i zamachnął się, próbując uderzyć Josha w szczękę.

Talbot zablokował niepewny cios, a wtedy przeciwnik kopnął go w nogę. But ześlizgnął się, ale Talbot zdołał znaleźć oparcie.

- Ty parszywe ścierwo - warknął.

Zamierzył się, żeby przetrącić Japońcowi kark, lecz tamten się uchylił. Uniknął ciosu, ale stracił równowagę. Zamachał rozpaczliwie rękami i wczepił się niespodziewanie w Talbota. Josh poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Szarpnął wściekle, żeby oderwać zaciśnięte kurczowo dłonie przeciwnika, ale już było za późno. Runęli szczeni prosto na obmywane łagodnymi falami kamienie daleko, daleko w dole.

\*\*\*

Josh otworzył oczy. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie błękitnym jak świeżo wyprana dziewczęca sukienka. Promienie świeciły tak mocno, że musiał przymrużyć powieki. Nie czuł najmniejszego bólu.

Niemożliwe, pomyślał. Przecież muszę być martwy. Nikt nie przeżyłby podobnego upadku.

Usiadł i rozejrzał się. Na kamieniu opodal leżał Japończyk. Wydawał się całkowicie spokojny, jakby pogrążony we śnie. Nie miał na ciele śladów najmniejszych obrażeń.

- Coś tu nie gra - mruknął zaniepokojony Talbot. - Coś tu cholernie nie gra, kolego.

Japończyk westchnął cicho i zamrugął. Po chwili otworzył oczy. Usiadł nagle sztywno, wyprężony jak struna. Wydawało się, że nie dostrzega Talbota. Wpatrywał się z napięciem w morze. Zaciśnął palce i stęknął cichutko.

- Co jest? - szepnął Josh.

Nad falami unosiła się dziwna kłębiasta chmura. Przybliżała się szybko i nagle Talbot zobaczył, że tworzy ją korowód widmowych postaci. Tak groteskowych i obrzydliwych, że aż zabawnych. Była tam starucha z nienaturalnie długą szyją i wytrzeszczonymi oczami. Stwór o ogromnej głowie, z której wyrastała kolejna, o wielkich rozwartych do wrzasku ustach. Jednooki potwór, któremu ze środka czerepu wystawał piejący kogut. Zwierz podobny do małpy z pękiem czaszek zamiast głowy, dzierżący w dłoni pałkę. Ropucha z trojgiem ślepi. Cudaczny potwór podobny do meduzy czy parasola, wyciągający mackowate ramiona. I mnóstwo podobnych dziwadeł.

Japończyk zadrżał. Z jego ust wydobył się cichy jęk.

Stwory płynęły ku niemu nad falami, wrzeszcząc i skrzecząc. Talbotem nie interesowały się wcale.

Japończyk dygotał, pobladłe wargi poruszały się bezgłośnie, jakby w modlitwie. Wtem nad horyzontem rozblęsnęło światło, jakby zapłonęło nagle drugie słońce. Jasność przybliżała się,

rozświetlając całe niebo białym blaskiem. Ogarnęła w mgnieniu oka chmurę demonów i pochłonęła ją całkowicie. W środku świetlistej kuli majaczyła jakaś postać spowita w długą, lśniąca szatę. Miała wiele par ramion zastygłych w skomplikowanych gestach. Jej spokojne, tchnące dobrocią oblicze jaśniało blaskiem.

Talbot spojrział na siedzącego na skale Japońca. Na bladej, wycieńczonej twarzy malował się wyraz nieziemskiego szczęścia. W kącikach oczu szklily się łzy. Wyciągał ręce do zjawy, a jego usta powtarzały jeden wyraz jak mantrę.

- Kannon! Kannon!

Bogini zatrzymała się na skraju wody, otworzyła ramiona. Japończyk powstał, jak w transie wpatrzony w cudowne zjawisko ruszył na spotkanie zjawy.

Josh oblizał spierzchnięte wargi.

Idzie nad piaskiem, pomyślał oszołomiony. Jego stopy nie dotykają ziemi.

Z wyciągniętymi ramionami i wielką radością na twarzy Japończyk wstąpił w krąg światła. Wtedy nastąpił rozbłysk i lśniąca kula zniknęła.

Talbot siedział przez chwilę bez ruchu. Potem podniósł się, westchnął i zagryzł wargę.

- A więc tak to wygląda - powiedział cicho. - W końcu już dawno powinienem się domyślić.

W płaskim kamieniu, w którym powstało lekkie wklęsnięcie, zebrało się trochę wody. Talbot ukląkł i przejrzał się w tafli. Zobaczył twarz całą pokrytą sinymi liniami tatuaży i płonące, zielone jak dżungla oczy.

Usiadł ciężko na piasku i ukrył twarz w dłoniach. Trwał tak nieruchomo aż do zachodu słońca. Potem wstał, otrzepał ubranie. Zrobił się głodny.

Najwyższa pora coś zjeść, pomyślał.

\*\*\*

Siedzę na plaży i patrzę, jak cichym krokiem nadchodzi cudowny fioletowy zmierzch. Widok jest tak piękny, że aż nieprawdziwy.

W ognisku, które rozpałem, piecze się prosię. Pachnie naprawdę kusząco. Niedługo dojdzie i będę mógł zacząć kolację.

Właściwie niczego mi nie brakuje. Tubylcy składają mi ofiary, dżungla jest moim domem. Nie ma przede mną tajemnic. Może trochę doskwiera mi samotność. Ale do tego łatwo się przyzwyczaić. Mogłem przecież trafić o wiele gorzej.

Kiedy naprawdę mi źle, mogę iść do wioski poszukać towarzystwa jakiejś dziewczyny. Traktują mnie naprawdę miło. W końcu nie robię im krzywdy, a moje awanse to rodzaj wyróżnienia. Podnoszą ich prestiż, sprawiają, że czują się lepsze, wybrane.

Niekiedy fala o zmierzchu robi się szkarłatno czerwona. Wtedy wiem, że nadpływa czółno z Zachodniej Wyspy. Widzę, jak przewoźnicy zabierają dusze do krainy przodków. To poruszający widok. Pełen dostojeństwa.

Tradycja pełni w życiu krajowców bardzo ważną rolę. Wiele się o nich dowiedziałem. Mógłbym nawet napisać książkę. Pewnie byłaby przydatna niejednemu naukowcowi.

Czasem odwiedza mnie Kui, ślepa strażniczka zaświatów. Już nie traktuje mnie ostro. Wie, że zrozumiałem. Jestem Oromatua. Demon, widmowy cień. Tubylcy mnie przywołali, żebym ich strzegł przed Japończykami. Usłyszałem wołanie, kiedy umierałem z ran na plaży, i dlatego się tu znalazłem. Odkrycie prawdy o sobie przyniosło ulgę. Wiele rzeczy znalazło się na właściwym miejscu. Zrozumiałem, dlaczego widzę w ciemności. W jaki sposób potrafię pozostawać niezauważony.

Czemu dysponuję siłą znacznie przewyższającą ludzką. Przyzwyczailem się nawet do swojej nowej twarzy. Tatuaze oznaczają przynależność do świata duchów. A oczy są całkiem fajne. W domu poderwałbym niejedną dziewczynę na to wściekle zielone, świecące spojrzenie. Naprawdę uważam, że mogłem trafić gorzej. Nie wiem, czy kiedykolwiek stąd odejdę. Powoli przyzwyczajam się do myśli, że to moje miejsce na zawsze. Chociaż stare legendy mówią, że demona można zabić. Musi wtedy trafić do jakichś zaświatów, prawda? Może odejdę, kiedy wypełnię swoje zadanie. Gdy wyspa będzie bezpieczna. Ale nie wiem, czy to kiedykolwiek nastąpi. Nie wiem nawet, czy tęsknię. Za domem, rodzicami, dziewczyną, którą zostawiłem. Moje dawne życie nie znaczy dla mnie więcej niż sen. Słodki, odległy sen o kimś całkiem innym niż ja. W duszy wierzę, że mój czas się wypełni i przeniosę się w jakiś wyższy wymiar. A jeśli nie, to cóż. Płakać nie będę. Zawsze powtarzam, że mogło być gorzej. Patrzę na łagodne, srebrzące się morze. Palmy kołyszą strzępiastymi głowami. Piasek jest biały, miękki, nagrany słońcem. Jak w raju. W małym, prywatnym raju stworzonym na mój użytek. Oromatuy. Widmowego cienia.

# Spis treści

<a href="#">Strona tytułowa.</a>	1
<a href="#">Mucha.</a>	6
<a href="#">Schizma.</a>	19
<a href="#">Hekatomba.</a>	39
<a href="#">Diorama.</a>	52
<a href="#">Zwierciadło.</a>	79
<a href="#">Smutek.</a>	174
<a href="#">Wieży krwi</a>	206
<a href="#">Spokój Szarej Wody.</a>	239
<a href="#">Szkarłatna fala.</a>	276